



Richard Yates

Droga do szczęścia



Przełożyła: Alina Siewior-Kuś

Dla Sheili

Alas! Kiedy namiętność jest potulna i zarazem dzika!

John Keats

Wstęp

Richard Ford

Od ukazania się Drogi do szczęścia drukiem mija czterdzieści lat i dziwnie wyobrażać sobie czytelników, którzy właśnie po raz pierwszy biorą ją do ręki. Powieść przyciąga już drugie pokolenie odbiorców i wywiera na nasze umysły tak potężny, zasadniczy wpływ, że nie znać arcydzieła Yatesa, przedstawiać je teraz jest niezręcznością, trochę jakbyśmy przedstawiali starego dobrego przyjaciela nowemu znajomemu: wolelibyśmy tego nie robić ze względu na wszystkie bardzo ważne sprawy, do których lepiej nie wracać. A jednak oczywiście musimy to uczynić, ponieważ wspomniałymi książkami, tak jak najlepszymi przyjaciółmi, trzeba się dzielić.

Wystarczy powiedzieć, że wśród czytelników literatury amerykańskiej od początku lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku Droga do szczęścia, opublikowana w 1961 roku i od razu obsypana pochwałami, stała się rodzajem kultowego wzorca. Dotyczy to zwłaszcza pisarzy, oni bowiem podtrzymują jej doskonałą opinię pochlebnymi recenzjami, wykładami, czasem nieświadomym naśladownictwem pozornej łatwości, całkowitej dostępności, przejrzystej szczegółowości, głębokiej powagi, z jaką traktuje nas, istoty ludzkie, o których głosi szokująco wnikliwe uwagi i pochwały. Podziwiamy jej wytrawny styl, niemal zupełną odporność jako struktury zbudowanej ze słów, która opiera się wszelkim próbom klasyfikacji. Realizm, naturalizm, satyra społeczna: wszelkie typowe definicje krytyczne okazują się bezradne wobec tego dzieła. Droga do szczęścia to po prostu Droga do szczęścia, a odwołania do powieści sprawiają, iż jej wyznawcy wymieniają coś na kształt tajemnego kulturowo-literackiego uścisku dłoni.

Richard Yates urodził się w Yonkers w stanie Nowy Jork w roku 1926, zmarł w roku 1992 w szpitalu Veteran Administration w Birmingham w stanie Alabama. Edukację zakończył na szkole średniej; w czasie II wojny światowej służył w armii amerykańskiej; dwukrotnie się rozwodził i był ojcem trzech

córek. Po wojnie pracował jako autor tekstów reklamowych w Remington Road Corporation, pod koniec lat sześćdziesiątych przez krótki okres pisał przemowy dla senatora Roberta Kennedy'ego. Przede wszystkim jednak Robert Yates był pisarzem, tylko okazjonalnie uzupełniającym dochody nauczaniem oraz pisaniem scenariuszy filmowych. W trakcie swojej kariery napisał siedem powieści (włącznie z *Drogą do szczęścia*) oraz dwa zbiory opowiadań, z których większość często ukazuje się w antologiach, a czytelnicy darzą je głębokim podziwem jako wzorce formy.

Yates, znany z bogactwa, a równocześnie z prostoty języka, powiedział kiedyś w wywiadzie, że czuje, iż napisał za mało, a jego nieszczęściem jest to, że najlepsza powieść powstała jako pierwsza. Chociaż przez trzydzieści lat kariery pisarskiej reputacja Yatesa rosła, malała i znowu rosła, by ostatecznie utrwalić się jako owa wieloznaczna sława „pisarza pisarzy”, która nie oznacza trwałego przejścia na główną, zapewniającą wielkie pieniądze arenę amerykańskiej mody literackiej, prawdą jest i to, że żadne z jego późniejszych dzieł nie osiągnęło doskonałości i niezdobyło uznania takiego jak *Droga do szczęścia*, która w 1961 przegrała w rywalizacji o National Book Award z *Kinomanem* Walkera Percyego.

Akcję *Drogi do szczęścia* można streścić w kilku słowach.

Wiosną i latem 1955 roku w usytuowanym w zachodnim Connecticut osiedlu Revolutionary Hill Estates życie rodziny Wheelerów, April, Franka i dwojga małych dzieci, ulega gruntownej i gwałtownej rozsypce i zmienia się już na zawsze.

Przypadkowemu obserwatorowi codzienność Wheelerów może wydawać się podobna do życia ich sąsiadów - z dostępnymi, nieodbiegającymi od normy przyjemnościami i troskami: udział w grupie teatralnej założonej przez mieszkańców, zakrapiane alkoholem kolacje z myślącymi podobnie właścicielami innych domów, krótkie przejażdżki do i ze stacji, komfort wtopienia się w kulturę, a równocześnie całkowita kontrola przy dokonywaniu fundamentalnych wyborów życiowych oraz (co mniej zabawne) niezdolność do opanowania frustracji związanej z przemijaniem młodości, radzenia sobie z monotonią pracy, zabiegania, by życie wciąż było interesujące przy jednoczesnym zachowaniu jądra swej osobowości.

W życiu Wheelerów pojawia się jednak wiele rzeczy złych, nawet jeśli z osobna żadna nie wydaje się na tyle wyjątkowa, by uczynić całość nieznośną. Franka i April niestety nie łączą wielkie uczucie. Oboje nie cierpią przedmięć i zbyt często na nie narzekają. Dzieci są źródłem zwykłych kłopotów. Praca Franka w mieście, jak sam przyznaje, „jest najnudniejszą robotą, jaką można

sobie wyobrazić". A April, nie mając za wiele obowiązków, publicznie ponosi sromotną klęskę jako aktorka amatorskiego teatru. W dodatku Wheelerowie za dużo piją, są śmiertelnie znudzeni sąsiadami i dręczą ich mglista obawa, iż stali się banalni. W konsekwencji swoją przyszłość widzą jako nieokreśloną, acz mało obiecującą.

A jednak April nie rezygnuje i obmyśla romantyczne remedium na chorobę, która dopadła ją i męża. Po prostu sprzedadzą dom i przeprowadzą się do Paryża. Tam Frank się „odnajdzie”, April podejmie pracę jako sekretarka w NATO, dzieci nauczą się francuskiego. Później przyszłość jakoś sama się potoczy, a małżonkowie zyskają pewność, że ich życie nie toczy się po utartych, sentymentalnych torach.

Tylko że Frank Wheeler już zaczął uzupełniać swoje nieszczęśliwe pożycie małżeńskie, wdając się w prozaiczny romans biurowy z dziewczyną o mało pociągającym nazwisku: Maureen Grube. Pod każdym innym względem poza wymienionymi Frank obawia się zmiany, jaką przyniesie paryski plan April. Z tego też powodu i wbrew własnym gorzkim obiekcjom wobec swojej nijakiej pracy Frank godzi się na „lepsze” zajęcie, polegające na pisaniu absurdalnych motywacyjnych tekstów reklamowych dla Knox Business Machines, firmy przekształcającej staroświeckie linie produkcyjne na potrzeby nowej ery komputerów.

Plany jednak się krystalizują i nadchodzi moment sprzedaży domu. Biurowy romans Franka zaczyna się urywać, znowu wybucha. Rośnie jego niechęć do wyjazdu. Dzieci, co zrozumiałe, mają zamęt w głowie. Frank i April coraz częściej się kłócą, wdają w głośne, niechciane sprzeczki, przerzucają się oskarżeniami i wycofują, znoszą policzki, ucieczki, powroty, wybuchy gniewu, aż wreszcie rezygnują z planów wyprowadzki. Z tą decyzją zakotwiczenie Wheelerów w dobrym życiu, które stopniowo budowali, gwałtownie, nagle, tragicznie przestaje istnieć. Wszystko to dzieje się w jedno pogodne lato, które mogłoby się skończyć dobrze dla innej niż Wheelerowie rodziny.

„W osiedlu na Revolutionary Hill nie było miejsca na tragedię. Nawet nocą nie czaiły się tu cienie, nie straszyły wychudłe olbrzymy. Była to nieodparcie wesoła, zabawkowa kraina białych i pastelowych domków, których jasne niezastłonięte okna mrugały mdło przez gęstwinę zielonych i żółtych liści. [...]

Ogarnięty rozpaczą i żalem człowiek biegnący tymi ulicami był gorsząco nie na miejscu. Panowała niezwykła cisza, w której poza szelestem podeszew na asfalcie i własnym przyspieszonym oddechem Frank słyszał głosy z telewizorów w drzemiących pokojach za zasłoną liści: stłumiony krzyk komika,

następujące po nich fale śmiechu i braw, pierwsze głośne takty muzyki", (s.328)

W roku 1961 Droga do szczęścia musiała wydawać się szczególnie zjadliwym oskarżeniem powojennej idei przedmieść oraz tych pełnych nadziei duszyczek, które opuściły miasto w poszukiwaniu jakiejś możliwej do przyjęcia równowagi pomiędzy surowym życiem na wsi a możliwościami i gwarem miasta. Frank Wheeler, główny bohater powieści, ma dwadzieścia dziewięć lat, jest weteranem wojennym, absolwentem Columbii i człowiekiem pozornie pnącym się w górę. Mimo to Yates sarkastycznie przedstawia go jako oportunistycznego, zarozumiałego „urzędasa” „z tym rodzajem mało wyrazistej urody, którą fotograf od reklam mógłby użyć do sportretowania wymagającego konsumenta solidnie wykonanych, acz niedrogich towarów” (s. 34). Kilkanaście stron dalej Frank jest oszukującym się, rozwiązłym nudziarzem, który postrzega siebie „jako głębokiego, otoczonego chmurą tytoniowego dymu mężczyznę w typie Sarnowskim” (s. 45), choć w rzeczywistości jest rozpustnikiem wplatającym w rozmowę aluzje literackie i wykonującym pracę tak ogłupiającą i bezsensowną, że sam z siebie się śmieje.

April Wheeler jest także młodzieńczą dwudziestodziewięciolatką, na nieszczęście jednak niedocenianą przez męża, który widzi w niej „pozbawione wdzięku, cierpiące stworzenie, którego istnieniu usiłował codziennie zaprzeczać”. Yates z większą łaskawością przedstawia April: to cokolwiek oszołomiona, cokolwiek rozpieszczona kobieta z aktorskimi aspiracjami, która nie żywi do męża szczególnie przyjaznych uczuć, ale pomimo to usilnie próbuje skierować ich zmierzające donikąd życie na nowe tory, mające doprowadzić jej rodzinę (czy raczej przede wszystkim ją samą) do Paryża i wielkiej szansy na wolność. April z wolna jednak staje się współniczką męża, pozwala mu się najpierw okłamywać, później oszukiwać, jeszcze później demoralizować i doprowadzić do szaleństwa, a wreszcie ginie przez okoliczności, nad którymi nie może zapanować, bo brak jej do tego moralnej siły.

Przez niemal czterdzieści lat od wydania Drogi do szczęścia krytycy niemal zawsze charakteryzowali powieść Yatesa jako „ponurą”, a jego wizję Amerykanów i amerykańskiego życia na przedmieścia jako ludzi dryfujących w „smutnym, szarym, wypełnionym śmiercią świecie”, jak ujęła to Joyce Carol Oates. Sam Yates, który nigdy nie owijał w bawełnę, przyznał w wywiadzie z roku 1974, że „chodziło mu o tytuł sugerujący, że rewolucyjna droga roku 1776... nasz najwspanialszy i najbardziej odważny duch rewolucyjny [być

może przelotnie uosobiony przez April "Wheeler] w latach pięćdziesiątych dotarł do czegoś w rodzaju ślepego zaułka".

Istotnie, obywatelskie pragnienie, by uwolnić się i stworzyć społeczność opartą na jasnych ideach, kim są obywatele, czego im potrzeba i z jakimi przeciwnościami muszą się zmierzyć, to zdaniem Yatesa model właściwej postawy. Choć w *Drodze do szczęścia* właśnie taki jest ideał, przedmieściom, owej monotonnej, znieczulonej strefie buforowej pomiędzy dwoma bardziej witalnymi stylami życia na wsi i w mieście, udaje się go strywalizować i zatruć. Mieszkańcy przedmieść wydają się głodnymi, pozbawionymi celu stworzeniami, które poszukują nie lepszego, ale łatwiejszego, mniej odpowiedzialnego życia. Żadna z postaci przedstawionych w powieści nie ma w gruncie rzeczy pojęcia, kim właściwie jest. W istocie nie mogliby przyznać tego szybciej czy dostatecznie szybko. Wszyscy kroczą ścieżkami wytyczonymi przez siły i moce inne niż ich osobiste poczucie dobra i zła: Konwencja. Nawyk. Brak zaangażowania. Mamona. Ucieczka. Narrator zjadliwie mówi o Franku Wheelerze: „Nie potrafił nawet powiedzieć, czy był zły czy skruszony, czy pragnął wybaczenia czy mocy wybaczenia”. Kiedy życie April Wheeler gwałtownie zmierza ku punktowi kulminacyjnemu, z mroku tylnego siedzenia, na które oboje padli w chwili zamroczenia alkoholowego i seksualnej desperacji, spogląda w rozpacz niemal śmiertelnej na swojego sąsiada, nieudolnego Shepa Campbella: „Mówię szczerze”, April stwierdza tylko to, co oczywiste. „Po prostu nie wiem, kim jesteś. [...] I obawiam się, że nawet gdybym wiedziała, nic by to nie pomogło, bo widzisz, nie wiem też, kim sama jestem.” (s. 271).

Nikt w *Drodze do szczęścia* (może z wyjątkiem dzieci) nie poszukuje dobra. Także postaci drugoplanowe, sąsiedzi, przekupni biznesmeni, porywczy szefowie, wścibscy agenci handlu nieruchomościami i rezydenci domów dla wariatów, wszyscy oni sprawiają wrażenie żyjących w kłamstwie i skompromitowanych - każdy na własny sposób niezdolny jest czynić dobro czy nawiązać więzi międzyludzkie, które mogłyby utkać materię solidarności społecznej na tyle silną, by podtrzymała słabych, gdy się zachwieją, lub pocieszyła rozpaczających, kiedy o to proszą.

W roku 1984 w swoim nieszczególnie pozytywnym artykule o powieściach Yates'a krytyk literacki „New York Timesa”, Anatole Broyard, wysunął obiekcje wobec aspektu *Drogi do szczęścia*, który mnie wciąż wydaje się najbardziej istotny i do którego ja nie mam żadnych zastrzeżeń. Broyard pisze: „Główne pytanie dotyczące dzieł Yatesa brzmi następująco: czy autor prosi nas, byśmy w postaciach poszukali drugiego dna, swoistego symbolizmu, czy

też powinniśmy przyjmować je dosłownie. Oczekuje, że wybaczymy im ich wady i porażki, tak jak czyni to Bóg, czy też przedstawia je nam jako niezwykle interesujące okazy, nie uwzględniając żadnych okoliczności łagodzących? Autor przyjmuje perspektywę metafizyczną czy entomologiczną?".

Istotnie, pytanie Broyarda jest niezwykle ważne przy ocenie Drogi do szczęścia. Z jednej strony wybitny talent Yatesa do obmyślenia i budowania szczegółów życia takiego jakie jest, jego chęć, by wykorzystywać wyobraźnię do traktowania życia poważnie, umiejętność do tworzenia wiarygodnych ludzkich emocji, nim jeszcze mamy szansę ich doświadczyć, a następnie przekładanie ich na słowa: wszystko to świadczy na rzecz perspektywy człowieka postrzeganego dosłownie. Z drugiej sarkazm, komizm oraz ironia obecne w powieści opowiadają się nie za dosłownością, lecz za symbolizmem - „metafizyką” Broyarda. Wszystkie te wiele mówiące nazwiska: pani Givings, agentka handlu nieruchomościami bynajmniej nie należąca do szczodrych, Shep, aportujący sąsiad, nieprawdopodobny Oat Fields, Dickensowski szef ojca Franka, zasugerowana pospolitość panny Grube, nawet sami Wheelerowie, pędzący wprost ku zagładzie*.

* Givings: po ang. „giving” znaczy „dawać”; Shep: to skrót od ang. „shepard dog”, czyli owczarek; Oat Fields: po ang. „pole owsa”; Grube kojarzy się z „grubby”, czyli „brudny”; Wheeler. od ang. „wheel” - „koło”

A także wszystkie bogato rozbudowane opisy, które w rezultacie stawiają bohaterów powieści w upokarzającym świetle satyry i drwiny, jak w przypadku żalonych państwa GMngsów, kiedy składają wizytę w „domu”, gdzie ich syn „odpoczywa” po mozołach, które stanowić będą żalną resztę jego życia:

„Nacisnąwszy guzik, nad którym widniała tabliczka: <Dzwonek do pielęgniarki>, nieśmiało dołączyli do innych gości oglądających wystawę prac plastycznych pacjentów w zewnętrznej poczekalni Oddziału Dwa A. Wśród obrazków znajdowała się wykonana kredkami wierna podobizna Kaczora Donalda oraz rozbudowana fioletowo-brązowa scena ukrzyżowania, na której słońce, a może księżyc, miało ten sam szkarłatny kolor co krople krwi spadające w precyzyjnie odmierzonych odległościach z rany w boku Zbawiciela”, (s. 289)

Co więcej, jakże dosłownie źle może być na przedmieściach, gdzie w pewnym momencie Frank Wheeler snuje mętne rozważania: „Warunki ekonomiczne mogą cię zmusić do życia w takim środowisku, ale ważne, żeby nie dać się zarazić. Trzeba zawsze pamiętać, kim się jest” (s. 42), a równocześnie niemal nikt nie demonstrował zdolności do zmiany, jedynie do

cierpienia? Do jakiego stopnia Wheelerowie mogą wzajemnie się unieszczęśliwiać i zmuszać do moralnych kompromisów, a równocześnie zachować wiarygodność jako podobne nam istoty ludzkie? „Mógł nawet być wdzięczny w tym sensie, że nie miał żadnych jasno sprecyzowanych zainteresowań”, zauważa narrator, z nonszalancją podsumowując życie Franka, „unikając konkretnych celów, unikał zarazem konkretnych ograniczeń. Na razie świat, samo życie mogło być jego wybraną dziedziną”, (s. 44)

Wedle mało precyzyjnych terminów Broyarda Droga do szczęścia podchodzi do sprawy na oba sposoby, „entomologiczny” i metafizyczny, dosłowny i symboliczny. Broyard uważał, że wybierając oba, powieść w żadnym nie radzi sobie dobrze. Stawiam jednak wszystkie moje pieniądze, że dzięki dwóm strategiom reprezentowania rzeczywistości Yates tworzy powieść tym bardziej godną uwagi; poprzez sztukę pokazuje nam wyraziste, zbliżone do rzeczywistych szczegóły, w których możemy rozpoznać nasze własne życie, jednocześnie zaś zachowuje dla nas odpowiednią odległość, byśmy mogli osądzać i czuć ulgę, że Wheelerowie to nie my.

Dla mnie, człowieka pięćdziesięciosześcioletniego, rok 1955 nie wydaje się zbyt odległy. Jeśli dzisiaj na nowo otworzymy Drogę do szczęścia, widzimy, że powieść jest dowodem na to, jak bardzo amerykańska kultura zmieniła się od lat pięćdziesiątych i jak wiele z tego dziwnego okresu wciąż żyje w naszej moralnej wyobraźni.

Każdy w powieści pije za dużo i każdy pali. Ciężarne kobiety obie te rzeczy robią z zapalem. Na biznesowych lunchach pojawiają się cztery szklaneczki martini, popołudnia poświęcane są na schadzki z sekretarką, a następnego dnia rano dżentelmen wraca do pracy, traktuje ją miło, ale nigdy więcej nie dzwoni. Po alkoholu Frank Wheeler bije April, a April w gruncie rzeczy na to pozwala. Większość żon zostaje w domu, nie zarabia, nie bierze udziału w seminariach rozwijających świadomość. Biznes w śródmieściu wciąż ma charakter jak w Bardeby, każde biuro jest „wielkim otwartym pomieszczeniem z płonącymi jaskrawo jarzeniówkami na suficie, podzielonym na labirynt alejek i boksów wysokimi do ramion ściankami” (s. 97). Jeszcze nie ma telefonów komórkowych, faksów, obsługi połączeń oczekujących, a pensje nie wystarczają na weekendowy wyjazd na narty do Sugarbush. Zresztą samego Sugarbush także jeszcze nie ma, podobnie jak biegów na dziesięć kilometrów czy Outward Bound.

A jednak Droga do szczęścia obrazuje początek nowej ery komputerów i jest kroniką wczesnej fascynacji pustą komunikacją, fascynacji, która doprowadziła nas do egocentryzmu, narcyzmu, megalomanii i niechcianych e-maili. „To

zupełnie nowy rodzaj pracy i będziemy musieli rozwinąć w sobie zupełnie nowe talenty, by ją wykonywać" (s. 214), ryczy potężny Bart Pollock do nieudolnego i przerażonego Franka po wypiciu kolejnej szklaneczki dżinu. Frank Wheeler jest owym nowym człowiekiem, oczywistym następcą, mającym sprzedać „elektroniczny komputer amerykańskiemu biznesmenowi" i wieszczącym w ten sposób „zupełnie nową koncepcję kontroli biznesu" (ss. 210-214).

Poza wątpliwą etyką biznesu powieść demaskuje dość ponury i współczesny dylemat, a mianowicie czy April Wheeler potrafi dostatecznie rozwinąć świadomość, by sprzeciwić się mężowi, wyrwać z rutyny i przerwać ciążę, która - wedle jej obaw - zrujnuje jej życie. Chociaż współcześni czytelnicy będą kręcić głowami na fatalny kurs wybrany przez April dla zapewnienia sobie przyszłości, nikt nie może odebrać powieści przenikliwości oraz doskonałego słuchu w przedstawieniu zmian we współczesnej moralności, a także w skrupulatnym oszacowaniu przerażających skutków wielkich transformacji społecznych, dotyczących zwykłych ludzi.

Przez lata zaledwie kilku krytyków, nawet tych, którzy powieść oceniają wysoko, zwróciło uwagę na dowcip w niej zawarty, posępność i poważny ton przypuszczalnie stłumiły u nich wrażliwość na komizm okresu, zwykle nieuważanego za wesoły. Z całą pewnością nikt też nie kończy lektury Drogi do szczęścia w doskonałym nastroju. Komizm to jednak niewątpliwa cecha powieści od początku do niemal samego końca: rozbudowana przesada w przedstawianiu najdrobniejszych pompatycznych gestów i społecznych rytuałów; fatalne portrety małżeństw, które absurdalnie się rozpadają; oddane z chirurgiczną precyzją portreciki bohaterów drugoplanowych i niezwykle okrutne sądy o ignorancji przyjmującej pozę niewinności. Oto urodzeni pod nieszczęśliwą gwiazdą Wheelerowie ze swymi „przyjaciółmi", nieświadomymi niczego Campbellami, w trakcie kolejnego miłego sąsiedzkiego spotkania:

- Cześć! - wołali jedno do drugiego.
- Cześć!... Cześć!...

Ta wypełniona zadowoleniem sylaba, płynąca z gęstniejącego zmierzchu i powtarzana z progu kuchni Wheelerów tradycyjnie zapowiadała wieczorną rozrywkę. Potem następowały uściski dłoni, stateczne cmoknięcia, westchnienia dobrodusznego wyczerpania - „Aaach", „Ktooo" - sugerujące, że trzeba było przebyć wiele mil gorącego piasku, by znaleźć tę oazę, albo że w oczekiwaniu na tę chwilę wstrzymywano boleśnie oddech. W salonie po pierwszych łykach i grymasach nad szklankami z mrożonymi krawędziami

wszyscy zebrali siły na okazanie sobie wzajemnego podziwu, po czym przyjęli pozę kontrolowanej swobody." (s. 77)

Miewam takie chwile podczas lektury Drogi do szczęścia, kiedy muszę zadawać sobie pytanie, które ludzkie cechy w ostatecznym rozrachunku autor uzna za właściwe, a zarazem praktyczne. Co okaże się odpowiednie i utrzyma materię na tyle długo, by człowiek przeszedł przez życie w jednym, akceptowalnym kawałku? Niewątpliwie trzeba czegoś więcej niż standardowe formy: pociąg, biuro, awans, koleżeństwo, skoro wszystkie prowadzą do innych póz kontrolowanej swobody. Małżeństwo jako takie także nie wystarcza, to jasne. Podobnie jak rodzicielstwo. Paryż - dawny, uroczy sen o wolności - wydaje się nieosiągalny.

Potrzeba jakiejś trudniejszej formy życia, w której to, co mówimy, bezpośrednio odnosi się do tego, co mamy na myśli. Może też nie powinniśmy zbyt wiele wymagać od innych. Niewykluczone, że nie będziemy mieć zbyt wielu okazji do zabawy. Mroczne poczucie humoru Yatesa wydaje się obliczone nie na to, by sprawić nam przyjemność, a bardziej na to, by jak każda satyra złagodzić surową prawdę.

A bez wątpienia w tej powieści nie da się uciec przed surową prawdą. Bóg jednak wie, że tyle po drodze jest rzeczy, które lubimy i podziwiamy, że niezależnie od owej surowej prawdy z wielu powodów jest nam przykro, gdy po lekturze zamykamy książkę. Rzec można, że Droga do szczęścia inteligentnie, dosadnie i szokująco twórczo przedstawia wszystko, o czym mówi: o byciu młodym i rozkosznie pozbawionym celu w Nowym Jorku, zanim pojawią się obowiązki małżeńskie i czarne chmury na rodzinnym niebie; o przyjmowaniu strasznych sąsiadów; o ciągnących się w nieskończoność biznesowych lunchach; o poczuciu, że jest się starszym człowiekiem, choć dopiero skończyło się trzydzieści lat; o strachu przed zmianą mimo świadomości, że ta zmiana może nas uratować; a nawet o różowym świetle widzianym przez małżowinę uszną biedaka, stanowiącym pastelowe podsumowanie ludzkiej kruchości i porażek:

- Nie ma ciasta? - Z takim pytaniem do swej dobrej żony, agentki handlu nieruchomościami, zwraca się leżący na fotelu Howard Givings. - Myślałem, że zostało trochę kokosowego.

- Tak, mój drogi, ale rozumiesz, pomyślałam, że dzisiaj wypijemy samą herbatę, bo wcześniej jemy kolację... - Helen od nowa wyjaśniła kwestię spotkania z Wheelarami, mgliście tylko świadoma, że już mu o tym mówiła, a on potakiwał, mgliście tylko świadomy sensu jej słów. Wpatrywała się z roztargnioną fascynacją w promienie zachodzącego słońca, które oświetlało na

karmazynowo mężowskie ucho i zamieniało jego łupież w języki ognia, ale myślami była już przy wieczorze", (s. 172)

Jeśli w ostatecznym rozrachunku postrzegamy Wheelerów i ich społeczny krąg jako dziwne, odległe od nas „typy z lat pięćdziesiątych” z nostalgicznym zadymionym obrazem Paryża w sercu i błyskawicznie blaknącymi wspomnieniami o młodości i sprawiedliwej wojnie, ludzi, którzy wygłaszają idiotyczne biznesowe tyrady i załatwiają bez zbędnego zamętu seksualne przygody, mimo to, tak uważam, powinniśmy pozwolić, by powieść do nas przemówiła. Bohaterowie wyłonią się z prawdy. A poprzez przedstawienie zmiany, w czasie której jedna, nie tak odległa epoka przeszła w kolejną - w naszą, mówiąc ściślej - Droga do szczęścia spogląda na nas rozumiejącym, karcącym okiem i zachęca, byśmy zwracali uwagę, troszczyli się, dbali i przeżywali życie tak, jakby to, co czynimy, miało znaczenie, ponieważ robić mniej wystawia na ryzyko całość.

R.F.

Richard Ford jest laureatem nagrody Pulitzera, którą otrzymał za Independence Day, oraz autorem czterech innych powieści: A Piece of My Heart, The Ultimate Good Luck, The Sportswriter i Wildlife. Wydał także dwa zbiory opowiadań: Rock Springs i Women with Men.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Wśród zamierających odgłosów próby kostiumowej członkowie Laurel Players nie mieli nic więcej do roboty, jak tylko stać w milczeniu, ponad światłami rampy bezradnie wpatrując się w pustą widownię. Bali się głośniejszemu odetchnąć, gdy z ciemności wyłonił się korpulentny, niezwykle poważny reżyser, by dołączyć do nich na scenie. Ze zgrzytem wyciągnął zza kulis drabinkę i zaczął po niej wchodzić. W połowie drogi odwrócił się i z przerwami na odchrząknięcia oznajmił, że są cholernie utalentowanymi i wspaniałymi ludźmi, a praca z nimi to prawdziwa przyjemność.

- To nie było łatwe - mówił, błyskając okularami. - Mieliśmy mnóstwo problemów i mówiąc szczerze, zbyt wiele sobie nie obiecywałem. Posłuchajcie. Może to zabrzmieć banalnie, ale dzisiaj coś się stało. Kiedy tu siedziałem, nagle pojąłem, że po raz pierwszy w tę pracę wkładacie serce. - Rozpostarł palce jednej dłoni na kieszonce koszuli, by zademonstrować, jak prostą, fizyczną rzeczą jest serce, zaraz potem zacisnął ją w pięść i wolno, bez słów potrząsał w długiej dramatycznej pauzie, przymykając jedno oko i wykrzywiając wilgotną dolną wargę w grymasie triumfu i dumy. - Powtórzcie to jutro wieczorem, a będziemy mieć piekielnie dobre przedstawienie.

Z ulgi mogliby się rozplakać. Wiwatowali jednak, śmiali się, ściskali sobie ręce i całowali się. Ktoś poszedł po skrzynkę piwa. Śpiewali wokół pianina, aż jednogłośnie uznali, że czas najwyższy wracać do domu i porządnie się wyspać.

- Do zobaczenia jutro! - wołali szczęśliwi jak dzieci. Jadąc drogą w świetle księżycy, uznali, że mogą otworzyć okna w samochodach, by wpuścić do środka powietrze z jego ozdrowieńczymi zapachami ziemi i młodych kwiatów. Po raz pierwszy wielu z członków Laurel Players pozwoliło sobie na uznanie nadejścia wiosny.

Był rok 1955, zachodnie Connecticut. To tu trzy opasłe wioski zostały niedawno połączone szeroką i hałaśliwą szosą numer dwanaście. Laurel Players tworzyli grupę amatorską, ale kosztowną i niezwykle poważną, a jej członkowie zostali starannie wybrani spośród młodszych dorosłych mieszkańców wszystkich trzech miejscowości; przedstawienie, do którego się przygotowywali, było ich debiutem. Przez całą zimą, gdy zbierali się po kolei w swoich domach na ożywionych dyskusjach na temat Ibsena, Shaw'a i O'Neill'a, chociaż w ostatecznym głosowaniu rozsądna większość wybrała

Skamieniały las, i gdy zaczęli ustalać obsadę, czuli, jak ich zaangażowanie z każdym tygodniem rośnie. Prywatnie mogli uważać reżysera za śmiesznego człowieczka (i pod pewnymi względami taki był: wydawało się, że nie potrafi przemawiać inaczej jak z zapalem, i często kończył swoje uwagi lekkim potrząśnięciem głowy, przy którym kołysały się mu policzki), ale lubili go i szanowali, wierzyli też bez zastrzeżeń w większość tego, co im mówił. Pewnego razu stwierdził: „Każda sztuka zasługuje na najlepsze, co aktor może z siebie dać”, a kiedy indziej: „Pamiętajcie, my nie tylko przygotowujemy spektakl, ale zakładamy teatr dla naszej społeczności, a to bardzo ważna sprawa”.

Problem w tym, że od samego początku towarzyszył im strach, że zrobią z siebie idiotów, powiększony jeszcze obawą przed przyznaniem się do tego. Na początku próby odbywały się w soboty - wydawało się, że zawsze było to bezwietrzne lutowe albo marcowe popołudnie, kiedy niebo jest białe, drzewa czarne, a brunatne pola i wzgórza leżą nagie i bezbronnie pomiędzy łąkami topniejącego śniegu. Playersi wychodząc ze swoich kuchni w rękawiczkach, widzieli krajobraz, na który składało się tylko kilka bardzo starych i zniszczonych domów; to nadawało ich własnym domom wygląd lekkich i nietrwałych, i tak głupio rozmieszczonych jak nowiutkie jaskrawe zabawki zostawione w deszczową noc na dworze. Samochody również sprawiały wrażenie niepasujących do miejsca, niepotrzebnie szerokie, połyskujące kolorami cukierków i lodów, jakby krzywiąc się na każde chlupnięcie błotem, przepraszająco czołgały się wyboistymi drogami, które ze wszystkich stron zmierzały ku głębokiej i równej nawierzchni dwunastki. Dopiero tam, we własnym środowisku, w tej dolinie z barwnego plastiku, szkła i stali - KING KONE, MOBILGAS, SHOPORAMA, EAT - mogły się odprężyć, choć potem musiały jeden za drugim zjeżdżać na krętą wiejską drogę, by na jej końcu zaparkować na cichym parkingu przed liceum.

- Cześć! - nieśmiało wołali do siebie Playersi.

- Cześć!... Cześć! - Z ociąganiem wchodzili do auli. Ustawiali ciężkie kalosze wokół sceny, wycierali nosy w chusteczki higieniczne, ze zmarszczonym czołem zerkali na nierówne wersy swoich maszynopisów i wreszcie mogli się odprężyć w salwach wielkodusznego śmiechu, ciągle od nowa powtarzając, że mają mnóstwo czasu na wygładzenie spektaklu. Wszyscy jednak doskonale wiedzieli, że czasu już nie ma, i ciągle zwiększanie liczby prób tylko sprawę pogarsza. Dawno minęła pora na to, co reżyser określał „prawdziwym uniesieniem się nad ziemią, tchnieniem życia w sztukę”, a ona wciąż pozostawała statycznym, bezkształtnym, nieludzko ciężkim

brzemieniem; raz po raz odczytywali pewność porażki w swoich oczach, pożegnalnych uśmiechach i gorączkowym pośpiechu, z jakim biegli do samochodów i wracali do domów, gdzie czekały na nich stare, mniej wyraziste zapowiedzi klęski.

Dzisiaj wieczorem, na dwadzieścia cztery godziny przed premiera, jakoś udało im się to brzemień zrzucić. Oszołomieni charakteryzacją i kostiumami w ten pierwszy ciepły wieczór roku zapomnieli się bać: pozwolili, by niczym załamująca się fala poniosł ich rytm sztuki, i może istotnie brzmi to banalnie (a jeśli nawet, to co z tego?), ale wszyscy w swoje role włożyli serca. Czy można by prosić o więcej?

Widzowie, którzy następnego wieczora przybywali długim wężem samochodów, także byli poważni. Podobnie jak Playersi wkraczali dopiero w wiek średni i mieli na sobie gustowne ubrania, które w nowojorskich magazynach z odzieżą określane są jako „swobodny styl wiejski”. Nie ulegało wątpliwości, że pod względem wykształcenia, wykonywanej pracy i stanu zdrowia odbiegają od przeciętności, i aż nazbyt wyraźnie rzucało się w oczy, że oni także ten wieczór uważają za znaczący. Naturalnie wiedzieli i zajmując miejsca, głośno się tą wiedzą dzielili, że Skamieniały las trudno nazwać najlepszą sztuką świata, ale przecież jest to solidne dzieło z przesłaniem w każdym calu równie aktualnym dziś jak w latach trzydziestych („A nawet aktualniejszym” - mówił jakiś mężczyzna do żony, która przygryzając wargę, potakiwała, rozumiała bowiem, co mąż ma na myśli: - „Nawet aktualniejszym, jeśli się nad tym zastanowić”). Najważniejsza wszakże była nie sama sztuka, ale grupa teatralna: odważna idea przyświecająca jej powstaniu, zdrowe, napawające nadzieją perspektywy związane z narodzinami własnego teatru, w którym grać będą aktorzy wywodzący się z lokalnej społeczności. To właśnie skłoniło ich do przyjścia w liczbie wystarczającej do wypełnienia połowy miejsc, i to sprawiało, że w pociemniałej sali z napięciem, bez słowa przygotowywali się na satysfakcjonujące doznania.

Kurtyna poszła w górę, odsłaniając scenografię, której tylna ściana wciąż drżała po gwałtownej ucieczce rekwizytorów. Pierwsze kwestie zagłuszyło skrobanie i dudnienie dochodzące zza kulis. Owe drobne niedociągnięcia były oznakami rosnącej hysterii aktorów, aczkolwiek po drugiej stronie rampy zdawały się tylko wzmacniać przekonanie, że już wkrótce widzowie będą świadkami doskonałości. Jakby trupa mówiła widzom: poczekajcie chwilę, w gruncie rzeczy jeszcze nie zaczęliśmy. Jesteśmy trochę zdenerwowani, ale prosimy, wybaczenie nam. Szybko zniknęły powody do przeprosin, ponieważ wszyscy utkwili wzrok w dziewczynie grającej rolę Gabrielle.

Nazywała się April Wheeler, a kiedy po raz pierwszy pojawiła się na scenie, przez widownię przebiegł szept: „Urocza”, po którym nastąpiły szturchnięcia łokciem i komentarze: „Jest dobra”. Nieliczni znajomi kiwali z powagą głowami, przypadkiem bowiem wiedzieli, że przed niespełna dziesięcioma laty uczęszczała do jednej z najlepszych szkół dramatycznych w Nowym Jorku. Wysoka, dwudziestodziewięcioletnia, miała popielatoblond włosy i arystokratyczną urodę, której najbardziej nawet jaskrawe amatorskie oświetlenie nie mogło zepsuć, i wydawała się idealnie pasować do tej roli. Nieważne było nawet to, że po dwóch porodach pozostały jej wałki na biodrach i udach, ponieważ poruszała się z nieśmiałym zmysłowym wdziękiem panny; ten, kto spojrzął na siedzącego w ostatnim rzędzie i gryzącego palce Franka Wheelera, młodego mężczyznę o okrągłej, inteligentnej twarzy, powiedziałby, że wygląda on bardziej na jej konkurenta niż męża.

- Czasami mi się wydaje, że się cała iskrzę - mówiła. - I wtedy mniejsza o to, co się stanie, mam ochotę iść gdzieś i robić rzeczy zupełnie szalone... i cudowne.. *

* Wszystkie cytaty ze Skamieniałego lasu w przekładzie Wacławy Komarnickiej, w: Współczesny dramat amerykański, Warszawa 1967.

Aktorzy zbici w gromadkę za kulisami, gdzie czekali na swoją kolej, nagle ją pokochali. A przynajmniej byli do tego skłonni, nawet ci, którzy nie znosili jej okazjonalnego braku pokory na próbach, bo teraz okazała się ich jedyną nadzieją.

Odtwórca głównej roli rano zachorował na coś w rodzaju grypy żołądkowej. Przyjechał do teatru z wysoką gorączką i upierał się, że może wystąpić, ale na pięć minut przed podniesieniem kurtyny zaczął wymiotować w garderobie. Reżyser nie miał innego wyjścia, musiał odesłać go do domu i wystąpić sam. Decyzję podjęto tak szybko, że nikomu nie wpadło do głowy powiadomić widzów o tej zmianie; kilku grających epizody aktorów dowiedziało się o niej dopiero w chwili, gdy usłyszeli głos reżysera wypowiadający słowa, które spodziewali się usłyszeć z ust innego mężczyzny. Reżyser wcielił się w rolę z typową dla siebie żarliwością. Każdą kwestię kończył niemal jak profesjonalista, ale zupełnie nie pasował do postaci Alana Squiersa: krepy i łysiejący, nic nie widział bez okularów, których nie chciał nosić na scenie. Jego pojawienie się sprawiło, że aktorzy wchodzili sobie w słowo i zapominali, gdzie mają stać; co gorsza, reżyser w połowie ważnej kwestii na temat własnej bezużyteczności - Owszem, mądrość bez zastosowania. Dźwięki bez melodii. Kształt bez treści - gestykulując, przewrócił na stół szklanę z wodą. Próbował jakoś to pokryć śmiechem i improwizacją: Widzisz? Do niczego się nie nadaje.

Proszę, pomóż mi to wytrzeć, ale na próżno. Wirus katastrofy, uśpiony i potencjalnie groźny przez wszystkie te tygodnie, obudził się i zaczął rozprzestrzeniać od wymiotującego gwałtownie mężczyzny na resztę obsady - z wyjątkiem April Wheeler.

- Nie chciałbyś, żebym cię kochała? - mówiła teraz.

- Owszem, Gabrielle... - odpowiedział reżyser, połyskując od potu. - Chciałbym, żebyś mnie kochała.

- Uważasz, że jestem pociągająca?

Noga reżysera zaczęła pod stołem podskakiwać na sprężynie stopy.

- Są lepsze słowa na określenie, jaka jesteś.

- Więc dlaczego nie mamy przynajmniej spróbować?

Pracowała w pojedynkę i nikt nie miał wątpliwości, że z każdym zdaniem opuszczają ją siły. Jeszcze przed końcem pierwszego aktu dla wszystkich stało się jasne, że April Wheeler traci panowanie nad sobą, i obserwowali to z zakłopotaniem. Zaczęła miotać się między fałszywymi teatralnymi gestami a niemożnością ruchu objawiającą się zaciśniętymi do białości kłykciami; ramiona miała sztywno wyprostowane, przez silny makijaż przebijał rumieniec upokorzenia zalewający jej twarz i szyję.

A potem na scenę energicznie wkroczył Shep Campbell, krępy i rudowłosy młody inżynier, grający rolę gangstera Duke'a Mantee. Od samego początku Shep niepokoił grupę, ale on i jego żona Milly, która pomagała przy rekwizytach i reklamie, byli pełnymi entuzjazmu, przyjacielskimi ludźmi i nikt nie miał serca zasugerować, że to nie jest dobry wybór. W rezultacie owej pobłażliwości, a także własnego nerwowego poczucia winy Campbell zapomniał jednej z najważniejszych kwestii, pozostałe wygłaszał tak szybko i cicho, że słychać go było tylko do szóstego rzędu, i zachowywał się bardziej jak usłużny sprzedawca, który z podwiniętymi rękawami ciągle kiwa potakująco głową.

W antrakcie widzowie wyszli na papierosa i snuli się w przypadkowych grupkach po korytarzach, czytając szkolne ogłoszenia i wycierając wilgotne dłonie o wąskie spodnie i wdzięczne bawełniane spódnice. Nikt nie chciał wracać na drugi, końcowy akt, ale wszyscy to zrobili.

Playeri także stawili się na scenie, choć ich jedyną myślą, tak wyraźną jak pot na twarzach, było uporanie się z tą żalną sprawą jak najszybciej. Akt zdawał się ciągnąć godzinami, był niczym okrutny i wydłużony ponad miarę test na wytrzymałość, w którym April Wheeler radziła sobie równie źle jak pozostali, o ile nie gorzej. W scenie kulminacyjnej, gdy wskazówki reżyserskie nakazywały wagę śmierci podkreślać odgłosami wystrzałów z zewnątrz i z

broni Duke'a, Shep Campbell fatalnie rozmieścił w czasie swoje strzały, a odpowiadająca mu zza kulis salwa była o wiele za głośna, przez co rozmowa kochanków utonęła w huku i dymie. Kiedy wreszcie spadła kurtyna, był to akt łaski.

Oklaski, niezbyt głośne, świadomie trwały dość długo, by wystarczyć na dwukrotne ukłony obsady. Za pierwszym razem podnosząca się kurtyna przyłapała aktorów idących za kulisy; kiedy się odwrócili, wpadli jeden na drugiego. Za drugim razem odtwórcy trzech głównych ról przypominali uosobienie ludzkiego upokorzenia: reżyser mrugał jak krótkowidz, którym był, Shep Campbell po raz pierwszy tego wieczoru wyglądał na stosownie rozwścieczonego, na twarzy April Wheeler zastygł oficjalny uśmiech.

Zapaliły się światła i nikt na widowni nie wiedział, w którą stronę spojrzeć ani co powiedzieć. Słysząc było niepewny głos pani Helen Givings, agentki handlu nieruchomościami, która powtarzała raz po raz: „Bardzo ładnie”, ale większość widzów w milczeniu i sztywno podnosiła się z miejsc i kierowała do wyjścia, międląc w palcach paczki papierosów. Sprawny licealista, wynajęty do obsługi oświetlenia, wskoczył na scenę z piskiem tenisówek i zaczął wykrzykiwać polecenia do niewidocznego partnera pod sufitem. Stał świadomie upozowany w świetle reflektorów, z sukcesem ukrywając większość jaskrawo różowych pryszczycy w cieniu i z dumą tak odwracając tors, by pokazać, że fachowe narzędzia elektryka - nóż, obcęgi, zwoje drutu - umieszczone są w profesjonalnej kaburze z pokrytej plamami oleju skóry, wiszącej nisko na jędrnym pośladku. Rząd świateł zgasł, chłopak bez fanfar zszedł ze sceny, kurtyna zmieniła się w nijaką ścianę spłowiałego i zakurzonego zielonego aksamitu. Teraz oglądać można było tylko twarze widzów, którzy przeciskali się przejściem do drzwi. Niespokojni, z szeroko otwartymi oczami, w parach, wyglądali i poruszali się tak, jakby spokojna i uporządkowana ucieczka z tego miejsca była jedną z najważniejszych rzeczy w ich życiu; jakby w gruncie rzeczy nie byli w stanie podjąć życiowych funkcji, dopóki nie znajdą się na zewnątrz, pod różowymi chmurami spalin, na chrzęszczącym żwirze parkingu, nad którym w nieskończoność ciągnęło się czarne niebo, znaczone setkami tysięcy gwiazd.

Rozdział drugi

Franklin H. Wheeler zaliczał się do garstki tych, którzy szli pod prąd. Robił to z przeproszącą powolnością i godnością (taką przynajmniej miał nadzieję), bocznymi schodami kierując się ku drzwiom za kulisy.

- Przepraszam... Przepraszam... - powtarzał i uśmiechem witał kilku znajomych. Rękę trzymał w kieszeni, by ukryć i osuszyć kłykcie, które ssał i gryzł przez całe przedstawienie.

Do trzydziestki brakowało mu kilku dni, był schludny i solidny, z krótko ostrzyżonymi czarnymi włosami i tym rodzajem mało wyrazistej urody, którą fotograf od reklam mógłby wykorzystać do sportretowania wymagającego konsumenta solidnie wykonanych, acz niedrogich towarów (Kto zapłaci więcej?). Pomimo braku wrodzonej dystynkcji jego twarz odznaczała się jednak niezwykłą ruchliwością: nieznaczną zmianą wyrazu potrafiła zasugerować całkowicie różne osobowości. Uśmiechając się, był człowiekiem, który doskonale wie, że klęska amatorskiego spektaklu to nie powód do zmartwienia, uprzejmym, inteligentnym mężczyzną, który znajdzie właściwe słowa na pocieszenie żony za kulisami. Ale w przerwach pomiędzy uśmiechami dostrzec można było nieznaczny błysk niedowierzania płonący w jego oczach, przez co odnosiło się wrażenie, iż to on bardziej potrzebuje pociechy.

Problem w tym, że przez całe popołudnie w mieście, tkwiąc w pracy, którą lubił nazywać „najnudniejszą robotą, jaką można sobie wyobrazić”, czerpał siłę z wyobrażania sobie wieczornych scen: jak pośpiesznie wraca do domu i podrzuca śmiejące się dzieci wysoko w powietrze, jak popija koktajl i gawędzi z żoną przy kolacji, jak wiezie ją do liceum, a po drodze kojącą dłonią dotyka jej napięte i ciepłe udo („Gdybym tylko nie była taka zdenerwowana, Frank!“). Widział siebie, jak zauroczony i dumny ogląda spektakl, a potem wstaje, by przyłączyć się do burzliwych oklasków, które wybuchają po opadnięciu kurtyny, jak promienny, z ubraniem w nieładzie, przepycha się przez świętujący tłum za kulisami po jej pierwszy, pełen łez pocałunek („Czy to było dobre, kochanie? Naprawdę dobre?“), jak oboje wstępują na drinka w towarzystwie zachwyconych Shepa i Milly Campbellów, jak trzymają się pod stołem za ręce i bez końca rozmawiają o przedstawieniu. W swoich planach nie przewidział ciężaru rzeczywistości, nic go nie ostrzegło, że zawładnąć nim może rozkołysana i połyskliwa wizja dziewczyny, której nie widział od lat, dziewczyny, której każde spojrzenie i gest będzie sprawiało, że gardło ściśnie mu tęsknota („Nie chciałbyś, żebym cię kochała?“), a potem na jego oczach ta

wizja rozplynie się i zmieni w pozbawione wdzięku, cierpiące stworzenie, którego istnieniu usiłował codziennie zaprzeczać, choć znał je równie dobrze i boleśnie jak samego siebie, w zniszczoną, skrępowaną kobietę, o czerwonych oczach płonących wyrzutem, o fałszywym uśmiechu, z którym kłaniała się na scenie, równie mu bliskim jak własne obolałe stopy, wilgotna bielizna czy kwaśny oddech.

W drzwiach przystanął i wyciągnął z kieszeni pokrytą różowymi plamami dłoń, na wpół oczekując, że zobaczy miazgę krwi i chrząstek. Poprawił płaszcz i ruszył po schodach do wysokiej, zakurzonej sali wypełnionej jaskrawą poświatą gołych żarówek i głębokimi cieniami, gdzie członkowie Laurel Players, z twarzami błyszczącymi od grubych warstw makijażu, rozmawiali ze swymi ponurymi gośćmi w zdenerwowanych, oddalonych od siebie dwu-, trzysobowych grupkach. Jej tu nie było.

- Nie, mówię poważnie - usłyszał czyjś głos. - Słuchasz mnie czy nie?

- A do diabła, to i tak była świetna zabawa - odparł ktoś inny.

Reżyser, otoczony niewielkim kręgiem swoich nowojorskich przyjaciół, łapczywie zaciągał się papierosem i kręcił głową. Shep Campbell, który w dłoni wciąż trzymał straszak, choć oblany potem, wyraźnie znowu był sobą, bo stał przy sznurze od kurtyny, wolnym ramieniem obejmując niską, rozczochraną żonę. Z całej ich postawy była determinacja, by całą sprawę zamienić w żart.

- Frank? - Milly Campbell pomachała i stanęła na palcach, wykrzykując jego imię przez złożone w trąbkę dłonie, jakby udawała, że tłum jest liczniejszy i gwarniejszy niż w rzeczywistości. - Frank! Spotkamy się później z tobą i April? Na drinku?

- Dobrze! - odkrzyknął. - Daj mi kilka minut. - Mrugnął i kiwnął głową, gdy Shep uniósł straszaka w komicznym salucie.

Za węgłem zobaczył, że jeden z mniej ważnych gangsterów rozmawia z pulchną dziewczyną, która w pierwszym akcie spowodowała trzydziestosekundowy zamęt, bo zapomniała, kiedy powinna wejść na scenę. Nie ulegało wątpliwości, że płakała, choć teraz radośnie biła się w skroń i powtarzała:

- Boże! Mogłabym się zabić!

Gangster, drżącą dłonią ścierając szminkę z ust, odpowiedział:

- Nie, ale wiesz, to i tak była świetna zabawa, rozumiesz, co mam na myśli? To najważniejsze W takich imprezach.

- Przepraszam - powiedział Frank Wheeler, przeciskając się obok nich w stronę garderoby, którą jego żona dzieliła z kilkoma kobietami. Zapukał i po

chwili, gdy mu się wydało, że usłyszał jej: „Proszę”, ostrożnie uchylił drzwi i zajrzał do środka.

Była sama, siedziała wyprostowana jak struna przed lustrem i zmywała makijaż. Oczy wciąż miała czerwone i często mrugała, ale obdarzyła go kopią scenicznego uśmiechu, nim znowu odwróciła się do lustra.

- Cześć - rzuciła. - Gotów do powrotu?

Zamknął drzwi i ruszył ku niej. Miał nadzieję, że jego rozciągnięte szeroko usta wyrażają miłość, poczucie humoru i współczucie; zamierzał pochylić się, pocałować i powiedzieć: „Posłuchaj, byłaś cudowna”. Ale z niemal niedostrzegalnego wzruszenia jej ramion wywnioskował, że nie chce być dotykana, i ogarnęła go niepewność, co zrobić z rękami. "Wtedy też wpadło mu do głowy, że popełniłby wielki błąd, mówiąc: „Byłaś cudowna” - zabrzmiałoby to protekcjonalnie, a w najlepszym razie naiwnie i o wiele za poważnie. Powiedział więc:

- No cóż, trudno chyba nazwać to triumfem? - Zawadiacko włożył w usta papierosa i zamaszyście pstryknął zapalniczką.

- Chyba trudno - odparła. - Zaraz będę gotowa.

- Nie musisz się śpieszyć.

Ze spuszczonego wzrokiem wsunął obie dłonie w kieszenie i podkurczył zmęczone palce u stóp. Może jednak powinien był powiedzieć: „Byłaś cudowna”? Odnosił teraz wrażenie, że niemal wszystko byłoby lepsze od tego zdania, uznał jednak, że później się zastanowi nad właściwymi słowami, teraz może tylko stać i myśleć o podwójnym burbonie, który wypije, kiedy w drodze do domu zatrzymają się z Campbellami na drinka. Patrzył na siebie w lustrze, zaciskając szczękę i nieznacznie przekręcając głowę w bok, by nadać jej szczuplejszy, bardziej władczy wygląd; taką minę robił do lustra od dziecka, choć żaden fotograf nigdy nie potrafił w pełni jej uchwycić. Nagle z przestrawieniem dostrzegł, że April mu się przygląda. Przez krępującą chwilę patrzyła mu w oczy, potem przesunęła wzrok na środkowy guzik jego płaszcza.

- Posłuchaj - powiedziała - wyświadczysz mi przysługę? Chodzi o to... - Zdawało się, że potrzebuje całej siły tkwiącej w szczupłych plecach, by powstrzymać głos od drżenia. - Chodzi o to, że Milly i Shep chcą się z nami spotkać. Powiesz im, że nie możemy? Ze względu na opiekunkę do dziecka, coś w tym rodzaju?

Cofnął się kilka kroków do tyłu, po czym stanął na sztywnych nogach, kuląc ramiona i chowając dłonie w kieszeniach, jak sceniczny prawnik rozważający ważny problem etyczny.

- Wiesz, ja już im powiedziałem, że możemy. Przed chwilą się z nimi widziałem i obiecałem, że się spotkamy.

- Och. W takim razie może do nich pójdziesz i powiesz, że się pomyliłeś? To powinno być proste.

- Słuchaj, nie zaczynaj w taki sposób. Pomyślałem, że może być przyjemnie, to wszystko. Poza tym taka odmowa wyda się niegrzeczna, nie sądzisz? Chyba się zgodzisz?

- Czyli nie pójdziesz. - Zamknęła oczy. - Dobrze, ja to zrobię. Wielkie dzięki. - Jej twarz w lustrze, naga i lśniąca od kremu, wyglądała na czterdzieści lat i wyrażała takie znużenie, jakby jego żona przygotowywała się na wielki fizyczny ból.

- Poczekaj chwilę, nie unos się, dobrze? Wcale tego nie powiedziałem. Mówiłem tylko, że uznają to za cholernie niegrzeczne, i tyle. Tak pomyślą, nic na to nie poradzę.

- Doskonale. W takim razie ty idź z nimi, jeśli chcesz, i daj mi kluczyki.

- Jezu, nie zaczynaj znowu z tymi kluczykami. Dlaczego zawsze musisz...

- Posłuchaj, Frank. - Oczy wciąż miała zamknięte. - Nigdzie nie pójde z tymi ludźmi. Tak się składa, że nie czuję się dobrze, i...

- Dobrze. - Wycofywał się, wyciągając sztywno drżące dłonie jak człowiek, który demonstruje długość małej rybki. - Dobrze. W porządku. Przepraszam. Powiem im. Zaraz wracam. Przepraszam.

Podłoga kołysała mu się pod stopami jak pokład płynącego statku, kiedy wracał za kulisy, gdzie jakiś mężczyzna robił zdjęcia miniaturowym aparatem („Stójcie tak, dobrze. Bardzo dobrze”), a aktor, który grał ojca Gabrielle, mówił pulchnej dziewczynie, znowu bliskiej płaczu, że jedynym wyjściem jest zapomnienie o całej sprawie.

- Gotowi jesteście? - zapytał Shep Campbell.

- No cóż - odparł Frank - przykro mi, ale niestety musimy zrezygnować. April obiecała opiekunce do dziecka, że wcześniej wrócimy do domu, i naprawdę...

Na twarzach obojga pojawiły się uraza i rozczarowanie. Milly wciągnęła między zęby dolną wargę, po czym wolno ją wypuściła.

- Ojej - powiedziała. - Domyślam się, że April czuje się fatalnie z powodu przedstawienia. Biedactwo.

- Nie, nie, dobrze się czuje - zapewnił Frank. - Naprawdę nie o to chodzi. April czuje się dobrze. Tylko ta opiekunka, rozumiecie. - To było pierwsze tego rodzaju kłamstwo w trakcie ich dwuletniej przyjaźni, i wszyscy troje wpatrywali się w podłogę, z wysiłkiem przedzierając się przez rytuał

pożegnalnych uśmiechów i życzeń dobrej nocy. Ale nic na to nie można było poradzić.

Czekała na niego w garderobie z przyklejoną do twarzy uprzejmą miną, na wypadek gdyby po drodze spotkali któregoś z członków Laurel Players, ale los im tego oszczędził. Poprowadziła go do bocznych drzwi, które wychodziły na pięćdziesiąt jardów pustego, pełnego ech korytarza szkolnego. Poszli, nie dotykając się ani nic nie mówiąc, przez owalne kałuże księżycowej poświaty regularnie znaczące marmurową podłogę.

Zapach szkoły w mroku, zapach ołówków, jabłek i kleju, wywołał w jego oczach słodki ból nostalgii. Znowu miał czternaście lat, mieszkał w Chestet w Pensylwanii - nie, tamtego roku to było Englewood w New Jersey - i cały wolny czas spędzał na planowaniu podróży pociągiem na Zachodnie Wybrzeże.

Na mapie kolejowej wyznaczył kilka tras, wiele razy przećwiczył, jak sobie poradzi w dżungli włóczęgów po drodze (grzecznie, choć w razie konieczności nie unikając bójek), wybrał też wszystkie elementy odzieży z okna wystawowego sklepu z nadwyżkami wojskowymi: kurtka i dżinsy marki Levi, wojskowa koszula khaki z pagonami, wysokie buty z okuciami na piętach i w palcach. Wypchany zwiniętą gazetą stary filcowy kapelusz ojca z całą pewnością nadałby stosowny ton uczciwej biedy wyrzutkowi, a wszystkie potrzebne rzeczy mógłby spakować do plecaka, zręcznie wzmocnionego taśmą klejącą zakrywającą emblemat skautów. Najwspanialszą rzeczą w całym planie było to, że utrzymywał go w całkowitej tajemnicy aż do dnia, gdy na szkolnym korytarzu pod wpływem impulsu poprosił tłustego chłopca imieniem Krebs, który w tamtym roku był najbliższy miana najlepszego przyjaciela, żeby z nim pojechał. Krebs nie posiadał się ze zdziwienia.

- Pociągiem towarowym, mówisz? - Ryknął śmiechem. - Jezu, Wheeler, załatwiłeś mnie. I myślisz, że daleko byś zajechał pociągiem towarowym? Skąd bierzesz te idiotyczne pomysły? Z filmów czy co? Chcesz czegoś się dowiedzieć, Wheeler? Chcesz wiedzieć, dlaczego wszyscy myślą, że jesteś palantem? Bo jesteś palantem, ot co.

Idąc teraz przez te same zapachy i spoglądając na blady zarys profilu April, pozwolił, by narastające w nim wzruszenie objęło także ją i smutek jej dzieciństwa. Rzadko miał taką okazję, ponieważ większość wspomnień relacjonowała suchym tonem i trudno było nadać im sentymentalny charakter („Zawsze wiedziałam, że nikomu na mnie nie zależy, i zawsze dawałam wszystkim do zrozumienia, że o tym wiem”), ale szkolne zapachy przypomniały mu jedną jej opowieść o poranku w szkole Rye Country Day,

kiedy miesięczne krwawienie niezwykle nagle i obficie zaskoczyło ją w środku lekcji.

- Na początku tylko siedziałam - mówiła. - Głupio postąpiłam, a potem było za późno.

Myślał teraz, jak musiała zerwać się z ławki i wybiec z klasy z czerwoną plamą wielkości klonowego liścia na siedzeniu białej lnianej spódnicy, podczas gdy trzydziścioro chłopców i dziewcząt patrzyło za nią w oszołomionym zdziwieniu, jak musiała pędzić korytarzem w koszmarnej ciszy koło drzwi innych sal, upuszczając książki i przystając, by je pozbierać, a za nią ciągnął się regularny ślad w postaci czerwonych kropek, jak zatrzymała się przed pokojem higienistki i bała się wejść do środka, więc kolejnym korytarzem pobiegła do drzwi przeciwpożarowych, gdzie ściągnęła sweter i zawiązała w pasie, jak słysząc czy tylko wyobrażając sobie odgłos kroków, wypadła na zalany słońcem trawnik i ruszyła do domu niespiesznie, z wysoko podniesioną głową, tak że każdy, kto przypadkiem spojrział z jednego ze stu okien musiał pomyśleć, że idzie załatwić jakąś całkowicie normalną szkolną sprawę, ze swetrem w całkowicie normalnym miejscu.

Jej twarz musiała wyglądać niemal dokładnie tak jak teraz, gdy też otworzyli drzwi przeciwpożarowe i wyszli na podwórko szkolne położone wcale nie tak daleko od Rye. Musiała też podobnie stawiać kroki.

Miał nadzieję, że w samochodzie usiądzie blisko niego - prowadząc, chciał ją obejmować - ale ona skurczyła się i przycisnęła do drzwi, odwracając głowę do okna i patrząc na mijane światła i cienie na drodze. Z otwartymi szeroko oczami i ustami ułożonymi w grymas powagi trzymał mocno kierownicę, aż wreszcie, oblizując wargi, wymyślił, co powinien powiedzieć.

- Wiesz co? Byłaś jedyną osobowością w całym przedstawieniu. Mówię poważnie, April. Naprawdę.

- Dobrze. Dziękuję.

- Rzecz w tym, że nie powinniśmy byli ci pozwolić na wplątanie się w tę sprawę. - Wolną dłonią rozpiął kołnierzyk, by schłodzić szyję, a równocześnie znaleźć pewność w dorosłym, wyrafinowanym dotyku jedwabnego krawatu i bawełnianej koszuli. - Chętnie dorwałbym tego, no wiesz. Reżysera.

- To nie była jego wina.

- W takim razie całą tę bandę. Bóg wie, że to nieudacznicy. Nie powinniśmy byli tego robić. Ja nie powinienem był ci pozwolić, do tego się to sprowadza. Nigdy nie wstąpiłabyś do tej przeklętej grupy, gdybyśmy z Campbellami cię nie namówili. Pamiętasz, kiedy pierwszy raz o tym usłyszeliśmy? Powiedziałaś, że pewnie okażą się bandą idiotów. Powinienem był cię słuchać.

- Dobrze. Moglibyśmy teraz o tym nie rozmawiać?

- Jasne. - Usiłował poklepać ją po udzie, ale nie sięgnął, siedzenie było za szerokie. - Jasne. Tylko nie chcę, żebyś się tym dręczyła.

Z pewną siebie, płynną gracją wyprowadził samochód z wyboistej bocznej drogi na twardą i gładką nawierzchnię dwunastki, przekonany, że wreszcie znalazł właściwe nastawienie. Odświeżający wiatr mierzwił mu krótkie włosy i chłodził umysł, i Frank zaczynał dostrzegać fiasko Laurel Players w prawdziwej perspektywie. Nie warto się tym przejmować. Inteligentni, myślący ludzie potrafią do tego rodzaju spraw podejść spokojnie, podobnie jak podchodzą do większych absurdów śmiertelnie nudnej pracy w miastach i śmiertelnie nudnych domów na przedmieściach. Warunki ekonomiczne mogą cię zmusić do życia w takim środowisku, ale ważne jest, żeby nie dać się zarazić. Zawsze najważniejsze to pamiętać, kim się jest.

Jak zwykle, gdy Frank sobie przypominał, kim jest, jego umysł wrócił w przeszłość do pierwszych lat po wojnie i podupadłych kamienic przy Bethune Street w tej części Nowego Jorku, gdzie łagodny zachodni kraniec Village przechodzi w ciche nabrzeżne magazyny, gdzie słona wieczorna bryza i głębokie tony syren wzbogacają powietrze obietnicą podróży. Dwudziestoparoletni, noszący dumne opończe „weterana” i „intelektualisty” z równą odwagą, z jaką nosił stare tweedowe marynarki i spłowiałe spodnie khaki, był właścicielem jednego z trzech kluczy do kawalerki przy tej ulicy. Pozostałe dwa klucze i prawo „do użytkowania lokalu” co drugi i trzeci tydzień należały do jego kolegów z Columbia College, przy czym każdy płacił jedną trzecią czynszu wynoszącego dwadzieścia siedem dolarów. Tamci dwaj, eks-pilot wojskowy i eks-żołnierz piechoty morskiej, byli starsi i z większą swobodą poruszali się w świecie niż Frank (wydawało się, że mają do dyspozycji nieskończone rezerwy chętnych dziewcząt, w których towarzystwie korzystali z mieszkania), ale ku swemu nieśmiało zdumieniu Frank dość szybko zaczął ich doganiać; to był czas cudownego doganiania w wielu sprawach, czas oszałamiająco rosnącej pewności siebie. Samotny wędrowiec po kolejowych szlakach nigdy go nie opuścił, ale coraz mniej prawdopodobne stawało się, by jakiś nowy Krebs mógł jeszcze nazwać go palantem. Armia powołała Franka w swoje szeregi, gdy miał osiemnaście lat, rzuciła go na ostateczną wiosenną ofensywę wojny z Niemcami i zafundowała mu zawią, acz wspaniałą podróż po Europie, która trwała niemal rok. Gdy odzyskał wolność, życie niosło go od sukcesu do sukcesu. Niezwiązane aspekty jego osobowości - te same cechy, które sprawiały, że był samotnym marzycielem wśród szkolnych kolegów, a później wśród towarzyszy broni - nagle połączyły

się w wyrazistą i atrakcyjną całość. Po raz pierwszy otaczał go podziw, a fakt, że dziewczęta chcą iść z nim do łóżka, tylko nieznacznie swą niezwykłością przewyższał niedawne odkrycie: że mężczyźni, i to inteligentni, chcą go słuchać. W szkole jego oceny rzadko wykraczały ponad przeciętność, ale nie było nic przeciętnego w jego wkładzie w zakrapiane piwem, całonocne dyskusje, w których coraz częściej to on wiódł prym i które często kończyły się pomrukiem powszechnej zgody i znaczącym klepaniem się w skronie: stary Wheeler trafił w sedno. Powiadano, że potrzebuje tylko czasu i swobody, by siebie odnaleźć. Przepowiadano mu najróżniejsze kariery, zgadzając się, że jego przyszłością jest „humanistyka”, jeśli już nie sztuka (w każdym razie będzie to coś wymagającego długotrwałego i głębokiego oddania), a wiązać się będzie ze wczesnym i stałym wyjazdem do Europy, jego zdaniem jedynej części świata, w której warto żyć. Samego Franka, po jednej z takich rozmów przemierzającego o świcie ulice albo leżącego i rozmyślającego w kawalerce przy Bethune Street w te noce, gdy korzystał z lokalu, ale nie miał dziewczyny, z którą mógłby go dzielić, rzadko nawiedzała wątpliwość co do własnych wyjątkowych zalet. Czyż biografie wszystkich wielkich ludzi nie są pełne tego rodzaju zmagania i rozterek młodości, takiego samego buntu przeciwko ojcom i ich sposobowi życia? Mógł nawet być wdzięczny w tym sensie, że nie miał żadnych jasno sprecyzowanych zainteresowań: unikając konkretnych celów, unikał zarazem konkretnych ograniczeń. Na razie świat, samo życie mogło być jego wybraną dziedziną.

Wraz z upływem czasu zaczęły go jednak dręczyć niezliczone drobne depresje, które wykazały tendencję wzrostową w tygodniach po ukończeniu college'u, kiedy pozostali dwaj współlokatorzy coraz rzadziej korzystali z klucza, a Frank spędzał czas samotnie przy Bethune Street, podejmował dorywcze prace i zastanawiał się nad przyszłością. Szczególnie dręczyło go, że żadna z poznanych dotąd dziewcząt nie dała mu powodu do niezmaconego triumfu. Jedna była śliczna, ale miała niewybaczalnie grube kostki, innej nie brakowało inteligencji, za to wykazywała irytującą skłonność do matkowania mu, tak więc żadnej nie można było opatrzeć kategorią pierwsza klasa. Nigdy nie miał wątpliwości, co rozumie przez „dziewczynę pierwsza klasa”, choć nigdy dotąd nie zbliżył się do żadnej na tyle, by dotknąć jej dłoni. W liceach, do których uczęszczał, było kilka przedstawicielek tej grupy, ale pogardliwie nieświadome jego istnienia goniły za chłopcami z college'u; nieliczne widywane w wojsku były najczęściej przelotnymi obrazami z muzyką taneczną w tle za odległymi złotymi oknami klubu oficerskiego, a chociaż później w Nowym Jorku natykał się na nie często. Zawsze wsiadały albo wysiadały z

taksówek w towarzystwie ponurych mężczyzn sprawiających wrażenie, jakby nigdy nie byli chłopcami.

Dlaczego ich sobie nie odpuścić? Czy prosta logika nie nakazywała oczekiwać, że jako głęboki, otoczony chmurą tytoniowego dymu mężczyzna w typie sartrowskim będzie ograniczony do głębokich, otoczonych chmurą tytoniowego dymu kobiet w typie sartrowskim? To jednak byłaby zgoda na klęskę, dlatego pewnego wieczoru, wzmocniony czterema łykami czystej whisky na przyjęciu w Morningside Heights, wybrał zwycięstwo.

- Chyba nie usłyszałem twojego imienia - powiedział do wyjątkowej dziewczyny pierwsza klasa, której lśniąca włosy i cudowne nogi przyciągnęły go z drugiej sali pełnej nieznajomych. - Jesteś Pamela?

- Nie. Pamela stoi tam. Jestem April. April Johnson.

W ciągu pięciu minut przekonał się, że potrafi rozśmieszyć April Johnson, że nie tylko utrzymuje jej wielkie szare oczy na sobie, ale też sprawia, że źrenice zataczają małe łuki, jakby sam kształt i faktura jego twarzy były niezwykle interesujące.

- Czym się zajmujesz?

- Jestem dokerem.

- Nie, pytam poważnie.

- Ja poważnie odpowiadam. - Pokazałby jej na dowód swoje dłonie, gdyby się nie bał, że April zna różnicę między pęcherzami a odciskami. Przez ostatni tydzień pod kierownictwem grubo ciosanego kolegi z college'u co rano zakłopotany „nabierał formy” w dokach, uginając się pod ciężarem skrzyń z owocami. - Ale od poniedziałku zaczynam lepszą pracę. Nocny kasjer w kawiarni.

- Ale mnie nie o to chodziło. Czym naprawdę się interesujesz?

- Kochanie... - (Był wciąż na tyle młody, że zuchwale nazywając dziewczynę „kochaniem” po tak krótkiej znajomości, oblał się rumieńcem.) - ... kochanie, jestem przekonany, że gdybym ci odpowiedział, po pół godzinie oboje umieralibyśmy z nudów.

Pięć minut później w tańcu przekonał się, że drobne plecy April Johnson pasują do jego dłoni, jakby stworzonych właśnie dla niej, a niemal równo po tygodniu cudownie naga leżała obok niego w pierwszym sinym świetle dnia na Bethune Street, przesuając delikatnym palcem po jego twarzy od czoła do podbródka i szepcząc:

- To prawda, Frank. Mówię poważnie. Jesteś najbardziej interesującą osobą, jaką spotkałam.

- Bo to po prostu nie jest tego warte - mówił teraz, pozwalając, by na ostatniej mili autostrady świecąca się na niebiesko igła prędkościomierza, dygocząc, powędrowała do sześćdziesięciu. Byli prawie w domu. Wypiją kilka drinków, ona może trochę popłacze, to dobrze jej zrobi, a potem będą się z tego śmiali, pójda do sypialni i zdejmą ubrania. W świetle księżycy jej pulchne drobne piersi będą się kołysać i celować w niego, i nie ma żadnego powodu, dla którego nie miałyby być jak dawniej. - No wiesz, wystarczająco fatalne jest to, że musimy mieszkać między tymi wszystkimi przekłętymi typami z przedmieścia, a mówiąc szczerze, to dotyczy też Campbellów, no więc wystarczająco złe jest życie wśród tych ludzi i pilnowanie, żeby nie ranił cię każdy dupek... co mówiłaś? - Spojrzał na nią, odrywając wzrok od drogi, i w świetle deski rozdzielczej z przestachem zobaczył, że ona dłońmi zakrywa twarz.

- Powiedziałam „tak”. Dobrze, Frank. Mógłbyś przestać mówić, zanim doprowadzisz mnie do szaleństwa?

Szybko zahamował i stanął na piaszczystym poboczu. Wyłączywszy silnik i światła, przesunął się na siedzeniu, by wziąć ją w objęcia.

- Nie, Frank, proszę, nie rób tego. Zostaw mnie w spokoju, dobrze?

- Dziecinko, ja tylko chciałem...

- Zostaw mnie w spokoju. Zostaw mnie w spokoju! Wrócił za kierownicę i włączył światła, ale jego dłonie odmówiły wykonania czynności niezbędnych do prowadzenia samochodu. Siedział przez minutę, słuchając huku krwi w uszach.

- Widzę wyraźnie - odezwał się wreszcie - że mam do czynienia z solidną dawką bzdur. Wiesz, dość dobrze odgrywasz madame Bovary i chciałbym wyjaśnić kilka kwestii. Po pierwsze, to nie moja wina, że przedstawienie było do dupy. Po drugie, to nie moja wina, do diabła, że okazało się, że jednak nie jesteś aktorką, i im szybciej dasz sobie spokój z tym fragmentem opery mydlanej, tym lepiej dla nas wszystkich. Po trzecie, tak się składa, że nie pasuję do foli tępego, niewrażliwego męża z przedmieścia, choć próbujesz mnie w niej obsadzić od dnia, kiedy się tu wprowadziliśmy, ale niech mnie szlag, jeśli się na to zgodzę. Po czwarte....

Wyskoczyła z samochodu i pobiegła w świetle reflektorów, szybko i z wdziękiem, choć miała za szerokie biodra. Przez sekundę, gdy gramolił się zza kierownicy, by ją gonić, był przekonany, że April chce się zabić - w takich jak ta chwilach była zdolna niemal do wszystkiego - ale zatrzymała się na ciemnych chwastach porastających pobocze jakieś trzydzieści jardów dalej, pod odblaskowym znakiem głoszącym PRZEJŚCIA NIE MA. Zdyszany przystanął

w pewnej odległości od niej. Nie płakała, tylko stała, odwrócona do niego plecami.

- Cholera, co jest? - powiedział. - Do diabła, o co tu chodzi? Wracaj do samochodu.

- Nie teraz, za chwilę. Daj mi postać tu minutę, dobrze? Machnął rękoma i zaraz je opuścił. Kiedy z tyłu pojawiły się światła i warkot silnika nadjeżdżającego samochodu, Frank włożył dłoń do kieszeni i dla pozorów przyjął pozę jak podczas rozmowy. Pojazd minął ich, oświetlając znak drogowy oraz plecy najwyraźniej spiętej April, tylne światła oddaliły się, szum opon ucichł w oddali. Po prawej stronie na czarnych bagnach wiosenne rzekotki zawodziły donośnie na rozpaczliwą nutę. Przed nimi, dwieście, może trzysta jardów dalej, ponad oblane promieniami księżyca druty elektryczne wznosiło się Revolutionary Hill, na którego szczycie mrugały przyjaźnie wielkie okna Revolutionary Hill Estates. Campbellowie mieszkali w jednym z tych domów; Campbellowie równie dobrze mogli jechać jednym z samochodów, których światła zbliżały się do miejsca, gdzie stali Frank i April. - April?

Nie odpowiedziała.

- Posłuchaj, nie moglibyśmy wsiąść do samochodu i porozmawiać? Naprawdę musimy biegać po całej dwunastce?

- Czy nie dałam jasno do zrozumienia, że nie mam szczególnej ochoty na rozmowę?

- W porządku. Dobra. Jezu, April, staram się, jak mogę, żeby nie powiedzieć nic przykrego, ale...

- Cóż za uprzejmość. Cóż za niezwykła, niesamowita uprzejmość.

- Poczekaj... - Frank wyjął dłoń z kieszeni, ale zaraz na powrót ją schował, bo tamte samochody były coraz bliżej. - Posłuchaj. - Chciał przełknąć, lecz gardło miał suche jak pieprz. - Nie mam pojęcia, co próbujesz udowodnić, i szczerze mówiąc, nie sędzę, żebyś sama miała takie pojęcie. Wiem natomiast jedno: na pewno sobie na to nie zasłużyłem.

- Zawsze jesteś taki cudownie jednoznaczny w kwestii tego, na co zasłużyłeś, a na co nie. - Szybkim krokiem ruszyła w stronę samochodu.

- Poczekaj! - Pobiegł za nią przez zielska. Autostradą w obie strony jechały sznury samochodów, ale Franka przestało to obchodzić. - Poczekaj, do jasnej cholery!

Oparła się udami o zderzak i zaplotła ręce na piersi w geście przesadnej rezygnacji. Frank groził jej palcem.

- Posłuchaj mnie. Ten jeden raz nie uda ci się przekręcić sensu moich słów. Tak się składa, że ten jeden cholerny raz wiem na pewno, że mam rację. Wiesz, jaka jesteś, kiedy tak się zachowujesz?

- O Boże, szkoda, że nie zostałeś w domu.

- Wiesz, jaka jesteś, kiedy tak się zachowujesz? Jesteś chora. Mówię poważnie.

- A wiesz, jaki ty jesteś? - Wodziła wzrokiem od jego głowy do stóp i z powrotem. - Obrzydliwy.

Kłótnia wymknęła się spod kontroli. Wprawiła w drzenie ich ręce i nogi, wykrzywiła twarze w grymasie nienawiści, kazała obojgu mocniej i głębiej trafiać w najsłabsze punkty drugiego, wskazywała sprytnie sposoby obejścia mocnych stron i okazje do zmiany taktyki, zmylenia przeciwnika i zadania ciosu. W przerwach na oddech wysyłała pamięć w przeszłość po starą broń do otwierania starych ran; i tak się ciągnęła.

- Och, ty nigdy mnie nie zawiodłeś, Frank, ani razu. Wszystkie te twoje drogocenne maksyimy moralne, twoja „miłość”, twoje nieszczerze... myślisz, że zapomniałam, jak uderzyłeś mnie w twarz, bo powiedziałam, że ci nie wybaczę? Och, zawsze wiedziałam, że muszę być twoim sumieniem, odwagą... i twoim workiem treningowym. Myślisz, że skoro zdołałeś bezpiecznie zamknąć mnie w pułapce...

- Ty jesteś w pułapce! Ty w pułapce! Jezu, nie rozśmieszaj mnie!

- Tak, ja. - Zacisnęła palce na obojczyku. - Ja. Ja. Ja. Och, ty biedny, zafałszowany... Popatrz tylko na siebie! Popatrz i powiedz mi, dzięki jakiej sztuczce wyobraźni... - Potrząsnęła głową, jej zęby błysnęły w świetle księżyca. - ... dzięki jakiej sztuczce wyobraźni możesz nazywać się mężczyzną!

Wyrzucił drżącą pięść, by wymierzyć z backhandu cios w jej głowę. Zgięła się na zderzaku w brzydkim uniku wyrażającym strach. Zamiast ją uderzyć, zrobił kilka tanecznych kroków do tyłu, jakby parodiując boksera na ringu, i z całej siły opuścił dłoń na dach samochodu. Powtórzył to czterokrotnie: bang! bang! bang!, podczas gdy ona stała i patrzyła. Kiedy skończył, przenikliwy płynny rechot rzekotek był jedynym odgłosem słyszalnym w promieniu wielu mil.

- Niech cię diabli - rzucił cicho. - Niech cię diabli, April.

- Bardzo dobrze. Czy teraz możemy pojechać do domu?

Z ustami wysuszonymi od ciężkiego dyszenia, z trzęsącymi się głowami i dygoczącymi ciałami zajęli miejsca w samochodach jak bardzo starzy i zmęczeni ludzie. Frank włączył silnik i powoli ruszył. U stóp Revolutionary Hill skręcił na czarną nawierzchnię krętej Revolutionary Road.

W taki sam sposób przyjechali tutaj po raz pierwszy, dwa lata temu, jako kordialnie potakujący pasażerowie w wielkim samochodzie pani Helen Givings, pośredniczki handlu nieruchomościami. Przez telefon była uprzejma, ale zdystansowana

- tylu mieszkańców miasta przybywało i marnowało jej czas, stawiając nierealne wymagania - choć później powiedziała im, że w chwili, gdy wysiedli z pociągu, rozpoznała w nich ludzi, którym warto poświęcić chwilę, pomimo ich ograniczonych możliwości finansowych.

- Są cudowni - powiedziała mężowi. - Dziewczyna jest absolutnie oszałamiająca, a chłopak zapewne robi błyskotliwą karierę w mieście. Jest bardzo miły, dość zamknięty w sobie. Kontakty z takimi ludźmi doprawdy działają odświeżająco.

- Pani Givings od razu zrozumiała, że nowym klientom zależy na czymś odbiegającym od przeciętności, chcieliby małą zaadaptowaną stodołę, powozownię, dawny domek dla gości, coś uroczonego, i z wielką przykrością musiała im powiedzieć, że tego rodzaju rzeczy po prostu nie sposób już znaleźć. Prosiła jednak, by nie tracili ducha, bo zna jedno miejsce, które może przypaść im do gustu.

- Oczywiście tutejsza okolica nie jest najlepsza - wyjaśniła, skręcając z dwunastki i jak ptaszek zerkając to na szosę, to na ich zadowolone, uważne twarze. - Jak sami widzicie, w większości stoją tu niewielkie domki z pustaków, przed którymi parkują pick-upy i ciężarówki; mieszkają tu hydraulicy, stolarze, inni rzemieślnicy. Ale potem... - Wycelowała sztywny jak pistolet palec wskazujący prosto w szybę w geście ostrzeżenia, przy którym liczne metalowe bransolety zadzwoniły o kierownicę. - ... potem droga prowadzi w górę i skręca na okropne nowe osiedle o nazwie Revolutionary Hill Estates. Niezdarne, piętrowe budynki w mdlących pastelowych kolorach i w dodatku strasznie drogie, nie mam najmniejszego pojęcia dlaczego. Ale dom, który chcę wam pokazać, nie ma z tym osiedlem związku. Jedna z naszych firm budowlanych zbudowała go zaraz po wojnie, zanim zapanował ten okropny nowy styl .w architekturze. To uroczy mały domek ze ślicznym otoczeniem. Prosty, czyste linie, ładny ogród, cudowny dla dzieci. Znajduje się za następnym zakrętem, a sami widzicie, że jest tu o wiele przyjemniej, prawda? Zaraz go zobaczycie, o proszę. To ten biały domek. Uroczy, prawda? Tak zrećcznie przysiadł na zboczu.

- O tak - powiedziała April, gdy dom wyłonił się spomiędzy cienkich pni młodych dębów i wolno odwrócił się ku nim, mały i drewniany, usadowiony wysoko na gołych betonowych fundamentach, z olbrzymim środkowym oknem

spoglądającym jak wielkie czarne lustro. - Tak, myślę, że jest dość... miły, nie sądzisz, kochanie? Oczywiście ma okno widokowe, ale przypuszczam, że od tego nie da się uciec.

- Chyba nie - stwierdził Frank. - Aczkolwiek nie podejrzewam, by jedno okno widokowe wpłynęło destrukcyjnie na nasze osobowości.

- Och, cudowne! - wykrzyknęła pani Givings; jej uśmiech zamknął ich w ciepłym kokonie pochlebstwa, gdy wysiedli na podjeździe. Pani Givings krążyła blisko, opiekuńcza i troskliwa, kiedy chodzili po gołych podłogach domu i szeptem wymieniali uwagi. Dom miał spore możliwości. Tu można postawić sofę i wielki stół; solidna ściana książek zdejmie kłatwę z okna widokowego; zręcznie rozmieszczone nieliczne meble będą stanowić przeciwwagę dla sztywnego, przedmiejskiego wyglądu tego nazbyt symetrycznego salonu. Z drugiej strony właśnie symetria miała w sobie niezaprzeczalny pociąg, bo wszystkie kąty były proste, wszystkie deski podłogowe równe, drzwi idealnie wisiały na zawiasach i zamykały się z doskonałym trzaskiem, bez niepotrzebnych zgrzytów. Z przyjemnością dotykając kontaktów i klamek, mogli sobie wyobrazić, że to ich dom. W nieskazitelnej łazience wyczuwali rozkosz pławienia się w wielkiej wannie, widzieli swoje dzieci biegające boso po holu, gdzie nie było pleśni, drzazg, karaluchów ani piasku. Dom istotnie miał możliwości. Narastający w ich życiu chaos można by uporządkować, odnaleźć harmonię w tych pomieszczeniach, pomiędzy tymi drzwiami; cóż z tego, że wymaga to czasu? Kto czułby strach w takim przestronnym i jasnym, czystym i cichym domu jak ten?

Teraz, gdy dom wyłonił się z ciemności wesołymi kuchennymi światłami i lampami nad wiatą dla samochodu, oboje w udręce napięli ramiona i zacisnęli szczęki. Pierwsza weszła April, na oślep zataczając się przez kuchnię i opierając dla równowagi o lodówkę. Za nią podążał Frank. April nacisnęła kontakt i salon eksplodował jasnością. W pierwszej chwili wszystko w nim zdawało się dryfować i nawet później zachował ten prowizoryczny wygląd. Tu stała sofa, tam wielki stół, ale równie dobrze mogły zamienić się miejscami; ściana książek wciąż posłusznie walczyła o prymat z oknem widokowym, choć równie dobrze mogła to być biblioteka publiczna. Inne sprzęty rzeczywiście pozbawiły wnętrza sztywności, lecz nie zdołały zaoferować niczego w zamian. Krzesła, stolik do kawy, lampa stojąca i biurko: wszystkie wyglądały jak przedmioty przypadkowo zgromadzone na aukcję. Tylko w jednym kącie widać było oznaki radosnej ludzkiej bytności: zdeptany dywan, wgniecione poduchy, pełne popielniczki. Kącik ten niechętnie urządzili przed niespełna pół rokiem: królestwo telewizora („Dlaczego nie? Czy nie powinniśmy zrobić tego dla

dzieci? Poza tym taki snobistyczny stosunek do telewizji zaczyna być niemądry...")

Pani Lundquist, opiekunka do dzieci, zasnęła na sofie, schowana za jej oparciem. Teraz gwałtownie usiadła, mrużąc oczy i usiłując się uśmiechnąć; jej sztuczne zęby szczękały, dłonie niezgrabnie poprawiały spinki w białych włosach.

- Mamusiu! - Z dziecięcego pokoju na końcu korytarza dobiegł wysoki, wcale niezaspany głos sześciolatniej Jennifet. - Mamusiu, czy sztuka była dobra?

Odwożąc panią Lundquist do domu, Frank dwa razy źle skręcił (pani Lundquist, kuląc się między drzwiami a deską rozdzielczą, próbowała ukryć strach pod przyklejonym do ust uśmiechem i wpatrywała się w ciemność; była przekonana, że Frank jest pijany). W drodze powrotnej przyciskał dłoń do twarzy. Usilnie próbował odtworzyć w myślach kłótnię, ale to było beznadziejne zadanie. Nie potrafił nawet powiedzieć, czy był zły, czy skruszony, czy pragnął wybaczenia, czy mocy wybaczenia. Gardło wciąż go bolało od krzyków, dłoń pulsowała od ciosów w samochód (to pamiętał dobrze), ale poza tym miał tylko jedno wspomnienie: jak z wyprostowanymi sztywno ramionami i fałszywym, bezbronnym uśmiechem kłaniała się przed kurtyną, i współczucie odbierało mu siły. Że też ze wszystkich wieczorów akurat dzisiejszy wybrali na kłótnię! Musiał kurczowo ścisnąć kierownicę, ponieważ światła drogowe zamazywały się i kołysały przed jego oczami.

Na widok domu, długiego mlecznego kształtu na tle ciemnych drzew i nieba, mimowolnie pomyślał o śmierci. Pośpiesznie przeszedł przez kuchnię i salon, na palcach wkroczył do holu, ostrożnie mijając pokój dziecinny, po czym delikatnie zamknął za sobą drzwi sypialni.

- April, posłuchaj - szepnął. Zdjął płaszcz, zbliżył się do majaczącego w mroku łóżka i na jego skraju przysiadł zgarbiony w klasycznej pozie skruchy. - Posłuchaj mnie. Nie dotknę cię. Chciałem tylko powiedzieć, że... w gruncie rzeczy nie mam nic do powiedzenia prócz tego, że mi przykro.

Zapowiadało się fatalnie, na jedno z tych nieporozumień, które trwają przez wiele dni. Ale przynajmniej byli sami i spokojni we własnej sypialni, zamiast wrzeszczeć na autostradzie; przynajmniej kłótnia przeszła w drugą fazę: milczenie, które zawsze dotąd, jakkolwiek nieprzekonująco, prowadziło do zgody. Teraz April nie ucieknie od niego, nie istnieje też możliwość, żeby on zagotował się z wściekłości, oboje są za bardzo zmęczeni. Na początku małżeństwa takie odrętwiałe momenty wydawały się gorsze od upokarzającego wrzasku, którego były skutkiem; za każdym razem Frank myślał: z takiej

sytuacji nie da się wyjść z twarzą. Ale jakieś wyjście, z twarzą lub nie, zawsze się pojawiało, odkrywane w prostym procesie składającym się z przeprosin i następującego po nich oczekiwania, w którego trakcie lepiej było nie myśleć za wiele o sprawie. Obecnie cała ta procedura zdawała się równie znajoma jak brzydki i niewygodny stary płaszcz. Frank mógł go nosić z pewną zmysłową swobodą, ponieważ takie okrycie zezwalało na całkowite zawieszenie woli i dumy.

- Nie mam pojęcia, co tam się stało - powiedział - cokolwiek jednak to było, uwierz mi, że... April? - Wyciągnięta dłoń natrafiła na puste łóżko. Długi kształt, do którego Frank przemawiał, okazał się odrzuconą kołdrą i poduszką; April zburzyła pościel.

- April?

Przerażony pobiegł do pustej łazienki, a stamtąd korytarzem do salonu.

- Proszę cię, idź stąd - powiedziała. Zawinięta w koc zajmowała opuszczoną przez panią Lundquist sofę.

- Posłuchaj mnie przez minutę. Nie dotknę cię. Chcę tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro.

- To cudownie. A teraz będziesz tak dobry i zostawisz mnie w spokoju?

Rozdział trzeci

Przenikliwy metaliczny pisk wdarł się w jego sen. Frank próbował się przed nim ukryć, zagrzebać w chłodną ciemność, gdzie wciąż dryfowały mgliste urywki absorbującego snu, ale pisk powracał, aż wreszcie zmusił go do uniesienia powiek i spojrzenia w słońce.

Minęła jedenasta w sobotnie przedpołudnie. Frank miał zatkane nozdrza, jakby ktoś wepchnął w nie cement, głowa go bolała, pierwsza tegoroczna mucha gramoliła się po wewnętrznej ścianie brudnej szklaneczki, która stała na podłodze obok prawie pustej butelki whisky. Dopiero po dokonaniu tych odkryć zaczął sobie przypominać wydarzenia ostatniej nocy: jak siedział i pił do czwartej nad ranem, metodycznie drapiąc się oburącz w głowę, przekonany, że w żadnym razie nie zaśnie. Jego umysł wreszcie zdołał się skupić i znaleźć wytłumaczenie dla hałasu: to była jego własna zardzewiała kosiarka, od dawna wymagająca naoliwienia. Ktoś kosił trawę na tylnym podwórzu; Frank przyrzekł, że zrobi to w zeszły weekend.

Ciężko przewrócił się na plecy i sięgnął po szlafrok, zwilżając wyschnięte podniebienie. Wstał i mrużąc oczy, wyjrzał przez połyskliwe okno. April w męskiej koszuli i luźnych, powiewających spodniach z wysiłkiem na zmianę pchała i ciągnęła starą maszynę. Dzieci szalały za nią, obrzucając się świeżo ściętą trawą.

W łazience zużył dość zimnej wody, pasty do zębów i chusteczek higienicznych, by doprowadzić do użytku najważniejsze części głowy; przywrócił jej zdolność gromadzenia tlenu i odzyskał niejaką kontrolę nad mięśniami. Nic jednak nie był w stanie zrobić z dłońmi. Napuchnięte i blade, wyglądały, jakby pod znieczuleniem usunięto z nich wszystkie kości. Frank spróbował zacisnąć je w pięści i z jękiem padł na kolana. Patrząc na nie, a zwłaszcza na ogryzione do mięsa paznokcie, które odkąd pamiętał, nigdy nie miały szansy odrosnąć, zapragnął od nowa je posiniaczyć na krawędzi umywalki. Pomyślał o dłoniach ojca, a to przypomniało mu, że sen, który miał przed chwilą, tuż przed kosiarką, bólem głowy i słońcem, dotyczył mglistej i niezwykle spokojnej przeszłości. Byli w nim oboje rodzice, słyszał, jak matka mówi: „Och, nie budź go, Earl, niech sobie pośpi”. Frank usiłował przypomnieć sobie więcej, ale nie potrafił; czułe brzmienie tego zdania o mało nie skłoniło go do płaczu przez tę krótką chwilę, nim rozpląnęło się w nicości.

Oboje nie żyli od kilku lat i Franka czasami dręczyło, że nie potrafi wyraźnie przypomnieć sobie ich twarzy. Na jawie, bez pomocy fotografii, ojciec był niewyraźną łysą głową z krzaczastymi brwiami i ustami wiecznie

skrzywionymi w grymasie niezadowolenia lub irytacji, matka - okularami bez oprawek, gładko uczesanymi włosami i ustami nieśmiało pociągniętymi szminką. Pamiętał także towarzyszące im nieodłącznie zmęczenie. Byli w średnim wieku, kiedy się urodził, wychowanie dwóch starszych synów nadwątlilo ich siły. Później z roku na rok stawali się bardziej znużeni, aż wreszcie, wyczerpani do cna, umarli z jednakową łatwością we śnie, jedno w pół roku po drugim. Tylko dłonie ojca nigdy nie były znużone, ani czas, ani słaba pamięć nie mogły zatrzeć ich obrazu.

- Otwórz! - To było jedno z najwcześniejszych wspomnień Franka: wyzwanie, by otworzył potężną pięść, i własne gorączkowe, oburęczne wysiłki, nieodmiennie skazane na porażkę, by oderwać choć jeden palec z wibrującego uścisku, podczas gdy śmiech ojca odbijał się echem od ścian kuchni. Frank zazdrościł ojcu nie tylko siły rąk, ale. też ich pewności i wrażliwości (kiedy trzymały jakąś rzecz, można było wręcz dostrzec, jaka jest w dotyku) oraz aury mistrzostwa, którą przekazywały wszystkiemu, z czego Earl Wheeler korzystał: popękanemu uchwyтови torby ze świńskiej skóry, uchwytem stolarskich narzędzi, podniecająco niebezpiecznej kolbie i spustowi strzelby. Zwłaszcza aktówka fascynowała Franka, gdy miał pięć, sześć lat; zawsze wieczorami stała w cieniach frontowego holu i czasami po kolacji chłopiec mężnie do niej podchodził i udawał, że to jego własność. Jak gładki i miły, a równocześnie niemożliwie gruby wydawał się uchwyt! Była ciężka (fiu!), mimo to z taką lekkością kołysała się rano przy boku ojca! Później, gdy miał dziesięć, dwanaście lat, zaznajomił się z narzędziami stolarskimi, ale żadne ze związanych z nimi wspomnień nie należało do przyjemnych. Ojciec przekrzykiwał warkot piły: „Nie, chłopcze, nie! Psujesz to! Nie widzisz, że psujesz? W taki sposób nie można posługiwać się narzędziem”. Gwałtownym ruchem odrywał od fatalnie obrobionego, poplamionego potem drewna narzędzie, którymkolwiek upartym przedmiotem było, dłutem, miarą czy wiertarką, i poddawał drobiazgowej inspekcji w poszukiwaniu ewentualnych zniszczeń. Następnie wygłaszał wykład o właściwym posługiwaniu się narzędziami, okraszony zręczną demonstracją (w trakcie której trociny przylegały niczym drobiny złota do włosków na jego pizedramieniu) albo (co zdarzało się częściej) wzdychał jak człowiek na skraju wytrzymałości i cicho mówił: „Dobrze. Lepiej idź na górę”. Wizyty Franka w warsztacie stolarskim zawsze tak się kończyły i nawet dzisiaj żółty zapach trocin nieodmiennie budził w nim poczucie upokorzenia. Na szczęście strzelba nigdy nie stała się przedmiotem próby. Kiedy Frank na tyle dorósł, by towarzyszyć ojcu w coraz rzadszych wyprawach łowieckich, dzielący ich od dawna antagonizm

wykluczył taką możliwość. Staruszkowi nigdy nie przyszło na myśl, aby taką propozycję złożyć, co więcej zaś (jako że był to okres marzeń o pociągu towarowym), Frank nigdy tego nie pragnął. Kto chciałby siedzieć w kałuży i zabijać kaczkę? A skoro o tym mowa, komu mogło zależeć na sprawnym posługiwaniu się narzędziami hobbysty? Przede wszystkim zaś kto pragnąłby zostać głupim sprzedawcą, zachowującym się jak gruba ryba z aktówką pełną nudnych katalogów i całymi dniami opowiadającym o maszynach bandzie skretyniałych menadżerów z cygarami w ustach?

Ale i wtedy, i później, nawet wówczas, gdy bunt na Bethune Street sięgnął szczytu, a ojciec stał się nudnym, kłótliwym starym głupcem, który zasypiał nad „Readers Digest”, Frank nie przestał wierzyć (i wiara ta nie opuściła go do dzisiaj), że w dłoniach ojca żyje coś wyjątkowego i wspaniałego. Nawet gdy Earl Wheeler leżał na łożu śmierci, skurczony, ślepy i bełkotliwy („Kto tu jest? Frank? Czy to Frank?”), suchy uścisk jego dłoni przekazywał pozytywne wibracje, a kiedy wreszcie spoczęły na szpitalnej pościeli nieruchome i bezwładne, nadal wyglądały na silniejsze i zręczniejsze niż dłonie syna.

Frank lubił powtarzać przyjaciółom:

- Człowieku, psychiatrzy mieliby ze mną prawdziwy bal. Wiecie, relacje pomiędzy mną a ojcem wystarczyłyby do wypełnienia całego podręcznika, nie wspominając już o matce. Jezu, musieliśmy być niezłym gniazdem neuroz.

A jednak w takich jak ta chwilach niespokojnej samotności cieszył się, że potrafi wykrzesać w sobie odrobinę szczerego uczucia do rodziców. Czuł wdzięczność, że niezależnie od tego, jak trudna okazała się reszta jego życia, kiedyś zawierało ono dość spokoju, by mógł snuć przyjemne marzenia; często podejrzewał, z więcej niż szczyptą słuszności, że dzięki temu zachował większą równowagę wewnętrzną niż jego żona. Bo jeśli psychiatrzy z nim mieliby bal, Bóg tylko wie, jaki rodzaj rozrywki dostarczyłaby im April.

Choć starał się okazać pełne współczucia zrozumienie, ze wszystkich skąpych historyjek opowiadanych przez April o rodzicach wyłaniał się obraz równie mu obcy jak te, które na stronicach swych powieści kreślił Evelyn Waugh. Czy tacy ludzie naprawdę istnieli? Mógł wyobrazić ich sobie jedynie jako migotliwe karykatury z lat dwudziestych: Playboy i Nowoczesna Kobieta, tajemniczo bogaci, beztroscy i okrutni, połączeni węzłem małżeńskim przez kapitana statku gdzieś na środku Atlantyku i rozwiedzeni w rok po narodzinach jedynej córki.

- Myślę, że matka prosto ze szpitala musiała zawieźć mnie do ciotki Mary - mówiła April. - I wydaje mi się, że do piątego toku życia mieszkałam tylko u niej. Potem były domy innych ciotek albo przyjaciółek matki, a w końcu

wylądowałam u ciotki Claire w Rye. - O rodzicach powiedziała mu jeszcze tyle, że ojciec w 1938 roku zastrzelił się w pokoju hotelowym w Bostonie, a matka umarła kilka lat później po długim pobycie w zamkniętym ośrodku dla alkoholików na zachodnim wybrzeżu.

- Jezu - powiedział Frank, kiedy pewnej irytująco upalnej nocy na Bethune Street po raz pierwszy usłyszał o tym wszystkim (aczkolwiek wtedy nie był pewien, czy czuje smutek wywołany nieszczęśliwą historią, czy też zazdrość, że losy April odznaczają się o wiele większym dramatyзмом niż jego własne).

- No cóż, przypuszczam, że zawsze traktowałaś ciotkę bardziej jak matkę.

April wzruszyła ramionami, ściągając usta w bok w grymasie, który ostatnio przestał mu się podobać - to była jej „twarda” mina.

- O której ciotce mówisz? Ledwo pamiętam Mary i pozostałe, a Claire zawsze nienawidziłam.

- Och, dajże spokój. Jak możesz mówić, że „zawsze jej nienawidziłaś”? No wiesz, może teraz, z perspektywy czasu tak to wygląda, ale wtedy musiała dawać ci... no wiesz, miłość, poczucie bezpieczeństwa i w ogóle.

- Nie dawała. Dobrze bawiłam się tylko w czasie wizyt któregoś z rodziców. Tylko ich kochałam.

- Ale oni prawie wcale cię nie odwiedzali. No wiesz, w takim układzie raczej nie mogłaś mieć poczucia, że to twoi rodzice, nawet ich nie znałaś. Jak mogłaś ich kochać?

- Kochałam, i tyle. - Zaczęła chować do kasetki rozłożone na łóżku pamiątki: swoje zdjęcia, na których w różnym wieku stała na różnych trawnikach z matką albo ojcem, miniaturowy rysunek przedstawiający śliczną głowę matki, oprawną w skórę pożółkłą fotografię stojących pod palmą obojga rodziców, wysokich i elegancko ubranych, opatrzoną napisem „Cannes 1925”, obrączkę ślubną matki, staroświecką broszkę zawierającą pukiel włosów babki, maleńkiego konika z białego plastiku wielkości breloczka do zegarka, którego wartość nie przekraczała dwóch, trzech centów, ale który przez lata przechowywała, mówiąc „dał mi go ojciec”.

- Och, jasne - ustąpił Frank. - Może istotnie wydawali się romantyczni i tak dalej, przypuszczalnie byli oszałamiający, wspaniali. Tylko że nie o to mi chodzi. Ja mówię o miłości.

- Ja też. Kochałam ich. - Zamknęła kasetkę w grobowym milczeniu, które tak bardzo się przedłużało, że Frank sądził, iż temat został wyczerpany. Tak czy owak uznał, że sam z nim skończył, przynajmniej na razie, bo noc była za gorąca na kłótnie. Okazało się jednak, że April z wielką starannością szuka odpowiednich słów, które zdołają wyrazić dokładnie to, co ma na myśli. Kiedy

znowu przemówiła, tak bardzo przypominała małą dziewczynkę ze zdjęć, że Franka ogarnął wstyd.

- Uwielbiałam ich stroje. Sposób, w jaki mówili. Uwielbiałam słuchać, jak opowiadali o swoim życiu.

Nie pozostało mu nic innego, jak z głębokim współczuciem dla mizerności jej skarbu wziąć ją w ramiona i w duchu złożyć pełną szacunku, cichą obietnicę, wkrótce zresztą złamaną, że nigdy więcej nie będzie go dyskredytował.

Niewielka plama wysychającego mleka i płatki na stole były jedynym śladem po śniadaniu dzieci, reszta kuchni błyszczała nieskazitelną czystością. Zaplanował, że najpierw napije się kawy, a potem się ubierze, wyjdzie na dwór i odbierze jej kosiarkę, w razie konieczności nawet siłą, aby w miarę w możliwości przywrócić porankowi równowagę. Mimo to wciąż w szlafroku i nieogolony niezdarnie grzebał przy pokrętlach pieca elektrycznego, kiedy na podjeździe z chrzęstem pojawił się samochód pani Givings. Przez sekundę myślał o ukryciu się, ale było za późno. Zobaczyła go przez siatkę w drzwiach, a April, która kosiła odległy kraniec tylnego podwórka, zdążyła jej umknąć; pomachawszy na powitanie, wróciła do swojego zajęcia. Znalazł się w pułapce. Musiał otworzyć drzwi i stanąć w progu z powitalnym uśmiechem na twarzy. Dlaczego ta kobieta ciągle się im narzuca?

- Nie mogę zostać nawet na chwilę! - krzyknęła, uginając się pod ciężarem wilgotnego kartonowego pudła pełnego ziemi, w której kiełkowały roślinki. - Chciałam tylko przywieźć wam rozchodnika na to skaliste miejsce u stóp waszego podjazdu. Ojej, nie wyglądasz najlepiej.

Frank pochylił się niezgrabnie, usiłując przytrzymać drzwi jedną stopą i odebrać od niej pudło.

- No cóż. - Uśmiechnął się z bliska do spiętej, upudrowanej twarzy. Makijaż pani Givings zawsze sprawiał wrażenie nakładanego w wielkim pośpiechu, ze zniecierpliwieniem, jakby chciała jak najszybciej uporać się z tą idiotyczną sprawą. Pozostawała w nieustannym ruchu, szczupła, ogorzała kobieta po pięćdziesiątce, w której oczach malowało się religijne przekonanie o fundamentalnym znaczeniu bycia zajęтым. Nawet kiedy stała nieruchomo, w układzie jej ramion, w sposobie, w jaki wisały na niej luźne, gniewnie zapięte ubrania, wyczuwało się energię kinetyczną; a kiedy trzeba było usiąść, zawsze wybierała proste krzesła i starała się przycupnąć na samym skraju. Trudno było wyobrazić ją sobie leżącą, a tym bardziej śpiącą, z twarzą wolną od fałszywych uśmiechów, wybuchów uprzejmego śmiechu i płynących z ust grzecznościowych zwrotów.

- Wydaje mi się, że tak to tutaj nazywają, a ty jak myślisz? - mówiła. - Miałeś wcześniej do czynienia z tym gatunkiem rozchodnika? Przekonasz się, że rewelacyjnie rośnie nawet w takiej kwaśnej glebie jak nasza.

- No cóż - powtórzył Frank. - To dobrze. Wielkie dzięki, pani Givings.

Niemal dwa lata temu zaproponowała, by zwracał się do niej po imieniu, ale język odmawiał mu posłuszeństwa. Zwykle rozwiązywał ten problem, nie zwracając się do niej wprost i pokrywając ów brak przyjacielskimi uśmiechami i ukłonami. Ona postępowała tak samo. Oboje uśmiechali się do siebie promiennie, podczas gdy pani Givings wodziła małymi oczkami po otoczeniu, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że April kosi trawę, a on wałęsa się po kuchni w szlafroku. Frank pozwolił, żeby drzwi za jego plecami zamknęły się, i mocniej chwycił pudło, które zakołysało się w jego ramionach i sypnęło mu strumieniem piasku na bosa stopy.

- Co powinniśmy z tym... zrobić? - zapytał. - To znaczy jak zasadzić i w ogóle.

- Właściwie nic. Trzeba tylko nieznacznie podlewać przez pierwszych kilka dni, a potem zobaczycie, że po prostu rozkwitnie. Trochę przypomina rojnik murowy, tylko że tamto ma śliczne różowe kwiatki, a to żółte.

- Aha, rojnik - odparł Frank. Opowiadała mu o roślinach, a on, słuchając pisku i warkotu kosiarki, stał, patrzył na nią i modlił się, żeby wreszcie sobie poszła. Wreszcie umilkła. - No cóż. To wspaniale, wielkie dzięki. Może filiżankę kawy?

- Och, nie, bardzo dziękuję. - Zrobiła kilka pośpiesznych kroków w tył, jakby zaproponował jej brudną chusteczkę do wydmuchania nosa. Bezpieczna na nowej pozycji, odłoniła wszystkie długie zęby w szerokim uśmiechu. - Proszę przekazać April, że wczorajsze przedstawienie szalenie nam się podobało... albo nie, sama jej powiem. - Wyciągnęła szyję i mrużąc powieki przed słońcem, oceniła odległość, jaką będzie musiał pokonać jej głos, po czym zawołała: - April! April! Chciałam ci powiedzieć, że przedstawienie szalenie nam się podobało! - Jej napięta, krzycząca twarz mogła być portretem cierpiącej kobiety.

Po sekundzie kosiarka ucichła i dobiegł ich stłumiony odległością głos April:

- Słucham?

- Mówię, że przedstawienie szalenie nam się podobało!

Słyszając słabe „Och, dzięki, Helen”, mogła wreszcie rozluźnić mięśnie. Odwróciła się z powrotem do Franka, który wciąż niezgrabnie trzymał pudło.

- April jest niezwykle utalentowana. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mnie i Howardowi spektakl się podobał.

- To dobrze - odparł. - Choć wydaje mi się, że powszechnie dominuje opinia, iż przedstawienie niezbyt się udało. To znaczy większość ludzi chyba tak myśli.

- Och, nie, było urocze. Istotnie, wasz sympatyczny przyjaciel z Hill został dość niefortunnie obsadzony... Pan Crandall, tak? ..ale poza tym...

- Campbell. Prawdę mówiąc, nie uważam, żeby był gorszy od pozostałych, no i naturalnie miał trudną rolę. - Frank zawsze uważał, że musi bronić Campbellów przed panią Givings, która najwyraźniej wyznawała pogląd, że każdy, kto mieszka na Revolutionary Hill Estates, w najlepszym razie zasługuje na taktowne lekceważenie.

- Chyba tak. Wcale mnie nie zdziwiło, że w grupie nie ma pani Crandall... Campbell, tak? Sądzę, że przy tej gromadce dzieci niełatwo jej się wyrwać.

- Pani Campbell pracowała za kulisami. - Usiłował tak chwycić pudło, żeby piasek przestał mu się sypać na stopy lub żeby sypał się gdzie indziej. - Bardzo aktywnie zaangażowała się w całe przedsięwzięcie. . .

- Och, w to nie wątpię, taka przyjacielska i chętna z niej duszyczka. Bardzo dobrze... - Pani Givings ruszyła w stronę swojego samochodu. Zwykle w takim momencie mówiła: „Och, i jeszcze jedno, skoro o tym mowa”. Robiła tak niemal zawsze i owo „jeszcze jedno” zwykle okazywało się prawdziwym celem wizyty. Teraz zawahała się, na jej twarzy odmalował się głęboki namysł, który wkrótce ustąpił miejsca decyzji, by ze względu na okoliczności jednak zachować milczenie. Cokolwiek to było, musiało poczekać. - No dobrze. Ta kamienna ścieżka wzdłuż frontowego trawnika jest po prostu cudowna.

- Och, dzięki - odparł Frank. - Właściwie dopiero ją zacząłem.

- Wiem - zapewniła pani Givings. - To ciężka praca.

- Śpiewnie się pożegnała i wsiadła do samochodu, po czym wolno odjechała.

- Mamusiu, popatrz, co tatuś ma! - zawołała Jennifer.

- Pani Givings to przywiozła.

A czteroletni Michael dodał:

- To kwiaty. To są kwiaty czy co?

Biegli ku niemu po świeżo skoszonej trawie, April wolno i ciężko zamykała pochód, wlokąc kosiarkę, zdmuchując wilgotne kosmyki włosów z oczu, wydymając dolną wargę. Z nową niezręczną determinacją całą sobą dawała do zrozumienia, że zawsze chciała być wyłącznie rozsądną panią domu z klasy średniej, a od miłości oczekiwała męża, który raz na jakiś czas skosi trawę, zamiast wylegiwać się w łóżku przez cały dzień.

- Coś się sypie, tatusiu - powiedziała Jennifer.
- Wiem. Cicho. Posłuchaj - zwrócił się do żony, wcale na nią nie patrząc. - Mogłabyś mnie poinformować, co właściwie mam z tym zrobić?

- A skąd mam wiedzieć? Co to jest?

- Cholera, nie mam pojęcia. Jakiś pszczelnik, nie pamiętam.

- Pszczelnik?

- Nie, zaraz. Jest podobne do pszczelnika, tylko ma różowe kwiaty, a nie żółte. Żółte, a nie różowe. Myślałem, że wszystko będziesz wiedziała.

- Na jakiej podstawie tak przypuszczałeś? - April podeszła bliżej, przyglądając się roślinom, przesuwając palcami po mięsistych łodygach. - Po co to jest? Nie powiedziała?

W głowie miał pustkę.

- Poczekaj. To wychodnik albo nie, zachodnik. Jestem pewien, że zachodnik.

- Oblizął wargi i mocniej chwycił pudło. - Wspaniale rośnie w kwaśnej glebie. Coś ci to mówi?

Dzieci z nadzieją wodziły wzrokiem od matki do ojca. Jennifer zaczynała się martwić.

April wsunęła dłonie do tylnych kieszeni.

- Wspaniale rośnie gdzie? Mam rozumieć, że nawet jej nie zapytałeś?

Rośliny kołysały się w objęciach Franka.

- Posłuchaj, mogłabyś z łaski swej podejść do tego spokojnie? Jeszcze nie wypilem kawy i...

- Och, cudownie. I co mam z tym zrobić? Co niby mam powiedzieć tej kobiecie, jak się z nią spotkam?

- Powiedz jej, co ślina ci na język przyniesie. Może na przykład to, żeby dla odmiany pilnowała swojego nosa, cholera.

- Nie krzycz, tatusiu. - Jennifer podskakiwała w poplamionych trawą tenisówkach i wymachiwała rękami. Zbierało jej się na płacz.

- Nie krzyczę - oznajmił córce Frank z całym oburzeniem fałszywie oskarżonego. Jennifer ucichła, wsuwając kciuk do buzi, przez co oczy jej się rozbiegły. Tymczasem głęboko zakłopotany Michael z dłonią na rozporoku zrobił dwa kroki do tyłu.

April westchnęła i odsunęła z czoła kosmyk włosów.

- Dobrze - powiedziała. - W takim razie zanieś to do piwnicy. Pozbędziemy się tego z widoku, więcej na razie nie możemy zrobić. I ubierz się. Pora na lunch.

Frank zaniósł pudło do piwnicy, upuścił z szeleszczącym hukiem na podłogę, po czym kopnął w kąt, boleśnie uderzając się w wielki palec u nogi.

Ubrany w stare wojskowe spodnie i podartą koszulę, przez całe popołudnie pracował nad kamienną ścieżką. Długi kręty chodnik od drzwi frontowych do drogi z założenia miał odwieść gości od wchodzenia przez kuchnię. W zeszły weekend, kiedy zaczął, rzecz wydawała się prosta, teraz wszakże przekonał się, że płaskie głązy nie nadają się na zbocze o większym nachyleniu. Musiał robić stopnie z kamieni niemal tak samo grubych jak szerokich, które trzeba było wrywać z ziemi w lesie za domem i przynosić na chwiejnych nogach na frontowy trawnik. Musiał też wykopywać dziurę na każdy stopień w podłożu tak kamienistym, że dziesięć minut zajmowało dotarcie na głębokość trzydziestu centymetrów. Praca przy chodniku zmieniła się w bezmyślne, mało satysfakcjonujące zajęcie, w rodzaju tych, które zmęczeniem odbierają zręczność ruchom i przygnębiają brakiem postępu. Wszystko wskazywało na to, że zajmie całe lato.

Mimo to kiedy minęły pierwsze zadyszki i oszołomienie, Frank polubił fizyczny wysiłek i zapach ziemi. Przynajmniej była to męska robota. Kiedy spoglądał na porośnięte drzewami zbocze, mógł chociaż widzieć dom w taki sposób, w jaki dom powinien wyglądać w pogodny wiosenny dzień, bezpiecznie usadowione na dywanie zieleni, kruche białe sanktuarium miłości mężczyzny, jego żony i dzieci. Owładnięty powagą tej myśli, mógł czerpać przyjemność z widoku własnego napiętego uda w starych wojskowych spodniach, opartego o nie przedramienia z wyrazistą siatką żył oraz brudnej dłoni (może nieporównywalnej z dłonią ojca, ale użytecznej i wystarczająco dobrej); czując w skroniach pulsowanie zapału i triumfu, wyciągał kamień z dołka pełnego białych robaków i spuszczał z dudnieniem po zboczu, ponieważ był mężczyzną. Szedł za nim na skraj trawnika, znowu się pochylał, z wysiłkiem podnosił, opierał o uda, przesuwając wyżej, na pas, by wreszcie umościć go w miękkim zagłębieniu ramion, po czym, szklanym wzrokiem ledwo widząc zamazaną plamę domu, ruszał chwiejnie na zalany słońcem frontowy trawnik, a stamtąd na ścieżkę, gdzie upuszczał swoje brzemię i o mało nie padał w ślad za nim na ziemię.

- Pomagamy ci, prawda, tatusiu? - zapytała Jennifer. Dzieci siedziały koło niego na trawie. Słońce tworzyło idealne złote aureole wokół ich blond główek i nadawało białym T-shirtom oślepiającą jasność.

- Jasne, że tak - odparł.

- Tak, bo lubisz, jak z tobą jesteśmy, prawda?

- Oczywiście, dziecinko. Nie zbliżaj się za bardzo, zasypujesz dziurę. - Frank wrócił do pracy; łopata na długim trzonku pogłębiał otwór, ciesząc się rytmicznym zgrzytem metalu o kamień, który zaczynał się już chwiać.

- Tatusiu, dlaczego z łopaty lecą iskry? - zapytał Michael.
- Bo uderza o kamień. Kiedy uderzasz stałą o kamień, tworzą się iskry.
- A czemu nie wyjmiesz tego kamienia?
- Właśnie próbuję to zrobić. Nie zbliżajcie się teraz, coś może się wam stać.

Wreszcie Frank zdołał uwolnić kamień; wyciągnął go, po czym ukląkł, by usunąć brunatne kamyczki z dna otworu. Kiedy uznał, że głębokość i kształt są odpowiednie, wtoczył głaz i mocno uklepał. Kolejny stopień był gotowy. Nad głową Franka wirowało stado komarów; ledwo widoczne trzepotały mu przed oczami i strasznie łaskotały.

- Tatusiu? - odezwała się Jennifer. - Czemu mamusia spała na sofie?

- Nie wiem. Chyba miała na to ochotę. Poczekaj tutaj, pójdę po następny kamień.

Im więcej o tym myślał, tym wyraźniej uświadamiał sobie, że z punktu widzenia prostej uczciwości i taktu była to najlepsza odpowiedź, jakiej mógł udzielić. Po prostu miała na to ochotę. Czy to w końcu nie był jedyny powód? Czy kiedykolwiek w życiu kierowała się mniej egoistycznym, bardziej skomplikowanym powodem?

- Kocham cię, kiedy jesteś miły - powiedziała mu raz, zanim się pobrali; słysząc to, wpadł we wściekłość.

- Nie mów tak. Na litość boską, nie kocha się ludzi, kiedy są mili. Nie rozumiesz, że to tak, jakbyś mówiła: „A co z tego będę miała?”. Posłuchaj. - (Stali na Szóstej Alei w środku nocy. Stanowczo odsunął ją na odległość ramienia, trzymając dłonie na jej ciepłych plecach, pod płaszczem z wielbłądziej wełny.) - Posłuchaj. Albo mnie kochasz, albo nie. Musisz się zdecydować.

Och, rzeczywiście się zdecydowała. Łatwo było opowiedzieć się po stronie miłości na Bethune Street, po stronie dumnych i nagich przechadzek po zielonym dywanie, na którym pomiędzy składanymi krzesłami kładło się słońce, po stronie francuskich plakatów turystycznych i regału na książki zrobionego z drewnianych skrzyń: po stronie mieszkania, gdzie połowa przyjemności z romansu polegała na tym, że był prawie jak małżeństwo, i gdzie później, po wyprawie do ratusza i ceremonialnym odebraniu pozostałych dwóch kluczy od współlokatorów, połowa przyjemności z małżeństwa polegała na tym, że było jak romans. April opowiedziała się za tym wszystkim. I dlaczego nie? Czyż nie była to pierwsza miłość, jakiej w życiu zaznała? Nawet na poziomie praktycznych korzyści musiało to być niezaprzeczalnie pociągające: uwalniało ją od codziennych rozczarowań, które w przeciwnym wypadku spotkałyby ją jako średnio utalentowaną, średnio entuzjastyczną

absolwentkę szkoły dramatycznej; pozwoliło jej uroczo leniuchować w pracy na pół etatu („Dopóki mąż nie znajdzie posady, która naprawdę będzie mu odpowiadać”) i oszczędzać siły na ożywione dyskusje o książkach, filmach i brakach w usposobieniach innych ludzi, na wypróbowywanie nowych fryzur i nowych niedrogich ubrań („Te sandały naprawdę ci się podobają, czy za bardzo wyglądają na Village?”) oraz na trwające godzinami niespieszne pieszczoty w małżeńskim łóżu. Ale już wtedy brała pod uwagę możliwość ucieczki; była gotowa do odejścia w chwili, gdyby przypadkiem poczuła na to ochotę („Nie mów tak do mnie, Frank, bo odejdę. Mówię serio”.) albo gdyby coś potoczyło się nie tak.

A poważna przeszkoda pojawiła się na samym początku. Planowali wprawdzie czteroosobową rodzinę, ale nie od razu; według tych założeń April w pierwszą ciążę zaszła siedem lat za wcześnie. To był kłopot i gdyby znał ją wtedy lepiej, pewnie by się domyślił, jak April to przyjmie. Kiedy jednak dusznym autobusem wracali z gabinetu do domu, Frank o niczym nie miał pojęcia. Po drodze nie patrzyła na niego, głowę trzymała wysoko, pozostając w stanie szoku, niewiary, gniewu albo pretensji - na ile się orientował, w grę wchodziły wszystkie te emocje albo żadna. Przyciśnięty do niej, spocony, ze szczęką odrętwiałą od odważnego uśmiechu próbował znaleźć odpowiednie słowa, choć wiedział tylko, że nic tu nie gra. Niezależnie od reakcji na wieść o poczęciu, nawet jeśli jest to rozczarowanie i gniew zamiast radości, czy uczucia tego nie powinni dzielić oboje? Dlaczego żona odwraca się od męża? Dlaczego mąż musi walczyć o jej przychylność żarcikami i trzymaniem za ręce, jakby się bał, że wyparuje w chwili, gdy w ich życiu pojawiło się pierwsze autentyczne zaangażowanie? Przecież to nie może tak być. Bo w takim razie co właściwie jest ważne, do cholery?

Tydzień później po powrocie do domu zastał ją krążącą po mieszkaniu z rękoma splecionymi na piersiach, wzrokiem utkwionym w przestrzeń i rysami twarzy zastygniętymi w wyrazie, który oznaczał, że podjęła decyzję i z góry odrzuca wszelkie kontrargumenty.

- Frank, posłuchaj. Nic nie mów, dopóki nie skończę, tylko słuchaj. - Dziwnie stłumionym głosem, jakby kilka razy przećwiczyła przemowę, nie biorąc pod uwagę konieczności brania oddechu, opowiedziała mu o dziewczynie ze szkoły dramatycznej, która z pierwszej ręki знаła całkowicie niezawodny sposób na wywołanie poronienia. To było uosobienie prostoty: trzeba poczekać na odpowiednią porę, koniec trzeciego miesiąca, po czym napełnić wysterylizowaną gumową gruszkę do lewatywy wodą destylowaną i bardzo ostrożnie...

Napełniając płuca powietrzem przed krzykiem, Frank zdawał sobie sprawę, że to nie sam pomysł budzi w nim odrazę (sam pomysł, Bóg mu świadkiem, był bardziej niż odrobinę kuszący), ale fakt, że wszystko to zrobiła w sekrecie, zwróciła się do tamtej dziewczyny, uzyskała potrzebne informacje, kupiła gruszkę i przeciwoczyła przemowę; odnosił wrażenie, że jeśli myślała o nim, to wyłącznie jako o ewentualnej przeszkodzie, źródle kłopotliwych obiekcji, z którym należy się rozprawić, o ile plan ma zostać zrealizowany z maksymalną skutecznością. To było nie do zniesienia i to właśnie wzbogaciło jego głos drżącą nutą oburzenia:

- Na litość boską, nie bądź idiotką! Chcesz się zabić? Nie chcę nawet o tym słuchać.

Cierpliwie westchnęła.

- Dobrze, Frank. W takim razie z całą pewnością nie musisz o tym słuchać. Powiedziałam ci tylko dlatego, ponieważ sądziłam, że może będziesz chciał mi pomóc. Głupia byłam.

- Posłuchaj. Posłuchaj mnie. Jeśli to zrobisz, jeśli zrobisz, przysięgam na Boga, że...

- Och, że co? Zostawisz mnie? Co to ma być: groźba czy obietnica?

Kłótnia trwała całą noc. Sprawiała, że oboje syczeli, szarpali się, przewrócili krzesło, potem wylała się z mieszkania na schody, a stamtąd na ulicę („Wynoś się! Nie dotykaj mnie!"); zagnała ich drżących pod wysokie druczane ogrodzenie nabrzeżnego złomowiska i dopiero kiedy miejscowy pijak przyszedł pogapić się na nich, wrócili do domu. Frank nawet teraz, opierając się o drzewo i odganiając łaskoczące go w szyję komary, czuł tamtą panikę i wstyd. To, co go uratowało, dzięki czemu mógł teraz pochylić się i wyrwać ziemi następny kamień, a potem iść z nim po zboczach chwiejnym krokiem wyrażającym szacunek do siebie, była jego wygrana następnego dnia. Bo następnego dnia, szlochając w jego ramionach, April pozwoliła się przekonać.

- Och, wiem, wiem - szeptała z twarzą wtuloną w jego koszulę. - Wiem, że masz rację. Tak mi przykro. Kocham cię. Nazwiemy go Frank, pošlemy do college'u i w ogóle. Przyrzekam, przyrzekam.

Teraz wydawało mu się, że żadna chwila w jego życiu nie świadczyła lepiej o męskości niż tamta (o ile oczywiście jakiś dowód byłby potrzebny): gdy trzymał posłuszną, potulną dziewczynę i powtarzał: „Och, moja śliczna, moja śliczna”, a ona przyrzekała, że urodzi jego dziecko. Zataczając się i kolebiąc pod ciężarem kamienia w słońcu, upuścił go wreszcie, wytarł obolałe dłonie i ponownie ujął łopatę. Wokół niego świergotały piskliwie dzieci, tortura równie podstępna jak komary.

A ja nawet nie chciałem dziecka, myślałem w rytm kopania. Czy to nie jest niesamowite? Wcale bardziej od niej nie pragnąłem dziecka. Czy w takim razie nie jest prawdą, że od tamtej chwili całe jego życie to łańcuch decyzji podejmowanych wbrew sobie? Przyjęcie beznadziejnie nudnej pracy, aby dowieść, że tak samo jak każda inna głowa rodziny potrafi być odpowiedzialny, przeprowadzka do przepłaconego, snobistycznego mieszkania, by dowieść własnej dojrzałej wiary w fundamentalne prawdy porządku i zdrowia, sprowadzenie na świat drugiego dziecka, by dowieść, że pierwsze nie było pomyłką, kupno domu na wsi, ponieważ taki był następny logiczny krok i Frank musiał dowieść, że jest w stanie go uczynić. Udowadniał, udowadniał; a jedynym powodem było to, że ożenił się z kobietą, która jakimś cudem zdołała na trwałe zepchnąć go do defensywy, która kochała go, gdy był miły, która w życiu kierowała się wyłącznie własnymi kapryсами i która w każdej chwili (i o to właśnie, do cholery, chodziło), która w każdej chwili dnia lub nocy mogła nagle od niego odejść. To było takie groteskowe i proste.

- Znowu uderzasz w kamień, tatusiu?

- Nie, tym razem to korzeń - odparł. - A w dodatku jest za głęboko. Usuńcie się teraz, spróbuję włożyć głaz na miejsce.

Na klęczkach wtoczył głaz w dziurę, ale kamień nie pasował. Kołysał się i wystawał na trzy cale.

- Jest za wysoki, tatusiu.

- Wiem, dziecinko. - Z wysiłkiem wyjął kamień i zaczął uderzać w korzeń, próbując go przeciąć łopata jak nieporęczną siekierą. Korzeń był twardy jak kość. - Kochanie, powiedziałem, żebyście nie podchodzili tak blisko. Wsypujesz ziemię do dziury.

- Ja ci pomagam, tatusiu.

Jennifer wyglądała na urażoną i zaskoczoną; Frank pomyślał, że znowu się rozplacze. Postarał się zniżyć głos i nadać mu łagodny ton.

- Posłuchajcie mnie. Może znajdziecie sobie coś innego do roboty? Macie całe podwórko do zabawy. No, idźcie. To niezły pomysł. Zawołam was, jeśli będę potrzebował pomocy.

Ale po minucie wrócili, usiedli za blisko i cicho rozmawiali. Frank, któremu w głowie kręciło się od wysiłku, a oczy zalewał pot, siedział okrakiem nad dziurą i trzymając łopatę pionowo jak kafar, unosił ją wysoko i opuszczał z całą siłą na korzeń. Zdołał wyrwać poszarpaną ranę w wilgotnym białym mięsie, ale kotzeń nie chciał się złamać, nie chciał się poddać. Dzieci śmiały się głośno za każdym razem, kiedy łopata podskakiwała i dzwoniła w dłoniach ojca. Ich delikatny śmiech, miękkie jak płatki tulipana buzie i dwie słoneczne główki

kruche niczym skorupki jajka tworzyły straszliwy kontrast z ostrą stalą i drżącą miazgą drzewa, i to odczucie zniekształciło Frankowi postrzeganie rzeczywistości. Przez ułamek sekundy, gdy opuszczał łopatę, zdawało mu się, że widzi na jej drodze białą tenisówkę Michaela. Odrzucając z brzękiem narzędzie, wiedział, że to się nie zdarzyło, rzecz jednak w tym, że mogło się zdarzyć, i ogarnął go gwałtowny gniew. Nim się zorientował, złapał syna za pasek, okręcił go i dwukrotnie mocno uderzył płaską dłońią w pośladki, zdumiony siłą ciosów i własnym rykiem:

- Natychmiast się stąd wynoście! Natychmiast!

Michael odskoczył, trzymając się oburącz za pupę; ogarnęła go tak nagła i intensywna potrzeba płaczu, że przez kilka sekund po pierwszym wstrząśniętym pisku z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Zacisnęła kurczowo powieki, otworzył usta i zastygł, podczas gdy płuca walczyły o oddech; dopiero po chwili wydał przeciągły, piskliwy jęk bólu i upokorzenia. Jennifer utkwiała w ojcu okrągłe z przerażenia oczy; z następnym oddechem wykrzywiła buzię i także wybuchnęła płaczem.

- Tyle razy wam mówiłem - tłumaczył Frank, gestykulując gwałtownie. - Mówiłem, że będą kłopoty, jeśli za bardzo się zbliżycie. Mówiłem? Prawda? Dobrze, teraz idźcie. Oboje.

Nie musiał im tego powtarzać. Oddalali się od niego po trawie, zapłakani, rzucając mu przez ramię pełne wyrzutów spojrzenia. Jeszcze sekunda, a pobiegłby za nimi z przeprosinami, sam mógłby się rozplakać, gdyby nie zmusił się do wzięcia łopaty i uderzenia w korzeń: pracując, przygotowywał niespokojną, cichą mowę na swoją obronę. Cholera jasna, ciągle im to powtarzałem, zapewniał się; teraz już jego umysł miłosiernie nagiął fakty. Na litość boską, mały podstawił nogę prosto pod łopatę. Gdybym na czas nie skręcił ręki, nie miałby stopy, na litość boską...

Kiedy znowu podniósł wzrok, zobaczył, że z kuchennych drzwi wyszła April i skręciła za dom. Dzieci pobiegły ku niej i ukryły buzie w jej spodniach.

Rozdział czwarty

Potem była niedziela. Salon wypełniał monotony szelest niedzielnych gazet, a Frank Wheeler i jego żona nie wymienili słowa przez czas, który wydawał się długi jak rok. April pojechała sama na drugie i ostatnie przedstawienie Skamieniałego lasu, potem znowu spała na sofie.

Frank usiłował odprężyć się w fotelu, przeglądając dodatek do „Timesa”, podczas gdy dzieci bawiły się cicho w kącie, April zaś zmywała naczynia w kuchni. Kilka razy przekartkował magazyn, odłożył i znowu wziął, nieodmiennie wracając do dramatycznie oświetlonej fotografii z podpisem zaczynającym się od słów: „Niezwykle powabna, bez wątpienia kobieca suknia na wszelkie okazje...” Przedstawiała dziewczynę o obfitszych piersiach i biodrach, niż spodziewałby się u modelki. Na początku pomyślał, że przypomina Maureen Grube z jego biura, później uznał, że ta tutaj jest o wiele ładniejsza i przypuszczalnie inteligentniejsza. Wciąż jednak pozostawało niejake podobieństwo; studiując niezwykle powabną, bez wątpienia kobiecą dziewczynę, pogrążył się w erotycznych myślach. Na ostatnim przyjęciu bożonarodzeniowym w biurze, wcale nie tak pijany, jakiego udawał, przyparł Maureen Grube do szafki z dokumentami i pocałował namiętnie w usta.

Niezadowolony z siebie, upuścił gazetę na dywan i zapalił papierosa, nie zauważając, że poprzedni zmienia się w popiół na popielniczce. Potem, jakby dlatego, że popołudnie było pogodne, dzieci grzeczne, a kłótnia z April należała już do przeszłości, poszedł do kuchni i ujął za łokcie żonę pochyloną nad zlewem pełnym piany.

- Posłuchaj - szepnął. - Nie obchodzi mnie, kto ma rację, kto się myli i czego cała ta cholerna sprawa dotyczy. Nie moglibyśmy dać sobie z tym spokoju i dla odmiany zacząć się zachowywać jak normalni ludzie?

- Aż do następnej okazji, chcesz powiedzieć? Niech wszystko będzie ładne i miłe do następnego razu? Obawiam się, że to mi nie odpowiada, wielkie dzięki. Zmęczyła mnie ta gra.

- Nie widzisz, że jesteś niesprawiedliwa? Czego ode mnie oczekujesz?

- W tej chwili dwóch rzeczy. Żebyś mnie puścił i żebyś nie podnosił głosu.

- Powiesz mi coś? Powiesz mi, co do diabła próbujesz zrobić?

- Oczywiście. Próbuję pozmywać naczynia.

- Tatusiu? - odezwała się Jennifer, gdy wrócił do salonu. - Co?

- Poczytałbyś nam historyjki?

Nieśmiałość tej prośby i ufność w oczach córki sprawiły, że miał ochotę się rozplakać.

- Jasne - odparł. - Usiądźmy tu we troje i poczytajmy historyjki.

Złapał się na tym, że przy lekturze mimowolnie jego głos nabiera sentymentalnych tonów. Dzieci siedziały z główkami przyciśniętymi do jego żeber, z cienkimi nóżkami wyciągniętymi prosto na poduchach i ogrzewającymi mu uda. One wiedziały, na czym polega wybaczenie, one gotowe były z nim być na dobre i na złe, one go kochały. Dlaczego April nie potrafi pojąć, jak prostą i konieczną rzeczą jest miłość? Dlaczego wszystko musi komplikować?

Jedyny problem polegał na tym, że historyjki obrazkowe ciągnęły się w nieskończoność; odwracanie kolejnych stron wcale nie zbliżało go do końca zadania. Dość szybko głośna lektura stała się wysilona, pośpieszna i monotonna, a prawe kolano Franka podrygiwało z irytacji.

- Tatusiu, opuściliśmy komiks.

- Nie, słoneczko. To tylko reklama. Nie spodoba ci się.

- Spodoba.

- Mnie też.

- Ale to nie jest śmieszne, tylko tak wygląda. To reklama pasty do zębów.

- Przeczytaj nam.

Przygryzł wargę. Wszystkie nerwy w korzeniach zębów zdawały się splatać w ścisły węzeł z nerwami w korzonkach włosów.

- Dobrze - rzekł. - Na pierwszym obrazku ta pani chce zatańczyć z tym panem, ale on jej nie prosi, więc na następnym ona płacze, a jej przyjaciółka mówi, że może ten pan nie chciał z nią tańczyć, bo jej oddech nie pachnie najładniej. Na trzecim pani rozmawia z dentystą, który jej mówi...

Frank miał wrażenie, jakby bezradnie pogrążył się w poduchach, gazetach i ciałach dzieci niczym w ruchomych piaskach. Kiedy wreszcie dotarł do ostatniej strony, z wysiłkiem łapiąc oddech, podniósł się, po czym przez kilka minut stał nieruchomo na środku pokoju. Mocno zaciskał ukryte w kieszeniach dłonie, by powstrzymać się przed zrobieniem tego, co nagle wydawało się jedyną rzeczą w świecie, której szczerze pragnął: przed złapaniem krzesła i rzuceniem w okno widokowe.

Do diabła, co to za życie? W imię Boga, jaki jest sens, znaczenie, cel takiego życia?

Kiedy nadszedł ciężki od piwa wieczór, Frank z niecierpliwością wyczekiwał przyjscia Campbellów. W normalnych okolicznościach mogłoby go to przygnębić („Dlaczego nigdy z nikim innym się nie spotykamy? Zdajesz sobie sprawę, że to właściwie jedyni nasi przyjaciele?"), ale dzisiaj wieczorem ich wizyta zapowiadała się obiecująco. W ich towarzystwie przynajmniej

będzie musiała śmiać się i rozmawiać; przynajmniej od czasu do czasu będzie musiała z uśmiechem nazywać go „kochanie”. Poza tym nie można było zaprzeczyć, że Campbellowie wydobywali najlepsze cechy z nich obojga.

- Cześć! - wołali jedno do drugiego.

- Cześć!... Cześć!...

Ta wypełniona zadowoleniem sylaba, płynąca z gęstniejącego zmierzchu i powtarzana z progu kuchni Wheelerów tradycyjnie zapowiadała wieczorną rozrywkę. Potem następowały uściski dłoni, stateczne cmoknięcia, westchnienia dobrodusznego wyczerpania - „Aaach”, „Ktooo” - sugerujące, że trzeba było przebyć wiele mil gorącego piasku, by znaleźć tę oazę, albo że w oczekiwaniu na tę chwilę wstrzymywano boleśnie oddech. W salonie po pierwszych łykach i grymasach nad szklankami z ocukrzonym brzegiem wszyscy zebrali siły na okazanie sobie wzajemnego podziwu, po czym przyjęli pozy kontrolowanej swobody.

Milly Campbell zrzuciła buty i usadowiła się na sofie, wsuwając stopy pod pośladki. Jej uniesioną twarz rozjaśnił miły uśmiech - może nie była najładniejszą dziewczyną na świecie, ale bystrą i zabawną.

Obok niej Frank zsunął się tak, że założona noga znalazła się na wysokości głowy. Jego oczy czujnie wypatrywały możliwości rozpoczęcia rozmowy, cienkie usta już układały się w grymas ironii, jakby toczył małą gorzką pigułkę na języku.

Shep, potężny i godny zaufania, który wywierał uspokajający wpływ na grupę, rozstawił swoje mięsiste kolana i rozluźnił muskularnymi palcami krawat, by dać gardłu swobodę przy wybuchach śmiechu.

April ostatnia zajęła miejsce, ze staranną elegancją siadając na krześle. Głowę odrzuciła na oparcie, by wydmuchiwać w sufit smutne, arystokratyczne smużki dymu z papierosa. Mogli zaczynać.

Na początku z zaskoczeniem i ulgą stwierdzili, że z delikatnym tematem Laurel Players szybko się uporają. Załatwili to krótką wymianą zdań, kilkoma pogardliwymi uśmieszkami i potrząśnięciami głowy. Milly twierdziła, że drugie przedstawienie było o wiele lepsze od pierwszego. „No wiecie, przynajmniej widownia bardziej... cóż, bardziej doceniła spektakl, tak myślę. A ty, kochanie?”. Shep oznajmił, że on osobiście bardzo się cieszy, że ma tę cholerną sprawę za sobą, April zaś, ku której wszyscy zwrócili nerwowe spojrzenia, uspokoiła ich uśmiechem.

- Jak to się mówi, to była świetna zabawa. Wczoraj mnóstwo ludzi to powtarzało. Musiałam słyszeć ten zwrot ze sto razy.

Po minucie rozmowa zboczyła na dzieci i choroby (najstarszy syn Campbellów miał niedowagę i Milly zastanawiała się, czy nie cierpi na jakąś rzadką chorobę krwi, dopóki nie przerwał jej Shep, stwierdzając, że cokolwiek to jest, z całą pewnością nie wpłynęło na siłę jego rzutów w baseballu), następnie wszyscy zgodzili się, że szkoła podstawowa jest naprawdę dobra pomimo reakcyjnego zarządu, a wreszcie zajęli się nie wiadomo dlaczego tak wysokimi cenami w supermarkecie. I dopiero wtedy, podczas długiego wywodu Milly o jagnięcych kotletach, w pokoju zapanował niemal namacalny dyskomfort. Wszyscy poprawili się na miejscach, wypełniali niezręczne przerwy skomplikowanymi pochwałami napojów odświeżających, unikali swojego wzroku i dokładali wszelkich starań, by zignorować alarmującą, bezdyskusyjną świadomość, że nie mają o czym rozmawiać. To było nowe doświadczenie.

Dwa lata temu, nawet przed rokiem taka rzecz była nie do pomyślenia, bo zawsze w odwodzie mieli temat skandalicznej kondycji narodu.

- I jak wam się podoba ta sprawa Oppenheimera? - pytało jedno, a pozostali z rewolucyjnym zapalem walczyli o głos. Rozrastające się niczym rak wpływy senatora McCarthyego zatrwały Stany Zjednoczone i po drugim, trzecim drinku rozmówcy zaczęli postrzegać siebie jako członków obłąkanego, kurczącego się intelektualnego podziemia. Wyciągano wycinki z „Observera” albo „Manchester Guardian” i odczytywano na głos, a lekturze towarzyszyły wolne i pełne szacunku potakiwania; Frank tęsknie rozprawiał o Europie - „Boże, żałuję, że tam nie pojechaliśmy, kiedy była okazja” - a to budziło gwałtowną żądę opuszczenia kraju: „Jedźmy wszyscy!” (Raz posunęli się nawet do praktycznej dyskusji o pieniądzech potrzebnych na rejs statkiem, czynsz oraz szkoły, ale przerwał ją Shep, po otrzeźwiającej kawie stwierdzając, że czytał artykuł o kłopotach na europejskim rynku pracy.)

Nawet gdy wyczerpali kwestie polityczne, wciąż pozostawały ulotne, acz nieskończenie absorbujące tematy Konformizmu, Przedmieść, Madison Avenue czy Współczesnego Amerykańskiego Społeczeństwa.

- O Jezu - zaczynał na przykład Shep. - Znacie tego typu, który mieszka obok nas? Tego Donaldsona? Ciągłe bawi się swoją elektryczną kosiarką i opowiada o wyścigu szczurów i nieagresywnej reklamie. Tak? To posłuchajcie: mówiłem wam, co powiedział o swoim grillu? - Tu następowała anegdota o niezwykłym samozadowoleniu mieszkańca przedmieść, rozśmieszająca ich do rozpuku.

- Och, nie wierzę - upierała się April. - Oni naprawdę tak mówią?

Frank rozwijał temat:

- Sęk w tym, że to nie byłoby takie złe, gdyby nie było typowe. To nie tylko Donaldsonowie, ale Cramerowie, ci jak im tam, Wingate'owie, i miliony innych. To ci wszyscy idioci, z którymi codziennie jeżdżę pociągiem. Cały kraj choruje. Nikt już nie myśli, nie czuje, nie przejmuje się, nikt nie ekscytuje się ani nie wierzy w nic z wyjątkiem własnej, wygodnej, przeklętej przez Boga przeciętności.

Milly Campbell wiła się z rozkoszy.

- Och, jakież to prawdziwe. Zgadzasz się, kochanie? Wszyscy się zgadzali, a przyjemny wniosek, który z tego wypływał, brzmiał następująco: tylko oni wciąż pozostawali boleśnie żywi w nasiąkniętej narkotykami, umierającej kulturze. To w obliczu tej konstatacji, w ostrożnej odpowiedzi na tę samotność pomysł Laurel Players wydał im się na początku taki pociągający. Wiadomość przyniosła Milly: ludzie z drugiej strony wzgórza chcą zorganizować grupę teatralną. Zamierzają wynająć nowojorskiego reżysera i wystawić poważną sztukę, o ile zdołają w społeczności wzbudzić odpowiednie zainteresowanie. Och, przypuszczalnie nic z tego nie wyjdzie - Milly była o tym przekonana - ale nieśmiało zastanawiała się, czy nie byłaby to dobra zabawa. April odpowiedziała lekceważeniem:

- Boże, znam tych cholernych nieudanych artystów. Będzie wśród nich kobieta z niebieskimi włosami i drewnianymi paciorkami, która kiedyś poznała Maxa Reinhardta, dwóch, trzech młodych mężczyzn z lekkimi skłonnościami homoseksualnymi i siedem dziewcząt z pryszczami.

Później w miejscowej gazecie pojawiło się wysmakowane ogłoszenie („Szukamy aktorów...”) i Wheelerowie na jakimś poza tym nudnym przyjęciu spotkali inicjatorów. Musieli przyznać, że są, jak określiła to April, „autentyczni”. W Boże Narodzenie poznali reżysera i zgodzili się z Shepem, że wygląda na faceta, który wie, co robi; nim minął miesiąc, wszyscy zaangażowali się w sprawę. Nawet Frank, który odmówił starania się o rolę („Byłbym do niczego”), pomógł w pisaniu materiałów promocyjnych i wydrukował je u siebie w biurze, i to on z największą nadzieją mówił o społecznych i filozoficznych możliwościach tego przedsięwzięcia. Gdyby udało się założyć naprawdę dobry, naprawdę poważny teatr w tej społeczności, czy nie byłby to krok we właściwym kierunku? Bóg wie, że przypuszczalnie nigdy nie natchną inspiracją Donaldsonów - komu zresztą na tym zależy? - ale w najgorszym razie mogą dać Donaldsonom do myślenia, mogą pokazać Donaldsonom, że istnieje życie poza dojazdami pociągiem do pracy, partią republikańską i grillem. Poza tym co mieli do stracenia?

Czymkolwiek to było, stracili to. Winę za klęskę Laurel Players trudno było zwalić na Konformizm, Przedmieścia czy Współczesne Amerykańskie Społeczeństwo. Jak mogli teraz opowiadać dowcipy o sąsiadach, skoro ci sami sąsiedzi siedzieli na widowni, oblewając się potem zażenowania? Donaldsonowie, Cramerowie, Winegate'owie i wszyscy pozostali przyszli na Skamieniały las z zaskakująco otwartymi umysłami i doznali rozczarowania.

Milly mówiła o ogrodnictwie, o trudnościach z wyhodowaniem zdrowego trawnika na Revolutionary Hill, a jej oczy z wolna zasnuwały się mgłą paniki. Od ponad dziesięciu minut w salonie rozbrzmiewał wyłącznie i nieprzerwanie jej głos. Wydawało się, iż doskonale zdaje sobie z tego sprawę, a równocześnie świadoma jest, że jeśli umilknie, dom wypełni się ciszą tak gęstą jak woda, jak niesamowicie głęboki, szeroki staw, w którym sama utonie.

Na ratunek przybył jej Frank.

- Hej, Milly, chciałem cię o coś zapytać. Wiesz, co to jest zachodnik? Albo wychodnik? Gatunek rośliny?

- Zachodnik - powtórzyła z udanym namysłem; rumieniec wdzięczności zalewał jej łagodniejącą twarz. - Tak od ręki nie potrafię odpowiedzieć, Frank, ale mogę to dla ciebie sprawdzić. Mamy w domu taką książkę.

- Właściwie to nie jest ważne - odparł. - Tylko że wczoraj wpadła tu jak po ogień pani Givings z wielkim pudłem tych zwariowanych...

- Pani Givings! - wykrzyknęła Milly z nagłą ekstazą, której powodem była ulga i odświeżenie pamięci. - Ojejku, jeszcze wam o tym nie powiedziałam! Chyba nawet nie powiedziałam Shepowi, co, kochanie? Mówiłam o ich synu? To niesamowite!

I znowu mówiła tylko ona, ale ten monolog był zupełnie inny: wszyscy jej słuchali. Zapał w głosie, żarliwość, z jaką pochylała się, by obciągnąć spódnicę na pomarszczonych kolanach obiecywał nowość, a Milly smakowała uwagę słuchaczy i robiła, co mogła, by opóźnić przekazanie rewelacji. Przede wszystkim czy wiedzieli, że Givingsowie mają syna?

Naturalnie, że wiedzieli; Milly mądrze kiwała głową, pozwalając na tę przerwę, podczas gdy oni przypominali sobie chudego żeglarza, którego zdjęcie uśmiechało się z kominka, kiedy raz poszli tam na kolację. Pani Givings wyjaśniła, że to John, który nienawidzi marynarki wojennej, cudownie poradził sobie na MIT, a teraz cudownie sobie radził jako wykładowca matematyki na uniwersytecie na zachodnim wybrzeżu.

- No cóż - mówiła Milly. - Już nie uczy matematyki ani nie mieszka na zachodzie. Wiecie, gdzie jest? Wiecie, gdzie przebywa od dwóch miesięcy?

Tutaj, w Greenacres. No wiecie - dodała, gdy spojrzeli na nią pustym wzrokiem. - W szpitalu stanowym. Dla psychicznie chorych.

Teraz wszyscy się przekrzykiwali, zbici w gromadkę w obłoku papierosowego dymu: niemal jak za dawnych czasów. Czy to nie najbardziej cholerna, najdziwniejsza, najsmutniejsza rzecz? Czy Milly jest całkowicie pewna tego, co mówi?

O tak, o tak, całkowicie.

- A co więcej - ciągnęła - on nie poszedł tak po prostu do Greenacre. Został ujęty i odwieziony przez policję.

Niejaka pani Macready, która pracowała u Givingsów jako dochodząca sprzątaczką, opowiedziała Milly całą historię zaledwie wczoraj, w centrum handlowym, i w głowie jej się nie mieściło, że Milly wcześniej o tym nie słyszała.

- Myślała, że wszyscy już o tym wiedzą. W każdym razie wygląda na to, że... no wiecie, od dawna był psychicznie zaburzony. Givingsowie praktycznie zbankrutowali, usiłując opłacić prywatne sanatorium w Kalifornii; przebywał tam przez kilka miesięcy, potem wychodził, chyba wtedy pracował, ale znowu wracał. Przez długi czas wydawało się, że wszystko z nim w porządku, aż rzucił pracę i zniknął. Pojawił się tutaj bez ostrzeżenia, wpadł do domu i przez prawie trzy dni tak jakby trzymał ich w niewoli. - Zachichotała niespokojnie, świadoma, że zwrot „trzymać w niewoli” może zabrzmieć zbyt melodramatycznie, żeby być prawdziwym. - Tak w każdym razie nazwała to pani Macready. To znaczy chyba nie miał strzelby, noża ani nic w tym rodzaju, ale musiał przerazić ich śmiertelnie, zwłaszcza jak się weźmie pod uwagę wiek pana Ghdnigsa i jego kłopoty z sercem. Zamknął ich na klucz, przeciął kable telefoniczne i oznajmił, że nie odejdzie, dopóki mu nie dadzą tego, po co przyszedł, tylko że nie chciał sprecyzować, co to właściwie jest. Raz powiedział, że chodzi mu o metrykę urodzenia. Przeszukali wszystkie papiery, znaleźli i mu dali, ale on ją podarł. Potem chodził po mieszkaniu, bez przerwy mówił - raczej bredził i niszczył rzeczy. Łamał meble, zrywał obrazy ze ściany, tłukł naczynia, wszystko. W środku tego wszystkiego pani Macready przyszła do pracy i też ją zamknął (rozumiecie, w taki sposób się dowiedziała). Była tam chyba z dziesięć godzin, nim udało jej się uciec przez garaż. Wezwała policję stanową. Przyjechali i zabrali go do Greenacres.

- Boże, policja stanowa - powiedziała April. - To straszne.

- Pozostali z powagą pokręcili głowami na znak zgody.

Shep był skłonny powątpiewać w wiarygodność sprzątaczkii („W końcu to tylko plotki”), ale pozostali go przegadali. Plotka czy nie, była w niej nieomylna nuta prawdy.

April zauważyła, jak znaczące wydaje się pozornie pozbawione celu wizyty, które ostatnimi czasy składała im pani Givings:

- To bardzo śmieszne, bo zawsze miałam wrażenie, że o coś jej chodzi, chce nam coś powiedzieć, ale nie potrafi tego wykrztusić. Ty też miałeś takie wrażenie? - (Tutaj zwróciła się do męża, ale nie spojrzała mu prosto w oczy ani nie dodała „kochanie” czy choćby „Frank”, co napełniłoby jego serce nadzieją. Z wysiłkiem zdobył się na potwierdzenie.) - Boże, ależ to smutne - ciągnęła April. - Przypuszczalnie umiera z chęci mówienia o tym, sprawdzenia, ile wiemy.

Milly, radośnie odprężona, pragnęła omówić sprawę z kobiecego punktu widzenia. Co czuje matka, dowiadując się, że jej jedyne dziecko jest psychicznie upośledzone? Shep przysunął swoje krzesło do Franka, izolując się w ten sposób od dziewcząt, i wdał się w trzeźwą i mało skomplikowaną dyskusję o aspektach prawnych. W czym rzecz? Czy człowieka można ot, tak siłą zamknąć w wariatkowie? Czy z prawnego punktu widzenia trochę to nie śmierdzi?

Frank zaczął dostrzegać, że jeśli pozwoli rozmowie toczyć się w tym kierunku, podniecenie wywołane tematem wkrótce opadnie, a bez tego wieczór może przerodzić się w najbardziej ponury rodzaj przedmiejskiego zabijania czasu; wyobrażał sobie, że tak właśnie spędzają wieczory Donaldsonowie, Wingate'owie i Cramerowie: kobiety w swoim gronie wymieniają się przepisami i opowiadają o strojach, mężczyźni rozmawiają o pracy i samochodach. Jeszcze chwila i Shep może ze śmiertelną powagą zapytać: „Co tam w pracy, Frank?”, jakby Frank wielokrotnie nie dawał jasno do zrozumienia, że praca jest najmniej ważną częścią jego życia, wartą wyłącznie ironicznych wzmianek. Nadeszła pora na czyny.

Upił spory łyk, pochylił się i podniósł głos na tyle, by nikt nie miał wątpliwości, iż zwraca się do całej grupy. Czy ta historia, zapytał, nie jest cudownie typowa dla tych czasów i miejsca? Człowiek może bredzić, niszczyć rzeczy, szarpać się z policją, a mimo to co wieczór o zmierzchu na każdym trawniku wirują zraszacze i w każdym salonie brzęczy włączony telewizor. Jedyne dziecko wraca do domu chore na umyśle, przyczyniając matce Bóg wie jakich cierpień wywołanych żalem i poczuciem winy, a ona wciąż roztrząsa decyzje urzędu geodezyjnego, radośnie pozdrawia sąsiadów i rozdaje pudła roślin ogrodowych.

- Dekadencja - zadeklarował - do jakiego stopnia dekadencje może stać się społeczeństwo? Popatrzcie na to w ten sposób. Ten kraj przypuszczalnie jest psychiatryczną i psychoanalityczną stolicą świata. Stary Freud nie byłby w stanie wymarzyć sobie bardziej oddanych akolitów niż mieszkańcy Stanów Zjednoczonych, mam rację? Cała nasza przeklęta kultura jest na to nastawiona, to nowa religia, którą wysysamy z mlekiem matki. A pomimo to patrzcie, co się dzieje, kiedy człowiekowi faktycznie odbija szajba. Wzywają policję, szybko usuwają go z widoku i zamykają, zanim pobudzi sąsiadów. Na miłość boską, kiedy dochodzi do kryzysu, wciąż tkwimy w średniowieczu. Jakbyśmy zawarli milczące porozumienie, żeby żyć w stanie totalnego samookłamywania się. Do diabła z rzeczywistością! Lepiej mieć śliczne kręte drogi i śliczne małe domki pomalowane na landrynkowy róż i błękit; lepiej bądźmy dobrymi konsumentami, trwajmy we Wspólnocie i wychowujmy dzieci w sentymentalnych banałach. Tatuś jest wspaniałym mężczyzną, bo zarabia na życie, a mamusia wspaniałą kobietą, bo przez wszystkie te lata stoi przy boku tatusia - a jeśli stara rzeczywistość wyskoczy zza węgła z okrzykiem: „Bum!”, zajęci naszymi sprawami, udawajmy, że to się w ogóle nie stało.

Zwykle tego rodzaju wypowiedź wywoływała hałaśliwą aprobatę, w najgorszym zaś razie skłaniała Milly do okrzyku: „Och, jakie to prawdziwe!”, ale teraz nie wywołała spodziewanego efektu. Wszyscy troje uprzejmie słuchali, a kiedy Frank zamilkł, na ich twarzach odmalowała się ulga, jak u studentów na koniec wykładu.

Nie pozostało mu nic innego, jak wstać, pozbierać szklanki i wycofać się do kuchni, gdzie z rozdrażnieniem i hałaśliwie zmagął się z pojemnikiem na lód. W czarnym kuchennym oknie odbijała się wyraźnie jego twarz, okrągła i słaba; przyglądał się jej z pogardą. A potem sobie o czymś przypomniał, przy czym myśl zdawała się raczej następować niż poprzedzać udrękę na odbitej w szybie twarzy, co wstrząsnęło nim i napełniło poczuciem ironicznej sprawiedliwości. Zaraz potem konsternacja ustąpiła miejsca mądrym i gorzkiemu uśmiechowi, jakby odbicie raczej antycypowało, niż odzwierciedlało jego nastrój; głowa w szybie kilka razy do niego pokiwała. Frank zajął się drinkami, pragnąc jak najszybciej wrócić do towarzystwa. Rzecz, o której sobie przypomniał, niezależnie od tego, co poza tym znaczyła, stanowiła temat do rozmowy.

- Coś mi przyszło do głowy - oznajmił i wszyscy na niego spojrzeli. - Jutro są moje urodziny.

- Cudownie! - powiedzieli Campbellowie zmęczonym i gratulacyjnym unisono.

- Będę miał trzydzieści lat. Możecie to przebić?

- Do diabła, tak, ja mogę - odparł Shep, który miał trzydzieści dwa lata, a Milly, która skończyła trzydzieści cztery, zaczęła strzepywać papierosowy popiół z kolan.

- Wiem, ale śmieszna jest myśl, że już przestałeś być dwudziestoparolatkiem - stwierdził Frank, sadowiąc się na sofie. - To jak... no wiecie, koniec pewnej ery, coś w tym rodzaju. Sam nie wiem. - Robił się pijany, już był pijany. Za chwilę będzie wygadywał jeszcze większe głupstwa, zacznie się powtarzać; zdawał sobie z tego sprawę i w desperacji wywołanej tą świadomością mówił jeszcze więcej. - Urodziny. To zabawne, jak nakładają się na siebie, kiedy patrzysz wstecz. Ale jedno pamiętam cholernie dobrze. To były moje dwudzieste. - Opowiadał, jak spędził je pod obstrzałem z moździerzy i karabinów maszynowych w ostatnim tygodniu wojny. Mała i trzeźwa cząstka jego umysłu wiedziała, dlaczego to robi: ponieważ wesołe anegdoty o wojsku i wojnie nieraz okazywały się ostatecznym ratunkiem dla wieczorów spędzanych z Campbellami. Shep niczego bardziej nie lubił, a chociaż dziewczęta niekiedy śmiały się w nieodpowiednich miejscach i żartobliwie twierdziły, że nigdy nie pojmą zainteresowań i lojalności mężczyzn, słuchały z uwagą, zauroczone romantyzmem opowieści. Jedna z najbardziej pamiętnych nocy w dziejach ich przyjaźni składała się z serii doskonale opowiedzianych historyjek wojskowych i znalazła swój punkt kulminacyjny w donośnym męskim śpiewie. Shep Campbell i Frank Wheeler, śmiejąc się do rozpuku, spoceni i skąpani w sennym podziwieniu żon, pięściami wybijali marszowy rytm na stoliku do kawy i o trzeciej nad ranem śpiewali wniebogłosy:

Ohoho

Hejże, ho, Boże Wszchemogący

Kim do diabła jesteście?

Bum bum, a niech to

Jesteśmy piechotą

Opowiedział więc anegdotę jak najstaranniej i jak najlepiej, szpikując ją szczerze autoironią, która przez lata ukształtowała styl jego militarnych wspomnień. Dopiero kiedy doszedł do zdania brzmiącego: „...więc szturchnąłem faceta obok mnie i zapytałem: »Hej, jaki dzisiaj jest dzień?«”, ogarnął go niepokój, ale było za późno. Nie pozostało mu nic innego jak zakończyć: »I okazało się, że to moje urodziny«. Teraz wiedział, że już wcześniej w niemal identycznych słowach opowiedział tę historię Campbellom; musiał to zrobić przed rokiem, w związku z dwudziestymi dziewięciami urodzinami.

Oboje Campbellowie sumiennie cmoknęli z rozbawieniem, Shep dyskretnie spojrział na zegarek. Ale najgorszy - najgorszy w całym weekendzie, o ile nie w całym jego dotychczasowym życiu - był wzrok April. Nigdy dotąd nie widział w jej oczach takiego wyrazu litościwej nudy.

Jej spojrzenie dręczyło go przez całą samotną noc, towarzyszyło mu rano, gdy naprędce przełknąwszy kawę, wycofywał poobijanego starego forda na podjeździe. W drodze do pracy, on, jeden z najmłodszych i najzdrowszych pasażerów w pociągu, siedział z miną człowieka skazanego na powolną bezbolesną śmierć. Miał wrażenie, że już dawno wkroczył w wiek średni.

Architekci Knox Building nie zadali sobie trudu, by ich budynek sprawiał wrażenie wyższego niż rzeczywiste dwadzieścia pięter, w rezultacie czego wydawał się niższy. Nie zadali sobie też trudu, by go upiększyć, był więc brzydki: prostokątny, z płaskim dachem i wąskim gzymsem barwy groszku, wystającym niczym jezior. Znajdował się w odpowiednio monotonnej części śródmieścia i od dnia wielkiego otwarcia na początku wieku jego niewątpliwym przeznaczeniem było usadowienie się pośród niezliczonych prostopadłościennych brył pod chmurami dymu, nad którymi na fotografiach lotniczych górują najwyższe wieżowce Nowego Jorku.

Pomimo jednak swej nijakości Knox Building zawierał sporą dozę zdrowego rozsądku. Jeśli nawet brakowało mu wspaniałości, to przynajmniej był solidny; nie odznaczał się heroizmem, ale z pewnością nie był też frywolny; taki budynek oznaczał interesy.

- Jest tam, Frank - powiedział do syna Earl Wheeler w letni poranek 1935 roku. - Naprzeciwko nas. Centrala. Lepiej weź mnie za rękę, przejście jest tu niebezpieczne...

Rozdział piąty

To był jedyny raz, gdy ojciec zabrał Franka do Nowego Jorku; ów dzień stanowił zwieńczenie kilku tygodni, które z perspektywy czasu zawsze wydawały się jedynym okresem, kiedy do ojca zastosować można było przymiotnik „jowialny”. W rozmowach przy kolacji z ust ojca często padała zaszyfrowana fraza „Oat Fields” w połączeniu z „Nowym Jorkiem” i „Centralą”, raz po raz skłaniając matkę do wykrzykników: „Och, to cudowne, Earl!” oraz „Och, taka jestem rada”. Frank w końcu odgadł, że Oat Fields nie ma nic wspólnego z płatkami Quaker Oats, ale jest dziwnym nazwiskiem człowieka (pan Oat Fields), mężczyzny godnego uwagi nie tylko ze względu na posturę („Jeden z największych ludzi w Centrali”), ale też potężny intelekt. Ledwo zdążył przetrawić tę informację, gdy matka przekazała mu dość zaskakującą wiadomość. Pan Oat Fields, dowiedziawszy się, że pan Earl Wheeler ma dziesięcioletniego syna, zaproponował, by chłopiec towarzyszył ojcu w trakcie wizyty w Centrali. Obaj będą gośćmi pana Fieldsa na luncheonie (to wtedy po raz pierwszy w życiu Frank usłyszał, jak matka mówi „luncheon”, a nie „lunch”), po którym pan Fields zabierze ich na mecz Yankeesów. Przez następne dni napięcie rosło nieznośnie, by w dniu podróży zagrozić całej eskapadzie fiaskiem: Frank niemal zwymiotował śniadanie ze zdenerwowania i choroby lokomocyjnej w drodze do miasta i pewnie zrobiłby to w taksówce, gdyby kilku ostatnich przecznic nie przeszli pieszo. Na świeżym powietrzu poczuł się lepiej, w głowie mu się rozjaśniło i wszystko wskazywało na to, że będzie dobrze.

- Proszę - powiedział ojciec, kiedy przeszli na drugą stronę ulicy. - Tu jest fryzjer, gdzie zaraz pójdziemy się ostrzyć, a tu metro; widzisz, że zbudowali wejście w budynku? I popatrz tam, to sala wystawowa. Okna biegną przez całą długość budynku. O wiele większe, niż w naszej starej sali, co? Są tu maszyny do pisania, kalkulatory, liczydła i nowe maszyny do księgowania w kącie; i popatrz tam, na następne okno. To maszyny do dziurkowania kart. Ta wielka to tabulator, a ta mała obok to sortownik. Demonstracja działania tej ślicznotki to prawdziwa sensacja. Facet bierze stos kart, układa, wsuwa do maszyny i naciska guzik, a karty wylatują tędy jak na złamanie karku.

Ale Frank raz po raz zerkał od maszyn ku własnemu odbiciu w szybie. Myślał, że wygląda zaskakująco szacownie w nowym garniturze i krawacie niemal takim samym jak ojcowski, i przyjemność sprawiał mu ten jasny obraz ich obu, mężczyzny i chłopca na tle wiecznie przemierzającego się strumienia ludzi za ich plecami. Po minucie cofnął się o kilka kroków i odchylił

głowę tak mocno, że kołnierz wpił mu się w kark. Ojej! Miał nadzieję zobaczyć drapacz chmur, ale resztki jego rozczarowania rozproszyło to jedno długie spojrzenie. Rzędy okien wznosiły się w górę, aż wreszcie ich coraz węższe framugi i parapety zdawały się ze sobą zlewać. A potem wysoko, wysoko zobaczył gzyms przesuwający się wolno na tle nieba - budynek zaraz się na nich przewróci! - ale nie zdążył wpaść w panikę, bo wcześniej zorientował się w pomyłce: to niebo było ruchome, białe obłoki przepływały nad szczytem dachu. W chwili, gdy sobie to uzmysłowił, poczuł na kręgosłupie dreszcz podziwu dla potężnej granitowej siły i bezruchu budynku. Ojej!

- Gotowy? - pytał ojciec. - W takim razie najpierw chodźmy do fryzjera. Jak to załatwimy, pojedziemy windą na samą górę.

Okazało się jednak, że ów wstępny moment na chodniku stanowił punkt kulminacyjny dnia. Salon fryzjerski był przyjemny, podobnie jak wykładany marmurami hol, w którym odbijały się echa i unosił zapach cygar, parasoli i damskich perfum, ale od tej chwili przyjemności dnia regularnie się kurczyły. Po pierwsze winda nie dawała wrażenia lotu, tylko poczucie zamknięcia i mdłości. Z pobytu w gabinecie na ostatnim piętrze Frank zapamiętał tylko przestrzeń zalaną białym światłem i bardzo chudą kobietę, której rozchyłona bluzka ujawniała niewiarygodną liczbę ramiączek, najwyraźniej stanowiących część bielizny. Kobieta, która nazywała go „Sonny”, pokazała mu, jak działa pojemnik z wodą („Popatrz, Sonny, kiedy naciskam guzik, pojawia się wielki bąbel - przyk! Śmieszne, prawda? Proszę, teraz ty spróbuj”). W pamięć wryło mu się obrzydzenie na widok pana Oata Fieldsa, może nie największego, ale bez dwóch zdań najbardziej otyłego człowieka, jakiego w życiu widział. W okularach Oata Fieldsa odbijały się światła, nie widać więc było jego oczu, kiedy z tobą rozmawiał, a rozmawiał bardzo głośno i zdawał się nie słuchać odpowiedzi.

- Hej, wielki z ciebie chłopak! Jak masz na imię? Ha? Lubisz szkołę? To dobrze. Lubisz baseball? Hej?

Najgorsze były usta, tak wilgotne, że kilka połyskliwych strużek śliny drżało pomiędzy poruszającymi się wargami, i to przede wszystkim zepsuło Frankowi przyjemność z lunchu, czy luncheonu, na który poszli do restauracji wielkiego hotelu. Usta Oata Fieldsa nie zamykały się, gdy przeżuwał jedzenie, i pozostawiły białe drobiny jedzenia na brzegu szklanki z wodą. Raz zmiękczył twardą chrupką bułkę, zanurzając ją na jakiś czas w sosjerce, po czym uniósł do rozchyłonych ust; po drodze część spadła i zostawiła jasnobrażową plamę na jego kamizelce.

- Masz całkowitą rację, Oat - powtarzał Earl "Wheeler przez cały posiłek. Kilka razy stwierdził: „W tej kwestii zupełnie się z tobą zgadzam" i spoglądał na Franka ze wzruszeniem, jakby wciąż od nowa zaskakiwało go, że tu siedzi. Mecz także okazał się rozczarowaniem: nikt nie zdobył wszystkich baz, a według ograniczonej wiedzy Franka o baseballu zdobycie wszystkich baz było najważniejsze. Przez ostatnią godzinę słońce świeciło mu prosto w oczy, przez co rozboleła go głowa, poza tym musiał iść do łazienki, ale nie wiedział, jak poruszyć ten temat. Później musieli metrem dojechać do Penn Station, co było prawdziwą udręką. Po drodze ojciec z gniewem beształ Franka, bo ten nie powiedział Oatowi Fieldsowi: „Bardzo panu dziękuję, miło spędziłem czas". W ponurym świetle stacji, gdy czekali na otwarcie bramek, Frank niezauważony obserwował fizyczne wyczerpanie i moralną klęskę na twarzy ojca, która wyglądała na pomarszczoną, porowatą i bardzo starą. Opuściwszy wzrok, zobaczył, że nogawka spodni ojca nieznacznie i rytmicznie marszczy się od niespokojnych poruszeń palców, które ukryte w kieszeni dotykały genitaliów.

I to w ostatecznym rozrachunku stało się najbardziej wyrazistym wspomnieniem Franka z tego dnia, chociaż gdy wieczorem na bosaka kucał w przechylonej, dziwnie skurczonej łazience w domu, obraz wypełnionych jedzeniem ust Oata Fieldsa sprawiał, że raz po raz wstrząsały nim spazmy wymiotów.

Dopiero po wielu latach Frank był w stanie poskładać w całość proste fakty. Earl Wheeler, przetrwawszy na niższym szczeblu zarządzania w filii w Newark wszelkie zwolnienia i redukcje, jakimś sposobem zwrócił na siebie uwagę Centrali jako kandydat na prawą rękę Oata Fieldsa (a jeszcze później domyślił się, skąd wzięło się to imię: w świecie obowiązkowych zdrobnień, w korporacji jowialnych Billów, Jacków, Herbów i Tedów, w którym niedające się zdrobnić imię w rodzaju Earla zawsze musiało być drobnym utrudnieniem, niczego lepszego od „Oata" nie można było wymyślić dla człowieka noszącego imię Otis). Ale do awansu nie doszło, wyższe władze uznały, że Oat Fields poradzi sobie bez prawej ręki, a Earl Wheeler musiał o tej decyzji usłyszeć albo się jej domyślić w trakcie luncheonu lub meczu.

Frank wiedział, że niezależnie od tego, czy ojciec kiedykolwiek pogodził się z rozczarowaniem czy nie, do końca życia nigdy nie zrozumiał. A skoro o tym mowa, musiało ono być pierwszym z wielu wypadków, które nie mieściły się Earlowi Wheelerowi w głowie, ponieważ od tego rozpoczął się jego upadek. W następnych latach przenoszono go z miejsca na miejsce, aż wreszcie tuż po wojnie przeszedł na emeryturę (zresztą niedługo po przejściu na emeryturę i śmierci Oata Fieldsa); wtedy już z poziomu niższego kierownictwa spadł do

poziomu zwykłego sprzedawcy w Harrisburgu w Pensylwanii. I w tamtych latach także z rosnącym niedowierzaniem nie potrafił pojąć własnego podupadającego zdrowia, gwałtownego i trudnego starzenia się żony, obojętności dwóch starszych synów - a wreszcie buntu, dezercji i moralnego upadku najmłodszego.

Doker! Kasjer w kawiarni! Niewdzięczny, złośliwy, ordynarny słabeusz, upijający się w Greenwich Village Bóg wie w jakim towarzystwie; pozbawiony poczucia przyzwoitości drań, który doprowadzał matkę niemal do szaleństwa, nie dając znaku życia przez sześć, osiem miesięcy, a potem przysłał list bez zwrotnego adresu z postscriptum: „W zeszłym tygodniu się ożeniłem - muszę kiedyś ją do Was przywieźć”.

Miał szczęście Earl Wheeler, że nie było go w tanim barze niedaleko kampusu Columbii pewnego dnia roku 1948, kiedy w porze lunchu jego syn konferował z innym młodym wałkoniem imieniem Sam, który robił magisterium z filozofii i pracował dorywczo w studenckim biurze zatrudnienia.

- O co chodzi, Frank? Myślałem, że jesteś już dawno w Europie.

- Niezły dowcip. April zaszła w ciążę. - O Jezu.

- Nie, posłuchaj, na takie sprawy można patrzeć różnie, Sam. Popatrz na to tak. Potrzebuję pracy, okay. Czy ta praca z jakiegokolwiek powodu musi mnie rozwalić? Posłuchaj, zależy mi tylko na pieniądzach, które pozwolą nam przetrwać następny rok albo dwa, dopóki nie poukładam sobie wszystkiego w głowie, a do tego czasu chcę zachować tożsamość. Dlatego nade wszystko zamierzam uniknąć takiej pracy, którą można by uznać za „interesującą”. Chcę zajęcia, które w żaden sposób nie będzie w stanie na mnie wpłynąć. Chodzi mi o wielką, rozdętą korporację, od stu lat bełkoczącą przez sen o zarabianiu pieniędzy, gdzie trzeba zatrudniać ośmiu facetów do jednego zadania, ponieważ od żadnego nie można oczekiwać zaangażowania w nudną robotę, którą mają wykonać. Chcę dostać się do takiej firmy i powiedzieć: „Posłuchajcie, możecie mieć moje ciało i miły uśmiech chłopaka z college'u przez tyle a tyle godzin dziennie w zamian za tyle a tyle dolarów, poza tym obie strony nie będą się do siebie wtrącać”. Łapiesz, o co mi chodzi?

- Tak myślę - odparł student filozofii. - Wracajmy do biura.

Tam poprawił okulary i kartkując fiszki, wypisał listę przedsiębiorstw, które odpowiadały wymaganiom Franka: wielki wytwórca przedmiotów z miedzi i brązu, wielka firma świadcząca usługi komunalne, gigantyczna fabryka produkująca torby papierowe wszelkiego rodzaju...

Kiedy Frank zobaczył, że Sam dodaje do listy przerażającą nazwę Knox Business Machines, pomyślał, że musiała zajść jakaś pomyłka.

- Hej, poczekaj, wiem, że to nie może być prawda... - Pokrótce opowiedział o karierze ojca, co studenta filozofii skłoniło do wesołego śmiechu.

- Myślę, że od czasów twojego staruszka nastąpiła drobna zmiana, Frank. Nie zapominaj, że wtedy był kryzys, poza tym on pracował w filii, a ty byłbyś w centrali. Prawdę mówiąc, właśnie takiej firmy szukasz. Przypadkiem wiem, że pracujący tam faceci ruszają palcem tylko po to, żeby odebrać czek. Na twoim miejscu wspomniałbym o ojcu w czasie rozmowy. To mogłoby ci pomóc.

Kiedy jednak z duchami innej wizyty tłoczącymi mu się przed oczami wchodził w cień rzucany przez Knox Building („Lepiej weź mnie za rękę, przejście jest tu niebezpieczne...”), Frank zdecydował, że zabawniej będzie, jeśli słowem nie wspomni o ojcu. Nie wspomniał i tego samego dnia dostał pracę na Piętnastym Piętrze w dziale noszącym nazwę Departament Promocji Sprzedaży.

- Co sprzedaży? - zapytała April. - Promocji? Nie rozumiem. Co masz tam robić?

- Do diabła, któż to wie? Tłumaczyli mi przez pół godziny, ale ja dalej nie wiem i nie sędzę, żeby oni wiedzieli. Ale to śmieszne, nie sędzisz? Knox Business Machines. Poczekaj, aż powiem staremu. Poczekaj, aż usłyszysz, że nawet nie powołałem się na niego.

Tak więc zaczęło się to jako żart. Innym być może umykała tkwiąca w tej sytuacji ironia, ale Franka Wheelera napełniała tajemnym, sarkastycznym zachwytem, gdy leniwie wykonując swoje obowiązki, chodził po biurze, w sposób, który później stał się niemal jego zwyczajem, jeśli nie cechą charakterystyczną, a który April określiła jako „strasznie seksowny”: wolny koci krok, dumnie muskularny, acz wyrażający senną pogardę wobec napięcia i pośpiechu. A najlepsza część tego żartu zdarzała się o piątej. Zapięty po szyję, uśmiechnięty, życzył miłego wieczoru innym ludziom z Knoxa. Po opuszczeniu windy wsiadał do autobusu, jechał na Bethune Street, gdzie wchodził na drugie piętro po pochyłych, trzeszczących schodach, otwierał białe drzwi, pokryte tyłoma warstwami brudnej i pełnej pęcherzy farby, że ich powierzchnia w dotyku przypominała skórę ropuchy i wchodził do przestronnego czystego pokoju, w którym unosił się nieznacznym zapach papierosów, wosku, mandarynek i wody kolońskiej. Czekala tam piękna, potargana dziewczyna, będąca w takim samym stopniu przeciwieństwem żony człowieka z Knoxa, jak to mieszkanie było przeciwieństwem domu człowieka z Knoxa. Zamiast pić koktajle po pracy, oni uprawiali miłość, czasami na łóżku, czasami na podłodze; bywało, że dopiero o dziesiątej wstawali i w łagodnym

wieczornym mroku szli na kolację, a wtedy Knox Building mógł znajdować się tysiące mil od nich.

Pod koniec pierwszego roku żart spowszedniał, fakt, że inni uparcie nie potrafili dostrzec komizmu tej sytuacji, zaczynał przygnębiać. „Och, więc twój ojciec tu pracował”, odpowiadali, gdy Frank próbował im to wyjaśnić, a w ich oczach często pojawiał się wyraz, który ludzie rezerwują dla pełnych zapału, posłusznych, pozbawionych awanturniczej żyłki młodzieńców. Dość szybko (zwłaszcza po drugim roku, gdy oboje rodzice umarli) Frank zrezygnował z prób wyjaśnienia tej części, zaczął natomiast rozwodzić się nad innymi zabawnymi aspektami pracy: absurdalnej rozbieżności pomiędzy własnymi ideałami a ideałami Knox Business Machines; rozdźwiękiem pomiędzy ilością energii, którą powinien poświęcać pracy, a ilością energii, którą rzeczywiście poświęcał.

- Wielkim plusem miejsc takich jak Knox jest to, że co rano o dziewiątej możesz wyłączyć umysł i przez cały dzień nikt się nie zorientuje.

Ostatnimi czasy, zwłaszcza po przeprowadzce na wieś, zaczął unikać tego tematu, a na pytanie, czym się zajmuje, odpowiadał, że w gruncie rzeczy niczym, że ma najnudniejszą robotę, jaką można sobie wyobrazić.

W poniedziałek rano po całkowitej porażce Laurel Players Frank wszedł do Knox Building krokiem robota. W oknach wystawowych zmieniono eksponaty, teraz jasne kartonowe sylwetki szczupłych, modnie ubranych uśmiechniętych kobiet ołówkami wskazywały ozdobnie wypisane zalety produktów - SZYBKOŚĆ, DOKŁADNOŚĆ, KONTROLA - a za ich plecami, na pokrytej dywanami podłodze sali stała liczna reprezentacja samych produktów. Niektóre, prostsze, niewiele różniły się od urządzeń, które rozpały entuzjazm ojca Franka dwadzieścia lat temu, aczkolwiek zmianie uległy obudowy: ówczesne kanciaste i czarne zastąpione zostały opływowymi „rzeźbiarskimi formami” barwy ostrygi, inne natomiast zaprojektowano tak, by załatwiały niezbędne w biznesie czynności z prędkością zawrotniejszą niż ta, o której Earl Wheeler mógł marzyć. Gotowe mrużyć i migać elektroniczną magią, z każdym kolejnym rzędem były bardziej imponujące, by wreszcie ustąpić miejsca wieńczącym całość wielkim, zagadkowym komponentom komputera Knox „500”, maszyny, która jak głosiła stojąca u jej podstawy tabliczka, „w trzydzieści minut wykonuje pracę, zajmującą całe życie człowiekowi z liczydłem”.

Ale Frank przeszedł obok sali wystawowej, nie zaszczycając jej nawet przelotnym spojrzeniem, a wkroczywszy do holu, zachowywał się z bezmyślną wprawą: machinalnie nacisnął guzik windy, nie zauważył, który z sześciu

operatorów windy sennie go powitał (niemal nigdy nie zauważał, chyba że był to jeden z dwóch o wyglądzie cokolwiek niepokojącym: wiekowy mężczyzna z tak bardzo zniekształconymi kolanami, że wypychały mu spodnie z tyłu bolesnymi na oko guzami, albo potężny chłopiec, który z powodu zaburzeń w pracy gruczołów miał szerokie kobiece biodra, pokrytą meshem głowę i gładką twarz niemowlęcia). Przyciśnięty do ściany windy, usłyszał szcęk zasuwających się drzwi, a potem grzechot kraty. We wznoszącej się kabinie otaczał go dysonansowy gwar. Słyszał głęboki, dobrze odmierzony głos z wielkich równin, bogaty w przestrzeń, podróż i najlepsze noclegi („...oczywiście trafiliśmy na złą pogodę w Chicago...”), będący kontrpunktem do urywanej, pełnej spółgłosek miejskiej wymowy („...więc mówię: »Co ty, kpisz sobie?« On na to: »Nie, słuchaj, poważnie...«”), podczas gdy łagodniejsza mieszanina ośmiu lub dziesięciu męskich i damskich głosów powtarzała cicho poranne grzeczności przy wtórze szumu wentylatora. Później nadeszła pora na uprzejmy rytuał rozstępowania się przed tymi, którzy przesuwali się do przodu, mrużąc: „Przepraszam... przepraszam”, na obserwację rozsuwających się i zamykających drzwi. Ósme piętro, jedenaste, dwunaste, czternaste...

Na pierwszy rzut oka wszystkie górne piętra Knox Building wyglądały tak samo. Każde było wielkim otwartym pomieszczeniem z płonącymi jaskrawo jarzeniówkami na suficie, podzielonym na labirynt alejek i boksów wysokimi do ramion ściankami. Górne panele ścianek, od pasa do ramienia, zrobione były z grubego szkła, półprzezroczystego dzięki nieznacznym żłobieniom. Człowiek wysiadający z windy i spoglądający przed siebie odnosił wrażenie, że patrzy na pełne pływaków jezioro. Jedni płynęli wprost przed siebie, drudzy stąpali po wodzie, inni akurat przebijali się nad powierzchnię albo schodzili w głąb, wielu tonęło przy biurkach z twarzami niczym drżące różowe plamy. Jednakże iluzja szybko pryskała, gdy wchodziło się głębiej, bo tutaj powietrze odznaczało się przytłaczającą suchością - jak Frank Wheeler często narzekał, było „tak suche, że wypalało oczy”.

Pomimo wszystkich zastrzeżeń, czasami z poczuciem winy uświadamiał sobie, że właśnie niewygody biura sprawiają mu jakąś przyjemność. Mówiąc, a powtarzał to od lat, że w zabawny sposób będzie tęsknił za starym Knoksem, kiedy stamtąd odejdzie, miał naturalnie na myśli ludzi („Do diabła, w sumie to przyzwócili ludzie, w każdym razie niektórzy”), ale jeśli miał być szczery, nie mógł się wyprzeć przywiązania do samego miejsca. Przez lata odkrył, że Piętnaste Piętro od innych pięter różni się w sensie emocjonalnym: nie było ani mniej, ani bardziej przyjemne, ale należało do niego. Było jego jaskrawą, suchą, codzienną udręką, jego miernikiem monotonii. Nauczyło go nowego

sposobu dzielenia dnia: prawie pora, by zejść na dół na kawę; prawie pora, by pójść na lunch; prawie pora, by wracać do domu, i Frank nabrał zwyczaju polegania na beznadziejnie marnowanych godzinach, które oddzielały od siebie owe rozkosze, tak jak inwalida polega na pewności, że ból powróci. Weszło mu to w krew, stało się częścią jego osoby.

- Dzień dobry, Frank - powiedział Vince Lathrop.

- Dzień dobry, Frank - powiedział Ed Smali.

- Dzień dobry, panie Wheeler - powiedziała Grace Mancuso, która pracowała u Herba Underwooda w dziale badań rynku.

Jego stopy wiedziały, gdzie skręcić w alejkę oznaczoną PROMOCJA SPRZEDAŻY, wiedziały, ile kroków trzeba, by minąć pierwsze trzy boksy, i gdzie przystanąć, by wejść do czwartego; mógłby to zrobić przez sen.

- Witam - powiedziała Maureen Grube, recepcjonistka i zarazem jedna z maszynistek pani Jorgenson, tonem szczerze pochlebnym i bez dwóch zdań kobiecym. Kiedy się usunęła, by zrobić mu przejście, zapragnął objąć ją i poprowadzić w jakieś miejsce (dokąd? do pokoju pocztowego? windy towarowej?), gdzie mógłby usiąść z nią na kolanach, zdjęć jej granatowy sweter i wypełnić usta najpierw jedną, potem drugą piersią.

Ten obraz nie po raz pierwszy stanął mu przed oczyma, różnica polegała na tym, że po raz pierwszy pomyślał: dlaczego nie?

Pozwolił, by stopy zaprowadziły go do boksu z wiszącą nad drzwiami plastikową tabliczką:

J. R. ORDWAY F. H. WHEELER

Przystanął z dłonią na krawędzi szklanej tafli i obejrzał się: Maureen szła na koniec alejki, jej pośladki poruszały się ładnie pod flanelową spódnicą. Patrzył za nią, dopóki nie zniknęła za szklaną ścianką w recepcji.

Spokojnie, doradził sobie w duchu. Taka rzecz wymaga pewnego planowania. Wiedział, że najpierw musi wejść do środka, przywitać się z Jackiem Ordwayem i usiąść. Zrobił to i momentalnie odciął się od wszystkiego, co było poza ściankami boksu; sadowiąc się bokiem przy biurku i palcami prawej stopy automatycznie otwierając dolną szufladę, którą wykorzystywał jako podnóżek (nacisk buta przez lata wyłobił w niej niewielkie wgłębienie), pozwolił, by zalała go fala zachwytu. Dlaczego nie? Czyż w ostatnich miesiącach nie zachęcała go na wszelkie możliwe sposoby? Czy nie kołysała biodrami jak przed chwilą, mijając go w alejkach, nie pochylała się nisko nad biurkiem, by podać mu materiały, nie uśmiechała się, lekko niesymetrycznie, tak jak do nikogo innego się nie uśmiechała? A na tamtym przyjęciu

bożonarodzeniowym (wciąż pamiętał smak jej ust) czy nie drżała w jego ramionach, szepcząc: „Słodki jesteś”?

Dlaczego nie? Och, ale nie w pokoju pocztowym czy windzie towarowej; przecież Maureen na pewno ma mieszkanie ze współlokatorką, która z dużym prawdopodobieństwem cały dzień spędza poza domem?

Jack Ordway coś mówił, zmuszając Franka do podniesienia głowy.

- O co chodzi? - zapytał.

Nie miałyby znaczenia, gdyby przeszkodził mu ktoś inny, mógłby po prostu potakiwać i udzielać właściwych odpowiedzi, poświęcając niemal całą uwagę Maureen Grube, ale Ordway ro była inna sprawa.

- Mówiłem, że dzisiaj rano będę potrzebował twojej pomocy, Franklin. To bardzo pilne. Mówię poważnie. - Pozornie studiował stos materiałów, które leżały na biurku, i wyglądał jak uosobienie koncentracji; tylko ktoś, kto wiedział, na co zwracać uwagę, dostrzegłby, że dłoń, która zdawała się przysłaniać oczy, w istocie podtrzymuje głowę, a powieki są zamknięte. Po czterdziestce, drobny i szczupły, z siwiejącymi włosami i inteligentną przystojną twarzą aktora romantycznego, należał do tych alkoholików, których ratuje ciągle się odradzająca zdolność do zamieniania całej sprawy w żart, i w biurze był bohaterem sentymentalnym. Wszyscy kochali Jacka Ordwaya. Dzisiaj miał na sobie angielski garnitur, który kilka lat temu za połowę miesięcznej pensji zamówił u londyńskiego krawca na występach zagranicznych; w tym garniturze guziki przy mankietach naprawdę się zapinały, spodnie trzeba było nosić na szelkach, inaczej spadały, a z kieszonki na piersi zawsze wystawała świeża lniana chusteczka, za to wąskie długie stopy, z dziecięcą niezgrabnością rozstawione pod biurkiem, zdradzały żalony, typowo amerykański styl. Odziane były w tanie pomarańczowo-brązowe, źle zapięte mokasyny; owa zgrzytliwa nuta brała się stąd, że jedyną rzeczą, której Jack Ordway nie potrafił zrobić, gdy dręczył go naprawdę potężny kac, było zawiązanie sznurowadeł.

- Przez następne - mówił chrapliwym, niespokojnym głosem - przez następne dwie, a może trzy godziny musisz ostrzegać mnie przed ewentualnym nadejściem Bandy'ego oraz chronić przed panią Jorgensen, a niewykluczone, że i zasłonić, gdybym przypadkiem zaczął wymiotować. Jest aż tak źle.

Skrócone dzieje życia Jacka Ordwaya stały się pomniejszą legendą Piętnastego Piętra: wszyscy wiedzieli, że poślubił bogatą pannę i żył z jej spadku, dopóki tuż przed wojną pieniądze całkiem się nie rozeszły, później zaś zatrudnił się w Knox Building, gdzie wędrował z jednego szklanego boksu do następnego, przy czym każdy etap jego kariery zawodowej wyróżniał się

niemal nieskazitelnym brakiem pracy. Nawet tutaj, w promocji sprzedaży, gdzie nikt nie pracował ciężko poza starym Bandyem, kierownikiem, Jack zdołał uchronić swoją wyjątkową reputację. Jeśli nie zmógł go naprawdę fatalny kac, przez cały dzień chodził po biurze i gadał, wywołując chóralny śmiech, dokądkolwiek się udał; czasami nawet skłaniał samego Bandyego do tolerancyjnego rechotu, a panią Jorgensen, której z oczu tryskały łzy, do niepowstrzymanych chichotów.

- Przede wszystkim - mówił teraz - w sobotę przyjechali ci zwariowani przyjaciele Sally z wybrzeża, ostrząc sobie zęby na dobrą zabawę. Czy możemy pokazać im miasto? Och, naturalnie. To starzy kumple Sally, a poza tym kieszenie zawsze mają wypchane forszą. No tak. Zaczęliśmy lunchem w restauracji „Andre”. Dobry Boże, w życiu nie miałeś w ustach takiego rewelacyjnego martini. No i nikt się nie bawił w jeden, dwa kieliszki. Straciłem rachubę. A potem? Niech się zastanowię. O tak. Nie pozostało nic innego, jak siedzieć i pić, czekając na porę koktajli. W końcu nadeszła. - Jack porzucił pozę człowieka pograżonego w pracy, odepchnął na bok papiery i lekko odchylił się na oparcie, ujmując głowę w obie dłonie; kołysał nią z boku na bok w rytm swej opowieści, śmiejąc się i równocześnie mówiąc, podczas gdy Frank obserwował go z mieszaniną współczucia i niesmaku. Większość historii o kacu zaczynała się od przyjazdu zwariowanych i nadzianych przyjaciół Sally z wybrzeża, z wysp Bahama albo z Europy, a sama Sally zawsze przedstawiana była jako dusza towarzystwa: dawna debutantka, szykowna, bezdzietna żona, wspaniała towarzyszka zabawy. Tak w każdym razie mieli ją widzieć słuchacze z Piętnastego Piętra; tak widział ją Frank i wyobrażał sobie ich mieszkanie jak coś w rodzaju scenografii do sztuki Noela Cowarda, aż pewnego razu poszedł na drinka do domu Ordwaya i przekonał się, że Sally jest rozlazłą, pomarszczoną i wstawioną starzejącą się kobietą z ustami nieustannie od czasów młodości malowanymi w nadąsany łuk Kupidyna. Zawodząca intonacja, z jaką wypowiadała imię Jacka, gdy otumaniona zataczała się po pokojach pełnych zniszczonej skóry, zakurzonych sreber i szkła, dowodziła, jak bardzo obwinia męża o to, że pozwolił na upadek świata; raz zwróciła oczy ku popękanemu sufitowi, jakby wzywając Boga, żeby go ukarał, tego słabego, głupiego człowieczka, któremu poświęciła całe swoje życie, który zatruł wszystkie jej przyjaźnie swoim wiecznym liczeniem się z każdym groszem, który z własnej woli zagrzebał się w okropnej, okropnej urzędniczej pracy i przyprowadzał do domu okropnych, okropnych kolegów z pracy. A Jack przeprasząco kręcił się koło niej, żartował i nazywał ją „matką”.

- ...jak wróciliśmy z Idlewild - mówił Jack - tego nigdy się nie dowiem. Ostatnie, co pamiętam wyraźnie, to jak staliśmy dzisiaj o trzeciej nad ranem w restauracji w Idlewild i zastanawialiśmy się, czy ktoś byłby tak uprzejmy i powiedział nam, jak w ogóle tu trafiliśmy. Chociaż nie, zaraz. Potem był jakiś bar z hamburgerami... albo nie, wydaje mi się, że to było wcześniej...

Kiedy wreszcie historia dobiegła końca, eksperymentalnie cofnął dłonie z głowy, zmarszczył czoło i kilka razy zamrugał. Następnie oznajmił, że zaczyna czuć się troszkę lepiej.

- To dobrze. - Frank spuścił nogę z szuflady i usiadł prosto przy biurku. Musiał pomyśleć, a najlepszym sposobem na myślenie było mechaniczne zajęcie się pracą. Tego ranka w koszyku dokumentów do załatwienia na papierach z piątku czekały dzisiejsze, tak więc jego pierwszą czynnością było odwrócenie całego stosu do góry nogami. Tak jak robił codziennie (czy raczej w te dni, kiedy w ogóle zaprzętał sobie głowę koszykiem bieżącym, jako że często zostawiał go w spokoju), na początku próbował sprawdzić, ilu papierów będzie mógł się pozbyć bez czytania ich zawartości. Jedne można było wyrzucić, innych niemal równie szybko się pozbyć, odsyłając do Bandy'ego z nagryzmolonymi na marginesie inicjałami i pytaniem „Co z tym zrobić?“, albo z adnotacją „Wiesz coś o tym?“ przekazując na przykład Edowi Smallowi z sąsiedniego boksu, ale niebezpieczeństwo polegało na tym, że te same dokumenty mogły kilka dni później wrócić z uwagą Bandy'ego „Załatwić“ oraz odpowiedzią Smalla „Nie“. Bezpieczniejszy tryb polegał na jak najbardziej pobieżnym upewnieniu się, że sprawa nie jest ważna, zaznaczeniu „Włączyć do dokumentacji“ i oddaniu papierów pani Jorgensen i dziewczętom. Jeśli sprawa była ważna, Frank pisał „Włączyć do dokumentacji i załatwić w ciągu tygodnia“ albo odkładał na bok i zajmował się następną. Wracał do tego stopniowo rosnącego stosu po opróżnieniu koszyka bieżącego albo znużeniu się nim. Układając papiery mniej więcej według ważności, wplatał między nie te, które w kilkucentymetrowym stosiku zawsze leżały niemal na środku biurka pod emaliowanym ceramicznym przyciskiem, zrobionym dla niego przez Jennifer w przedszkolu. To była jego aktualna praca. Na wielu z tych dokumentów widniały uwagi Bandy'ego „Załatwić“ albo „Nie“ Eda Smalla, a niektóre przeszły przez cykl „Wpisać i załatwić“ aż trzy, cztery razy; inne z notatką „Frank, mógłbyś się temu przyjrzeć“ były prezentami od kolegów, którzy traktowali go tak samo, jak on traktował Eda Smalla. Czasami Frank wyjmował jakiś dokument z bieżącego stosu i umieszczał na równie wysokim, a znajdującym się w prawym rogu biurka i przytrzymywanym przez ołowiany model komputera Knox „500“. Spoczywały na nim sprawy, do których

załatwienia nie potrafił się zmusić, najgorsze spośród nich, wypełniające całe pękate teczki z opisanymi gęsto dokumentami i luźnymi spinaczami, w końcu wędrowały do wypchanej prawej szuflady biurka, zawierającej sprawy przez Ordwaya nazywane Prawdziwymi Cackami; w przeciwieństwie do szuflady, która służyła jako podnózek, ta z czasem zmieniła się w wyrzut sumienia. Frank bał się ją otworzyć, jakby były w niej żywe węże.

Dlaczego nie? Czy nie byłoby rzeczą absolutnie normalną podejść do niej i zaprosić na lunch? Nie, i w tym tkwił problem. Niepisana zasada Piętnastego Piętra oddzielała mężczyzn od kobiet we wszystkich sprawach poza zawodowymi, wyjątkiem były przyjęcia bożonarodzeniowe. Kobiety umawiały się na lunch we własnym gronie i była to rzecz równie oczywista jak osobne łazienki; tylko głupiec otwarcie sprzeciwiłby się systemowi. Rzecz wymagała zaplanowania.

Wciąż był w środku bieżącego koszyka, kiedy nad szklaną ścianą pojawiły się dwie twarze, jedna szczupła i uśmiechnięta, druga okrągła i poważna. Należały do Vince'a Lathropa i Eda Smalla, którzy zajmowali sąsiedni boks, i obiweszczały, że czas zejść na dół na kawę.

- Panowie - rzekł Vince Lathrop - zatańczymy?

Pół godziny później wrócili do biura, wysłuchawszy przydługiej opowieści Eda Smalla o kłopotach z nasionami trawy i pielęgnacją trawnika w Roslyn na Long Island. Kawa wzmocniła Ordwaya, aczkolwiek nie ulegało wątpliwości, że najbardziej ze wszystkiego potrzebuje on drinka. Aby dowieść, jak dobrze się już czuje, krążył po boksie i parodiował Bandy'ego, kołysząc głową i raz po raz ssąc ząb, co brzmiało jak ciche cmoknięcia.

- Cóż, zastawiam się, czy naprawdę jesteśmy skuteczni, w tym problem - cmoknięcie. - Bo jeśli naprawdę chcemy być skuteczni, musimy bardziej się zaangażować, stać się bardziej, bardziej - cmoknięcie - bardziej skuteczni...

Frank usiłował po raz drugi albo trzeci przeczytać dokument z wierzchu bieżącego stosu, który chyba był listem od szefa oddziału w Toledo, choć akapity wydawały mu się tak mętne, jakby napisano go w obcym języku. Zamknął oczy, potarł powieki i podjął kolejną próbę. Tym razem z powodzeniem.

Szef filii w Toledo, zgodnie z tradycją Knoxa piszący o sobie „my”, pragnął się dowiedzieć, jakie działania podjęto w związku z jego poprzednią korespondencją dotyczącą poważnych błędów oraz mylnych stwierdzeń w SP-1109, kopia w załączeniu. Była to gruba laminowana broszura zatytułowana „Kontrolowanie produkcji przy użyciu Knoxa 500”, a jej widok przywołał nieprzyjemne wspomnienia. Wiele miesięcy temu została sporządzona przez

beziemnego copywritera z agencji reklamowej, z którą Knox dawno zerwał współpracę, i została wysłana w teren w dziesiątkach tysięcy kopii z adnotacją „Wszelkie zapytania kierować do F. H. Wheelera w Centrali”. Frank od razu wiedział, że cały materiał jest do bani: gęsto zadrukowane stronicy przeczyły zdrowemu rozsądkowi oraz utrudniały lekturę, a ilustracje tylko sporadycznie odnosiły się do tekstu, ale puścił ją w obieg głównie dlatego, że pewnego dnia Bandy zatrzymał go w alejce, cmokając i pytając: „Jeszcze nie przekazaliśmy w teren broszury?”.

Od tamtego czasu zapytania adresowane do F. H. Wheelera płynęły wolnymi, kłopotliwymi strumyczkami ze wszystkich stron Stanów Zjednoczonych; Frank mgliście kojarzył, że jest coś szczególnie ważnego w tych, które nadchodziły z Toledo. Przypomnił sobie, gdy przeczytał następny akapit.

Jak zapewne Pan pamięta, zamierzaliśmy zamówić 5000 dodatkowych egzemplarzy broszury, aby rozdać je na corocznej konwencji NAPE (National Association of Production Executives), która odbędzie się u nas w dniach 10-13 czerwca. Niestety, jak stwierdzono w uprzedniej korespondencji, naszym zdaniem broszura przygotowana jest fatalnie i pod żadnym względem nie spełnia swojego celu.

W związku z tym prosimy o natychmiastowe wyjaśnienie kwestii poruszonych w naszym poprzednim liście, a mianowicie: jakie ustalenia poczyniono, aby poprawiona wersja broszury w żądanej liczbie egzemplarzy dotarła do naszego biura nie później niż 8 czerwca?

Frank pośpiesznie zerknął na lewy górny róg i z ulgą przekonał się, że nie ma tam parafki Bandy'ego. To był szczęśliwy traf, ale i tak sprawa nosiła wszelkie cechy Prawdziwego Cacka. Nawet gdyby był czas na sporządzenie nowej broszury (a przypuszczalnie nie było), Frank musiałby uzyskać zezwolenie Bandy'ego, który zacząłby dociekać, dlaczego dowiaduje się o tym dopiero teraz, a nie dwa miesiące temu.

Kładł dokumenty na drugim stosie, kiedy przez panującą w jego umyśle konfuzję zaczął przebijać się doskonały pomysł; gwałtownie wstał i wyszedł z boksu, kierując się ku recepcji z sercem na dłoni.

Siedziała beczynnie za biurkiem; kiedy spojrzała na niego, w jej oczach malował się wyraz radosnego oczekiwania, niemal współuczestnictwa, i Frank o mało nie zapomniał, pod jakim pretekstem tu przyszedł.

- Maureen - rzekł, przysuwając się do niej i kładąc dłoń na oparciu krzesła - zastanawiam się, czy nie mogłabyś mi pomóc w odszukaniu pewnych materiałów w centralnym archiwum, o ile oczywiście masz chwilę. Widzisz to?

- Gestem sugerującym intymne zwierzenia położył na biurku broszurę. Maureen pochyliła się nad nią tak mocno, że jej piersi zakołysały się blisko jego dłoni.

- Hmm?

- Trzeba ją poprawić, a to oznacza, że muszę wykopać wszelkie związane z nią materiały, od samego początku. W teczce SP-1109 będą kopie wszystkiego, co posłaliśmy do agencji; jeśli sprawdzisz każdy ze znajdujących się w niej dokumentów, znajdziesz numery odnoszące się do innych teczek i w ten sposób będziemy w stanie dotrzeć do źródeł. Chodźmy, pomogę ci zacząć.

- Dobrze.

Kiedy szedł alejką za jej biodrami, piersi rozpierała mu obietnica triumfu. Wkrótce znaleźli się sami w labiryncie centralnego archiwum, gdzie w obłoku jej perfum nerwowo przerzucali teczki.

- Mówiłeś, że jeden-jeden-zero-ile?

- Jeden-jeden-zero-dziewięć. Gdzieś tu powinna być.

Po raz pierwszy dokładniej przyjrzał się jej twarzy. Okrągła, z szerokim nosem i w gruncie rzeczy dość nieładna (teraz stać go było, żeby to przyznać); zbyt intensywny makijaż przypuszczalnie miał ukrywać złą cerę, a przedłużone kreski w kącikach oczu powiększyć je i wywołać wrażenie, że są szerzej rozstawione. Podejrzewał, że największym problemem Maureen są jej włosy, w dzieciństwie pewnie były bezkształtną gęstwiną loków, a teraz sprawiają jej kłopoty podczas deszczu, za to usta miała cudowne: doskonałe zęby, pulchne, subtelnie wykrojone wargi o fakturze marcepanu. Frank przekonał się, że gdy patrzy na jej usta, reszta twarzy ulega lekkiemu zamazaniu, a gdy się cofał, by w ten mglisty obraz włączyć całą jej figurę, mógł wręcz uwierzyć, że patrzy na najbardziej godną pożądania kobietę na świecie.

- Proszę, jest - powiedziała. - A teraz chcesz wszystkie teczki odnoszące się do tych numerów porządkowych, tak?

- Tak. To może zająć trochę czasu. Mam nadzieję, że nie planowałaś wczesnego lunchu.

- Nie, nie mam żadnych planów.

- To dobrze. Potem do ciebie wpadnę i zobaczę, jak ci idzie. Wielkie dzięki, Maureen.

- Naprawdę nie ma za co.

Frank wrócił do swojego boksu i usiadł. To był idealny układ. Mógł teraz poczekać, aż w czasie przerwy na lunch piętro opustoszeje, i wtedy po nią pójść. Pozostało mu tylko znaleźć wiarygodny pretekst dla rezygnacji z lunchu

w zwykłym gronie, który w dodatku usprawiedliwi jego nieobecność przez całe popołudnie.

- Jemy? - rozległ się głęboki męski głos. Tym razem nad ścianką działową pojawiły się trzy głowy: Lathropa, Smalla i mężczyzny, który mówił, potężnego siwowłosego człowieka z krzaczastymi brwiami i fajką między zębami. Jego masywna postać wznosiła się wysoko ponad szklaną ściankę i widać było, że nosi arogancko niebiznesową koszulę w kratkę, zmechacony wełniany krawat i marynarkę z marengo. Był to Sid Roscoe, literacka i polityczna legenda Piętnastego Piętra, określający siebie mianem „starego dziennikarza”. On to z pogardą redagował organ pracowników „Knox Knews”.

- Ruszajcie się, typki - powiedział serdecznie. - Wstawać.

Jack Ordway posłusznie wykonał polecenie, mrużąc:

- Gotowy, Franklin?

Ale Frank spoglądał na zegarek z miną człowieka, którego goni czas.

- Chyba nie będę w stanie dzisiaj z wami pójść - oznajmił. - Po południu mam spotkanie w śródmieściu i wtedy coś przegryzę.

- Och, na litość boską, Wheeler. - Ordway odwrócił się ku niemu. Na jego twarzy malował się nieproporcjonalny do sytuacji szok zmieszany z rozczarowaniem, wyraz oczu mówił: „Ale ty musisz z nami pójść”. Minęła sekunda, nim Frank zorientował się, w czym rzecz. Ordway go potrzebował. Dzięki moralnemu wsparciu Franka można było tak posterować pozostałymi, by udali się do lokalu nazywanego przez Ordwaya Miłą Knajpką, mrocznej niemieckiej restauracji, gdzie słabe, ale do przyjęcia martini lądowało na stoliku niemal naturalną kolejną rzeczą; bez Franka przywództwo przejmie Roscoe i prawie na pewno wylądują w Strasznej Dziurze: jasnym, niemiłosiernie czystym barze Waffie Heaven, gdzie nie można liczyć nawet na piwo, a od lepkich zapachów roztopianego masła i syropu klonowego człowiek wymiotuje w małą papierową serwetkę. Jack Ordway będzie musiał ze wszystkich sił panować nad sobą, dopóki nie przyprowadzą go z powrotem do biura, i dopiero wtedy wymknie się znowu na kilka szybkich kolejek, które pozwolą mu przetrwać popołudnie. Kiedy odchodził, jego komicznie okrągłe oczy zdawały się błagać: „Proszę, proszę, nie rób mi tego”.

Ale Frank siedział bez ruchu, kartkując teczkę z dokumentami. Począł, aż koledzy znikną w windzie, i czekał dalej. Minęło dziesięć minut, dwadzieścia, a biuro wciąż sprawiało wrażenie zatłoczonego; po półgodzinie wreszcie wstał i ponad ścianką rozejrzał się na wszystkie strony.

Ponad linią wody archiwum centralnego poruszała się tylko głowa Maureen. Wianuszek kilku innych głów zobaczył przy windzie, w odległych kątach także

ktos jeszcze się kręcił, ale dłuższe czekanie nie miało sensu. Biuro nigdy nie będzie bardziej puste. Zapiął płaszcz i wyszedł z boksu.

- Doskonale, Maureen - rzekł, odbierając od niej stos teczek i dokumentów. - Nie sądzę, żebyśmy czegoś jeszcze potrzebowali.

- Ale to dopiero połowa. Nie chcesz całości?

- Coś ci powiem: nie zaprzataj sobie tym głowy. Co powiesz na lunch?

- Zgoda. Z wielką przyjemnością.

Kipiąc energią, pobiegł do siebie, by zostawić papiery na biurku, po czym wstąpił do męskiej toalety umyć ręce, ale kiedy stanął przy windzie, zaczął poważnie się martwić. Wsiadali z niej pierwsi wracający z lunchu, jeśli Maureen się nie pośpieszy, niewykluczone, że wpadną na Ordwaya i pozostałych. Do diabła, co ona tam robi? Stoi, obejmując trzy inne dziewczęta, i śmieje się do rozpuku z samego pomysłu wyjścia z panem Wheelerem?

Nagle się pojawiła, szła ku niemu w lekkim płaszczyku. Drzwi windy się rozsunęły, głos windziarza oznajmił: - W dół!

Sztywno jak na paradzie stanął za Maureen. Wszystkie restauracje w promieniu kilku przecznic pełne będą ludzi z Knoxa: muszą pójść gdzie indziej. W holu dotknął łokcia Maureen z takim wahaniem, jakby to były jej piersi.

- Posłuchaj - wymamrotał - w okolicy nie ma przyzwoitych lokali. Masz coś przeciwko krótkiej wycieczce?

Stali na chodniku w strumieniu śpieszących się ludzi: chwila przez minutę Frank uśmiechał się jak idiota, nim słowo „taksówka” wpadło mu do głowy. Od razu poczuł się dobrze, gdy zobaczył, jak jedna zwalnia w odpowiedzi na machnięcie jego dłoni. Cudownie było patrzeć na uśmiech Maureen, która pochyliła się i z wdziękiem wsiadła, dlatego zupełnie nie przejął się rym, co w tej samej chwili zauważył kącikiem oka: charakterystyczną zwalistą postacią Sida Roscoe w otoczeniu Lathropa, Smalla i Ordwaya, nadchodzących od strony Strasznej Dziury. Niemożliwością było stwierdzenie, czy oni widzieli jego, ale Frank natychmiast uznał, że to bez znaczenia. Zatrzasnął drzwiczki i raz jeszcze spojrzął przez okno włączającej się w ruch taksówki. Miał ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem na widok pomarańczowych mokasynów Jacka Ordwaya klapiących o chodnik w lesie stóp.

Rozdział szósty

Wszystko zaczyna mi się mieszać - powiedziała. - To znaczy czuję się dobrze i w ogóle, ale chyba będzie lepiej, jak coś zjemy.

Znawali się w drogiej, wyłożonej cegłami restauracji na Zachodniej Dziesiątej; Maureen od pół godziny bez tchu opowiadała o sobie, przerywając tylko faz, by Frank mógł zadzwonić do pani Jorgensen i załatwić zastępstwo w recepcji na resztę popołudnia. („Musiałem wziąć Maureen - wyjaśnił - żeby pomogła mi znaleźć materiały w Pomocach Audiowizualnych. Wygląda na to, że zajmie nam to resztę dnia". W Knox Building nie było wydziału ani komórki o nazwie Pomoce Audiowizualne, ale Frank mógł rozsądnie założyć, że pani Jorgensen o tym nie wie, a każdy, kogo zapyta, też nie udzieli jej jednoznacznej odpowiedzi. Przeprowadził rozmowę tak zręcznie, że dopiero gdy wracając do stolika, o cal uniknął wywrócenia tacy z francuskimi ciastami, uświadomił sobie, jak niewiele mu brakuje do stanu kompletnego upojenia.) Przez resztę czasu pił i z mieszanymi uczuciami słuchał.

Dowiedział się paru rzeczy: miała dwadzieścia dwa lata i pochodziła z miasteczka na północy stanu, gdzie jej ojciec był właścicielem sklepu żelaznego; nienawidziła swojego nazwiska („To znaczy »Maureen« jest w porządku, ale »Grube« brzmi okropnie, i chyba dlatego tak mi zależało na wyjściu za męż"); wyszła za męża w wieku osiemnastu lat, pół roku później małżeństwo zostało unieważnione - „To był idiotyzm" - a przez następny rok, dwa „wałęsała się po domu, pracowała w firmie paliwowej i była w depresji", aż wpadło jej do głowy, że od zawsze najbardziej pragnęła pojechać do Nowego Jorku „i żyć".

Wszystko to było bardzo przyjemne, podobnie jak nieśmiały sposób, w jaki zaczęła nazywać go „Frank", oraz wiadomość, że istotnie dzieli mieszkanie z inną dziewczyną - „po prostu cudowne" mieszkanie tutaj, w Village - ale po jakimś czasie Frank złapał się na tym, że musi sobie przypominać, że powinien być zadowolony. Podejrzywał, że kłopot polegał na tym, że Maureen tak dużo mówiła. Co więcej, w jej słowach pobrzmiewał fałsz i wiele z ich potencjalnego uroku pogrzebało wystudiowane silenie się na dowcip. Wkrótce Frank mógł się domyślić, że winę za większość, o ile nie wszystkie brednie ponosi współlokatorka imieniem Norma, którą Maureen darzyła nieuzasadnionym podziwem. Im więcej słyszał o tej dziewczynie (była starsza, dwukrotnie rozwiedziona, pracowała w wielkim magazynie i znała „wszystkich cudownych ludzi"), z tym większą irytacją dostrzegał, że obie z Maureen odgrywają klasyczne role mentorki i nowicjuszeki w dziewczęcej ortodoksyjnej

religii zabawy. Ślady tej nauki były widoczne w zbyt intensywnym makijażu i zbyt starannej fryzurze Maureen, w manieryzmach i szczebiocie, w nadużywaniu słów takich jak „szalony”, „cudowny” i „przeróżający”, pełnym podziwu recytowaniu faktów dotyczących wyposażenia mieszkania, niekończącego się zapasu anegdot o słodkich włoskich sprzedawcach i słodkich chińskich właścicielach pralni oraz burkliwych, ale kochanych gliniarzach, z których wszyscy, jak wynikało z opowieści, odgrywają role drugoplanowe w cukierkowym hollywoodzkim romansie samotnych dziewczyn na Manhattanie.

Pod opresyjnym ciężarem tego słowotoku Frank ciągle zamawiał drinki i potulne stwierdzenie Maureen, że wszystko jej się zamazuje, nappełniło go poczuciem winy. Całe to przesłodzone ożywienie Normy opuściło twarz Maureen; wyglądała równie szczerze i bezbrinnie jak dziewczynka, która na własnym przyjęciu zaraz zwymiotuje. Frank wezwał kelnera i pomógł jej wybrać najbardziej pożywne dania z menu z troską świadomego swych obowiązków ojca, a kiedy zabrała się do jedzenia, od czasu do czasu unosząc ku niemu wzrok, by go upewnić, że czuje się o wiele lepiej, mógł sam zabrać głos.

Poradził sobie doskonale. Zdania płynęły z jego ust, akapity same się układały i podrywały do lotu, stosowne anegdoty pojawiały się jak na zamówienie i ustępowały miejsca majestatycznym epigramom.

Rozpoczął od szybkiego i zuchwałego rozprawienia się z Knox Business Machines Corporation, czym ją rozśmieszył, po czym pewnym krokiem przeszedł na szersze pole surowej krytyki, na koniec kładąc u jej stóp podziurawiony mit Wolnej Przedsiębiorczości. Przeczuwając, że dalsza rozmowa o ekonomii mogłaby znudzić jego słuchaczkę, porwał ją w mgliste królestwo filozofii i dowcipem lekko sprowadził na ziemię.

Jak przyjęła śmierć Dylana Thomasa? I czy nie zgadza się, że ze wszystkich pokoleń czasów współczesnych to obecne jest najsłabsze i najbardziej przerażone? Był u szczytu formy. Wykorzystywał rzeczy, które dawniej prowokowały Milly Campbell do wykrzykników. „Och, jakież to prawdziwe, Frank!”, a także starszy, bardziej złożony materiał, dzięki któremu stał się najbardziej interesującą osobą, jaką April Johnson w życiu spotkała. Napomknął, że w przeszłości pracował jako doker. Przez całość jednak biegła jasna i zręcznie wpleciona nić przeznaczona wyłącznie dla Maureen: autoportret, w którym przedstawiał siebie jako przyzwoitego, acz pozbawionego złudzeń młodego ojca rodziny, ze smutkiem, ale i odwagą walczącego ze swoim środowiskiem.

Przy kawie widział już, że wszystko to odnosi pożądaný skutek. Twarz Maureen zmieniała się w automatyczny rejestrator błyskawicznych reakcji na jego słowa: Frank sprawiał, że dziewczyna rozjaśniała się zachwyconym uśmiechem, marszczyła brwi i potakiwała w poważnej zgodzie lub łagodniała w wyrazie romantycznej kontemplacji; gdyby chciał, mógłby bez trudu skłonić ją do płaczu. Kiedy na krótko odwracała od niego zamglone oczy, by spojrzeć na filiżankę lub na salę, był to rodzaj emocjonalnego złapania oddechu; raz nawet mógłby przysiąc, że Maureen planuje, jak opowie Normie o spotkaniu z nim („Och, cóż za niezwykle fascynujący mężczyzna...”), a sposób, w jaki zdawała się topnieć, kiedy podawał jej płaszcz, w jaki opierała się o niego, gdy wyszli z restauracji na zalaną słońcem ulicę, dowodził jasno, że spokojnie może odrzucić ostatni cień wątpliwości. Udało mu się.

Jedyny problem stanowiło miejsce, do którego mogliby pójść. Kierowali się ku drzewom na Washington Square, a kłopot ze spacerem, poza tym że było to marnowanie cennego czasu, polegał na tym, że zbliżała się godzina, kiedy park zapełni się dawnymi sąsiadkami i przyjaciółkami April. Anne Snyder, Susan Cross i Bóg jeden tylko wie, ile ich jeszcze tu przyjdzie, unosząc policzki ku słońcu albo wycierając dzieciom buzie z lodów, będą rozmawiały o przedszkolach, skandalicznie wysokich czynszach oraz cudownych filmach japońskich w oczekiwaniu na porę pozbierania zabawek i powrotu do domu, gdzie przyrządzą mężom drinki. Zauważyłyby go natychmiast („Oczywiście, że to Frank Wheeler, ale kto z nim jest? Czy to nie zabawne?”) Niepokój jednak nie zdążył się rozwinąć, bo Maureen przystanęła.

- Tu mieszkam. Masz ochotę wstąpić na drinka albo coś w tym rodzaju?

Wchodził za jej rozkołysanymi biodrami po mrocznych, wykładanych chodnikiem schodach. Potem drzwi zamknęły się z trzaskiem i stał w pokoju, w którym unosił się zapach odkurzacza, smażonego bekonu i perfum, wysokim, cichym pokoju, bogato skąpanym w żółtym świetle padającym z okien przysłoniętych żaluzjami z bambusa, zmieniającymi słońce w proste horyzontalne pasy brązu i złota. Czuł się wysoki i silny; obserwował Maureen, która krzątała się bez butów, porządkując popielniczki i czasopisma - „Obawiam się, że straszny tu bałagan, może usiądziesz?” - a kiedy uklękła na jedno kolano na sofie, by sięgnąć po sznur otwierający żaluzję, podszedł do niej i położył dłonie na talii. To wystarczyło. Z cichym jękiem odwróciła się i przytuliła do niego, podając mu usta. Zaraz potem leżeli na sofie i jedynym problemem na całym świecie były krępujące ich ubrania. Kręcąc się i z trudem łapiąc oddech, gwałtownie rozprawiali się z węzłami i guzikami, kłamrami i haczykami, aż ostatnia sztuka odzieży zsunęła się na podłogę. W ciepłe i rytmie

jej ciała Frank odnalazł obezwładniające poczucie, że tego właśnie potrzebuje, tak bez reszty pograżył się w sobie, że tylko mgliście zdawał sobie sprawę z jej szeptu: - O tak, tak, tak...

Kiedy było po wszystkim, kiedy oderwali się od siebie, by zaraz na powrót przytulić się w wilgotnej płataninie rąk i nóg, Frank wiedział, że nigdy w życiu nie czuł do nikogo takiej wdzięczności. Rzecz w tym, że nie miał pojęcia, co powiedzieć.

Próbował spojrzeć jej w twarz, znaleźć w niej jakąś podpowiedź, ale Maureen przycisnęła twarz do jego piersi i widział tylko czarne zmierzwione włosy; czekała, aż on odezwie się pierwszy. Przekręciwszy nieznacznie głowę, utkwił wzrok w przekrzywionej luce w żaluzji, którą Maureen zdołała podnieść odrobinę, nim padła mu w ramiona. Frank studiował nadgryziony zębem czasu gzyms budynku po drugiej stronie ulicy, kominy i anteny telewizyjne, które tworzyły misterny wzór na tle błękitnego nieba. Gdzieś z bardzo wysoka i daleka dobiegł stłumiony warkot silnika samolotu. Spojrzał w drugą stronę, na pokój, gdzie wszystko - odbitki obrazów Picassa, wybór pozycji z Klubu Książki Miesiąca, rozkładany fotel, kominek gęsto zastawiony zdjęciami w ramach - pływało w jaskrawym żółtym świetle; pomyślał, że porzucona marynarka i koszula leżą koło fotela, a spodnie, buty i bieliznę ma pod ręką. W trzydzieści sekund zdążyłby się ubrać i opuścić mieszkanie.

- No tak - odezwał się wreszcie - przypuszczam, że nie tego się spodziewałaś, kiedy rano wychodziłaś do pracy, prawda?

Panowała cisza tak absolutna, że Frank po raz pierwszy usłyszał tykanie budzika w sąsiednim pokoju.

- Nie - odparła po chwili. - Z całą pewnością nie.

Pośpiesznie usiadła. Złapała granatowy sweter, żeby przykryć nim swoją nagość, ale po chwili wahania doszła do wniosku, że w tej sytuacji skromność trudno uznać za rzecz najważniejszą, i wypuściła go z rąk. W przypiływie zakłopotania znowu wzięła sweter, najwyraźniej zastanawiając się, czy to właśnie nie jest najbardziej odpowiednia pora na skromność, przykryła piersi i skrzyżowała na nich ręce. Jej włosy zmieniły się w nieatrakcyjną zmierzwioną gęstwinę, jaką zapewne były w dzieciństwie: zdawały się eksplodować z czaszki setkami małych świderków. Dotknęła ich opuszkami palców w kilku miejscach, nie po to, by przyglądać, ale w ukradkowy, na wpół świadomy sposób, w jaki Frank, mając siedemnaście lat, czasami dotykał przyszczy, żeby się upewnić, czy to okropieństwo wciąż tu jest. Twarz i szyję miała bladą, choć głęboki rumieniec zaczynał zalewać jej policzki, jakby ktoś ją uderzył; wyglądała tak bezbronne, że przez sekundę, może dwie był przekonany, że

potrafi czytać jej w myślach. Co powie Norma? Czy Norma będzie nią pogardzała za to, że tak łatwo dała zaciągnąć się do łóżka? Nie, z pewnością Norma powie, że w naprawdę dojrzałym, wyrafinowanym romansie zachowaniem beznadziejnie banalnym jest używanie terminów w rodzaju bycie „łatwą” albo „trudną” w sprawach łóżkowych. Tak, ale jeśli rzeczywiście było to tak dojrzałe i wyrafinowane, dlaczego nie potrafi się zdecydować, co zrobić ze swetrem? Dlaczego ma straszne problemy ze znalezieniem słów, które powinna teraz powiedzieć temu mężczyźnie?

Wreszcie odzyskała panowanie nad sobą. Uniosła podbródek, jakby chciała odrzucić z czoła gładki, ciężki lok, i przywołała na twarz uśmiech z salonowej komedii, po raz pierwszy patrząc Frankowi w oczy.

- Masz papierosa, Frank?

- Jasne, proszę. - Na szczęście w końcu rozmowa zaczęła się kleić.

- Jak się nazywał ten wymyślony przez ciebie wydział? - Hę?

- No wiesz, wydział, o którym mówiłaś pani Jorgensen.

- Och. Pomocy Audiowizualnych. Właściwie wcale go nie wymyśliłem. Kiedyś było coś w tym rodzaju, wydaje mi się, że na ósmym piętrze. Nie przejmuj się, ona nigdy nie dojdzie prawdy.

- To brzmi szalenie prawdziwie. Pomoce Audiowizualne. Wybacz na moment, Frank. - Przebiegła przez salon, niezgrabnie przygarbiona, jakby to miało uczynić ją mniej nagą, i zniknęła w pokoju, w którym tykał budzik.

Kiedy wróciła, miała na sobie długi do ziemi szlafrok i fryzurę doprowadzoną do niemal pierwotnego kształtu; zastała Franka kompletnie ubranego i uprzejmie oglądającego zdjęcia na kominku, jak gość, któremu jeszcze nie zaproponowano, żeby usiadł. Pokazała mu, gdzie jest łazienka; w tym czasie poprawiła poduchy na sofie i kręciła się niezdecydowana po aneksie kuchennym.

- Masz ochotę czegoś się napić?

- Nie, Maureen, dziękuję. Prawdę mówiąc, muszę się już zbierać. Robi się późno.

- Jejku, racja. Uciekł ci pociąg?

- To nie problem. Pojadę następnym.

- Szkoda, że już musisz iść. - Sprawiała wrażenie zdecydowanej zachować spokój i godność; udawało jej się to do chwili, gdy otworzyła przed Frankiem drzwi. Jej wzrok zabłąkał się wtedy do kąta przy sofie i zobaczyła, że coś śliskiego i białego, stanik albo pas do pończoch, wciąż leży skrzyżowane na dywanie. Drgnęła, wyraźnie walcząc z impulsem, by podbiec, złapać to coś i

schować za poduchy - a może podrzeć na kawałeczki. Kiedy znowu na niego spojrzała, oczy miała żałośnie rozszerzone i błyszczące.

Tego nie dało się uniknąć; musiał się odezwać. Ale tylko jedno szczerze mógł powiedzieć: że nigdy nie czuł do nikogo większej wdzięczności, że jej dziękuje, i zastanawiał się, czy nie odniosłoby to wręcz przeciwnego skutku, niemal takiego jak wręczenie pieniędzy. Do głowy wpadł mu inny pomysł: okazać smutek i czułość, ująć ją za ramiona i powiedzieć: „Posłuchaj, Maureen, taki związek nie może mieć przyszłości”. Ona jednak mogłaby odpowiedzieć: „Och, wiem” i ukryć twarz w jego marynarce, a wówczas nie pozostałoby mu nic innego, jak dodać: „Wolałbym nie myśleć, że podstępem cię wykorzystałem, a jeśli tak, to cóż...” - i tu zaczynał się problem. Musiałby takie zdanie zakończyć „przykro mi”, a ostatnią rzeczą, jaką chciałby zrobić, ostatnią rzeczą na tym świecie były przeprosiny. Czy łąbędź przeprosił Ledę? Czy przeprosił orzeł? Lew? Do diabła, nie.

Uśmiechnął się więc do niej tylko, subtelnym, światowym, atrakcyjnym uśmiechem, i utrzymywał rysy w tej pozycji, dopóki nie odpowiedziała nieśmiałym wygięciem warg. Wtedy pochylił się, pocałował ją lekko w usta i powiedział:

- Posłuchaj, byłaś rewelacyjna. Dbaj o siebie. Wyszedł z budynku na ulicę; w połowie przecznicy zerwał się do radosnego biegu, nie zwalniając kroku aż do Piątej Alei. Dopiero tam musiał w ostatniej chwili skrócić, żeby nie wpaść na dziecięcy wózek.

- Nie możesz patrzeć, gdzie idziesz? - krzyknęła pchająca go kobieta, ale Frank nawet się nie obejrzał, tak samo jak nie obejrzałyby się lew czy orzeł. Czuł się mężczyzną.

Czy mężczyzna może wracać do domu w ostatnim wagonie dla palących, sztywnym gestem prostując kant na kolanach

i składając wieczorną gazetę w wąski pasek, by zrobić miejsce sąsiadowi? Czy mężczyzna może potulnie siedzieć, masażem usiłując odegnać ból głowy, i pozwalać, by otaczał go gwar głosów pokonanych, dobrodusznych ludzkich manekinów, którzy kołyszą się i grają w brydża w zatechłym zapachu farby drukarskiej, tytoniu, nieświeżych oddechów i rozżarzonych grzejników?

Do diabła, nie. Mężczyzna powinien jechać z podniesioną głową w otwartej przestrzeni hałaśliwego żelaznego korytarza, gdzie wiatr szarpie mu krawatem, gdzie szeroko rozstawione stopy podrygują na dźwięczących płytach, i wciągać głęboko w płuca dym z papierosa, dopóki niedopałek nie zmieni się w igłę ognia i popiołu, a potem wyrzucić go prosto jak pocisk na ryczące prędkością tory, wpatrzony w przedmięcia przewijające się na tle różowo-szarego

wieczornego nieba. A kiedy przyjeżdża na swoją stację, mężczyzna zsuwa się po żelaznych stopniach i zeskakuje, nim pociąg zdąży stanąć, po wylądowaniu biegnie, by po jakimś czasie zwolnić do swobodnego, sportowego kroku, którym udaje się na parking.

Zasłony na oknie widokowym były zaciągnięte. Frank zobaczył to z drogi, zanim skręcił na podjazd, a potem z kuchni wybiegła April, żeby poczekać na niego przy wiacie. Ubrana była w czarną koktajlową sukienkę, czółenka i bardzo mały fartuszek ze sztywnej białej gazy, którego nigdy wcześniej nie widział. Nie wyłączył jeszcze silnika, gdy otworzyła szarpnięciem drzwi i oburącz ujęła go za ramię. Dłonie miała szczuplejsze i bardziej nerwowe niż Maureen Grube, była wyższa, starsza i używała zupełnie innych perfum, piskliwszym głosem szybciej wypowiadała słowa.

- Frank, posłuchaj, zanim wejdiesz do domu, muszę z tobą porozmawiać. To szalenie ważne.

- Co?

- Och, bardzo wiele rzeczy. Przede wszystkim tęskniłam za tobą przez cały dzień, strasznie za wszystko przepraszam i kocham cię. Reszta może poczekać. A teraz chodź do domu.

Gdyby mógł przez rok nie robić nic poza tym, i tak za skarby świata nie byłby w stanie uporządkować i zważyć uczuć, które wypełniały go przez te dwie, trzy sekundy, gdy wchodził po kuchennych schodach z April uwieszoną u ramienia. To było tak, jakby szedł przez burzę piaskową; to było tak, jakby szedł po dnie oceanu; to było tak, jakby szedł przez powietrze. Zabawny aspekt polegał na tym, że pomimo oszołomienia nie mógł nie zauważyć, że głos April, choć tak odmienny, odznacza się cechą, która dziwnie upodobnia go do głosu Maureen Grube opowiadającej mu o cudownych znajomych Normy albo powtarzającej nazwę „Pomoce Audiowizualne” - była w nim gra, nieco fałszywa ekspresja, przez co obie sprawiały wrażenie, że rozmawiają nie tyle z nim, co z jakąś romantyczną abstrakcją.

- Poczekaj tutaj, mój kochany - mówiła April. - Przez minutkę, póki ci nie powiem.

Zostawiła go samego w kuchni, gdzie od gorącego zapachu pieczonej wołowiny oczy zaszły mu łzami. Podała mu staroświecką szklanekę pełną lodu i whisky, po czym zniknęła w mrocznym salonie, z którego dobiegały go źle powstrzymany chichoty dzieci i zgrzytanie zapałki.

- Dobrze! - zawołała April. - Już!

Stali przy stole; dopiero po chwili zorientował się, że twarze ich trojga skąpane są w migotliwym żółtym świetle, którego źródłem były świece na torcie. Rozległ się powolny, piskliwy śpiew:

- Sto lat, sto lat...

Głos Jennifer był najgłośniejszy, April jako jedyna nie fałszowała wysokich nut - „Jeszcze raz, jeszcze raz...” - ale to Michael najbardziej się starał i najszerzej uśmiechał.

Rozdział siódmy

Wybaczyć ci co, April? Stali sami na dywanie w salonie. April zrobiła ostrożny krok w jego kierunku.

- Och, wszystko - odparła. - Wszystko. To, jak się zachowywałam przez cały weekend. Jaka byłam, odkąd dałam się wplątać w to okropne przedstawienie. Tyle mam ci do powiedzenia. Ułożyłam cudowny plan, Frank. Posłuchaj.

Niełatwo jednak było cokolwiek usłyszeć przez gniewne milczenie w jego głowie. Czuł się jak potwór. Pożarł kolację niczym zagłodzony człowiek, dołożył do tego siedem przesłodzonych kęsów tortu czekoladowego; odwijając prezenty urodzinowe, raz po raz wykrzykiwał słowo, którym określił to, czym dla niego była Maureen Grube - „Rewelacyjne... rewelacyjne...” - wysłuchał paciorków na dobranoć i na palcach wyszedł z pokoju dzieci, a teraz pozwalał, by żona prosiła go o wybaczenie, równocześnie zaś zimnym wzrokiem odkrywał, że w gruncie rzeczy wcale nie ma na co patrzeć: za stara, za wysoka, zbyt spięta.

Pragnął wybiec na dwór i dokonać dramatycznej pokuty: walnąć pięścią w drzewo, biec przez wiele mil, przeskakując kamienne murki, aż wyczerpany padnie w błoto i jeżyny. Zamiast tego zamknął oczy i przyciągnął April do siebie, gniotąc koktajlowy fartuszek w desperackim uścisku, rozprasząc szalejące w nim emocje pieszczotą łuku jej pleców i przyciskając mrużące, jęczące usta do jej szyi.

- Och, moja śliczna - mówił. - Och, moja śliczna.

- Nie, poczekaj, posłuchaj. Wiesz, co robiłam przez cały dzień? Tęskniłam za tobą. Frank, wymyśliłam cudowny... nie, poczekaj. To znaczy Kocham cię, ale przez minutę mnie posłuchaj. Ja...

Tylko w jeden sposób mógł powstrzymać ją od mówienia i usunąć z oczu: całując w usta. Podłoga zaczęła przekrzywiać się pod niebezpiecznymi kątami i wpadliby na stół, gdyby nie zrobili trzech chwiejnych kroczków i nie wybrali miękkiego bezpieczeństwa sofy.

- Kochanie? - szepnęła zadyszana. - Kocham cię bardzo, ale nie sądzisz, że powinniśmy... och, nie, nie przestawaj. Nie przestawaj.

- Co powinniśmy?

- No wiesz, przejść do sypialni. Ale nie będziemy tego robić, jeśli miałoby cię to rozgniewać. Zostaniemy tutaj, jeśli wolisz. Kocham cię.

- Nie, masz rację. Pójdziemy. - Zmusił się do powstania, ciągnąc ją za sobą.
- I lepiej wezmę prysznic.

- Och, nie. Proszę, nie bierz prysznic. Nie puszczę cię. - Muszę, April.

- Dlaczego?

- Muszę i koniec. - Wkładał całą siłę woli w każdy ciężki, chybotliwy krok.

- Uważam, że jesteś okropnie podły - mówiła, czepiając się jego ramienia. - Okropnie, strasznie podły. Frank, podobały ci się prezenty? Krawat jest w porządku? Byłam chyba w czternastu sklepach i w żadnym nie mieli przyzwoitych krawatów.

- Jest rewelacyjny. To najładniejszy krawat, jaki w życiu miałem.

Pod sztywnym strumieniem gorącej wody, w którym Maureen Grube stała się drugą skórą, możliwą do usunięcia tylko przez rozpaczliwe szorowanie, Frank doszedł do wniosku, że będzie musiał jej powiedzieć. Ujmie ją za obie dłonie i zacznie: „Posłuchaj, April. Dziś po południu...”

Zakręcił gorącą wodę i odkręcił zimną, czego nie robił od lat. Szok sprawił, że zabrakło mu tchu i zaczął przebierać nogami, ale wytrwał, dopóki nie doliczył do trzydziestu, tak jak robił to w wojsku, i po kąpieli poczuł się wspaniale. Powiedzieć jej? Ależ naturalnie, że jej nie powie. Do diabła, jaki miałoby to sens?

- Och, wyglądasz tak czysto - powiedziała, tanecznym krokiem odsuwając się od szafy, ubrana w swoją najlepszą białą koszulkę nocną. - Wyglądasz tak czysto i spokojnie. Usiądź koło mnie i przez minutę porozmawiajmy, dobrze? Popatrz, co tu mam.

Wcześniej postawiła na nocnym stoliku butelkę brandy i dwie szklanki, ale na razie Frank nie zamierzał pozwolić jej, by nalała im drinki albo cokolwiek więcej powiedziała. Kiedy raz się od niego oderwała, to tylko po to, by usunąć skomplikowaną koronkową konstrukcję z ramion, tak by zsunęła się z piersi. Sutki jej twardniały i unosiły się, nim jeszcze położył na nich dłonie.

Po raz drugi tego dnia przekonał się, że akt miłosny może odebrać mu mowę, i miał nadzieję, że April zgodzi się przełożyć zapowiadaną rozmowę na jutro. Wiedział, że cokolwiek ma mu do powiedzenia, powie z tą dziwną teatralną emfazą, a on nie czuł się na siłach radzić sobie z nią teraz. Pragnął tylko z uśmiechem leżeć w ciemności, dezorientowany, dręczony wyrzutami sumienia i szczęśliwy, poddając się narastającemu ciężarowi snu.

- Kochanie? - Jej głos brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka. - Kochanie? Chyba nie zaśniesz? Bo tyle chcę ci powiedzieć i brandy się zmarnuje, a ja jeszcze nie miałam szansy nawet wspomnieć ci o moim planie.

Po minucie przekonał się, że łatwo mu pozostać przytomnym, choćby tylko dla przyjemności siedzenia z nią pod podwójną peleryną koca, popijania brandy w świetle księżyca i słuchania jej wznoszącego się i opadającego głosu. Odgrywała rolę czy nie, jej głos w sytuacjach erotycznych zawsze ślicznie

brzmiał. W końcu z niejakim ociąganiem zaczął zwracać uwagę na to, co mówiła.

Jej plan, pomysł zrodzony ze smutku, tęsknoty za nim i miłości do niego, był skomplikowanym nowym programem wyjazdu „na dobre” do Europy jesienią. Czy Frank wie, ile pieniędzy mają? Podliczywszy rachunek bankowy, zyski ze sprzedaży domu i samochodu oraz to, co uda się zaoszczędzić do września, będą mieli dość, by wygodnie żyć przez pół roku.

- A o wiele wcześniej zadomowimy się i zaczniemy na siebie zarabiać, to jest w tym najlepsze.

Frank odchrząknął.

- Poczekaj, dziecińko. Po pierwsze, jaką pracę mógłbym...

- Żadnej pracy. Och, wiem, że mógłbyś dostać pracę wszędzie na świecie, gdyby zaszła taka konieczność, ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że nie ty będziesz szukał pracy, tylko ja. Nie śmieję się, posłuchaj. Masz pojęcie, ile płacą sekretarkom we wszystkich tych rządowych agencjach za granicą? NATO, ONZ i tak dalej? I orientujesz się, jak niskie są tam koszty życia w porównaniu ze Stanami? - Wszystko zaplanowała, przeczytała artykuł w jakimś czasopiśmie. Jej umiejętności pisania na maszynie i stenografii zapewnią im utrzymanie, więcej - wystarczy na służącą, która zajmie się dziećmi, kiedy ona będzie w pracy. Plan jest cudownie prosty, mówiła z głębokim przekonaniem, i sama jest zdumiona, że wcześniej nigdy o tym nie pomyślała. Musiała jednak ciągle sobie przerywać, by z rosnącym zniecierpliwieniem upominać go, żeby się nie śmiał.

Jego śmiech nie był całkiem szczery, podobnie jak gest, którym ścisnął ją za ramię, jakby chciał lekceważąco uznać całą sprawę za uroczy kaprys. Usiłował ukryć przed nią, a może i przed sobą, że plan od pierwszej chwili go przeraził.

- Mówię poważnie, Frank - mówiła April. - Myślisz, że żartuję albo coś w tym rodzaju?

- Nie, wiem, że nie żartujesz. Ale mam kilka pytań. Po pierwsze, co ja właściwie mam robić, kiedy ty będziesz zarabiała cały ten szmal?

Odsunęła się, by w półmroku przyjrzeć się jego twarzy, jakby nie potrafiła uwierzyć, że nic nie pojął.

- Nie rozumiesz? Nie widzisz, na czym ten pomysł polega? Ty będziesz robił to, co powinienesz był robić siedem lat temu. Będziesz szukał swojego miejsca, czytał, studiował, chodził na długie spacerunki i rozmyślał. Będziesz miał czas. Po raz pierwszy w życiu będziesz miał czas, by się przekonać, co pragniesz robić, a kiedy to odkryjesz, będziesz miał czas i wolność, by zacząć się tym zajmować.

Ze śmiechem kręcąc głową, wiedział, że tych właśnie słów obawiał się najbardziej. Przed oczyma przemknęła mu niepokojąca wizja April wracającej z biura - ubrana w paryski kostium, energicznym ruchem ściąga rękawiczki - wchodzącej do domu, podczas gdy on w poplamionym jajkiem szlafroku siedzi na niepościelonym łóżku i dłubie w nosie.

- Posłuchaj - zaczął. Cofnął dłoń z jej ramienia i zaczął pieścić pierś. - Po pierwsze twój plan jest uroczy i bardzo...

- Nie jest uroczy! - Wypowiedziała to słowo takim tonem, jakby słowo „uroczy” stanowiło kwintesencją wszystkiego, czym pogardzała. Złapała jego dłoń i odrzuciła, jakby też była godna pogardy. - Na litość boską, Frank, nie jestem „urocza”. To nie jest z mojej strony żadne wielkie altruistyczne poświęcenie, czy tego nie widzisz?

- Dobrze, dobrze, nie jest urocze, nie denerwuj się. Ale nieważne, jak to nazwiemy, plan jest mało realistyczny, i tylko o to mi chodziło.

- Gdybym się zgodziła, musiałabym mieć bardzo dziwną i niepochlebnią opinię o rzeczywistości. Bo widzisz, tak się składa, że moim zdaniem nierealistyczne jest zupełnie coś innego. Nierealistyczne jest to, że mężczyzna z takim potencjałem intelektualnym przez lata haruje jak pies w pracy, której nie znosi, wraca do domu, którego nie znosi, w dzielnicy, której nie znosi, do żony, która całkowicie jego uczucia podziela. Żyją pomiędzy bandą małych przerażonych... mój Boże, Frank, nie muszę ci mówić, co jest nie tak z tym miejscem, przecież ja cię cytuję. Pamiętasz, co powiedziałeś wczoraj wieczorem, kiedy byli tu Campbellowie? Że cała idea przedmieść polega na trzymaniu rzeczywistości na dystans? Mówiłeś, że wszyscy chcą wychować dzieci w zalewie sentymentalizmu. Powiedziałeś...

- Wiem, co mówiłem, choć wydawało mi się, że mnie nie słuchałaś. Sprawiałaś wrażenie znudzonej.

- Byłam znudzona. To też próbuję ci powiedzieć. Nie sądzę, bym kiedykolwiek w życiu była bardziej znudzona, przygnębiona i zniesmaczona niż wczoraj wieczorem. A do tego wszystkiego cała ta sprawa z synem Helen Givings, na którą rzuciliśmy się jak psy na ochłap; patrzyłam na ciebie i myślałam: „Boże, żeby wreszcie przestał mówić”. Bo to, co mówiłeś, oparte było na tym wielkim założeniu, że jesteśmy wyjątkowi, że jesteśmy lepsi od tamtych, a ja miałam ochotę krzyknąć: „Ale wcale nie jesteśmy! Popatrz na nas! Jesteśmy dokładnie tacy sami jak ludzie, o których mówisz! My jesteśmy ludźmi, o których mówisz!” Byłam... sama nie wiem, czułam pogardę do ciebie, bo nie potrafiłeś dostrzec strasznego fałszu swoich słów. A kiedy rano wychodziłeś do pracy, kiedy cofałeś samochód na podjeździe, zobaczyłam, jak

oglądasz się na dom, jakby chciał cię ugryźć. Wyglądałeś tak żałośnie, że wybuchnęłam płaczem, a potem czułam się piekielnie samotna i myślałam: Jak to się stało, że wszystko jest takie okropne? Jeśli to nie jego wina, to czyja? Jak do tego doszło, że w ogóle wkroczyliśmy w ten dziwny świat marzeń Donaldsonów, Cramerów i Wingate'ów, i Campbellów

też, bo dzisiaj doszłam do jeszcze jednego wniosku, że oboje ci Campbellowie są potężną, kolosalną stratą czasu. I nagle zaczęło to do mnie docierać - mówię szczerze, Frank, to było jak oświecenie - stałam w kuchni i nagle zaczęło do mnie docierać, że to moja wina. To zawsze była moja wina i mogę ci powiedzieć, kiedy to się zaczęło. Mogę ci dokładnie powiedzieć, kiedy to się zaczęło. Nie przerywaj mi.

Ale on wiedział, że teraz lepiej jej nie przerywać. Musiała całe rano spędzić na gorączkowych rozmyśleniach, krążąc po śmiertelnie cichym, śmiertelnie czystym domu i wykręcając palce, aż zaczęły ją boleć; musiała spędzić popołudnie na gorączkowym działaniu w centrum handlowym, prowadząc samochód przez labirynt znaków ZAKAZ SKRĘTU W LEWO i rozgniewanych policjantów, biegając po sklepach w poszukiwaniu prezentów urodzinowych, wołowiny, składników na tort i koktajlowego fartuszka. Cały jej dzień był heroicznym przygotowaniem na tę chwilę samoponizenia i w żadnym razie nie zniosłaby, gdyby ktoś jej przeszkodził.

- To się zdarzyło jeszcze na Bethune Street - mówiła. - Kiedy zaszłam w ciążę z Jennifer i powiedziałam ci, że mam zamiar... no wiesz, dokonać aborcji. To znaczy aż do tamtej chwili ty wcale bardziej ode mnie nie chciałeś dziecka, bo niby czemu miałbyś chcieć, ale kiedy kupiłam tę gumową gruszkę, zrzuciłam całe brzemie na twoje barki. Jakbym powiedziała: „W porządku, skoro chcesz tego dziecka, będziesz ponosił za nie wyłączną odpowiedzialność. Będziesz musiał stanąć na głowie, żeby nas utrzymać. Porzucisz nadzieję na bycie na tym świecie kimś innym niż ojcem”. Och, Frank, gdybyś wtedy potraktował mnie tak, jak na to zasłużyłam, gdybyś nazwał mnie suką, odwrócił się plecami, zdemaskowałbyś moją pozę w jednej chwili. Pewnie nigdy bym tego nie zrobiła, nie zdobyłabym się na odwagę, ale ty zachowałeś się inaczej. Byłeś za dobry, za młody i za bardzo przerażony; wzięłeś moje groźby poważnie i tak to się zaczęło. Oboje daliśmy się wplątać w to potworne złudzenie, ponieważ potwornym, obscenicznym złudzeniem jest pomysł, że ludzie muszą zrezygnować z prawdziwego życia i „ustatkować się”, kiedy zakładają rodziny. To wielkie sentymentalne kłamstwo przedmieść, a ja przez cały ten czas zmuszałam cię, żebyś je powtarzał. Zmuszałam cię, żebyś według niego żył! Mój Boże, posunęłam się nawet tak daleko, że stworzyłam ten

ckliwy autoportret rodem z mydlanej opery (podejrzewam, że teraz to sobie uświadomiłam), ten obraz siebie jako dziewczyny, która mogłaby zostać Aktorką, gdyby za wcześnie nie wyszła za męża. Ty doskonale wiesz, że nigdy nie byłam aktorką i nigdy w gruncie rzeczy nie chciałam nią zostać; wiesz, że poszłam na akademię tylko dlatego, żeby wyrwać się z domu, i ja też to wiem. Zawsze o tym wiedziałam. Ale przez trzy miesiące chodziłam ze szlachetnym, gorzko-słodkim wyrazem twarzy - powiedz, jak bardzo człowiek potrafi się oszukiwać? Widzisz, do jakiego stopnia jest to neurotyczne? Pragnęłam mieć jedno i drugie. Nie wystarczyło, że zrujnowałam ci życie, chciałam zamknąć ten monstrualny okrąg, tak by wyglądało na to, że to ty zrujnowałeś moje, bo dzięki temu mogłabym odgrywać rolę ofiary. To straszne, zgodzisz się chyba? Ale to prawda! To prawda! - Przy każdym słowie „prawda” uderzała zwiniętą w pięść drobną dłonią w swoje nagie kolano. - Teraz rozumiesz, co musisz mi wybaczyć? I dlaczego musimy jak najszybciej stąd się wynieść i pojechać do Europy? Wcale nie jestem „słodka” czy wielkoduszna. Nie wyświadczam ci przysługi. Daję ci tylko to, do czego zawsze miałeś prawo, i bardzo mi przykro, że robię to tak późno.

- Dobrze. Mogę ja teraz coś powiedzieć?

- Tak. Ale mnie rozumiesz? I mógłbyś nalać mi brandy? Odrobinę, o tak. Dziękuję. - Popijając, odrzuciła do tyłu włosy i przy tym ruchu koc zsunął jej się z ramion. Zmieniła pozycję, opierając się o ścianę i podwijając nogi. Wyglądała na całkowicie zrelaksowaną i pewną siebie, gotową go wysłuchać, szczęśliwą dzięki świadomości, że przedstawiła swój punkt widzenia. Jej połyskujące białoniebieskim światłem ciało emanowało potężną siłą; Frank wiedział, że patrząc na nią, nie będzie w stanie myśleć jasno, z wysiłkiem utkwiał więc wzrok w oblanej księżycową poświatą podłodze pomiędzy swoimi stopami i zyskując na czasie, dłużej niż trzeba zapalał papierosa. Musiał pozbierać myśli. April będzie wracała do paryskiego mieszkania, stukając zdecydowanie wysokimi obcasami o kafelki podłogi, z włosami zwiniętymi w schludny kok, z twarzą ściągniętą zmęczeniem, tak że drobne pionowe zmarszczki pomiędzy oczami nie znikną nawet przy uśmiechu. Z drugiej strony...

- Po pierwsze - powiedział wreszcie - myślę, że za surowo się traktujesz. Nic nigdy nie jest tylko czarne lub tylko białe. Nie zmusiłaś mnie do przyjęcia tej posady u Knoxa. Poza tym spójrz na to z innej strony. Powiadasz, że zawsze wiedziałeś, iż w gruncie rzeczy nie jesteś aktorką, dlatego nie masz prawa czuć się oszukana. Spójrzmy prawdzie w oczy: czy tego samego nie można zastosować do mnie? No wiesz, kto powiedział, że jestem grubą rybą?

- Nie rozumiem, co masz na myśli - odparła spokojnie. - Myślę, że gdybyś był grubą rybą, byłoby to dość męczące. Jeśli jednak pytasz, kto powiedział, że jesteś wyjątkowy, kto powiedział, że masz wybitny, doskonały umysł... cóż, mój Boże, Frank, odpowiedź brzmi: wszyscy. Kiedy cię poznałam, byłeś...

- Och, do diabła, byłem małym mądrałą z gębą pełną mądrych słów. Popisywałem się erudycją, której nie miałem. Byłem...

- Nieprawda! Jak możesz tak mówić? Frank, czy jest aż tak źle, że straciłeś wiarę w siebie?

Ha, nie; musiał przyznać, że aż tak źle nie jest. Poza tym bał się, że wyczuwa w jej głosie nutę zwątpienia, słabą sugestię, że mógłby ją przekonać, iż w gruncie rzeczy istotnie był małym mądrałą, i to go przygnębiło.

- Zgoda - ustąpił. - W porządku, powiedzmy, że byłem obiecującym młodzieńcem. Rzecz w tym, że w Columbii aż roi się od obiecujących młodzieńców, co niekoniecznie oznacza, że...

- Podobnych tobie nie było wielu - przerwała mu z nową pewnością w głosie. - Nigdy nie zapomnę tego... jakże on się nazywał? Zawsze go podziwiałeś, był pilotem bombowca i miał mnóstwo dziewcząt. A, Bill Croft. Nigdy nie zapomnę, jak o tobie mówił. Kiedyś mi powiedział: „Gdybym w połowie był tak mądry jak ten facet, przestałbym się martwić”. I mówił poważnie! Każdy wiedział, że nie ma takiej rzeczy na świecie, której nie potrafiłbyś zrobić, gdybyś tylko miał okazję odnaleźć siebie. Nie rozumiesz tego?

- Pozwolisz mi skończyć? Przede wszystkim... - Urwał, poczuł bowiem, że przez minutę musi pomilczeć. Upił wielki łyk brandy; alkohol zapiekł go w podniebienie, wysłał fale ciepła na ramiona i kręgosłup. Frank z powagą wpatrywał się w podłogę.

Bill Croft naprawdę tak powiedział?

- Wszystko, co mówisz, ma sporo sensu... - zaczął raz jeszcze; przegrywał w tej dyskusji, a wiedział o tym między innymi dlatego, że w jego głosie zadźwięczała nuta równie teatralna jak w jej głosie. To był głos bohatera, głos pasujący do osoby, którą Bill Croft mógłby podziwiać. - Miałoby sporo sensu, gdybym był obdarzony jakimś określonym, wymiernym talentem. Gdybym powiedzmy był artystą, pisarzem albo...

- Och, Frank, naprawdę uważasz, że artyści i pisarze to jedyni ludzie mający prawo do niezależnego życia? Posłuchaj: nieważne, jeśli przez pięć lat nic nie będziesz robił, nieważne, jeśli po tych pięciu latach zdecydujesz, że chcesz być murarzem, mechanikiem albo marynarzem na statku handlowym. Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? To nie ma nic wspólnego z określonymi,

wymiernymi talentami, bo problem polega na tym, że istota twojej natury została zduszona. Chodzi o to, czego raz po raz pozbawia cię taka egzystencja.

- A co to jest? - Po raz pierwszy odważył się na nią spojrzeć, nie tylko spojrzeć, ale odstawiwszy szklanę, położyć na jej nodze rękę, którą przykryła obiema dłońmi.

- Och, nie wiesz? - Przesunęła jego dłoń delikatnie po swoim biodrze na płaski brzuch, gdzie znowu ją przycisnęła. - Nie wiesz? Jesteś najcenniejszą i najcudowniejszą rzeczą na świecie. Jesteś mężczyzną.

Ze wszystkich kapitulacji w jego życiu ta jedna wyglądała niemal jak zwycięstwo. Nigdy wcześniej w jego wnętrzu nie wezbrało takie uniesienie; nigdy wcześniej piękno nie wyrastało z taką mocą z prawdy; nigdy wcześniej przez akt miłosny z żoną nie odniósł tak triumfalnego zwycięstwa nad czasem i przestrzenią. Siłą woli mógłby unicestwić przeszłość i przyszłość, ściany domu i znajdujący się za nim, więżący go ugór, miasta i drzewa. Zdobył władzę nad wszechświatem, ponieważ był mężczyzną i ponieważ ta cudowna istota, która otworzyła się dla niego i poruszyła z nim z czułością i siłą, była kobietą.

Przy pierwszych jasnych, niepewnych wołaniach ptaków, kiedy gęsto rosnące drzewa zmieniały się z szarych na oliwkowozielone w rozplywającej się mgłę, delikatnie dotknęła jego ust opuszkami palców.

- Kochanie? Zrobimy to, prawda? To nie było tylko takie gadanie?

Leżał na plecach, czerpiąc przyjemność z wolnego unoszenia się i opadania własnej klatki piersiowej, która wydawała się szeroka, głęboka i dostatecznie muskularna, by wypełnić średniowieczną zbroję. Czy jest coś, czego nie potrafiłby dokonać? Czy jest podróż, w którą nie mógłby wyruszyć, nagroda w życiu, której nie mógłby przyrzec swojej żonie?

- Nie - powiedział.

- Bo wiesz, chciałabym od razu się tym zająć. Jutro. Zaczę pisać listy, wyrabiać paszporty i tak dalej. Myślę też, że powinniśmy powiedzieć Niffer i Mike'owi od razu, nie sądzisz? Będą potrzebowali trochę czasu, żeby się przyzwycząić, a poza tym chcę, żeby dowiedzieli się pierwsi. A ty?

- Masz rację.

- Ale nie powiem im, dopóki ty nie będziesz całkowicie przekonany.

- Jestem całkowicie przekonany.

- To wspaniale. Och, kochanie, popatrz, która godzina. Na dworze już jest jasno. Będziesz wykończony.

- Nie będę. Mogę się przespać w pociągu i w pracy. Wszystko w porządku.

- To dobrze. Kocham cię. Oboje zasnęli jak dzieci.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział pierwszy

Zaczął się okres radosnego szaleństwa, pełnej uniesienia beztroski; później Frank Wheeler nie potrafił sobie przypomnieć, jak długo to trwało. Minął może tydzień, może dwa, może więcej, nim życie znowu nabrało ostrości, powróciła dawna troska o upływ czasu i niespokojna potrzeba odmierzania go i dzielenia; kiedy jednak spoglądał wstecz, nie był w stanie określić, przez ile dni zupełnie go to nie obchodziło. W pamięci utkwił mu wyraźnie tylko dzień pierwszy, nazajutrz po jego urodzinach.

Istotnie spał w pociągu z głową opartą o zakurzony plusz, z „Timesem” zsuwającym się z kolan; pod pełnym ech sklepieniem Grand Central stał długo z parzącym kubkiem kawy w dłoni, po raz pierwszy pozwalając sobie na spóźnienie do pracy. Jakże mali, schludni i komicznie poważni wydawali się inni mężczyźni z plamami siwizny na krótko ostrzyżonych włosach, w zapiętych pod szyję koszulach, spieszenie stawiający kroki! Teraz niekończącą się rzeką ciał wypływali ze stacji na ulice, a za godzinę znieruchomieją. Biurowce w śródmieściu połkną ich, uwiężą, zaglądanie nad kanionem ulicy z jednego wieżowca do drugiego będzie jak zaglądanie do cichego insektarium, w którym setki małych różowych ludzików w białych koszulach nieustannie przerzucają papiery i ze zmarszczonym czołem mówią do słuchawki telefonu, odgrywają swój namiętny głupi show pod obojętnie przesuwanymi się po niebie wiosennymi obłokami.

Tymczasem Frank Wheeler rozkoszował się wyśmienitą kawą oraz doskonale białą i suchą serwetką; macierzyńska kobieta, która go obsługiwała, była niezwykle uprzejma i tak wyraźnie zadowolona ze swojej sprawności („Tak, proszę pana, dziękuję, proszę pana, czy to już wszystko, proszę pana?”), że miał ochotę pochylić się i wycisnąć pocałunek na jej pomarszczonym policzku. Kiedy przekroczył próg biura, był we władaniu owej zużytej nieco euforii, która sprawia, że wszystkie dźwięki są stłumione, wszystkie widoki zamazane, a każde zadanie łatwe.

Ale wszystko po kolei, a pierwszą rzeczą, którą musiał zrobić po wyjściu z windy na Piętnastym Piętrze, było załatwienie po męsku sprawy z Maureen Grube. Siedziała sama za biurkiem w recepcji, ubrana w ciemny kostium, który przypuszczalnie włożyła dlatego, że był najbardziej surowym, najmniej prowokacyjnym strojem w jej garderobie; widok Franka wprowadził ją w widoczne zakłopotanie. Ale jego doskonały uśmiech, wcale nie ukradkowy,

wcale nie pyszałkowaty, idealnie otwarty, przyjacielski uśmiech, sprawił, że nim jeszcze zbliżył się do biurka, na jej twarz powróciła pewność siebie. Czyżby się obawiała, że uważa ją za dziwkę? Ze będzie przez cały dzień chichotał i szeptem opowiadał o niej innym mężczyznom? Jeśli tak, jego uśmiech powiedział jej, że może się odprężyć. A może z drugiej strony obawiała się, że Frank będzie próbował z całej sprawy zrobić wielki romans? Ze będzie przyczyniał jej zażenowania, dopadając po kątach i nagabując („Muszę się z tobą zobaczyć. ..”)? Uśmiech uspokoił ją, że tym też nie musi się martwić, a tylko te dwie ewentualności przypuszczalnie wchodziły w tej chwili w grę.

- Cześć - powiedział miło. - Miałaś jakieś problemy w związku z wczorajszym dniem? Pani Jorgensen coś ci mówiła?

- Nie, nic. - Maureen chyba nie potrafiła spojrzeć mu prosto w oczy, bo wzrok miała utkwiony głównie w węzle krawata. Dla postronnych, którzy tuż poza zasięgiem słuchu roili się w gwarnym suchym jeziorze, Frank równie dobrze mógł przystanąć przed biurkiem Maureen, by zabić czas luźną pogawędką albo poprosić ją o przepisanie jakiegoś materiału; nic w wyrazie jego twarzy ani postawie nie budziło ciekawości tych, którzy go mijali, choć równocześnie z bliska, z miejsca, gdzie siedziała Maureen, nie mogło być cienia wątpliwości co do jego szczerości, i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- Posłuchaj, Maureen - zaczął. - Gdybym uważał, że któreś z nas cokolwiek skorzysta na tym, zaproponowałbym, żebyśmy po południu poszli gdzieś i porozmawiali. Jeśli tobie na tym zależy, jeśli chcesz mi coś powiedzieć, o coś zapytać, zrobimy tak. Chcesz?

- Nie. Poza tym, że... nie. Nie. Masz rację.

- To nie jest kwestia tego, kto ma rację. Nie chcę, żebyś myślała, że ja... cóż, to bez znaczenia. Ale posłuchaj: najważniejsze w tego rodzaju sprawach jest to, żeby niczego nie żałować. Ja nie żałuję, mam nadzieję, że ty też nie, a jeśli byłoby inaczej, powiedziałabyś mi.

- Nie, nie żałuję.

- Cieszę się. I jeszcze jedno: byłaś cudowna, Maureen. Mam nadzieję, że dasz mi znać, gdybym mógł... no wiesz, coś dla ciebie zrobić. Chyba zabrzmiało to dość parszywie, ale chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

- Dobrze - odparła Maureen. - Ja też.

Frank ruszył alejką między boksami wolno i pewnie, nową, dojrzałą odmianą starego „strasznie seksownego” kroku z Bethune Street. To było takie proste! Gdyby poświęcił wiele dni na planowanie i próby, na zapełnianie

kolejnych stronich redagowanymi na nowo i wykreślanymi zdaniami, nigdy nie ułożyłby bardziej satysfakcjonującej, pełnej godności mowy. A wszystko pod wpływem chwili! Czy jest na świecie coś, czego nie da rady zrobić?

- Dzień dobry, tatusiu - rzucił do Jacka Ordwaya.

- Franklinie, mój synu. Jak dobrze widzieć o poranku twoją jaśniejącą twarz.

Ale wszystko po kolei, a następna w porządku ważności sprawa leżała w koszyku bieżącym. Nie: to był stos papierów rzucony wczoraj na środek biurka, materiały, które Maureen wyszukała w centralnym archiwum, zawierające zabałaganiony problem dyrektora filii w Toledo i broszury o kontroli produkcji. Czy pozwoli, żeby coś takiego go dręczyło? Z pewnością nie.

- Wewnątrzfirmowy list do Toledo - powiedział do dyktafonu, sadowiac się wygodnie na obrotowym fotelu i układając stopę w drewnianym siodełku na krawędzi szuflady. - Adresat: B. F. Chalmers, dyrektor filii. Temat: konferencja NAPE. Od nowego akapitu. W odpowiedzi na pańskie listy pragniemy poinformować, przecinek, że sprawa została załatwiona w sposób satysfakcjonujący, kropka. Od nowego akapitu.

Ftank wygłosił to zdanie, nie mając zielonego pojęcia, jak sprawę załatwić, o ile w ogóle będzie to możliwe; kiedy jednak siedział, bębniąc palcami po mikrofonie, do głowy zaczęły wpadać mu pomysły, wkrótce też wypowiedział jedną gładką frazę za drugą, przerywając tylko po to, by uśmiechnąć się z zadowoleniem. Wszystko wskazywało na to, że z dyrektorem filii w Toledo poradzi sobie równie łatwo jak z Maureen Grube.

F. H. Wheeler albo „my” w pełni się zgadzał, że istniejąca broszura nie spełnia oczekiwań. Na szczęście problem obecnie został rozwiązany w sposób, który zdaniem „nas” spotka się z aprobatą adresata. Jak dyrektor filii bez wątplenia wie, delegaci biorący udział w konferencji NAPE otrzymają dziesiątki konkurencyjnych broszur reklamowych, z których większość z całą pewnością wyląduje w koszach na śmieci w pobliżu sali obrad. Dlatego chodzi o to, by dla Knoxa wymyślić coś innego, co przyciągnie wzrok delegatów, co będą chcieli włożyć do kieszeni i zabrać do hotelu. I taki właśnie materiał, zaprojektowany specjalnie na konferencję NAPE, znajduje się obecnie w produkcji: krótka, bezpośrednia informacja zatytułowana „A skoro mowa o kontroli produkcji”. Jak dyrektor sam się przekona, dokument ten nie został oparty na żadnym sprytnym formacie, wyszukanej oprawie graficznej ani reklamowym żargonie. Wydrukowany wielkimi, łatwymi w czytaniu czcionkami, czarno-biały, jest jak rozmowa; da „delegatowi NAPE ni mniej, ni więcej, tylko to, na czym mu zależy, dwukropek, fakty”.

Włożywszy nową taśmę do dyktafonu, Frank znowu odchylił się na oparciu i zaczął mówić: „Kopia do przepisania. Tytuł: Skoro mowa o kontroli produkcji, kropka, kropka, kropka. Nowy akapit. Kontrola produkcji to w gruncie rzeczy ni mniej, przecinek, ni więcej, przecinek, jak dostarczanie właściwych materiałów na właściwe miejsca we właściwym czasie, przecinek, zgodnie ze zmieniającym się terminarzem zadań, kropka. Nowy akapit. To kwestia prostej arytmetyki, kropka. Biorąc pod uwagę wszystkie zmienne, przecinek, człowiek może to zrobić za pomocą papieru i ołówka, kropka. Ale komputer elektroniczny Knox 500 potrafi uporać się z tym, myślnik, dosłownie myślnik, tysiące razy szybciej, kropka. Dlatego też...

- Idziesz na kawę, Franklin?

- Raczej nie, Jack. Muszę to skończyć.

I rzeczywiście skończył, choć zabrało mu to całe przedpołudnie. Wolną ręką kartkując dokumenty z archiwum centralnego, stąd brał zdanie, stamtąd akapit i przemawiał do dyktafonu, aż wyjaśnił wszystkie plusy korzystania z komputera przy koordynowaniu szczegółów produkcji. Całość brzmiała szalenie autorytatywnie, kiedy ją sobie odtworzył („Po wyczerpaniu zapasu materiałów”, usłyszał własny głos, „następnym krokiem podjętym przez komputer jest sprawdzenie zaktualizowanego inwentarza części zamiennych”). Nikt by się nie domyślił, że niezupełnie wie, o czym mówi. Kiedy dostanie maszynopis, wygładzi go, na wszelki wypadek skonsultuje szczegóły z kimś z działu technicznego, a po wydrukowaniu prześle do Toledo w wymaganej liczbie egzemplarzy. Dla własnego bezpieczeństwa przekaże też jeden egzemplarz Bandy'emu z notką „Mam nadzieję, że - broszura jest w porządku - Toledo chciało coś krótkiego i miłego na konferencję NAPE”, i jeśli dopisze mu szczęście, będzie miał spokój. Tymczasem usunie całą kłopotliwą korespondencję na ten temat ze stosu materiałów, których unikał, i przełoży do koszyka rzeczy załatwionych razem ze wszystkimi dokumentami dotyczącymi broszury.

Posunięcie to zaskakująco zredukowało bałagan na biurku, co Franka zachęciło do rozprawienia się z kilkoma innymi sprawami, dotąd omijanymi. Jedna z nich oznaczała skomponowanie delikatnego listu wyjaśniającego, dlaczego „my” wyraziliśmy zgodę na wysłanie przestarzałej maszyny do liczenia na targi w Chicago; Frank osiągnął w nim mistrzostwo w dziedzinie uników. Kolejna, gruby plik listów, który odsuwał od siebie przez kilka tygodni, okazała się o wiele prostsza, niż przypuszczał, sprowadzała się bowiem do podjęcia decyzji zależnej wyłącznie od niego. Czy nagrodą w odbywającym się w Minneapolis-St. Paul konkursie dla najlepszych

sprzedawców maszyn liczących powinny być złote spinki do krawatów (14,49 \$), czy złote guziki (8,98 \$)? Spinki do krawatów! I do koszyka spraw załatwionych.

Był demonem energii; powód uświadomił sobie dopiero koło czwartej po południu, gdy zmęczony stał przy pojemniku z wodą („Patrz, jak podnosi się ten wielki bąbel - pryk! - śmieszne, prawda?"). Po ostatniej nocy dręczyły go drobne wyrzuty sumienia, wywołane słowami April, że od lat „haruje jak wół". Zamierzał sprostować, że to, co robi w biurze, trudno nazwać harówką, ale nie dała mu szansy. Przypuszczał, że próbując uporządkować wszystkie papiery na biurku, chciał poniekąd odpokutować za to, że ją oszukał. Ale cóż to za bzdury? Jakie znaczenie może mieć, co robił naprawdę, co robił jej zdaniem, co myślał, że jej zdaniem robi? Teraz wszystko to przestało się liczyć, czy nie mógłby wbić sobie tego w głowę? Odchodząc od pojemnika z zimną wodą i wycierając chłodne usta ciepłą ręką, po raz pierwszy zaczął sobie uświadamiać, że za kilka miesięcy na zawsze opuści to miejsce. Wszystko - jarzeniówki, szklane ścianki działowe, plotkujące maszynistki - cała powolna, sucha udreka biurowej egzystencji zostanie wycięta z jego życia niczym guz z mózgu; i krzyżyk na drogę.

Ostatnie działanie, jakie tego dnia podjął, nie wymagało pracy, a tylko odrobiny energii, aczkolwiek musiał zebrać się na odwagę. Otworzył dolną szufladę biurka, ostrożnie podniósł gruby plik Prawdziwych Cacek (wazyły tyle, co kilka książek telefonicznych) i wrzucił do kosza na śmieci.

Na niemożliwą do ustalenia liczbę dni biuro zniknęło z jego świadomości. Robił, co do niego należało, przerzucał papiery, odbywał konferencje z Bandym, chodził na lunch z Ordwayem i innymi, uśmiechał się z godnością, mijając Maureen Grube na korytarzach, a czasami nawet wdawał się z nią w pogawędkę, by udowodnić, że są przyjaciółmi, faktem jednak było, że dni przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie poza tym, że stanowiły okres odpoczynku i zbierania sił na wieczór.

Frank sprawiał wrażenie nie całkiem przytomnego do chwili, gdy o zachodzie słońca wyskakiwał z pociągu i wsiadał do samochodu. Wieczór zaczynał się od stymulujących drinków z April, podczas gdy dzieci spokojnie oglądały telewizję, później z przyjemnością zasiadali do kolacji, w czasie której prowadzili rozmowy swą głębią i intensywnością przypominające okres przed ślubu. To jednak było preludium, prawdziwy początek następował, gdy dzieci leżały w łóżkach za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju. Zajmowali wtedy miejsca w salonie: April ładnie zwinięta w kłębek na sofie, Frank oparty

plecami o regał z książkami; z filiżanką czarnej włoskiej kawy i papierosem w dłoniach prowadzili swój romans.

Frank krążył wolno po pokoju i mówił, April wodziła za nim wzrokiem, często przekrzywiając głowę i całe ramiona. Kiedy czuł, że dociera do sedna, okręcał się na pięcie i patrzył na nią triumfalnie; wówczas zaczynała mówić April, a on chodził i potakiwał. Gdy kończyła, znowu radośnie spoglądali sobie w oczy. Czasami w ich wzroku błyskała iskierka humoru: wiem, że się popisuję, ale ty też to robisz, a ja cię kocham.

Czy miało to jakieś znaczenie? Przecież istotę ich rozmowy, przesłanie i rytm, niezależnie od tego, co w danym momencie mówili, stanowił zamiar, by od teraz stać się nowymi, lepszymi ludźmi. April, która siedziała na sofie w spódnicy wdzięcznym wirem spływającej jej od talii do kostek, z długą białą szyją oblaną łagodnym światłem i twarzą wyrażającą absolutny spokój, ledwo przypominała ową spiętą, upokorzoną aktorkę kłaniającą się po spektaklu, a jeszcze mniej gniewnie udreńczoną żonę, która wlokła za sobą kosiarkę, zblazowaną panią domu z trudem znoszącą wieczór fałszywej przyjaźni z Campbellami czy zakłopotaną, kłopotliwie gorliwą kobietę, która przywitała go w wieczór jego urodzin. Głos miała teraz subtelny i cichy, tak cichy jak w pierwszym akcie Skamieniałego lasu, a kiedy ze śmiechem odrzucała głowę albo pochylała się, by strzepnąć popiół z papierosa, były to gesty klasycznej piękności. Każdy mógł sobie wyobrazić, jak April podbija Europę.

Frank skromnie dostrzegał, że w nim także zachodzi zmiana. Przed wszystkim wiedział, że mówi inaczej, głos ma głębszy niż dawniej, słowa płyną z jego ust wolniej, płynniej i z większym namysłem: niemal nigdy nie musiał uciekać się do zająknięć, przepraszających wypełniaczy („Nie, ale chodzi mi o to - sam nie wiem - no, przecież wiesz”), od których normalnie roiło się w jego wypowiedziach, nie musiał też przekrzywiać głowy ani machać dłońmi w znajomych nerwowych wysiłkach, by dać do zrozumienia, co ma na myśli. Chodząc, łapał swoje odbicie w czarnej tafli okna widokowego i przyznawał, że jego wyglądowni daleko jeszcze do doskonałości wyglądu April (miał nalaną twarz i nijakie usta, nazbyt starannie wyprasowane spodnie i koszulę jednoznacznie wskazującą na Madison Avenue), ale czasami późnym wieczorem, gdy od mówienia bolało go gardło i piekły oczy, gdy garbił ramiona, zaciskał szczękę, a rozwiązany krawat zwisał jak sznur, wpatrywał się w okno i dostrzegał odważne zaczątki nowej osobowości.

Także dla dzieci to był dziwny okres. Co właściwie oznaczał wyjazd jesienią do Francji? I dlaczego mama z naciskiem powtarza, że będą cudownie się bawić, jakby prowokowała do wątpliwości? A skoro o tym mowa, dlaczego tak

śmiesznie się zachowuje w wielu sprawach? Popołudniami tuliła je i zadawała pytania z żywiołowością przywodzącą na myśl Wigilię, by w czasie odpowiedzi patrzeć w przestrzeń, a minutę później mówić: „Tak, kochanie, ale przestań tyle mówić, dobrze? Daj mamusi chwilę spokoju”.

Powrót ojca niewiele pomagał: czasami podrzucał dzieci wysoko w powietrze i urządzał samolotowe przejażdżki po domu, aż maluchom kręciło się w głowie, ale robił to dopiero po niepokojąco długim czasie, gdy wcale ich nie zauważał, bo witał się z żoną w kuchennych drzwiach. I te rozmowy przy kolacji! Próby wtrącenia słowa przez któreś z dzieci z góry skazane były na porażkę. Michael przekonał się, że może wiercić się na krześle, powtarzać dziecinne słowa w przenikliwym monotonnym tonie idioty albo napychać szeroko otwarte usta tłuczonymi ziemniakami, a żadne z dorosłych nie zwróci mu uwagi. Jennifer siedziała sztywno jak struna, nie patrzyła na brata i udawała wielkie zainteresowanie tym, co mówią rodzice, chociaż później, przed porą pójścia spać, czasami zamykała się w sobie i ssała kciuk.

Była tylko jedna pociecha: mogli zasypiać bez obaw, że godzinę później obudzi ich gwałtowne tupanie, dyszenie, trzaskanie drzwiami; wszystko wskazywało na to, że kłótnie należą do przeszłości. Teraz odpływali w sen przy akompaniamencie łagodnych głosów z salonu, których rytmiczne wznoszenie się i opadanie powoli zmieniało się w kształt ich marzeń. A jeśli obudzili się później, by się odwrócić i poszukać stopami nowych chłodnych miejsc pod pościelą, wiedzieli, że głosy wciąż tam będą: jeden bardzo głęboki, drugi miękki i śliczny, nie milkły, równie namacalne i kojące jak błękitny górski łańcuch widziany z oddali.

- Cały kraj gnije z sentymentalizmu - powiedział pewnego wieczoru Frank, odwracając się ciężko od okna, by wkroczyć na dywan. - To się rozprzestrzenia jak choroba od lat, od pokoleń, i teraz wszystko, czego tkniesz, rozpada ci się pod palcami.

- Właśnie - potwierdziła, porwana jego słowami.

- Bo czy to nie jest najważniejsze, kiedy dojdiesz do sedna? Ważniejsze od motywacji do zysku, utraty wartości duchowych, strachu przed bombą i innymi tego rodzaju sprawami? A może to jest skutek, może tak się dzieje, kiedy wszystkie te kwestie działają równocześnie, nie istnieje zaś żadna prawdziwa tradycja kulturowa, która by je wchłonęła. Tak czy owak to jest rezultat i właśnie on zabija Stany Zjednoczone. Czy nie tak? To regularne, uporczywe wulgaryzowanie każdej idei i emocji w jakiś rodzaj z góry przetrawionej intelektualnej kaszki dla dzieci; ten optymistyczny, wiecznie uśmiechnięty, swobodny sentymentalizm w poglądach na życie każdego człowieka?

- Tak - powiedziała April. - Tak.

- Czy w takim razie może dziwić, że mężczyźni tracą męskość? Bo właśnie to się dzieje, to znajduje odzwierciedlenie w całym tym bredzeniu o „dostosowaniu się”, „bezpieczeństwie” i „wspólnocie” - na Boga, widzisz to wszędzie: w całym tym telewizyjnym gównie, gdzie każdy dowcip oparty jest na założeniu, że tata to idiota, a mama wiecznie mu dogryza, w tych obrzydliwych tablicach, które ludzie stawiają na frontowym podwórku... zauważyłaś je na Hill?

- Chodzi ci o tablice, na których nazwiska podane są w liczbie mnogiej, jak „Donaldsonowie”?

- Właśnie! - Odwrócił się i triumfalnym uśmiechem pogratulował jej, że tak bezbłędnie go zrozumiała. - To nigdy nie jest „Donaldson”, „John J. Donaldson” czy jak się tam, do diabła, nazywa. Zawsze muszą być „Donaldsonowie”. Wyobrażasz sobie, jak siedzą w piżamach, zadowoleni z siebie jak nie wiem, i jedzą ciasteczka. Na litość boską! Przypuszczam, że Campbellowie jeszcze takiej tablicy nie postavili, ale to kwestia czasu. Wziąwszy pod uwagę tempo, w jakim się ostatnio posuwają, zrobią to na pewno. - Urwał, śmiejąc się gardłowo. - Mój Boże, i pomyśleć, jak blisko sami doszliśmy do przyjęcia takiego stylu życia.

- Ale tego nie zrobiliśmy - odparła April. - To jest najważniejsze.

Innym razem przysiadł na krawędzi stolika, naprzeciwko żony usadowionej na sofie.

- Wiesz, czym to jest, April? Te nasze rozmowy? Nasz pomysł wyjazdu do Europy? - Głos miał spięty i podekscytowany; samo siedzenie na stoliku do kawy wydawało się aktem oryginalnym i cudownym. - Jest jak wyjście z celofanowej torebki. Jakbyśmy nie zdając sobie z tego sprawy, przez lata byli zamknięci w celofanowej torebce, która nagle pękła. Podobnie się czułem, kiedy na wojnie pierwszy raz znalazłem się na linii frontu. Zachowywałem się bardzo poważnie, ostrożnie, ponieważ tak należało się zachowywać, ale w gruncie rzeczy nie wkładałem w to serca. To znaczy bałem się, oczywiście, że się bałem, ale nie w tym rzecz. To, co naprawdę czułem, nie miało nic wspólnego ze strachem. Niezwykle silnie doznawałem życia, czułem krew płynącą w żyłach. Wszystko wydawało się bardziej niż rzeczywiste: śnieg na polach, droga, drzewa, niesamowicie błękitne niebo poznaczone obłoczkami, wszystko. A także hełmy, płaszcze, broń, sposób, w jaki chłopcy szli; w pewnym sensie kochałem ich, nawet tych, których nie lubiłem. Pamiętam, że byłem świadomy własnego ciała, odgłosu oddechu w nosie. Szliśmy przez zbombardowane miasto, wśród ruin i gruzów, i myślałem, że jest piękne. Do

diabła, przypuszczalnie byłem tak samo głupi i przerażony jak inni, ale wewnątrz nigdy nie czułem się lepiej. Raz po raz myślałem: to jest prawdziwe. To rzeczywistość.

- Ja też raz tak się czułam. - Z nieśmiałego wyrazu jej ust wynioskował, że zaraz usłyszy coś przepelnionego niezwykle czułością.

- Kiedy? - Był zakłopotany jak uczeń, nie potrafił spojrzeć jej w twarz.

- Kiedy pierwszy raz się ze mną kochałeś.

Stolik przekrzywił się groteskowo i znowu z hukiem i grzechotem filiżanek opadł na nogi, gdy Frank przeniósł się z jego krawędzi na krawędź sofy, by wziąć ją w objęcia; i tak wieczór dobiegł końca.

Dopiero kiedy minęło wiele podobnych wieczorów, dopiero kiedy Frank znowu zaczął myśleć w terminach upływu czasu, w ich rozmowy wkradły się pierwsze słabe fałszywe nuty.

Pewnego razu przerwał jej:

- Posłuchaj, dlaczego ciągle mówimy o Paryżu? Przecież agencje rządowe rozrzucone są po całej Europie, prawda? Dlaczego nie Rzym, Wenecja albo nawet jakieś miasto w Grecji? Miejmy umysł otwarty, Paryż nie jest jedynym miejscem na świecie.

- Oczywiście, że nie. - Zniecierpliwionym ruchem strzepywała popiół z kolan. - Chociaż wydaje się najbardziej logicznym punktem startowym, nie sądzisz? No i plusem jest to, że znasz język.

Gdyby teraz spojrzeć w okno, zobaczyłby portret przestraszonego kłamcy. Język! Czy naprawdę skłonił ją do wiary, że zna francuski?

- Cóż - rzekł, ze śmiechem odchodząc na drugi koniec pokoju - nie byłbym tego taki pewien. Przypuszczalnie zapomniałem większość z tej odrobiny, którą znałem, a nigdy nie znałem języka w sensie... no wiesz, żeby płynnie się nim posługiwać, ledwo potrafiłem się porozumieć.

- I to ci wystarczy, złapiesz słówka od razu. Oboje sobie poradzimy. A poza tym ty przynajmniej tam byłeś. Wiesz, jak wygląda miasto i jaki jest charakter poszczególnych dzielnic, a to bardzo ważne.

Frank w duchu upewnił się, że to w zasadzie nie odbiega od prawdy. Wiedział, gdzie znajduje się większość obiektów najczęściej umieszczanych na pocztówkach, bo dawno temu spędził w mieście kilka trzydniowych przepustek; orientował się, jak dojść z tych miejsc do siedzib American PX i Red Cross Club, jak stamtąd dostać się do placu Pigalle, jak wybrać prostytutkę lepszego gatunku i jak przypuszczalnie będzie pachniał jej pokój. Więcej nawet, orientował się, że lepsze dzielnice Paryża, te, w których ludzie naprawdę potrafią cieszyć się życiem, zaczynają się przy St. Germain des Pres i

rozciągają na południowy wschód (czy raczej południowy zachód?) aż do Cafe Dome, chociaż te ostatnie informacje oparte były bardziej na lekturze Słońce też wschodzi w liceum niż na rzeczywistych wyprawach w tę część miasta, które w większości odbywał samotnie i płacił za nie odciskami. Podziwiał staroświecką delikatność budynków, latarnie uliczne wieczorami eksplodujące łagodnym światłem w koronach drzew, morze inteligentnych twarzy nieodmiennie odsłaniane przez każdą długą i jaskrawą kawiarnianą markizę; ale po białym winie bolała go głowa, a twarze przy bliższym badaniu albo należały do onieśmielających mężczyzn z brodami, albo do kobiet, które w niecałą sekundę potrafiły go oszacować i uznać za kompletne zero. Miał tam poczucie, że tuż poza jego zasięgiem kryje się mądrość, tuż za rogiem czeka niewypowiedziany wdzięk, ale tracił siły, chodząc po nieskończonych błękitnych ulicach, a ludzie, którzy wiedzieli, jak cieszyć się życiem, chowali swoje kuszące sekrety dla siebie; raz po raz kończyło się na tym, że pijany wymiotował z paki ciężarówki, która podskakując na wybojach, wiozła go z powrotem do koszar.

Je suis... powtarzał w duchu, podczas gdy April mówiła; tu es, nous sommes, vous etes, ils sont.

- ...lepiej, jak już się zadomowimy - mówiła. - Nie sądzisz? Ale ty mnie nie słuchasz.

- Słucham. Nie, przepraszam, chyba nie słuchałem.

- Usiadł na stoliku, przywołując na twarz rozbrajający (taką miał nadzieję) uśmiech. - Myślałem, że taki wyjazd do obcego kraju z dziećmi nie będzie łatwy. No wiesz, natkniemy się na mnóstwo problemów, których tutaj nawet nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić.

- To oczywiste - odparła April. - I z pewnością nie będzie to łatwe. Jaka rzecz warta zrobienia jest łatwa?

- Masz rację, naturalnie. Chyba jestem dzisiaj trochę zmęczony. Masz ochotę na drinka?

- Nie, dziękuję.

Poszedł do kuchni i nalał sobie; alkohol poprawił mu humor, a kłopoty pojawiły się dopiero następnego, może drugiego z kolei wieczoru, kiedy April zdała mu niepokojącą relację o tym, jak spędziła dzień.

Frank zakładał, że ona w ciągu dnia także jest leniwa i roztargniona; wyobrażał ją sobie biorącą długie kąpiele, godzinami przed lustrem w sypialni przymierzającą nowe suknie i fryzury - może odchodzącą od lustra tylko po to, by tańczyć walca przy wyimaginowanych dźwiękach skrzypiec, wirować w marzeniach przez zalany słońcem dom i uśmiechać się przez ramię do

własnego zarumienionego odbicia, a potem w pośpiechu ścielącą łóżko i porządkującą pokoje na jego powrót. Okazało się jednak, że tego konkretnego dnia zaraz po śniadaniu pojechała do Nowego Jorku, przeprowadziła rozmowę o pracę i wypełniła długie podanie, stamtąd poszła do biura paszportowego po wnioski, wzięła trzy foldery turystyczne oraz rozkłady rejsów pół tuzina linii lotniczych i oceanicznych, kupiła dwie nowe torby podróżne, słownik francuski, plan Paryża, książeczkę Słoń Barbar dla dzieci oraz książkę Lepszy francuski {Dla inteligentnych, którzy znają podstawy}, po czym spieszenie wróciła do domu, by zwolnić opiekunkę, przygotować kolację i przyrządzić cały dzbanek martini.

- Nie jesteś zmęczona?

- Właściwie nie. W pewnym sensie dodało mi to sił. Zdajesz sobie sprawę, ile czasu minęło, odkąd spędziłam dzień w mieście? Chciałam wpaść do ciebie w porze lunchu i zrobić ci niespodziankę, ale zabrakło mi czasu. O co chodzi?

- O nic, tylko mnie zaskoczyłaś. No wiesz, w jeden dzień załatwiłaś tyle spraw. Imponujące.

- Jesteś zirytowany, widzę to. Och, trudno mi cię winić.

- Skrzywiła twarz w grymasie, który niepokojąco był podobny do pełnego zrozumienia grymasu żony w telewizyjnej komedii.

- To musi wyglądać tak, jakbym wzięła sprawy w swoje ręce, chciała wszystkim rządzić.

- Nie - zaprotestował - nie bądź niemądra. Wcale nie jestem zirytowany. To bez znaczenia.

- Wręcz przeciwnie, ma znaczenie. Jak wtedy, gdy koszę trawnik albo coś w tym rodzaju. Wiedziałam, że powinnam była zostawić ci załatwienie paszportów i biletów, ale byłam w okolicy i wydawało mi się, że głupio by było nie skorzystać z okazji. Och, tak mi przykro.

- Mogłabyś przestać? Zaraz rzeczywiście się zdenerwuję, jak będziesz to ciągnęła. Daj spokój, bardzo proszę.

- Dobrze.

- To przypuszczalnie na niewiele się nam zda - powiedział, kartkując Lepszy francuski. - Myślę, że jest dla bardziej zaawansowanych.

- A, to. Tak, to dość wymyślna książeczka, złapałam ją w pośpiechu. Kolejna rzecz, którą powinnam była zostawić tobie. W tego rodzaju sprawach radzisz sobie o wiele lepiej niż ja.

Nazajutrz wieczorem ze skruszoną miną powiedziała mu, że ma złe wieści.

- Właściwie nie złe, tylko irytujące. Przede wszystkim wpadła dzisiaj pani Givings i bardzo oficjalnie zaprosiła nas jutro na kolację. Odmówiłam,

powiedziałam, że nie zdołamy załatwić opiekunki, więc zaczęła nalegać na przyszły tydzień. Szukałam w myślach pretekstów, ale sobie uświadomiłam, że i tak wkrótce będziemy musieli się z nią zobaczyć w sprawie wystawienia domu na sprzedaż, więc zaproponowałam, żeby oni przyszli do nas na kolację.

- O Jezu.

- Nie przejmuj się, nie przyjdą, wiesz, jaka ona jest. Bredziła, że nie chce nam sprawiać kłopotu (Boże, ależ ta kobieta potrafi być męcząca!), ale powtarzałam, że i tak chcemy się z nią zobaczyć w interesach. Trwało to z pół godziny, wreszcie zgodziła się przyjść do nas sama jutro po kolacji. Przy odrobinie szczęścia nie będziemy musieli więcej się z nią spotykać, dopiero przy sprzedaży domu.

- Doskonale.

- Tak, ale tu pojawił się problem. Kompletnie wyleciało mi z głowy, że jutro wieczorem mamy iść do Campbellów. Zadzwoiłam do Milly i próbowałam jej zaserwować to samo kłamstwo o opiekunce, ale ona wydawała się... sama nie wiem, naprawdę zmartwiona. Wiesz, jaka czasami jest Milly? Niekiedy trzeba się z nią obchodzić jak z dzieckiem. I zanim się zorientowałam, zgodziłam się, że odwiedzimy ich dzisiaj. No i weekend wygląda tak: dzisiaj Campbellowie, jutro pani Givings. Strasznie mi przykro, Frank.

- Cholera, niepotrzebnie. To są te złe wieści?

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

Nie miał nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, biorąc prysznic i przebierając się w czystą koszulę, uświadomił sobie, że z niecierpliwością wyczekuje chwili, gdy opowiedzą Campbellom o swoim planie. Tego rodzaju rzeczy nie wydają się realne, dopóki komuś o nich nie opowiesz.

- Posłuchaj, April - rzekł, wkładając koszulę do spodni. - Nie ma powodu, by informować panią Givings o naszym wyjeździe do Europy, zgodzisz się chyba? Bo wiesz, myślę, że i bez tego uważa mnie za idiotę.

- Jasne, że nie. - April sprawiała wrażenie zaskoczonej pomysłem, że mieliby zdradzać pani Givings coś ponad prosty fakt, że chcą sprzedać dom. - Przecież to nie jej sprawa. Zresztą Campbellom też nie musimy o niczym mówić.

- O nie - zaprotestował pośpiesznie - im musimy powiedzieć. .. - O mało nie dodał: „Bo to nasi przyjaciele”, ale zdążył ugryźć się w język. - To znaczy jasne, że nie musimy. Ale czemu nie?

Rozdział drugi

Sheppard Sears Campbell uwielbiał polerować buty. Ta miłość towarzyszyła mu od czasów wojny (był weteranem trzech kampanii, w których brał udział jako żołnierz sławnego dywizjonu lotniczego) i nawet teraz, chociaż cywilne półbuty dawały o wiele mniejszą satysfakcję niż ciężkie wysokie buty wojskowe, ostry zapach i zapał, z jakim wykonywał tę pracę, przywoływały wiele skojarzeń z esprit de corps. Podśpiewywał przy tym staroświecki swing, z przymrużonymi oczami przeplatając chropawe słowa z luźnymi cmoknięciami „Budappa bang! bang! bang!” symulującymi sekcję dętą; od czasu do czasu przerywał, by napić się piwa z puszki stojącej na podłodze. Na koniec prostował się, drapał w poślizki pachy T-shirta i pozwalał sobie na przeciągłe, przyjemne beknięcia.

- O której przychodzą Wheelerowie, laleczko? - zapytał żony, która bez kokieterii przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze toaletki.

- O wpół do dziewiątej, kochanie.

- Jezu, jeśli chcę wziąć prysznic, muszę się pośpieszyć.

Mrużąc oczy, zgiął palce w prawym bucie, by sprawdzić jego połysk, po czym znowu przykucnął, złapał szmatkę i zajął się lewym.

Flegmatyczna mina wieśniaka, z jaką pracował, ostatnimi czasy z rzadka malowała się na jego twarzy (przywoływał ją, gdy był w nastroju do czyszczenia butów albo zmiany opon), ale kryła się w niej pozostałość siły, której niegdyś oddał całe serce. Przez lata, jako chłopiec i dojrzały mężczyzna, nade wszystko pragnął być człowiekiem niewrażliwym i źle wychowanym, robił wszystko, by wywalczyć i utrzymać pozycję pomiędzy ponurymi chłopcami a mężczyznami, których prawdziwe lub wyimaginowane szyderstwa dręczyły go przez całe dzieciństwo, by za wszelką cenę zaprzeczyć faktom, przez długi czas będącym najbardziej wstydliwymi aspektami jego życia: że wychowywał się w willach z brunatnego piaskowca i eleganckich apartamentach w okolicy Sutton Place, że uczyli go wyłącznie prywatni nauczyciele, że pozwalano mu bawić się z innymi dziećmi tylko pod okiem uśmiechniętej angielskiej niani albo francuskiej madame, że dopóki nie skończył jedenastu lat, jego bogato rozwiedziona matka w każdą niedzielę ubierała go w „urocze” tartanowe kilty z Bergdorfa Goodmana.

- Chciała ze mnie zrobić pizdusia! - narzekał jeszcze teraz przed nielicznymi przyjaciółmi, w których obecności zdobywał się na rozmowę o matce, aczkolwiek w rozsądniejszych, spokojniejszych chwilach już dawno odnalazł w sobie dość współczucia, by jej wybaczyć. Nikt nie ma doskonałych rodziców, a

poza tym zdawał sobie sprawę, że niezależnie od swych zamiarów, w gruncie rzeczy nigdy nie miała prawdziwej szansy. Od wczesnego chłopięctwa, gdy jego dziecięce ciało zaczęło nabierać cech budowy zapaśnika, o ile nie wcześniej, bezpowrotnie umknął spod jej ulotnego wpływu. Wszystko, co matka nazywała „kulturalnym” lub „miłym”, dla Shepa Campbella w owych kształtujących go latach było godne pogardy, a tego, co uznawała za „wulgarne”, on z całego serca pożył. Uczęszczając do małej i kosztownej szkoły podstawowej, przekonał się, że łatwo być źle ubranym, wywołującym awantury prostakiem, którego boją się i podziwiają, któremu także poniekąd współczują, bo sądzą, że dostaje stypendium dla biednych. Kiedy wyrzucono go w ostatniej klasie, ku przerażeniu matki przeniósł się w dżunglę szkoły średniej na Manhattanie i miewał drobne kłopoty z policją; po osiemnastych urodzinach z hałaśliwym entuzjazmem wstąpił do komandosów, zdecydowany demonstrować bez wyrzutów sumienia nie tylko ostentacyjną brawurę, ale też inną wysoko cenioną przez żołnierzy cechę, a mianowicie bycie twardym sukinsynem.

W obu przypadkach poradził sobie doskonale, a wojna tylko potwierdziła słuszność takiego postępowania. Później całkowicie logiczne wydawało się odrzucenie łzawych argumentów matki o studiach na Princeton albo Williams na rzecz leniuchowania na trzeciorzędnej politechnice na środkowym zachodzie („Zgodnie z ustawą o bezpłatnej edukacji dla żołnierzy zdemobilizowanych” - wyjaśniał zawsze, jakby możliwość, że korzystał ze środków prywatnych, odbierała mu męskość). Ubrany w nieodłączną skórzaną kurtkę drzemał na zajęciach albo włóczył się nocami w niechlujnym towarzystwie innych twardzieli z campusu, przy piwie wyrażając akcentowaną beknięciami pogardę do samej idei sztuk wyzwolonych; w taki oto sposób zgłębił tajniki niewątpliwie męskiego, niewątpliwie typowego dla klasy średniej zawodu inżyniera. Tam też poznał żonę, drobną, łagodną i zacną urzędniczkę w kwesturze i spłodził pierwszego ze swych synów; musiało minąć kilka lat, nim nastąpiła wielka reakcja.

Wtedy to (później mawiał, że był to „okres, kiedy mi chyba odbiło”) przebudził się jako pracownik fabryki urządzeń hydraulicznych sto mil od Phoenix w Arizonie oraz lokator jednego ze stu identycznych domów na pustyni, spieczonego słońcem pudełka z czterema oprawnymi górskimi widoczkami z wyprzedaży na ścianach oraz pięcioma inżynierskimi podręcznikami na całej gołej szerokości półek na książki, pudełka, które co noc huczało od telewizora albo piskliwego śmiechu sąsiadów wpadających na partyjkę kanasty.

Sheppard Sears Campbell czuł się osamotniony pośród tych młodych mężczyzn z surowymi, przedwcześnie porytymi zmarszczkami twarzami, i dziewczętami, które paroksyzmami jazgotliwego śmiechu kwitowały łazienkowe dowcipy („Harry, Harry, opowiedz o facecie przyłapanym w damskiej ubikacji!”) lub w pełnym szacunku milczeniu zaciskały usta, kiedy mężowie dyskutowali o samochodach („Popatrz na chewy; jeśli o mnie chodzi, możesz mieć bez wyjątku każde chewy, jakie kiedykolwiek wyprodukowano”), i dość szybko zaczął postrzegać siebie jako oszusta oraz głupca. Nagle zaczęło wyglądać na to, że wspaniała przygoda udawania kogoś, kim nie jest, doprowadziła go do stylu życia, którego nie chciał i nie potrafił znieść, że robiąc na przekór matce, odrzucił to wszystko, do czego z racji urodzenia miał prawo.

Dręczyły go jaskrawe wizje świata, który mógł i powinien być jego, świata intelektu i rozsądku, w jego świadomości na zawsze kojarzącego się ze „Wschodem”. Wierzył, że na Wschodzie człowiek szedł do college'u nie po to, by zdobyć zawód, lecz na zdyscyplinowane poszukiwanie mądrości i piękna, i nikt, kto miał więcej niż dwanaście lat, nie wierzył, że są to słowa dla mięczaków. Na Wschodzie, odziany w wygniecione tweedy i flanele, mógłby godzinami spacerować pomiędzy starodawnymi wiazami i wieżami zegarowymi, rozmawiając z przyjaciółmi, stanowiącymi śmietankę swego pokolenia. Na Wschodzie dziewczęta były cudownie szczupłe i pełne wdzięku, poruszały się z pewnością siebie po miejscach w rodzaju Bennington i Holyoke, przemawiały mądrze niskimi, subtelnymi głosami i nigdy nie chichotały. W surowe zimowe wieczory spotykałeś się z nimi na koktajlach w barze Biltmore i zapraszałeś do teatru, a potem, rozgrzane brandy, jechały z tobą do zasypanego śniegiem zajazdu w Nowej Anglii, gdzie z radością wsuwały się pod puchową kołdrę i mościły obok ciebie. Na Wschodzie po ukończeniu college'u mogłeś odwlec podjęcie poważnej pracy i spędzić kilka lat w pełnej książek kawalerce, od czasu do czasu wyprawiając się do Europy, a prawdziwe powołanie odkrywałeś w procesie wnikliwej i niespiesznej selekcji. Podobnie było w przypadku małżeństwa: kiedy się w końcu żeniłeś, sankcjonowałeś przysięgą małżeńską ostatni i najlepszy z wielu długotrwałych i wyrafinowanych romansów.

Nie minęło wiele czasu, a snujący takie fantazje Shep Campbell zyskał w fabryce reputację snoba. Zraził też do siebie Milly, a w dodatku ją przeraził, bo w ponurym nastroju słuchał muzyki klasycznej i czytał literackie kwartalniki. Rzadko z nią rozmawiał, a kiedy już się odzywał, w jego głosie nie pobrzmiwała dawna unikatowa mieszanina nowojorskiego ulicznika i farmera

z Indiany, którą Milly zawsze uznawała za „naprawdę słodką”, ale nowy rytm energicznego zniecierpliwienia, niepokojąco zbliżony do angielskiej wymowy. Pewnego sobotniego wieczoru Milly z niemowlęciem u piersi zalewała się łzami, bo jej mąż po dniu spędzonym na piciu i powarkiwaniu na dzieci nazwał ją głupią cipą i złamał sobie trzy kości dłoni, uderzając pięścią w ścianę.

Tydzień później, wciąż blada i roztrzęsiona, pomogła mu załadować ubrania, pościel i naczynia do samochodu, po czym wyruszyli w zakurzoną pielgrzymkę na Wschód; Shep wiedział, że następne pół roku, kiedy miotał się, próbując podjąć decyzję, czy chce nadal być inżynierem, było najtrudniejszym okresem w życiu Milly. Zaczęło się od pierwszej nieprzyjemnej niespodzianki: pieniądze matki się skończyły (w gruncie rzeczy nigdy ich wiele nie było, a teraz ledwo wystarczały na przyzwoite lokum w apartamentowcu, gdzie mieszkała z kotem ta kłótniwa, dobrze urodzona stara dama); po niej nastąpiły setki innych nieprzyjemnych niespodzianek, nie wspominając już o największej, że sam Nowy Jork okazał się wielki, brudny, hałaśliwy i okrutny. Wydawali oszczędności na tanie jedzenie i umeblowane pokoje;

Milly, która nigdy nie wiedziała, gdzie jest Shep ani w jakim humorze wróci do domu, nie miała pojęcia, jak reagować, kiedy chaotycznie opowiadał o studiach podyplomowych z muzyki i filozofii albo z czterodniowym zarostem całe godziny spędzał w suchej fontannie na Washington Square, nieraz posunęła się tak daleko, by nowojorską książkę telefoniczną otwierać pod hasłem „Psychiatrzy”. W końcu jednak Shep znalazł pracę w Allied Precision w Stamford, najpierw wynajęli dom, potem przeprowadzili się do osiedla na Revolutionary Hill i do życia Milly powróciła normalność.

Także dla Shepa kilka ostatnich lat było okresem relatywnego spokoju; takie w każdym razie się wydawały w połyskliwym zmierzchu pogodnego wiosennego dnia. Z brzuchem przyjemnie pełnym pieczonej jagnięciny i piwa wyczekiwał wizyty Wheelerów, która oznaczała interesującą i długą rozmowę, a przecież wszystko mogło ułożyć się o wiele gorzej. To prawda, kiedy w Arizonie wyobrażał sobie Wschód, niezupełnie miał na myśli pracę w Stamford, dom na Revolutionary Hill i Laurel Players, ale co tam, do diabła. W najgorszym razie łagodność owych kilku ostatnich lat pozwoliła mu spoglądać w przeszłość bez żalu.

Bo kto mógłby zaprzeczyć, że faza twardziela, neurotyczna czy nie, okazała się dla niego korzystna? Czy nie pomogła mu w zdobyciu Srebrnej Gwiazdy i awansu na polu bitwy w wieku dwudziestu jeden lat? Te sprawy były rzeczywiste, większość jego rówieśników nie mogła pochwalić się takimi dokonaniem (Awans na polu bitwy! Samo formowanie się tych słów w jego

umyśle wciąż sprawiało, że ciepłe strumyczki dumy zalewały mu pierś i gardło) i żaden psychiatra nie był w stanie mu ich odebrać. Przestało go też dręczyć poczucie kulturalnych zaniedbań i pokoleniowych zapóźnień. Z całą pewnością mógł czuć się równy człowiekowi takiemu jak Frank Wheeler, a Frank był przecież produktem wszystkiego tego, co niegdyś Shepowi kazało zwijać się z zawiści: wschodniego uniwersytetu, sztuk wyzwolonych, lat wolnej miłości w Greenwich Village. Cóż w takim razie było strasznego w studiach na politechnice stanowej?

Poza tym gdyby nie poszedł na politechnikę, nie poznałby Milly, nie potrzebował żadnego pieprzonego psychiatry, żeby wiedzieć, że byłby naprawdę chory, gdyby znowu przyłapał się na żalach, że tak się stało. Może pochodzili z zupełnie innych środowisk, może ich małżeństwo nie należało do najbardziej romantycznych w świecie, ale Milly była dziewczyną dla niego. Dwie sprawy stanowiły nieustanne źródło jego sentymentalnego podziwu: po pierwsze stała przy nim przez cały okres paniki w Arizonie i Nowym Jorku (przysięgał, że nigdy o tym nie zapomni), po drugie tak doskonale dopasowała się do jego nowego stylu życia.

Iluż rzeczy się nauczyła! Dla dziewczyny, której ojciec był malarzem pokojowym i półanalfabetą, a bracia i siostry bez wyjątku mówili rzeczy w rodzaju „To ni mo znaczenie”, taki proces nie mógł być łatwy. Im więcej o tym rozmyślał, tym bardziej zdumiewało go, że potrafiła niemal tak dobrze jak April Wheeler dobierać stroje i rozmawiać na prawie każdy temat; że mieszkała w brzydkim, racjonalnym domu, a równocześnie wiedziała, dlaczego i jak usprawiedliwiać taki wybór, powołując się na pracę i dzieci („W przeciwnym wypadku oczywiście mieszkalibyśmy w mieście albo dalej na prawdziwej wsi...”) Co więcej, zdołała urządzić każdy pokój w oszczędnym intelektualnym stylu, który April Wheeler nazywała „interesującym”. Cóż, prawie każdy pokój. Wsuwając zwiniętą szmatkę do pojemnika z pastą, w przypiływie przywiązania i tolerancji Shep Campbell przyznawał, że ten konkretny pokój, ta sypialnia nie należała do nadmiernie wyrafinowanych pomieszczeń. Na wąskich ścianach wyklejonych tapetą w wielkie kwieciste wzory barwy róży i lawendy wisiały półeczki, na których z kolei tłoczyły się rzędy kruchych szklanych bibelotów; okna służyły nie tyle jako okna, ale raczej tło dla obficie marszczonych zasłon z dynki, pasujące do nich narzuty na łóżko i toaletkę spadały bogatymi fałdami na dywan. Taki pokój mogła wymarzyć sobie samotna dziewczynka ogarnięta obsesją robienia dla swoich lalek ładnych rzeczy z połamanymi skrzyń na pomarańcze i skrawków materiału, które ustawiała w sekretnym cienistym kącie tylnego podwórka, dziewczynka, która tak długo zamiatała gołą ziemię,

aż stawała się gładka niczym chleb, i zamiatała ją znowu, gdy zaczynała się kruszyć, zamknięta w sobie, szepcząca dziewczynka o wilgotnych palcach, z drżącymi policzkami poprawiająca gazę i przesuwająca zabrudzoną wstążkę („Tak... tak...”); jej rozbiegane przerażone oczy pewnie przypominały oczy teraz badawczo przepatrujące lustro w poszukiwaniu oznak zbliżającego się wieku średniego.

- Kochanie? - powiedziała Milly. - Ehm?

Odwróciła się wolno na tapicerowanej ławie, przygnieciona niespokojną myślą.

- Cóż, sama nie wiem, będziesz się śmiał, ale i tak zapytam. Nie wydaje ci się, że Wheelerowie są coraz bardziej... zarozumiali?

- Och, nie bądź niemądra - odparł, nasączając głos bogatymi, głębokimi tonami zdrowego rozsądku. - Co cię skłoniło do takich podejrzeń?

- Nie wiem, ale widzę to wyraźnie. To znaczy zdaję sobie sprawę, że April zdenerwowała się przedstawieniem i w ogóle, ale to przecież nie była nasza wina, prawda? A kiedy byliśmy u nich ostatnim razem, wszystko wydawało się takie... sama nie wiem. Pamiętasz, jak próbowałam ci opisać, w jaki sposób patrzyła na mnie wtedy twoja matka? April tamtego wieczoru patrzyła na mnie dokładnie tak samo. I teraz zapomnieli o naszym zaproszeniu... nie wiem. Dziwne, i tyle.

Shep zamknął puszkę pasty do butów i odłożył na miejsce ze zwiniętą szmatką i szczotkami.

- Serduszko, coś sobie wyobraziłaś. Sama sobie zepsujesz wieczór.

- Wiedziałam, że tak powiesz. - Wstała z ławki, żałosna i bezradna w różowej halce.

- Mówię tylko prawdę. Dajże spokój. Podejdź do tego spokojnie i baw się dobrze. - Przemierzył pokój, by ją przytulić, ale jego uśmiech zastygł w niespokojnym grymasie, ponieważ pochylając się nisko nad jej ramieniem, poczuł słaby kwaśny odór.

- Och, chyba masz rację - mówiła Milly. - Przepraszam. Idź i weź prysznic, a ja skończę w kuchni.

- Nie ma powodu do pośpiechu, oni zawsze się spóźniają. Może ty też weźmiesz prysznic?

- Nie, włożę sukienkę i jestem gotowa.

Shep Campbell, w zadumie namydlając i szorując ciało pod prysznicem, zadawał sobie pytanie, dlaczego ona, do diabła, czasami wydziela taki zapach. Nie chodziło o to, że rzadko się kąpie - doskonale wiedział, że zrobiła to wczoraj wieczorem - i nie miało to nic wspólnego z miesiączką, to sprawdził

już dawno temu. Najwyraźniej był to skutek zdenerwowania, jak wysypka albo rozstrój żołądka; Shep przypuszczał, że Milly ma po prostu tendencję do obfitego pocenia się w okresach napięcia.

Wycierając się ręcznikiem, musiał jednak przyznać, że to było coś więcej niż zapach potu. Bóg wie, że pot u kobiety może być podniecający. Nagle wróciły wspomnienia z ubiegłego lata, kiedy na dusznym, zatłoczonym parkiecie w Vito's Log Cabin trzymał w objęciach na wpół pijaną April Wheeler. Wilgotną sukienkę przyklejona miała do pleców, jego policzek zsuwał się po jej mokrej skroni, gdy kołysali się w rytm bębnów i jęku saksofonu. Och, pociła się, i to bardzo, ale zapach miała silny i czysty jak cytryna; to właśnie w równej mierze ów zapach, jak bliskość jej wysokiego ciała sprawiły, że jego... że zapragnął... o Jezu. Choć minął prawie rok, na myśl o tym wciąż drżały mu palce, gdy zapinał koszulę.

Dom wydawał się nienaturalnie cichy. Z pustą puszką po piwie w dłoni poszedł na dół, by sprawdzić, co porabia Milly, i dopiero w połowie salonu uświadomił sobie, że ma czterech synów.

O mało się o nich nie potknął. Leżeli rzędem na brzuchach, ich ośmio-, siedmio-, pięcio- i czteroletnie ciała okryte były identycznymi niebieskimi piżamami, i podparci na łokciach, wpatrywali się w migoczący błękit telewizyjnego ekranu. Jasnowłosi, z perkatymi nosami, z profilu wszyscy byli niezwykle podobni do Milly i równocześnie poruszali szczękami, żując gumy, których różowe opakowania zaśmiecały dywan.

- Hej, bando - powiedział, ale żaden nawet na niego nie spojrział. Shep ostrożnie ich okrążył i marszcząc czoło, wszedł do kuchni. Czy inni mężczyźni odczuwają czasami niesmak na widok własnych dzieci? Bo nie chodziło tylko o to, że go zaskoczyli, w tym akurat nie było nic nadzwyczajnego. Po prawdzie dość często się zdarzało, że nagle na nich wpadał i myślał: kim oni są? Zwykle mijała sekunda, dwie, nim docierało do niego, że to jego synowie. Ale do diabła, gdyby ktoś go zapytał, co w takich chwilach czuje, z całą szczerością mógłby odpowiedzieć, że ogarnia go głęboka radość; to samo czuł, zaglądając wieczorami do ich pokoju, gdy leżeli już w łóżkach, albo rzucając wysoko piłkę na trawniku, po którą wszyscy galopowali. Tym razem było inaczej. Tym razem musiał przyznać, że poczuł słabą, acz wyraźną odrazę.

W kuchni Milly smarowała mięsną pastą krakersy, oblizując przy tym palce.

- Wybacz, serduszko - powiedział, przemykając obok niej. - Lepiej zejdę ci z drogi.

Wyjął z lodówki zimną puszkę piwa i wyszedł na tylne podwórko, z namysłem popijając. Mógł z tego miejsca ponad ciemnymi koronami drzew

dostrzec zarys domu Wheelerów; za nim i nieco na prawo, pod drutami telefonicznymi, połyskiwały światła wiecznie szumiącego strumienia samochodów na dwunastce. Shep przez długi czas wpatrywał się w migoczącą w oddali autostradę, próbując uporządkować własne emocje.

Jeśli nie czuł odrazy, to właściwie co? Może przesadnie wybredną, snobistyczną dezaprobatę, bo kiedy tak leżeli rozciągnięci i poruszali szczękami, wyglądali na tępaków i... cóż, klasę - średnią? Ale cóż to za brednie? Na litość boską, wolałby widzieć ich siedzących przy małym stoliku? Ubranych w tartanowe kilty? Nie, musiało chodzić o coś więcej. Przypuszczalnie o to, że ich widok wyrwał go z rozmyślań o April Wheeler (A o niej właśnie rozmyślał! Snuł najrozmaitsze myśli! Czy nie jest zdrowiej spojrzeć prawdzie w oczy, zamiast się przed nią kryć?) i wstrząsnął nim trochę, to wszystko. A skoro stawiał temu czoło, mógł teraz oderwać wzrok od autostrady i skoncentrować się na dachu Wheelerów. Zimą, kiedy drzewa są gołe, widać większą część domu i światło nocą palące się w sypialni. Ciekawe, co April robi teraz? Czesze się? Wkłada pończochy? Miał nadzieję, że włoży granatową sukienkę.

- Kocham cię, April - szepnął, by się przekonać, jak zabrzmiał to w jego ustach. - Kocham cię. Kocham cię.

- Kochanie! - zawołała Milly. - Co ty tam robisz? - Stała w jasno oświetlonych kuchennych drzwiach, przez przymrużone powieki wypatrując go w mroku. Za nią uśmiechali się Wheelerowie.

- Och! - powiedział, ruszając ku nim przez trawnik. - Cześć! Nie widziałem, jak podjeżdżacie. - Czując się głupio, przystanął, by dopić piwo, i przekonał się, że pustą puszkę zdążył ogrzać ciepłem dłoni.

To był niezręczny wieczór od samego początku, prawdę mówiąc, do tego stopnia niezręczny, że przez pierwszą godzinę Shep unikał wzroku Milly w obawie, że wyraz jego twarzy potwierdzi jej niepokoje. Nie mógł zaprzeczyć: istotnie działo się coś dziwnego. Wheelerowie nie brali udziału; nie odprężyli się, nie ruszyli z miejsca. Żadne nie poszło do kuchni, by nie przerywając rozmowy, pomóc przy drinkach; siedzieli obok siebie na sofie jak przyklejeni. Trzeba by wystrzału z pistoletu, żeby ich rozdzielić.

April rzeczywiście włożyła granatową sukienkę i nigdy nie wyglądała śliczniej, ale jej oczy miały dziwny, obcy wyraz - właściwy raczej sympatycznemu widzowi, nie gościowi, nie wspominając już o przyjacielu - i poza „Tak” czy „Och, naprawdę” trudno było cokolwiek z niej wydobyć.

Frank zachowywał się tak samo, tylko dziesięć razy gorzej. Rzecz nie w tym, że milczał (choć nie istniało nic bardziej sprzecznego z jego

charakterem) i nie silił się nawet zamaskować faktu, że wcale nie słucha Milly, ale w tym, że zachowywał się jak przeklęty snob. Wodził wzrokiem po pokoju, badając każdy mebel i obraz, jakby nigdy wcześniej nie znalazł się w równie zabawnie typowym przedmiejskim salonie - na litość boską, jakby przez ostatnie dwa lata nie sypał popiołem i nie rozlewał alkoholu na każdą powierzchnię w tym pokoju, jakby zeszłego lata nie wypalił dziury w obiciu tej sofy, jakby straciwszy przytomność, nie zaczął chrapać na tym dywanie. Raz, kiedy Milly coś opowiadała, wychylił się lekko i zmrużył oczy, patrząc na coś za jej plecami, niczym człowiek zerkający przez kraty pociemniałej celi. Shepowi minutę zabrało domyślenie się, co on robi: czytał tytuły książek ustawionych na półkach. Najgorsze w tym było to, że Shep mimo całej swojej irytacji musiał zwalczyć impuls, by nie zerwać się jowialnie na nogi i nie zacząć przeproszać („Cóż, oczywiście trudno nazwać to biblioteką, bardzo nie chciałbym, żebyś oceniał nasze czytelnicze gusta na tej podstawie - w gruncie rzeczy to tylko śmieci, które nazbierały się przez lata, większość naszych naprawdę dobrych książek jakoś się...”) Zamiast tego zacisnął szczękę, pozbierał szklanki i poszedł do kuchni. Jezu!

Wheelerom nalał podwójną dawkę alkoholu, żeby się rozkrochmalili, Milly natomiast zmniejszył ilość o połowę, bo jeśli dalej będzie w tym tempie piła, to wzięwszy pod uwagę jej stan, w ciągu godziny zaleje się w trupa.

Wreszcie Wheelerowie zaczęli się rozgrzewać, chociaż kiedy całkiem się odprężyli, Shep wcale nie był pewien, czy wcześniej nie lubił ich bardziej.

Zaczął Frank, swoim zwyczajem odchrząkając:

- Właściwie mamy bardzo ważną wiadomość. Zamierzamy... - Tu przerwał, zarumienił się i spojrzał na April. - Ty im powiedz.

April uśmiechnęła się do męża - nie jak widz, gość czy przyjaciel, ale w sposób, na widok którego zawistne serce Shepa boleśnie się ścisnęło, po czym spojrzała na gospodarzy.

- Wyjeżdżamy do Europy - oznajmiła. - Do Paryża. Na dobre.

Co? Kiedy? Jak? Dlaczego? Campbellowie, mąż i żona, eksplodowali kanonadą gorączkowych pytań, na które Wheelerowie odpowiadali ze śmiechem i uprzejmie. Wszyscy mówili jednocześnie.

- ...och, tydzień albo dwa temu - wyjaśniała April w odpowiedzi na pytanie Milly, od jak dawna to planują. - Trudno dokładnie sobie przypomnieć. Po prostu nagle postanowiliśmy wyjechać, to wszystko.

- No tak, ale dokładnie jak to będzie? - Shep po raz drugi albo trzeci zadawał to pytanie Frankowi. - To znaczy, masz tam pracę?

- Cóż, niezupełnie. – W pokoju zapadła cisza, podczas gdy Frank i April znowu patrzyli na siebie w ten intymny, doprowadzający do wściekłości sposób. Shepowi cisnęło się na usta: mówcie nam albo nie, do diabła, kogo to obchodzi?

A potem znowu zaczęli mówić. Pochylając się, przerywając sobie wzajemnie i ściskając się za ręce jak para dzieciaków, Wheelerowie opowiedzieli całą historię. Jak zawsze, gdy spadał na niego grad nieprzyjemnych wiadomości, Shep zamknął się w sobie. Przyjmował każdy fakt, pozwalał, by bezboleśnie przesunął się na krańce świadomości i myślał: dobra, dobra, nad tym zastanowię się później, nad tym też i nad tym, dzięki czemu czujna, przednia część jego umysłu pozostawała wolna i mógł panować nad sytuacją. Był w stanie utrzymać właściwy wyraz twarzy i właściwie reagować, mógł nawet czerpać przyjemność z faktu, że przynajmniej przyjęcie się ożywiło, przynajmniej mnóstwo się teraz dzieje. Z zaskoczeniem i dumą obserwował, jak doskonale z tą sytuacją radzi sobie Milly.

- Ojej, to brzmi fantastycznie, kochani - powiedziała, kiedy skończyli. - Mówię poważnie, brzmi po prostu cudownie. Choć na pewno będziemy za wami tęsknili, prawda, skarbie? - Oczy jej błyszczały. - Kurczę, bardzo nam będzie was brakować.

Shep zgodził się z żoną i oboje Wheelerowie z wdziękiem pograżyli się we własnym sentymentalizmie. Oznajmili, że oni też będą tęsknili za Campbellami. Bardzo.

Później, kiedy przyjęcie dobiegło końca, Wheelerowie wyszli i w domu zapadła cisza, Shep ostrożnie pozwolił, by ból rozlał się w jego świadomości, choć na razie tylko w małym stopniu. Pamiętał, że teraz najważniejszy obowiązek ma wobec żony. Reszta musi poczekać.

- Wiesz, co myślę, laleczko? - zaczął, stając obok niej przy kuchennym zlewie, w którym płukała szklanki i popielniczki. - Myślę, że cały ten ich plan wygląda na bardzo niedojrzały.

Widział, jak Milly z wdzięczności garbi ramiona.

- Och, ja też. To znaczy wiesz, nie chciałam nic mówić, ale pomyślałam dokładnie tak samo. Niedojrzały to odpowiednie słowo. Czy któreś z nich choć przez minutę pomyślało o dzieciach?

- Racja - przyznał Shep. - A to tylko jedna sprawa. Kolejna: cóż to za idiotyczny pomysł, że ona będzie go utrzymywać? Powiedz, co za mężczyzna może się na to zgodzić?

- Och, masz całkowitą rację. Myślałam dokładnie tak samo. Niechętnie to mówię, bo naprawdę oboje bardzo lubię, no wiesz, są naszymi najlepszymi

przyjaciółmi i w ogóle, ale to prawda. Myślałam dokładnie tak samo, po prostu powtarzasz moje myśli.

Kiedy jednak później leżał na plecach w ciemnej sypialni, Milly nie miała z niego żadnego pożytku. Shep wyczuwał w niej napięcie, wiele mówiące drżenie kończące każdy wdech, i wiedział, że gdyby tylko odwrócił się ku niej i dał jej znać, że nie śpi, natychmiast przytuliłaby się do niego i z łkaniem wylała żal w jego szyję, a on głaskałby jej plecy i szeptał: „Co się dzieje, dziecinko? He? Co jest? Powiedz tatusiowi”.

A on nie był w stanie tego zrobić. Nie potrafił zdobyć się na taki wysiłek. Nie chciał, by jej łzy wsiąkały mu w górę od pizamy, nie chciał pod dłoń jej ciepłych, rozdygotanych pleców. Nie dzisiaj w nocy w każdym razie, nie teraz. Nie był w nastroju, by kogokolwiek pocieszać.

Paryż! Sam dźwięk tej nazwy trafiał prosto w czułe pra-źródło wszystkiego, zabierał w czasy, gdy ciężar świata płynął równie lekki i czysty jak dumny niewidzialny ptak, pazurami wczepiony w to miejsce na ramieniu wojskowej kurtki, gdzie widniały belki porucznika. Och, pamiętał aleje Paryża, drzewa, cudowną łatwość zdobywania kobiet wieczorami („Chcesz tę wielką, Campbell? Okay, ty bierzesz wielką, a ja małą. Hej, mamselle.. przepraszam, mamselle...”) i poranki, utracone błękitno-żółte poranki z filiżankami gorącej kawy, świeżymi rogalikami i obietnicą wiecznego życia.

W porządku, zgoda, może to są myśli odpowiednie dla chłopaka, żołnierza awansowanego na polu bitwy, w porządku.

Ale Boże, być tam z April Wheeler. Wędrować tamtymi ulicami, splatając palce z chłodnymi palcami April Wheeler, wchodzić z nią po kamiennych schodach jakiegoś niszczonego szarego domu, wkraczać z nią do błękitnego wysokiego pokoju z podłogą wyłożoną czerwonymi kaflami, słyszeć tam jej zmysłowy śmiech i głos („Nie chciałbyś, żebym cię pokochała!”), czuć jej cytrynowy zapach i dotyk jej smukłego ciała, kiedy on... kiedy ona... och, słodki Jezu.

Och, Boże, być tam z April Wheeler.

Rozdział trzeci

Od roku 1936, kiedy nieodwołalnie wyprowadzili się z miasta, państwo Howardowie Givingsowie co dwa, trzy lata zmieniali adres, i zawsze tłumaczyli to tym, że Helen zna się na domach. Potrafiła kupić ruinę, wprowadzić się, energicznymi działaniami podnieść jej wartość i sprzedać z zyskiem, który inwestowała w następny dom. Zaczynając od Westchester, przesuując się stopniowo na północ w głąb hrabstwa Putnam, a później do Connecticut, postąpiła tak z sześcioma budynkami. Ale ich obecny dom, siódmy, to była zupełnie inna historia. Mieszkali w nim od pięciu, niemal sześciu lat i wątpili, by kiedykolwiek zdecydowali się go opuścić. Jak często powtarzała pani Givings, zakochała się w tym miejscu.

To była jedna z kilku autentycznych budowli pochodzących sprzed wojny secesyjnej; po obu jej stronach rosły nieliczne stare wysmukłe wiązy i pani Ghńgs lubiła myśleć o niej jako o ostatnim bastionie opierającym się wulgarności. Praca prowadziła ją głęboko w ciągle rozrastający się obóz wroga; bywało, że musiała z uśmiechem stać w kuchniach obrzydliwych wiejskich domków i dwupoziomowych mieszkań, mając do czynienia z nieprawdopodobnie ordynarnymi ludźmi, których dzieci na trójkołowych rowerkach obijały się jej o golenie i rozlewały Kool-Aid na sukienkę; wdychała spaliny na przygńbiającej dwunastce z otaczającymi ją supermarketami, pizzeriami i stoiskami ze słodyczami, ale wszystko to tylko pogłębiało jej radość z powrotu do domu. Uwielbiała kilkaset ostatnich jardów cienistej drogi, które oznaczały, że jest już niemal na miejscu, szorstki grzechot dobrze zagrabionego żwiru pod oponami, parkowanie samochodu w schludnym garażu i odważny, zmęczony spacer koło rabatki kwiatowych do pięknych starych drzwi domu w stylu kolonialnym. Kiedy przekroczywszy próg, wciągała w płuca czysty zapach cedru i pasty do podłóg, kiedy jej wzrok padał na odbitkę Curriera i Ivesa wiszącą nad uroczym starym stojakiem na parasole, nieodmiennie wypełniała ją sentymalna czułość wywołana brzmieniem słowa „dom”.

To był szczególnie męczący dzień. W handlu nieruchomościami sobota zawsze jest najbardziej wypełniona zajęciami, a tego popołudnia na dodatek musiała pojechać do Greenacres (oczywiście nie po to, by odwiedzić syna, nigdy tego nie robiła, jeśli nie towarzyszył jej mąż, ale by odbyć konferencję z lekarzem, z której zawsze wychodziła z poczuciem, że została zbrukana). Czy psychiatrzy nie powinni być mądrzy, ojcowscy, o głębokich głosach? A jeśli tak, to czy można nie czuć się zbrukaną w obecności małego człowieczka o

zaczerwienionych oczach i obgryzionych paznokciach, który plastrem skleja okulary i spinką od Woolwortha przypina krawat do białawej koszuli - który musi wilgotnym kciukiem kartkować zawartość kilkunastu szarych teczek, zanim sobie przypomni, w sprawie którego z jego pacjentów przyszłaś, a potem mówi: „Tak, o tak, i o co pani pytała?”.

Teraz wszakże, dzięki łasce tego świętego, co chroni znużonych wędrowców, była w domu.

- Witaj, mój drogi! - zawołała śpiewnie z holu, jako że mąż z całą pewnością czytał gazetę w salonie, i nie zatrzymując się, by zamienić z nim słowo, poszła prosto do kuchni, gdzie sprzątaczką ustawiła na stole serwis do herbaty. Cóż za wesoły, dodający otuchy widok stanowił parujący czajnik! Jak czysta i obszerna była ta kuchnia z wysokimi oknami! Czuła tu rodzaj spokoju, który знаła wyłącznie w dzieciństwie, gdy przekomarzała się z pokojówkami w kuchni cudownego domu ojca w Filadelfii. Śmieszne, myślała często, że w żadnym z innych domów, choć niektóre były równie ładne jak ten albo ładniejsze, nigdy czegoś takiego nie odczuwała.

Cóż, ludzie naturalnie się zmieniają, mówiła sobie, przypuszczalnie po prostu starzeję się i jestem znużona. Ale na dnie serca nieśmiało przyjmowała zupełnie inne wyjaśnienie. Szczerze wierzyła, że zdolność do kochania tego domu była jedną z wielu zmian, jakie w ciągu ostatnich kilku lat zaszły w jej charakterze - głębokich, pozytywnych zmian, dzięki którym z innej perspektywy spojrzała na przeszłość.

- Bo ja to kocham - tak wiele, wiele lat temu odpowiadała Howardowi, gdy zdesperowany pytał, dlaczego nie chce zrezygnować z pracy w mieście.

- Przecież to zajęcie nie może być interesujące - mówił - a już z całą pewnością nie potrzebujemy pieniędzy. W takim razie dlaczego?

Zawsze odpowiadała, że dlatego, ponieważ kocha swoją pracę.

- Kochasz Horst Bali Bearing Company? Kochasz stenografię? Jak można kochać takie rzeczy?

- Tak się składa, że kocham. Poza tym doskonale wiesz, że potrzebujemy pieniędzy, jeśli chcemy zatrzymać służącą na cały etat. Wiesz także, że nie jestem stenografką. - Była asystentką w administracji. - Doprawdy, Howardzie, dyskusja o tym nie ma sensu.

Nigdy nie potrafiła wyjaśnić ani nawet zrozumieć, że nie kochała zajęcia - to mogło być jakiegokolwiek zajęcie - ani niezależności, którą dzięki niemu zyskiwała (aczkolwiek naturalnie było to ważne dla kobiety nieustannie zmierzającej ku decyzji o rozwodzie). W głębi serca kochała pracę samą w sobie. Jej ojciec zawsze powtarzał: „Ciężka praca jest najlepszym lekarstwem,

jakie dotąd wynaleziono na dolegliwości mężczyzn - i kobiet", a ona w to wierzyła. Napięcie, gwar i zamęt panujące w biurze, szybki lunch przysyłany na tacy, sprawne załatwianie dokumentów i telefonów, wyczerpanie podczas nadgodzin i końcowa słodka ulga, gdy wieczorem zrzucała buty z poczuciem wewnętrznego oczyszczenia i ochotą wyłącznie na dwie aspiryny, gorącą kąpiel, lekką kolację i łóżko: to była istota jej miłości, wszystko to wzmacniało ją na trudy bycia żoną i matką. Często powtarzała, że bez tego chyba postradałaby zmysły.

Kiedy zrezygnowała z pracy i przeniosła się na wieś, by zająć się handlem nieruchomościami, przeżyła trudne chwile. Nowa dziedzina po prostu nie zapewniała wiele pracy. W tamtych czasach mało ludzi kupowało nieruchomości, a nie była w stanie przez cały czas studiować prawa budowlanego i hipotecznego. Bywało, że przez całe dni nie miała nic do roboty poza przekładaniem papierów na biurku z drzewa różanego i wyczekiwaniem na dzwonek telefonu z nerwami tak napiętymi, że chciało jej się krzyczeć. Wreszcie odkryła, że może swoją pasję realizować, ulepszając otoczenie. Własnoręcznie zeszkrobała warstwy tapety i gipsu, pod którymi kryła się oryginalna dębowa boazeria, zainstalowała nową balustradę na schodach, usunęła zwykle podnoszone okna i w ich miejsce wstawiła okna dzielone na małe szybki w stylu kolonialnym, sporządziła plany i bacznie nadzorowała budowę nowego tarasu i garażu, oczyściła, wypełniła, nawiozła i obsiała sto stóp kwadratowych nowego trawnika. W ciągu trzech lat dodała pięć tysięcy dolarów do wartości rynkowej posiadłości, namówiła Howarda do sprzedaży i kupiła nowy dom, po czym zajęła się jego renowacją. Po drugim przyszedł trzeci, czwarty i tak dalej, jej agencja przez cały czas się rozrastała, tak że w najlepszym roku pracowała osiemnaście godzin na dobę: dziesięć w agencji i osiem w domu.

- Bo ja to kocham - twierdziła, długo w noc bez końca odłupując, bijąc młotkiem, lakierując i naprawiając. - Kocham taką pracę, a ty nie?

I czy nie była głupia? Ze spokojem ustawiając serwis do herbaty na tacy, pani Grvings westchnęła tolerancyjnie na myśl, jak niemądrze, źle i głupio postępowała w tamtych latach. Och, zmieniła się, to nie ulegało wątpliwości. Ludzie się zmieniają, a zmiana równie dobrze może być rozkwitem, jak i więdnieniem, prawda? A w jej przypadku wyglądało na to, że jest ostatecznym rozkwitem, długo odwlekany wkroczeniem w kobiecość.

Och, rosnące uczucie do domu i malejąca fiksacja na punkcie pracy były jedynie najdrobniejszymi, najmniej istotnymi symptomami tej zmiany, pojawiły się też głębsze, niepokojące, dziwnie przyjemne fizyczne odczucia.

Czasami przenikliwa fraza Beethovena płynąca z kuchennego radia sprawiała, że mogłaby płakać z bolesnej radości. Czasami, gdy gawędziła z Howardem, czuła, jak budzi się w niej... cóż, fizyczne pożądanie: mogłaby wziąć go w ramiona i przycisnąć jego starą kochaną głowę do piersi.

- Pomyślałam, że dzisiaj wypijemy tylko herbatę - powiedziała, wchodząc z tacą do salonu. - Chyba nie masz nic przeciwko temu. Bo wiesz, jeśli teraz się najemy, nie będziemy głodni na kolację, a kolację mamy dzisiaj bardzo wcześnie, bo o ósmej mam być u Wheelerów. Obawiam się, że to dość niezręczna pora. - Postawiła delikatnie tacę na antycznym stoliku do kawy. Na jego blacie widniały słabe ślady kleju, znaczące miejsca, w których pękł, gdy John rzucił nim przez pokój tej strasznej nocy, kiedy przyjechała policja.

- Och, ależ przyjemnie jest usiąść - powiedziała pani Givings. - Chyba nie ma miłszej rzeczy niż wygodnie usiąść po ciężkim dniu.

Dopiero kiedy przygotowała herbatę tak, jak lubił Howard, z trzema kostkami cukru, i podała mu filiżankę, uniosła wzrok, by się przekonać, czy mąż wciąż tu jest. I dopiero czując aromat herbaty i widząc żonę, Howard Givings uświadomił sobie, że wróciła do domu. Przez całe popołudnie miał wyłączony aparat słuchowy. Wstrząs sprawił, że wykrzywił twarz jak przestraszone dziecko, ale ona tego nie zauważyła. Nie przestała mówić, podczas gdy Howard odłożył „Herald Tribune”, jedną dłonią niezręcznie pokręcił gałką przy aparacie słuchowym, drugą niepewnie sięgnął po spodek i filiżankę, które zagrzechotały w jego uścisku.

Howard Givings wyglądał na starszego niż sześćdziesiąt siedem lat. Całe swoje dorosłe życie spędził jako niższy rangą urzędnik w siódmej największej firmie ubezpieczeniowej świata, a teraz gdy był na emeryturze, wydawało się, iż lata biurowej monotonii naznaczyły go równie wyraziście, jak stare wilki morskie naznaczone są przez wiatr i słońce. Był bardzo siwy i pulchny. Jego twarz nie marszczyła się ani nie zapadała z wiekiem, tylko wypełniała, nabierając delikatnej gładkości noworodka; włosy też miał jak małe dziecko, cienkie niczym jedwab. Nigdy nie należał do postawnych mężczyzn, a teraz jego kruchość podkreślał jeszcze rozlewający się tłusty brzuch, który zmuszał go przy siedzeniu do rozstawiania szeroko chudych kolan. Ubrany był w elegancką koszulę w czerwoną kratę, szare flanelowe spodnie, szare skarpety i stare ortopedyczne buty z wysokimi cholewkami, tak bardzo pomarszczone, jak gładka była jego twarz.

- Nie ma ciasta? - zapytał, głośno odchrząknawszy. - Myślałem, że zostało trochę kokosowego.

- Tak, mój drogi, ale rozumiesz, pomyślałam, że dzisiaj wypijemy samą herbatę, bo wcześniej jemy kolację... - Helen od nowa wyjaśniła kwestię spotkania z Wheelerami, mgliście tylko świadoma, że już mu o tym mówiła, a on potakiwał, mgliście tylko świadomy sensu jej słów. Wpatrywała się z roztargnioną fascynacją w promienie zachodzącego słońca, które oświetlało na karmazynowo mężowskie ucho i zamieniało jego łupież w języki ognia, ale myślami była już przy wieczorze.

Wizyta u Wheelerów nie miała być zwykłą wizytą, lecz w istocie pierwszym ostrożnym krokiem prowadzącym do realizacji planu, który na kształt wizji naszedł ją wiele tygodni temu. Pewnego dnia o zmierzchu wybrała się na spacer, by ukoić nerwy w niebieskich cieniach trawnika za domem, i oczyma wyobraźni zobaczyła na nim rodzinne zebranie. Była tam April Wheeler, siedziała na białym krześle z kutego żelaza i odwracała śliczną głowę, by pełnym uczucia uśmiechem odpowiedzieć na mądrą i ojcowską uwagę Howarda Givingsa, który zajmował miejsce obok niej przy białym stole z kutego żelaza, zastawionym dzbankami z koktajlami i pojemnikami lodu. Nieco dalej stał ze szklaneczką w dłoni Frank Wheeler i pochylony prowadził jedną ze swych ożywionych rozmów z Johnem, odpoczywającym w godnej pozie rekonwalescenta na białym szeszlunku z kutego żelaza. Helen widziała, jak John się uśmiecha, opanowany i uprzejmy, jak nie zgadza się z Frankiem w jakichś mniej ważnych szczegółach dotyczących polityki, książek, baseballu albo innej kwestii zajmującej młodych mężczyzn, i widziała też, jak syn odwraca ku niej głowę i mówi:

- Mamo, może do nas dołączysz?

Obraz powracał przez wiele dni, aż wreszcie stał się równie realny jak zdjęcie w czasopiśmie, i Helen wciąż go ulepszała. Znalazła nawet miejsce dla dzieci Wheelerów: ubrane w białe szorty i tenisówki, bawiły się grzecznie za krzakami róż, łapiąc do słońca światliki. Im większej wyrazistości nabierały szczegóły, tym trudniej było jej podważyć wiarygodność całości. Przecież John szalenie by skorzystał, dochodząc do zdrowia w otoczeniu wrażliwych, inteligentnych ludzi w swoim wieku. A ze strony Wheelerów nie byłby to wcale akt altruizmu: czyż nie mówili jej wielokrotnie, jak bardzo łakną podobnych sobie przyjaciół? Chyba nie ulega wątpliwości, że ta męcząca para z Hill (Crandall? Campbell?) nie jest w stanie zaoferować im wiele, jeśli chodzi o... no cóż, interesujące rozmowy i tak dalej. A Bóg tylko wie, że John, kimkolwiek poza tym jest lub nie jest, z całą pewnością należy do intelektualistów.

Och, dla wszystkich byłoby to dobre, Helen w to nie wątpiła. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie można się śpieszyć. Od samego początku wiedziała, że należy działać powoli, z rozwagą.

Przez kilka ostatnich wizyt pozwalano jej i Howardowi zabierać Johna na godzinną przejażdżkę poza teren szpitala - na próbę, tak to określono.

- Nie sądzę, by na tym etapie wizyty domowe były mądrym posunięciem - oznajmił lekarz w ubiegłym miesiącu, obrzydliwie wyłamując poplamione atramentem palce na bibule. - Wydaje się, że wciąż sporą wrogość budzi... hmm... atmosfera domowa i tak dalej. Lepiej na razie ograniczyć się do krótkich wyjazdów. Później, w zależności od rozwoju sytuacji, będą mogli państwo zabrać go do domu bliskiego przyjaciela, gdzie poczuje się mniej lub bardziej na neutralnym gruncie; to następny logiczny etap. W tej kwestii musicie zdać się na własny osąd.

Omówiła tę sprawę z Howardem, wspomniała nawet dyskretnie o niej Johnowi kilka razy podczas przejażdżek, a w zeszłym tygodniu zdała się na własny osąd, starannie ważąc wszelkie elementy, i doszła do wniosku, że można przejść na następny logiczny etap. Dzisiaj umówiła się na spotkanie z lekarzem po to tylko, by powiadomić go o swojej decyzji i poprosić o radę. Jak wiele j ego zdaniem powinna powiedzieć Wheelerom o naturze choroby Johna? Lekarz, co powinna była przewidzieć, wcale jej nie pomógł (odparł, że w tej kwestii także musi zdać się na własny osąd), ale przynajmniej nie zgłosił żadnych obiekcji, i teraz pozostał tylko problem złożenia im propozycji. O wiele zręczniejsz i wygodniejsz byłoby jej rozmawiać o tym tutaj, tak jak zaplanowała, przy stole oświetlonym płomieniami świec.

- Mam szczerą nadzieję, że nie odbierzecie tego jako natręctwa - powtarzała szeptem, płucząc serwis do herbaty w zlewie - ale zastanawiałam się, czy nie mogłabym prosić was o wielką przysługę. Chodzi o mojego syna Johna... - Och, to bez znaczenia, jakich słów użyje, znajdzie właściwie, kiedy nadejdzie pora, i była pewna, że Wheelerowie ją rozumieją. Niech ich Bóg błogosławi, niech ich błogosławi; wiedziała, że rozumieją.

Nie potrafiła myśleć o niczym innym, kiedy pośpiesznie przygotowywała i podawała wczesną kolację, a potem zmywała naczynia. Gotowa do wyjścia, przystanęła w holu, by poprawić szminkę na ustach i zawołać:

- Do zobaczenia później, mój drogi!

Wyruszyła w drogę, podniecona jak młoda dziewczyna.

W chwili jednak gdy śmiejąc się i gawędząc, wkroczyła do salonu Wheelerów, jej podniecenie ustąpiło czemuś w rodzaju paniki. Poczwała się jak intruz.

Spodziewała się, że jak zwykle zastanie ich spiętych i niezorganizowanych - będą równocześnie mówić, biegać wokół niej, wchodzić sobie w drogę, by usunąć ostrą zabawkę z fotela, na którym już miała usiąść - a tymczasem powitał ją spokój. April nie musiała się upierać, że w domu panuje straszny bałagan, bo nie panował; Frank nie musiał rzucać „Przyniosę pani drinka” ani trzaskać drzwiami lodówki w kuchni, ponieważ drinki były ładnie ustawione na stoliku. Najwyraźniej Wheelerowie popijali i rozmawiali od jakiegoś czasu; serdecznie ucieszyli się na jej widok, ale gdyby nie przyszła, doskonale sami sobie by wystarczeli.

Pani Givings usłyszała własny głos: „Och, proszę kropelkę, dziękuję, cudownie” i „Och, jak przyjemnie jest usiąść”, i „Ojej, wasz dom ślicznie wygląda”, i wiele innych rzeczy, a potem: „Mam nadzieję, że nie uznacie tego za natręctwo, ale zastanawiałam się, czy nie mogłabym poprosić was o wielką przysługę. Chodzi o mojego syna Johna”.

Skurcz mięśni twarzy obojga Wheelerów był tak nieznaczny, że nie uchwyciłaby go najwrażliwsza kamera świata, ale dla pani Givings był niczym kopniak. Wiedzieli! Tej jednej możliwości zupełnie nie wzięła pod uwagę. Od kogo? Ile wiedzą?

Słyszeli o zdemolowaniu domu, przeciętych kablach telefonicznych i policji stanowej?

Musiała jednak brnąć dalej. Prawdę powiedziawszy, mówił im jej głos, John nie czuł się dobrze. Przepracowanie, kłopoty i skończyło się całkowitym załamaniem nerwowym. Na szczęście w tym czasie był w okolicy - nie zniosłaby myśli, że zachorował z dala od domu - ale tak czy owak i ona, i jego ojciec bardzo się tym przejęli. Jego lekarze uznali, że powinien porządnie odpocząć, więc aktualnie przebywa...

- ...cóż, przebywa w Greenacres. - W pani Givings żył tylko głos, cała reszta była odrętwiała.

Właściwie, zapewniał jej głos, byliby zaskoczeni, widząc, jak doskonałym miejscem jest Greenacres, wzięwszy pod uwagę... och, wzięwszy pod uwagę wyposażenie, personel i tak dalej; o wiele lepszy od większości prywatnych ośrodków w okolicy.

Głos mówił i mówił, coraz słabszy, aż wreszcie dotarł do sedna. Czy Wheelerowie zgodziliby się, żeby w którąś niedzielę... och, nie od razu, ale w którąś niedzielę w przyszłości...

- Ależ oczywiście, Helen - odparła April Wheeler. - Z przyjemnością się z nim spotkamy. To bardzo miło z twojej strony, że pomyślałaś o nas.

Frank Wheeler, napelniając od nowa jej szklaneczkę, powiedział, że John bez wątpienia musi być interesujący.

- Może w takim razie za tydzień? - zapytała April. - O ile ci to odpowiada.

- Za tydzień? - Pani Givings udała, że się zastanawia. - Niech sprawdzę, nie jestem pewna, czy... W porządku, doskonale. - Wiedziała, że powinna się cieszyć, w końcu po to właśnie przyszła, ale pragnęła tylko jak najszybciej wrócić do domu. - Naturalnie to nic pilnego. Jeśli coś wam wypadnie, zawsze możemy to przenieść...

- Nie, Helen. Przyszła niedziela nam odpowiada.

- Cóż, w takim razie doskonale - powiedziała pani Givings. - A niech to, spójrzcie na zegar. Chyba lepiej już... och, ale chcieliście mnie o coś zapytać, a tymczasem jak zwykle mówiłam tylko ja. - Kiedy upiła łyk, przekonała się, że usta ma suche jak wiór. Wydawały się spuchnięte.

- No cóż, uch, Helen - zaczął Frank Wheeler - istotnie mamy ważną nowinę...

Pół godziny później pani Givings jechała do domu, przez całą drogę ze zdziwienia unosząc wysoko brwi. Nie mogła się doczekać, kiedy o wszystkim opowie mężowi.

Zastała go siedzącego w fotelu obok bezcennego stojącego zegara, który wypatrzyła na jakiejś aukcji przed wojną. Skończył już z „Herald Tribune” i teraz w żółtym świetle lampy przedzierał się przez „World Telegram and Sun”.

- Howardzie, wiesz, co te dzieci mi powiedziały?

- Jakie dzieci, moja droga?

- Wheelerowie. No wiesz, ludzie, u których byłam. Małżeństwo z małego domku przy Revolutionary Road? Ci, których moim zdaniem John mógłby polubić?

- A tak. Co?

- Po pierwsze przypadkiem wiem, że wcale nie są w dobrej sytuacji finansowej, musieli pożyczyć całą zaliczkę na dom, a to było zaledwie dwa lata temu. Po drugie...

Howard Givings usiłował słuchać, ale jego wzrok wciąż wędrował na gazetę, którą miał na kolanach. Dwunastolatek w South Bend w Indianie zwrócił się do banku o kredyt w wysokości dwudziestu pięciu dolarów na zakup leków dla swojego psa wabiącego się Spot i dyrektor osobiście wyraził zgodę.

- ...więc mówię: „Ale po co sprzedawać? Przecież po powrocie będzie potrzebny wam dom”. I wiesz, co odpowiedział? Spojrzał na mnie z rezerwą i oznajmił: „W tym rzecz, rozumiesz. Nie wracamy”. Powiedziałam: „Och, znalazłeś tam pracę?” Odparł, że nie, tak po prostu. Nie ma pracy. Zapytałam:

„W takim razie zamieszkacie u krewnych albo przyjaciół?” „Nie”. - Pani Givings przewróciła oczami na taki brak odpowiedzialności. - „Nie znamy tam żywej duszy. Po prostu wyjeżdżamy”. Doprawdy, Howardzie, nie potrafię wyrazić, jakie to było żenujące. Możesz to sobie wyobrazić? Nie uważasz, że to w pewnym sensie... niesmaczne? Cała ta sprawa?

Howard Givings dotknął aparatu słuchowego. - Co rozumiesz przez niesmaczne, moja droga?

Przypuszczał, że stracił wątek. Na początku odnosił wrażenie, że opowieść żony dotyczy jakichś ludzi wyjeżdżających do Europy, ale teraz najwyraźniej temat uległ zmianie.

- No bo sam pomyśl, ludzie bez grosza przy duszy, z dziećmi wchodzącymi w wiek szkolny? Nikt tak nie postępuje, chyba że przed czymś ucieka, nie sądzisz? Bardzo nie chciałabym podejrzewać, że coś jest na rzeczy... cóż, nie wiem, co myśleć, w tym sęk. Zawsze wydawali się taką ustatkowaną, spokojną parą. Czy to nie dziwne? A najbardziej niezręczne jest to, że przedstawiłam sprawę Johna, zanim z tym wyskoczyli. Przypuszczam, że teraz będziemy musieli przez to przejść, choć nie ma w tym większego sensu.

- Przejść przez co, moja droga? Nie bardzo rozumiem, o czym...

- Chodzi o wizytę Johna u nich, Howardzie. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Oczywiście. Ale nie bardzo pojmuję, dlaczego nie ma w tym większego sensu?

- To jasne - odparła zniecierpliwiona. - Po co John miałby się z nimi zaprzyjaźniać, jeśli jesienią wyjadą stąd na dobre?

- Jak to?

- Mam na myśli... no wiesz. John potrzebuje stałego otoczenia. Och, przypuszczam oczywiście, że nie stanie się nic złego, jeśli raz czy dwa spotka się z nimi, zanim... tylko że ja myślałam o czymś na dłuższą metę. Co za bałagan, nie sądzisz? Powiedz, dlaczego ludzie nie mogą być bardziej... - Nie była całkiem pewna, o czym teraz mówi albo co ma na myśli, i ze zdziwieniem złapała się na tym, że przez cały czas skręca chusteczkę w wilgotną, ciasną linę.

- Ale przypuszczam, że o ludziach nigdy nic nie wiadomo na pewno - zakończyła. Odwróciła się, wyszła z pokoju i pobiegła lekko na piętro, by przebrać się w coś bardziej wygodnego.

Mijając okryte cieniem lustro na podeście, z dumą stwierdziła, że jej odbicie, w każdym razie widziane przelotnie kącikiem oka, wciąż przedstawia ruchliwą, gibką dziewczynę w doskonale urządzonym domu; pośpiesznie zrzucając żakiet i spódnicę w wyłożonej puszystym dywanem sypialni, poczuła się niemal jak w domu ojca, gdy pośpiesznie przebierała się na popołudniowe tańce. Krew w

żyłach dudniła, nagłąc do ustalenia ostatnich detali (Które perfumy? Och, szybko - które?), i mało brakowało, a podbiegłaby do balustrady, by zawołać: „Poczekaj! Już idę! Zaraz będę na dole!”.

Dopiero widok i dotyk starej flanelowej koszuli i workowatych spodni wiszących w szafie przywrócił ją do rzeczywistości. Głupia, głupia, napominała siebie, robię się roztrzepana. Ale prawdziwy szok nastąpił, gdy usiadła na łóżku, żeby zdjąć pończochy, ponieważ spodziewała się, że stopy będzie miała szczupłe i białe, z jasnoblękitnymi żyłami i prostymi, delikatnymi kośćmi. Tymczasem rozpierały się na dywanie jak dwie ropuchy, stwardniałe i sękaty od haluksów, z podwinętymi palcami ukrywającymi zrogowaciałe paznokcie. Natychmiast upchnęła je w jasne norweskie skarpety-papucie (naprawdę najlepsza rzecz do biegania po domu) i zerwała się, by schować resztę swojego prostego, luźnego stroju, ale było za późno. Przez następne pięć minut nie mogła się ruszyć - stała z obiema rękami na poręczy łóżka i zaciśniętymi kurczowo szczękami, ponieważ płakała.

Płakała, bo takie wielkie, wielkie, wielkie nadzieje wiązała z dzisiejszą wizytą u Wheelerów, a teraz była strasznie, strasznie, strasznie rozczarowana. Płakała, bo miała pięćdziesiąt sześć lat i brzydkie, napuchnięte, okropne stopy. Płakała, ponieważ w szkole nie lubiła jej żadna z koleżanek, a później nie lubił jej żaden z chłopców. Płakała, ponieważ Howard Givings był jedynym mężczyzną, który kiedykolwiek poprosił ją, by za niego wyszła, ponieważ to zrobiła i ponieważ jej jedyne dziecko było chore psychicznie.

Wkrótce jednak kryzys minął; musiała tylko pójść do łazienki, wydmuchać nos, umyć twarz i wyszczotkować włosy. Odświeżona, rażno i bezszelestnie poszła na dół w swoich skarpetach-papuciach i na powrót zajęła miejsce w fotelu na biegunach naprzeciwko męża, po drodze wyłączwszy wszystkie światła prócz jednego.

- Proszę - powiedziała - tak jest o wiele przytulniej. Doprawdy, Howardzie, miałam nerwy napięte jak druty po tej wizycie u Wheelerów. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak mnie to przygnębiło. Rzecz w tym, że zawsze uważałam ich za solidnych młodych ludzi. Myślałam, że wszystkie współczesne młode małżeństwa powinny być bardziej ustatkowane. Nie sądzisz, że powinny, zwłaszcza w społeczności takiej jak nasza? Bóg wie, ciągle tylko słyszę o młodych parach, które najbardziej w świecie pragną osiaść tutaj i wychowywać swoje dzieci...

Mówiła i mówiła, krążąc po pokoju, a Howard Givings potakiwał, uśmiechał się i pomrukiwał tak zręcznie, że żonie do głowy nawet nie wpadło, iż wyłączył na noc swój aparat słuchowy.

Rozdział czwarty

Pryskasz - powiedział Jack Ordway, mieszając kawę. - Buntujesz się. Spadasz. Bardzo sprytnie, Frank.

Siedzieli przy dwuosobowym, poplamionym keczupem stoliku w mrocznym kącie Miłej Knajpki, i Frank zaczynał żałować, że powiedział Ordwayowi o Europie. Klaun, pijak, człowiek niezdolny dyskutować o czymkolwiek tonem innym niż wyrafinowane pogardliwym, jakim mówił o sobie: czy z kimś takim chciałoby się rozmawiać o podobnych sprawach? Mimo to rozmawiał, ponieważ przez ostatnie kilka tygodni coraz większą trudność sprawiało mu samotne dźwiganie tajemnicy w biurze. Biorąc udział w zebraniach i słuchając Bandy'ego omawiającego przedsięwzięcia do wykonania „jesienią” albo „na początku roku”, przyjmując zlecenia, których realizacja teoretycznie zabierze mu wiele miesięcy, czasami łapał się na tym, że jego umysł z gotowością włączał się w powolną maszynę projektów biurowych i dopiero po chwili do głowy wpadała mu myśl: zaraz, chwila, przecież mnie tu wtedy nie będzie. Na początku owe drobne wstrząsy były zabawne, ale to nie trwało długo i wkrótce stały się bardzo nieprzyjemne. Zbliżał się środek czerwca. Za dwa i pół miesiąca (jedenaście tygodni!) będzie przemierzał ocean, nieodwołalnie zostawiwszy za sobą Dział Promocji Sprzedaży, realność tego faktu wciąż jednak jeszcze nie przeniknęła w tkankę biurowej rzeczywistości. Fakt ów był całkowicie realny w domu, gdzie nikt o niczym innym nie mówił; był realny w pociągu do pracy i z pracy, ale przez osiem godzin w pracy pozostawał równie bezcielesny, jak w połowie zapomniany, błyskawicznie umykający z pamięci sen, bo wszyscy i wszystko sprzysięgało się przeciwko niemu. Obojętne, znużone lub lekko sardoniczne twarze kolegów, widok bieżącego koszyka i stosu spraw do załatwienia, dźwięk telefonu lub interkomu oznaczający, że Bandy chce go widzieć w swoim boksie - wszystko to ciągle powtarzało mu, że jego przeznaczeniem jest zostać tu na zawsze.

Dwadzieścia razy na dzień miał ochotę wykrzyknąć: Niech mnie piekło pochłonie, jeśli zostanę! Poczekaјcie tylko, a zobaczycie. Ale jego buntowi brakowało ciężaru. Zbyt długo przebywał w jaskrawym, suchym, niemrawym jeziorze biura, zbyt wielki panował tu spokój, by taflę mogła wzburzyć cicha groźba ucieczki, wszystko tu było zbyt kuszące by się buntować. To stawało się nie do zniesienia, jedynym wyjściem było wyjawienie komuś swoich planów, a Jack Ordway był w pracy jego najlepszym przyjacielem. Dzisiaj udało im się zwieść Smalla, Lathropa i Roscoe, poszli we dwóch na lunch, który zaczął się od słabego, ale odpowiedniego martini, i Frank przedstawił swoje zamierzenia.

- Jest jeden drobny punkt, który nie do końca łapię - powiedział Ordawy. - Nie chciałbym się czepiać, ale co właściwie będziesz tam robił? Nie widzę cię wysiadującego leniwie w ulicznych kafejkach, podczas gdy twoja dobra Frau dojeżdża do ambasady czy gdzieś tam. W tym sęk, że nie potrafię sobie wyobrazić, co będziesz robił. Pisał książkę? Malował...

- Dlaczego wszyscy myślą w kategoriach pisania książki i malowania obrazów? - przerwał mu Frank. Tylko w części świadom, że cytuje żonę, dodał: - Mój Boże, czy artyści i pisarze to jedyni ludzie mający prawo do niezależnego życia? Posłuchaj, tkwię w tej durnej robocie tylko dlatego... cóż, przypuszczam, że powodów jest wiele, ale posłuchaj, gdybym sporządził listę powodów, jednym, którego z całą pewnością na niej nie umieszczę, jest ten, że ją lubię. Bo ja jej nie znoszę. A mam takie śmieszne wrażenie, że ludziom jest lepiej, jeśli wykonują pracę, którą lubią.

- Świetnie! - powiedział Ordawy. - Doskonale! Nie musisz przechodzić do defensywy. Zadam ci proste pytanie: jaką pracę lubisz?

- Gdybym wiedział, nie podejmowałbym tej podróży.

Ordawy zastanowił się nad tym, przekrzywiając przystojną głowę, unosząc brwi i wywijając dolną wargę, nieprzyjemnie różową i wilgotną.

- Wszystko dobrze - rzekł - ale nie sądzisz... To znaczy zakładając, że wciąż nie odkryłeś swojego prawdziwego powołania, nie sądzisz, że równie dobrze mógłbyś odkryć je tutaj? Czy nie jest to możliwe?

- Nie. Nie sądzę, by ktokolwiek mógł cokolwiek odkryć na Piętnastym Piętrze Knox Building. Podejrzewam, że ty też w to nie wierzysz.

- Hmm. Muszę przyznać, że to brzmi przekonująco, Franklinie. Istotnie. - Ordawy dopił kawę i usiadł prosto, uśmiechając się tajemniczo. - A kiedy ten szlachetny eksperyment się rozpoczyna?

Przez sekundę Frank miał ochotę przewrócić na niego stolik, by zobaczyć beznadziejny strach na twarzy Jacka, gdy jego krzesło zachybcze się do tyłu i wszystkie naczynia przeleczą mu nad głową. „Szlachetny eksperyment!” A cóż to za wyniosłe brednie?

- Wyjeżdżamy we wrześniu - odparł. - Najpóźniej w październiku.

Ordawy pokiwał głową pięć, sześć razy ze wzrokiem utkwionym w smugi po mięsie i ziemniakach na talerzu. Teraz nie wyglądał na wyniosłego, lecz starego, pokonanego i smętnie zazdrosnego. Obserwując go, Frank poczuł, jak uraza ustępuje miejsca serdecznemu współczuciu. Biedny, głupi, stary drań, pomyślał, zepsułem mu lunch, zepsułem cały dzień. Niemal pożałował, że nie może powiedzieć: „Nie przejmuj się tak, Jack, może wcale do tego nie dojdzie”, uciekł jednak tylko przed własną konsternacją w jowialność.

- Posłuchaj, Jack, postawię ci brandy, wzniesiemy toast za stare czasy.

- Nie, nie - odparł Ordway, ale kiedy kelner sprzątnął talerze i na ich miejsce postawił wypełnione aromatycznym płynem koniakówki, wyglądał na równie zadowolonego jak pogłaskany przez pana spaniel, a później, gdy zapłacili i wyszli na zalaną słońcem ulicę, uśmiechał się od ucha do ucha.

Był ciepły pogodny dzień z błękitniejącym ponad dachami niebem czystym jak pranie; dzisiaj przypadała wypłata, więc mieli przed sobą tradycyjny spacer do banku.

- Nie muszę mówić, że pozostanie to wyłącznie entre nous, stary druhu - powiedział Ordway. - Przypuszczam, że nie chcesz, żeby wiadomość się rozeszła. Ile czasu zamierzasz dać Bandy'emu?

- Chyba kilka tygodni. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

Słońce przyjemnie grzało. Za kilka dni zaczną się upały, ale teraz temperatura była idealna. W chłodnej marmurowej sali banku, gdzie z głośników sączyła się melodia Holiday for Strings, czekając z Ordwayem na swoją kolej przed jednym z dziesięciu okienek kasowych, które w porze lunchu dwa razy w miesiącu zarezerwowane były dla pracowników Knoxa, Frank zabawiał się udawaniem, że jest tu po raz ostatni, po raz ostatni przesuwa stopami po podłodze i palcami po czeku.

- Powinnaś zobaczyć, jak szurając nogami, człapiemy po tym cholernym banku - powiedział April wiele lat temu. - Wyglądamy jak stado prosiąt, które czekają, aż zwolni się cycek.

Och, naturalnie wszyscy jesteśmy doskonale wychowanymi, wyrafinowanymi prosiętami, stoimy grzecznie i staramy się jeden drugiego nie popychać. Każdy, kto podchodzi do okienka, bierze czek, zwija go w palcach, przykrywa dłonią albo znajduje inny sposób na ukrycie jego zawartości, ale tak, żeby wyglądało na to, że wcale tego nie robi. Bo ważny jest luz, choć jeszcze ważniejsze jest to, żeby nikt nie zobaczył, ile zarabiasz. Jezu!

- Panowie - rzekł Vince Lathrop zza ramienia Franka. - Odetchniemy świeżym powietrzem?

Lathrop, Ed Smali i Sid Roscoe chowali do kieszeni książeczki czekowe i portfele, językami wciąż wysysając z zagłębień w zębach resztki potraw, które zjedli w Strasznej Dziurze; to było zaproszenie na trawienny spacer.

Frank udawał, że to też robi po raz ostatni; po raz ostatni przyłącza się do powolnej parady kolegów biurowych w promieniach słońca, po raz ostatni bliskość jego wypolerowanych na wysoki połysk butów budzi strach w gołębiach, które biegają po plwocinach i łupinach orzeszków ziemnych na

chodniku, a potem zrywają się do lotu, by krążyć wysoko ponad wieżowcami, machając skrzydłami na przemian czarnymi i srebrnymi.

Lepiej, że komuś powiedział, bo teraz było inaczej. Frank mógł spoglądać na twarze czterech mężczyzn i czuć, że nic go z nimi nie łączy. Ordway, Lathrop, zmartwiony mały Ed Smali, stary nudziarz Sid Roscoe - wiedział, że wkrótce się z nimi pożegna, a za rok z trudem przypomni sobie ich nazwiska. Tymczasem, i to było najlepsze, tymczasem jednak nie musiał już darzyć ich niechęcią. Nie byli wcale tacy źli. Mógł nawet radośnie śmiać się z nimi z jakiegoś średniego dowcipu Ordwaya, a kiedy doszli do końca przecznicy i zawrócili w kierunku Knox Building, był w stanie czerpać przyjemność z tego, że w pięciu zajmują szerokość chodnika, zachęceni przez słońce do przyśpieszenia kroku i machania rękami z wyraźną „dumą oddziałową” żołnierzy na przepustce (Jaka jednostka, Mac? Promocja Sprzedaży, Piętnaste Piętro, Knox Business Machines).

Do widzenia, do widzenia, mógł w duchu żegnać się z każdym, kogo mijali: z rozświegotaną gromadką stenografek, ściskających w dłoni paczki ze sklepu wielobranżowego, otoczoną chmurą dymu z papierosów grupą cynicznych urzędników, którzy w samych koszulach opierali się o front budynku. Do widzenia wam wszystkim, całej tej słodkiej, żalostnej bandzie. Wyjeżdżam.

To cudowne uczucie wolności trwało do chwili, gdy wrócił do swojego biurka, gdzie żalostnie przeciągły dzwonek interkomu wzywał go do boksu Bandy'ego.

Ted Bandy nigdy nie wyglądał najlepiej przy dobrej pogodzie; był człowiekiem czterech ścian. Jego chude szare ciało wydawało się stworzone wyłącznie po to, by wypełnić minimalną przestrzeń dwurzędowego garnituru, a chuda szara twarz mogła się odprężyć jedynie zimą, gdy okna biura były szczelnie zamknięte. Pewnego razu w „Knox Knews” pojawiło się zdjęcie przedstawiające grupę najlepszych sprzedawców, którzy w nagrodę pojechali na Bermudy: ubrani w kąpielówki, stali szeroko uśmiechnięci na plaży. Roscoe w tajemnicy powiększył część fotografii, pokazującą Bandy'ego, który dokładał wszelkich starań, by się uśmiechać pod ciężarem dwóch potężnych, owłosionych ramion, z obu stron zarzuconych na jego szyję. Przez wiele tygodni odbitka w sekrecie krążyła po boksach Piętnastego Piętra i każdy się zarzekał, że to najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu widział.

Teraz Bandy miał podobny wyraz twarzy i początkowo Frank myślał, że powodem jest czerwcowy wiatr wpadający przez okno, który komicznie zburzył długą pożyczkę zakrywającą jego łysinę. Ale zaraz z jakimś

przestrachem stwierdził, że główną przyczyną niepokoju Bandyego jest obecność rzadkiego i czcigodnego gościa.

- Frank, naturalnie znasz Barta Pollocka - rzekł Bandy, wstając od biurka, po czym przepaszająco kiwając głową, dodał: - Bart, to Frank Wheeler.

Wyrosła przed nim masywna postać w garniturze z brązowej gabardyny, opalona twarz uśmiechnęła się do niego, potężna dłoń zamknęła jego dłoń w ciepłym uścisku.

- Nie przypuszczam, by kiedykolwiek oficjalnie nas sobie przedstawiono - powiedział głos dostatecznie głęboki, by wprawić w drżenie szklankę na mównicy. - Miło cię poznać, Frank.

Człowiek ten, do którego w innej korporacji zwracano by się raczej per „pan” niż „Bart”, był głównym dyrektorem do spraw sprzedaży w Wydziale Elektronicznym i do tej pory zaszczycał Franka jedynie zdawkowym kiwnięciem głowy w windzie. Frank od lat pogardzał nim na odległość.

- Byłby idealnym surowcem na prezydenta w najgorszym sensie tego słowa - opowiadał kiedyś April. - Należy do tych wielkich ojcowskich drani z uśmiechem za milion dolarów i kilogramem mięśni pomiędzy uszami. Pokaż go w telewizji, a przeciwnik nie będzie miał szans.

A teraz, czując, jak jego własna twarz wykrzywia się w grymasie usłużności, a pod pachami gromadzi się pot i spływa mu na zebra, usiłował odpokutować tę niekontrolowaną reakcję, układając w myślach jej opis dla April: „Inagle złapałem się na tym, że się przed nim rozpląwam, czy to nie zabawne? Bo przecież wiem, że cholerny dupek z niego, wiem, że nie ma nic wspólnego z tym, co w moim życiu naprawdę się liczy, a mimo to o mało nie zlałem się ze strachu. Niesamowite, nie?”.

- Przysuń sobie krzesło, Frank - polecił Ted Bandy, przyklepując pasmo włosów na łysinie. Kiedy ponownie usiadł, niezręcznie przekładał ciężar ciała z jednego pośladka na drugi, zachowanie typowe dla człowieka cierpiącego na hemoroidy. - Omawialiśmy raporty z konferencji NAPE i Bart poprosił, żeby cię wezwać. Wygląda na to...

Ale do Franka nie dotarła reszta wypowiedzi Bandy'ego, ponieważ całą uwagę skupił na Barcie Pollocku, który pochylony na krześle niecierpliwie czekał, aż Bandy skończy. Potem postukał wierzchem dłoni po trzymany papierach, będących egzemplarzem broszury „A skoro mowa o kontroli produkcji” i rzekł:

- Frank, to absolutna sensacja. W Toledo są wniebowzięci.

- April, powiedz, czy to nie jest niesamowite? - pytał wieczorem, śmiejąc się i mówiąc równocześnie, z drinkiem w dłoni chodząc po kuchni za żoną

przygotowującą kolację. - Ironia losu, nie sądzisz? Sporządziłem tę idiotyczną broszurę, żeby Bandy nie mógł się do mnie przyczepić, a tu taka sprawa. Powinnaś była słyszeć, jak stary Pollock się nad nią rozwodził; przez wszystkie te lata nie miał pojęcia, że w ogóle istnieję, a tu nagle jestem jego faworytem, obiecującym inteligentnym młodzieńcem. Stary Bandy próbował się zdecydować, czy ma być zadowolony czy zazdrosny, a ja powstrzymywałem śmiech. Jezu!

- Cudownie - odparła April. - Mógłbyś to zanieść, kochanie?

- Potem okazało się, że ma ten wielki... co? Och, jasne. - Odłożył szklaneczkę, wziął talerze, które mu podała, i poszedł za nią do drugiego pokoju, gdzie dzieci już siedziały przy stole. - Okazało się, że ma ten wielki pomysł, to znaczy Pollock. Chce, żebym zrobił całą serię takich broszurek. „A skoro mowa o kontroli zapasów”, „A skoro mowa o analizie sprzedaży”, „A skoro mowa o kosztach księgowych”, „A. skoro mowa o liście płac”: wszystko sobie przygotował. Mam...

- Wybacz na moment, Frank. Michael, usiądź prosto albo będziesz miał kłopoty. Mówię poważnie. I nie bierz takich wielkich kęsów. Przepraszam, mów dalej.

- W przyszłym tygodniu mam iść z nim na lunch, żeby to przedyskutować. Niesamowite, co? Jasne, jak sprawa się skomplikuje, będę musiał mu powiedzieć, że jesienią opuszczam firmę. Ale to bardzo zabawne, nie sądzisz? Po tych wszystkich latach...

- Dlaczego mu nie powiesz?

- ...męczenia się w tej przeklętej pracy bez najmniejszych... O co chodzi?

- Pytałam, dlaczego mu nie powiesz? Dlaczego wszystkim nie powiesz? Co mogą ci zrobić?

- Cóż - odparł Frank - to nie jest kwestia, że „coś zrobią”, tylko że... no wiesz... byłoby to trochę niezręczne, i tyle. Nie widzę powodów, by cokolwiek mówić, dopóki nie przyjdzie czas na złożenie wymówienia. - Wsunął do ust kawałek wieprzowiny z takim gniewem, że zacisnął zęby nie tylko na mięsie, ale i widelcu; żując z całej siły i wypuszczając powietrze nosem, by pokazać, jaki jest opanowany, uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy nie wie, z jakiego powodu tak się rozgniewał.

- To oczywiście zależy wyłącznie od ciebie - powiedziała April spokojnie, nie podnosząc wzroku.

Frank przypuszczał, że problem polegał na tym, iż przez całą drogę do domu wyobrażał sobie, jak April mówi: „I przypuszczalnie jest to najlepsza broszura promocyjna, jaką w życiu widzieli, więc co w tym śmiesznego?”.

A on odpowiada: „Tak, ale nie dostrzegasz sedna rzeczy: to tylko dowodzi, jakimi wszyscy są idiotami”.

April mówi: „Moim zdaniem wcale niczego takiego nie dowodzi. Dlaczego zawsze pomniejszasz swoją wartość? Uważam, że to dowodzi, że jesteś człowiekiem, który doskonale sobie poradzi w każdej dziedzinie, kiedy zechce albo będzie musiał”.

On: „Sam nie wiem, może tak. Chodzi tylko o to, że wcale nie chcę osiągać doskonałości w tego rodzaju bzdurach”.

Ona: „Oczywiście, że nie, i dlatego odchodzisz. A tymczasem czy to taka straszna rzecz przyjąć od nich słowa uznania? Może tego nie chcesz ani nie potrzebujesz, ale one wcale nie stają się przez to godne pogardy. Wiesz, myślę, że powinieneś się cieszyć, Frank, naprawdę”.

April jednak nie wygłosiła ani jednego zdania choćby mgliście zbliżonego do tej wyimaginowanej rozmowy; więcej, nic nie wskazywało na to, by takie myśli w ogóle przeszły jej przez głowę. Siedziała przy stole, z opanowaniem krojąc mięso i przeżuując, i myśli miała zajęte czymś innym.

Rozdział piąty

Zabiorę mój domek dla lalek - oznajmiła Jennifer w tamto sobotnie popołudnie - wózek dla lalek, misia, trzy wielkanocne zajaczki, żyrafę, wszystkie lalki, książki, płyty i bębenek.

- Strasznie tego dużo, prawda, kochanie? - powiedziała April znad maszyny do szycia. Postanowiła w weekend posortować zimowe ubrania, niektóre wyrzucić, inne zreperować, koncentrując się na prostych, solidnych rzeczach, których będą potrzebować w Europie. Jennifer siedziała u jej stóp, bawiąc się bezmyślnie podartą podszewką i kawałkami nici.

- Och, i jeszcze serwis do herbaty, kolekcję kamieni, wszystkie moje gry i hulajnogę.

- Kochanie, czy nie za dużo chcesz zabrać? Nie masz zamiaru niczego zostawić?

- Nie, choć może wyrzucę żyrafę, ale jeszcze nie wiem.

- Żyrafę? Nie zgadzam się. Będziemy mieli mnóstwo miejsca na pluszaki, lalki i inne małe rzeczy. Martwią mnie te wielkie: twój dom dla lalek, koń na biegunach Michaela. Rozumiesz, trudno je spakować. Ale nie będziesz musiała wyrzucać domku, możesz dać go Madeline.

- Na zawsze?

- Oczywiście. To lepsze od wyrzucenia, prawda?

- Jasne - odparła Jennifer. Po minucie dodała: - Wiem, co zrobię. Dam Madeline mój domek dla lalek, żyrafę, wózek, misia, trzy wielkanocne zajaczki i...

- Powiedziałam: tylko wielkie rzeczy. Nie zrozumiałaś? Przed chwilą wszystko ci wytłumaczyłam. Dlaczego nie słuchasz? - mówiła April głosem coraz wyższym z desperacji. Westchnęła głęboko. - Posłuchaj, może pójdziesz na dwór i pobawisz się z Michaelem?

- Nie mam ochoty.

- Aha. A ja nie mam ochoty tłumaczyć wszystkiego piętnaście razy komuś, kto jest zbyt znudzony i niemądry, żeby słuchać. I tyle.

Frank się ucieszył, kiedy głosy żony i córki umilkły. Siedział na sofie, usiłując przeczytać wstęp do podręcznika z podstawami francuskiego, który kupił na miejsce poprzedniego, a przez ich paplaninę wciąż od nowa przebiegał wzrokiem ten sam akapit.

Pół godziny później, kiedy jedynym dźwiękiem w pokoju od mniej więcej równie długiego czasu był słaby nieregularny szum maszyny do szycia, podniósł niespokojnie wzrok i zobaczył, że Jennifer odeszła.

- Gdzie się podziała? - zapytał.
- Chyba jest na dworze z Michael'em.
- Nie. Wiem, że nie wychodziła na dwór.

Poszli razem do pokoju dziecinnego. Jennifer rzeczywiście tam była, z kciukiem w buzi leżała, wpatrzona przed siebie.

April usiadła na skraju łóżka i położyła dłoń na skroni córki. Nie wyczuła gorączki, więc zaczęła gładzić ją po włosach.

- O co chodzi, dziecinko? - zapytała bardzo łagodnie. - Powiesz mamusi, co cię dręczy?

Frank, który obserwował je z progu, otworzył oczy równie szeroko jak córka. Przełknął i to samo zrobiła Jennifer, wpierw wyjąwszy kciuk z buzi.

- Nic - odparła.

April ujęła ją za rękę, by przeszkodzić w powrocie kciuka na dawne miejsce, i otwierając drobną piąstkę, odkryła zieloną nitkę wielokrotnie owiniętą wokół palca wskazującego tak ciasno, że opuszek miał barwę śliwki, a wilgotna skóra poniżej była pomarszczona i blada.

- Chodzi o przewodzkę do Francji? - zapytała April, odwijając nitkę. - Nie podoba ci się, że tam pojedziemy?

Jennifer nie odpowiedziała, dopóki nitka nie została usunięta. Potem ledwo dostrzegalnie potaknęła, niezgrabnie ukryła twarz na kolanach matki i zaczęła płakać.

- Ojej - westchnęła April. - Podejrzywałam, że to może być powód. Biedna Jennifer. - Pogłaskała córkę po ramieniu. - Posłuchaj, dziecinko, coś ci powiem. Nie musisz się przejmować.

Ale Jennifer, raz zacząwszy, nie potrafiła skończyć. Szlochała coraz rozpaczliwiej.

- Pamiętasz, kiedy wyprowadziliśmy się z miasta i zamieszkaliśmy tutaj? - zapytała April. - Pamiętasz, jak było ci smutno z powodu parku i przyjaciół z przedszkola? I pamiętasz, co się stało? Po kilku dniach mama przyprowadziła do nas Madeline, potem poznałaś Doris Donaldson i chłopców Campbellów, zaczęła się szkoła i poznałaś kolegów, i nie miałaś żadnych powodów do smutku. Tak samo będzie we Francji, zobaczysz.

Jennifer uniosła ściągniętą buzię i próbowała coś powiedzieć, ale dopiero po kilku sekundach udało jej się wykrztusić słowa pomiędzy konwulsyjnymi oddechami.

- Będziemy tam mieszkać długo?
- Oczywiście, tym nie musisz się martwić.
- Na zawsze?

- No cóż - powiedziała April - może nie na zawsze, ale z całą pewnością przez długi czas. Nie przejmuj się tym, kochanie. Myślę, że twój nastrój bierze się głównie z siedzenia w pokoju w taki ładny dzień. Prawda? Umyj buzię i biegnij na dwór zobaczyć, co robi Michael. Dobrze?

Po jej wyjściu Frank zgarbiony stanął za żoną, która wróciła do szycia.

- Cholera - rzekł - porządnie mnie przestraszyła. A ciebie?

April nie obejrzała się.

- To znaczy?

- Sam nie wiem. Tylko jak się nad tym zastanowić, z punktu widzenia dzieci nasza decyzja może się wydać dość nierozważna. Bo wiesz, spójrzmy prawdzie w oczy: dla nich to będzie szok.

- Poradzą sobie.

- Jasne, że sobie poradzą - odparł starając się, by w jego głosie nie zabrzmiał cień emocji. - Możemy je stratować i połamać im ręce, i też sobie z tym „poradzą”, ale nie w tym rzecz. Chodzi o to...

- Posłuchaj, Frank. - Odwróciła się ku niemu z suchym uśmiechem, twardym wzrokiem. - Sugerujesz, żebyśmy odwołali wyjazd?

- Nie! - Zaczął krążyć po dywanie. - Oczywiście, że nie. - Pomimo irytacji stwierdził, że dobrze jest poruszać się i mówić po długim milczeniu, w czasie którego udawał, że koncentruje się nad podręcznikiem do francuskiego. - Oczywiście, że nie. Dlaczego musisz zaczynać...

- Bo jeśli nie, to rozmowa o tym nie ma sensu. Musimy ustalić, kto tu rządzi, i trzymać się tego. Jeśli mają rządzić dzieci, to naturalnie musimy postąpić tak, jak ich zdaniem będzie najlepiej, co oznacza, że zostaniemy tutaj, aż zgnijemy. Z drugiej strony...

- Nie! Poczekaj! Nie mówiłem...

- To ty poczekaj, bardzo proszę. Z drugiej strony jeśli my mamy rządzić... a uważam, że powinniśmy, zgodzisz się chyba? Choćby dlatego, że jesteśmy o jakieś ćwierć wieku starsi od nich? A to oznacza wyjazd. W drugiej kolejności oznacza także, że należy dołożyć wszelkich starań, by im to ułatwić.

- I właśnie o tym mówię! - Frank machnął rękami. - Czym tak się podniecasz? Zrobić wszystko, by im ułatwić przejście przez tę zmianę, nic innego nie miałem na myśli.

- Bardzo dobrze. Rzecz w tym, że moim zdaniem właśnie tak postępujemy, i mam nadzieję, że w miarę możliwości nie przestaniemy, dopóki dzieci się z tym nie uporają. Nie widzę najmniejszego sensu w rozplływaniu się nad tym, jakie będą biedne, albo mówieniu o tratowaniu i łamaniu rąk. Naprawdę,

uwązam, że to jakieś straszne emocjonalne bzdury i wolałabym, żebyś dał sobie z tym spokój.

Od wielu tygodni nie byli tak blisko kłótni; przez resztę dnia czuli urazę i odnosili się do siebie z niepotrzebną uprzejmością, a w porze pójścia spać starali się wzajemnie unikać. Rano obudzili się z przykrą świadomością, że dzisiaj jest ta niedziela, kiedy mają poznać Johna Givingsa. Nastroju nie poprawił im bębniący w okna deszcz.

Milly Campbell z własnej woli zaproponowała, że po południu zaopiekuje się dziećmi, „bo chyba nie chcesz, żeby były w domu, kiedy on przyjdzie? Na wypadek, gdyby okazał się prawdziwym wariatem?”. April odmówiła, ale rankiem, gdy pora wizyty była blisko, zaczęła tego żałować.

- Myślę, że jednak skorzystamy z twojej oferty, Milly - powiedziała do słuchawki - o ile nadal jest aktualna. Chyba jednak miałaś rację, narażanie ich na spotkanie z nim jest dość ryzykowne.

Odwiozła dzieci do Campbellów dwie godziny wcześniej, niż było konieczne.

- Ojej - powiedziała po powrocie, siadając z Frankiem w wyszorowanej kuchni. - Nerwowe to czekanie, prawda? Ciekawe, jaki on jest? Nie wydaje mi się, żebym wcześniej spotkała chorego psychicznie, a ty? To znaczy człowieka uznanego przez lekarzy za chorego psychicznie.

Frank nalał do kieliszków bardzo wytrawne sherry, które lubił popijać w niedzielne popołudnie.

- O ile chcesz się założyć, że okaże się całkiem podobny do wszystkich znanych nam nieuznanych przez lekarzy za chorych psychicznie? - zapytał. - Odprężmy się i bierzmy go takim, jaki jest.

- Oczywiście, masz rację. - Obdarzyła go spojrzeniem, które sprawiło, że wczorajsze nieprzyjemności odeszły daleko w przeszłość. - W takich sprawach twoja intuicja nigdy się nie myli. Jesteś naprawdę bardzo wielkodusznym, rozumiejącym człowiekiem, Frank.

Deszcz przestał padać, ale dzień był szary i wilgotny, z rodzaju tych, które lepiej spędzać w domu. Z radia płynął Mozart, w kuchni unosił się łagodny zapach sherry. Frank często pragnął, by jego małżeństwo tak właśnie wyglądało: wypełnione spokojem, przyjaźnią i wzajemną czułością z nutką romansu, i kiedy siedzieli, cicho rozmawiając i czekając, aż samochód Givingsów pojawi się pomiędzy ociekającymi drzewami, raz czy dwa zadrzał, jak zadrzałby człowiek, który przed brzaskiem wyszedł do pracy na dwór i poczuł pierwsze słabe promienie słońca na karku. Czuł się pogodzony ze sobą, a kiedy samochód wreszcie się pojawił, był gotów na wizytę.

Pierwsza wysiadła pani Givings, posyłając na oślep olśniewający uśmiech w kierunku domu, później odwróciła się ku płaszczom i tobołkom na tylnym siedzeniu. Howard Givings wyłonił się od strony kierownicy, z namaszczeniem wycierając zaparowane okulary. Za jego plecami stanął wysoki, chudy młody mężczyzna o czerwonej twarzy. Na głowie miał czapkę, nie z rodzaju tych ściąganych paskiem, które ostatnio weszły w modę, ale szeroką, płaską, staromodną i taną. Reszta jego ponurego stroju również nasuwała skojarzenia z sierocińcem albo więzieniem: bezkształtne robocze spodnie z diagonalu i ciemnobrązowy sweter zapinany na guziki, wyraźnie za ciasny. Z odległości pięćdziesięciu stóp, jeśli nawet nie pięćdziesięciu jardów, widać było, że ma na sobie rzeczy pochodzące z magazynów instytucji państwowej.

Nie rozejrzał się po nowym otoczeniu. Wlokąc się za rodzicami, stawiał szeroko stopy na mokrym żwirze, trochę przypominając gołębia, i całą uwagę skupił na zapalaniu papierosa: postukał nim w kciuk, przyjrzał się badawczo, umieścił starannie w ustach, zgarbił się i zasłaniając dłonią, przytknął do koniuszka płonąca zapalną, po czym zaciągnął się z taką gorliwością, jakby większej satysfakcji zmysłowej niż dym z tego konkretnego papierosa nie spodziewał się w życiu doznać.

Pani Givings miała czas, by wygłosić kilka okrągłych zdań powitania i przeprosin, nawet jej mąż zdołał wtrącić kilka słów, nim John ruszył się z miejsca na podjeździe, gdzie zapalał papierosa. Uczynił to niezwykle szybko: poszedł sprężysto, odbijając się na piętach. Z bliska jego twarz okazała się wielka i szczupła, z małymi oczami i wąskimi ustami, skrzywiona w grymasie człowieka, którego dręczy chroniczny fizyczny ból.

- April... Frank - powiedział, gdy jego matka dokonała prezentacji; niemal widać było, że utrwala sobie w pamięci ich imiona. - Miło was poznać. Sporo o was słyszałem. - Jego twarz eksplodowała zadziwiającym uśmiechem: policzki zsunęły się do tyłu w pionowych fałdach, dwa proste rzędy wielkich, zabarwionych nikotyną zębów pojawiły się pomiędzy pobielalym wargami, oczy jakby straciły moc widzenia. Przez kilka sekund zdawało się, że pozostanie w tej monstrialnej parodii przyjacielskiego, sympatycznego uśmiechu, który jednak się rozplynął, gdy cała grupa weszła do domu.

April wyjaśniła (zbyt znacząco, pomyślał Frank), że dzieci są na przyjęciu urodzinowym, po czym pani Givings zaczęła opowiadać o strasznych korkach na dwunastce, ale urwała, przekonawszy się, że John skupił na sobie całą uwagę Wheelerów. Wciąż w czapce na głowie wolno, na sztywnych nogach krążył po pokoju i przyglądał się bacznie sprzętom.

- Nieźle - oznajmił, kiwając głową. - Nieźle. Macie tu całkiem miły domek.

- Może usiądziemy? - zaproponowała April i starsi Givingsowie posłuchali. John zdjął czapkę i położył na półce z książkami, następnie rozstawił szeroko stopy i przysiadł na piętach niczym parobek. Lekko się zakołysał, strzepując popiół z papierosa w mankiet roboczych spodni. Kiedy znowu na nich spojrzął, jego twarz wolna była od napięcia; malował się na niej sarkastyczny jak u Willa Rogersa wyraz, który nadał mu wygląd człowieka inteligentnego i z poczuciem humoru.

- Stara Helen od miesiący o was mówi - zaczął. - Sympatyczni młodzi Wheelerowie z Revolutionary Road, sympatyczni młodzi rewolucjoniści z Wheeler Road - tyle do mnie dotarło, przez połowę czasu nie miałem pojęcia, o czym ona gada. Po części oczywiście dlatego, że nie słuchałem. Wiecie, jaka ona jest? Gada i gada, i nigdy nic konkretnego nie mówi. Więc po chwili człowiek się wyłącza. Nie, tym razem muszę jej to przyznać: nie tak to sobie wyobrażałem. Tu jest miło. Nie używam słowa „miło” w takim znaczeniu, w jakim używa go ona, nie musicie się przejmować. Podoba mi się tutaj, wygląda jak miejsce, w którym mieszkają ludzie.

- Dziękujemy - powiedział Frank.

- Ma ktoś ochotę na sherry? - zapytała April, wykręcając palce.

- Och, nie rób sobie kłopotu, April - powiedziała pani Givings. - Nic nam nie trzeba, naprawdę. W gruncie rzeczy możemy zostać tylko na min...

- Mamo, może wyświadcysz wszystkim przysługę - przerwał jej John - i na chwilę się zamkniesz. Tak, chętnie napiję się sherry, dziękuję. Dla nich też przynieś. Wypiję kieliszek Helen, jeśli ona tego nie robi. Ale hej, posłuchaj. - Z jego twarzy zniknął inteligentny wyraz; wciąż kucając, wychylił się do przodu i wyciągnął ku April rękę jak trener koszykówki instruujący zawodnika. - Masz szklanki do koktajlu? Więc posłuchaj. Weź szklankę do koktajlu, włóż do niej kostki lodu i zalej sherry po samą krawędź. Ja tak lubię.

Pani Givings, która siedziała na skraju sofy spięta niczym zwinięty wąż, przymknęła oczy, pragnąc umrzeć. Sherry w szklance do koktajlu! Czapka Johna na regale z książkami

- i to ubranie. Co tydzień przywoziła mu jego rzeczy: porządne koszule i spodnie, starą tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach, kaszmirowy sweter, ale on wciąż się upierał, żeby korzystać ze szpitalnych magazynów. Robi to na złość. I ta straszna arogancja! Dlaczego w takich sytuacjach Howard zawsze, zawsze jest bezużyteczny? Siedzi w kącie, uśmiecha się i mruga jak stary... o Boże, dlaczego nie pomaga?

- Bardzo dziękuję, April, to takie miłe - powiedziała, drżącą dłonią biorąc kieliszek. - Och, i spójrzcie na to cudowne jedzenie! - Z udawanym

niedowierzaniem cofnęła się na widok tacy z małymi kanapkami bez skórek, które April przygotowała rano.

- Naprawdę nie powinnaś była robić sobie aż tyle kłopotu.

John Givings upił dwa łyki ze swojej szklanki i na resztę wizyty zostawił ją na półce. Zjadł za to połowę kanapek; niezmordowanie krążąc po pokoju, brał po trzy, cztery naraz i połykał, głośno oddychając przez nos. Pani Givings zdołała przez kilka minut pozostać przy głosie. Gładko łączyła zdania, przez co pozostali nie mieli możliwości wejścia jej w słowo. Usiłowała zdominować popołudnie. Czy Wheelerowie słyszeli o najnowszej regulacji urzędu geodezyjnego? Osobiście uważa ją za skandaliczną, choć niewykluczone, że w ostatecznym rozrachunku doprowadzi to do obniżenia podatków, co zawsze jest z korzyścią...

Podczas tego monologu Howard Givings, sennie przeżuując kanapkę, nie spuszczał czujnego wzroku z syna; równie dobrze mógł być łagodną starą nianią, która w parku pilnuje, żeby maluch nie spletał jakiegoś figla.

John z przekrzywioną głową obserwował matkę; przełknąwszy ostatni kęs, przerwał jej w połowie zdania.

- Frank, jesteś prawnikiem?

- Ja? Prawnikiem? Nie. Dlaczego pytasz?

- Miałem nadzieję, że jesteś. Przydałby mi się prawnik. Go w takim razie robisz? Zajmujesz się reklamą?

- Nie, pracuję w Knox Business Machines.

- Ale co tam robisz? Projektujesz urządzenia, sprzedajesz je, naprawiasz?

- Chyba można powiedzieć, że pomagam je sprzedawać. W gruncie rzeczy niewiele mam do czynienia z samymi maszynami, pracuję w biurze. To dość głupia robota. Nie ma w niej nic... no wiesz, interesującego..

- Interesującego? - John Givings sprawiał wrażenie urażonego. - Przejmujesz się, czy praca jest interesująca? Myślałem, że tak robią tylko kobiety. Kobiety i chłopcy. Nie sądziłem, że taki jesteś.

- Och, popatrzcie, wychodzi słońce! - zawołała pani Givings. Zerwała się z miejsca, podeszła do okna widokowego i sztywna jak struna wyjrzała na dwór.

- Może zobaczymy tęczę. Czy to by nie było urocze?

Zirytowany Frank poczuł mrowienie na karku.

- Chodziło mi tylko o to - wyjaśnił - że nie lubię tej pracy i nigdy jej nie lubiłem.

- W takim razie po co ją wykonujesz? Och, dobra, dobra... - John Givings pochylił głowę i unióśł dłoń, jakby w beznadziejnej próbie odpędzenia publicznej nagany. - Dobra, wiem, to nie moja sprawa. Stara Helen takie

zachowanie nazywa „Jesteś Nietaktowny, Mój Drogi”. Na tym polega mój problem, zawsze taki byłem. Zapomnij, co mówiłem. Chcesz bawić się w dom, musisz mieć pracę. Chcesz bawić się w bardzo miły, bardzo przytulny dom, musisz mieć pracę, której nie znosisz. Wspaniale. Tak sprawę rozwiązuje dziewięćdziesiąt osiem przecinek dziewięć procent ludzi, więc wierz mi, stary, nie masz za co przepraszać. Jak ktoś przychodzi i pyta: „Po co to robisz?”, możesz być pewien, że jest na czterogodzinnej przepustce z państwowego wariatkowa, wszyscy się z tym zgadzamy. Helen, wszyscy się zgadzamy?

- Och, popatrzcie, rzeczywiście jest tęcza - powiedziała pani Givings - .. albo nie, czekajcie, to chyba jednak nie tęcza. Ale w słońcu jest tak miło. Może się przejdziemy?

- Prawdę mówiąc - powiedział Frank - trafiłeś w samo sedno, John. Zgadzam się z każdym twoim słowem. Moja żona też. Dlatego jesienią rezygnuję z pracy i dlatego wyjeżdżamy.

John Givings z niedowierzaniem powiódł wzrokiem od Franka do April i z powrotem.

- Taaa? Wyjeżdżacie? A dokąd? Ach, hej, poczekajcie minutę, ona faktycznie o czymś takim wspominała. Wyjeżdżacie do Europy, mam rację? Tak, pamiętam. Choć nie mówiła, dlaczego wyjeżdżacie, powiedziała tylko, że to „bardzo dziwne”. - Zupełnie zniecka powietrze rozdarł (zdawało się, że o mało nie pękły od niego ściany) wybuch hałaśliwego śmiechu. - Hej, co na to powiesz, mamu? Nadal wydaje ci się „bardzo dziwne”? Hej?

- Spokojnie - odezwał się ze swojego kąta Howard Givings. - Spokojnie, synu.

John zignorował ojca.

- Cholera! - zawołał. - Cholera, założę się, że cała ta rozmowa wydaje ci się bardzo, bardzo dziwna, mamu, co?

Wheelerowie przywykli do wesołego, swiergoczącego głosu pani Givings i przeżyli szok, gdy zwracając się do okna widokowego, żałośnie łzawo wydusiła przez ściśnięte gardło:

- Och, John, przestań, proszę.

Howard Givings wstał i poczłapał ku niej. Wyciągnął białą, pokrytą wątrobowymi plamami dłoń, jakby chciał ją dotknąć, ale najwyraźniej zmienił zdanie i opuścił rękę. Stali ramie przy ramieniu, patrząc przez okno; trudno było stwierdzić, czy szepczą do siebie czy nie. John obserwował ich z twarzą wciąż jaśniejącą śmiechem.

- Posłuchajcie - powiedział Frank niespokojnie - może rzeczywiście wybierzmy się na spacer.

- O tak - dodała April.

- Coś wam powiem - odezwał się John Givings. - Na spacer pójdziemy w trójkę, a oni zostaną i poczekają na swoją tęczę. To złagodzi napięcie.

Skoczył przez dywan po czapkę; w drodze powrotnej niemal spazmatycznie skręcił ku miejscu, gdzie stali rodzice, wznosząc prawą dłoń gwałtownym, szerokim łukiem w stronę ramienia matki. Howard Givings to zobaczył, jego okulary przez chwilę błysnęły strachem, ale nie zdążył zainterweniować - dłoń wyładowała, ale nie wymierzyła ciosu, tylko łagodnie, miękko, z uczuciem pogładziła plecy Helen.

- Do zobaczenia, mamó - powiedział John. - Bądź nadal taka słodka.

W lesie za domem zlane świeżym deszczem ziemia parowała w słońcu, wydzielając energetyzujący aromat. Wheelerowie i ich gość, ciesząc się nieoczekiwanym uczuciem przyjaźni, gęsiego szli na wzgórze, ostrożnie klucząc pomiędzy drzewami; najdrobniejszy ruch i z wiszących nad głowami gałęzi lała się deszczówka, a otarcie się o połyskującą korę groziło pozostawieniem czarnych ziarnistych smug na ubraniu. Po jakimś czasie wyszli z zagajnika i wolno okrążyli tylne podwórze. Rozmawiali głównie mężczyźni; April słuchała, trzymając się blisko Franka. Kiedy mówiąc, spoglądał na nią, dostrzegł, że w jej oczach często zapala się coś zbliżonego do podziwu.

John Givings nie interesował się praktyczną stroną europejskiego planu, wypytywał za to, z jakich powodów zamierzają wyjechać, a kiedy w pewnym momencie Frank wspomniał o „wszechobecnej w tym kraju beznadziejnej pustce”, przystanął jak wryty i wyglądał na wstrząśniętego.

- Ho ho, więc to powiedziałeś. Beznadziejna pustka. Do diabła, to dotyczy mnóstwa ludzi, tam gdzie pracowałem, na zachodzie, mówiliśmy tylko o tym. Całą noc rozmawialiśmy o pustce. Ale nikt nigdy nie nazwał jej „beznadziejną”, w tej kwestii okazaliśmy się cykorami. Bo może trzeba odwagi, żeby dostrzec pustkę, chociaż trzeba jej o wiele więcej, by zobaczyć beznadzieję. Myślę, że kiedy już zobaczysz beznadzieję, wtedy nie pozostaje ci nic innego, jak zabierać się stąd. O ile to możliwe.

- Chyba tak - powiedział Frank. Zaczynał znowu czuć się niezręcznie: czas najwyższy zmienić temat. - Słyszałem, że jesteś matematykiem.

- Źle słyszałeś. Przez jakiś czas uczyłem matematyki i tyle. Poza tym to już przeszłość. Wiesz, na czym polega terapia elektrowstrząsami? W ostatnich miesiącach miałem trzydzieści pięć... albo nie, poczekaj, trzydzieści siedem... - Uniósł głowę, mrużąc oczy przed słońcem, i próbował sobie przypomnieć. Frank dopiero teraz dostrzegł, że bruzdy w jego policzkach są w istocie bliznami po lancedzie chirurga, że inne obszary jego twarzy także poznaczone są

twardymi zrogowaciałymi tkankami. Na jakimś etapie ta twarz musiała być masą oparzeń albo cyst. - ... trzydzieści siedem elektrowstrząsów. Ideą elektrowstrząsów jest wyrzucenie emocjonalnych problemów z umysłu, ale w moim przypadku odniosły przeciwny rezultat. Wyrzuciły przeklętą matematykę. Po całej wiedzy zostało puste miejsce.

- To straszne - powiedziała April.

- To straszne - powtórzył John Givings piskliwym, zniewieściałym głosem, po czym odwrócił się do niej wyzywająco. - Dlaczego? - zapytał ostro. - Bo matematyka jest taka „interesująca”?

- Nie - odparła April. - Bo wstrząsy muszą być straszne i straszne dla każdego musi być to, że zapomina coś, co chciałby pamiętać. A skoro o tym mowa, uważam, że matematyka jest okropnie nudna.

Długo się jej przyglądał, później z aprobatą pokiwał głową.

- Podoba mi się twoja dziewczyna, Wheeler - oznajmił w końcu. - Odnoszę wrażenie, że jest kobietą. Wiesz, jaka jest różnica pomiędzy kobietą a kobiecością? He? Masz odpowiedź: kobieca kobieta nigdy głośno się nie śmieje i zawsze się goli pod pachami. Stara Helen jest kobieca jak cholera. Wżyciu spotkałem kilka kobiet i myślę, że tobie też się trafiła. Jasne, jak się nad tym zastanowić, wszystko pasuje. Mam wrażenie, że ty jesteś mężczyzną. Mężczyzn też nie spotyka się za wielu.

Pani Givings, która ukradkiem obserwowała ich z domu, nie miała pojęcia, co myśleć. Wciąż była roztrzęsiona - popołudnie zaczęło się gorzej, niż przypuszczała - musiała jednak przyznać, że John rzadko wygląda na równie szczęśliwego i odprężonego niż teraz, kiedy spaceruje za domem Wheelerów. Ci ostatni też zachowywali się swobodnie, co jeszcze bardziej ją zaskoczyło.

- Sprawiają wrażenie, że... go polubili, nie sądzisz? - zwróciła się do Howarda, który przeglądał niedzielne wydanie „limesa”

- Ehm - mruknął. - Nie powinnaś tak się denerwować, Helen. Najlepiej będzie, jak im zostawisz rozmowę, kiedy tu wrócą.

- Och, wiem, wiem, masz rację. Tak powinnam zrobić.

I zrobiła. Zadziałało. Przez ostatnią godzinę wizyty, kiedy wszyscy prócz Johna wypili po kolejnym kieliszku wina, prawie wcale się nie odzywała. Razem z Howardem siedzieli spokojnie, przysłuchując się rozmowie młodych, doskonale dobranemu chórowi, w którym głos Johna ani razu nie zabrzmiał donośniej niż pozostałe. Wspominali radiowe programy dla dzieci z lat trzydziestych.

- „Bobby Benson” - mówił Frank. - Bobby Benson z ranca H-Bar-O. Zawsze go lubiłem. Wydaje mi się, że nadawali go przed „Małą sierotką Annie”.

- No i oczywiście „Jack Armstrong i cień” - powiedziała April - i ten drugi kryminalny... coś o pszczole? A tak, „Zielony szerszeń”.

- Ale „Zielony szerszeń” był później - powiedział John. - Wciąż go nadawali w latach czterdziestych. Mnie chodzi o stare, z trzydziestego piątego, szóstego. Pamiętacie ten o oficerze marynarki? Jak on się nazywał? Był mniej więcej o tej godzinie w tygodniu?

- A tak - odparła April. - Poczekaj... „Don Winslow”.

- Właśnie! „Don Winslow z Marynarki Stanów Zjednoczonych”.

Pani Givings nigdy by nie przypuszczała, że o tego rodzaju rzeczach będą rozmawiać, ale wszyscy troje zdawali się dobrze bawić; dźwięk ich swobodnego, nostalgicznego śmiechu sprawił jej przyjemność, tak samo jak smak sherry i kwadraty słońca barwy sherry na ścianie, z których każdy żył rozkołysanymi cieniami liści i gałęzi trącanych wiatrem.

- Och, bardzo było miło! - wykrzyknęła, kiedy przyszła pora się pożegnać. Przez sekundę bała się, że John rzuci się na nią i powie coś okropnego, ale nie zrobił tego. Mówił i ścisnął dłoń Frankowi. Rozstali się na podjeździe przy wtórze chóralnych życzeń i obietnic, że wkrótce znowu się spotkają.

- Byłeś wspaniały - powiedziała April, kiedy samochód zniknął im z oczu. - Sposób, w jaki sobie z nim poradziłeś! Nie mam pojęcia, co bym zrobiła, gdyby ciebie tu nie było.

Frank sięgnął po butelkę sherry, ale zmienił zdanie i wziął whisky. Czuł, że zasłużył na nią.

- Do diabła, to nie była kwestia „radzenia sobie” - odparł. - Ja tylko traktowałem go jak innych, to wszystko.

- Ale mnie o to właśnie chodzi i dlatego było to takie wspaniałe. Ja pewnie potraktowałabym go jak zwierzątko w zoo albo coś w tym rodzaju, tak jak robi Helen. Zabawne, że wydawał się o wiele zdrowszy na umyśle, kiedy oddzieliliśmy go od niej, nie sądzisz? On w gruncie rzeczy jest miły, prawda? I inteligentny. Uważam, że wygłosił kilka naprawdę błyskotliwych uwag.

- Uhm.

- I sprawiał wrażenie, że nas zaakceptował, zgadzasz się? To o mężczyźnie i kobiecie było bardzo miłe. I wiesz co, Frank? On jest pierwszą osobą, która naprawdę wiedziała, o czym mówimy.

- To prawda. - Upił wielki łyk, stojąc przy oknie widokowym i obserwując resztki zachodzącego słońca. - Co chyba oznacza, że jesteśmy tak samo zwariowani jak on.

Stała za nim, objęła go i położyła mu głowę na łopatkę.

- Dla mnie to nie ma znaczenia, a dla ciebie? - zapytała.

- Też nie.

Frank jednak zaczął odczuwać przygnębienie, którego nie można było przypisać zwyczajnemu smutkowi niedzielnego wieczoru. Ten dziwny, podniecający dzień minął, w zmierzchającym świetle Frank dostrzegł, że było to tylko chwilowe wytchnienie od napięcia, które dręczyło go przez cały tydzień. Teraz napięcie wracało pomimo pewności, jaką dawała żona przytulona do pleców - znowu czuł lęk, brzemie kłępujące ducha, przeczucie jakiejś bliskiej, nieuchronnej straty.

Z wolna zdawał sobie sprawę, że ona też to czuje: w jej uścisku była pewna sztywność, sugestia, że dokłada wysiłków, by osiągnąć efekt spontaniczności, jakby wiedziała, że umieszczenie głowy na jego łopatkę było zachowaniem właściwym, i usiłowała dostosować się do wymagań. Stali w ten sposób przez długi czas.

- Szkoda, że muszę jutro iść do pracy - rzekł wreszcie.

- Więc nie idź. Zostań w domu.

- Nie. Chyba jednak muszę.

Rozdział szósty

Ted Bandy to miły facet - mówił Bart Pollock, gdy spieszonym krokiem szli do śródmieścia - i dobry szef wydziału, ale coś ci powiem. - Wzdłuż okrytego gabardyną ramienia posłał uśmiech w kierunku jaśniejącej uwagą twarzy Franka. - Mam do niego pretensję, że przez wszystkie te lata trzymał cię w ukryciu.

- Cóż, ja bym tak tego nie ujął, panie... Bart. - Frank poczuł, jak rysy jego twarzy układają się we wstydlivy uśmiech. - Ale i tak dziękuję. - („Do diabła, a co właściwie miałem powiedzieć?", powie przepraszająco w rozmowie z April, jakby jakiegokolwiek wyjaśnienia były konieczne. „Jak człowiek może na coś ! takiego zareagować?") Musiał podbiegać, żeby dotrzymać kroku ; długim susom Pollocka, i miał nieprzyjemną świadomość, że te drobne spieszne ruchy w połączeniu z palcami przytrzymującymi krawat, żeby nie wysuwał się spod marynarki, z pewnością czyniły z niego uosobienie służalczego podwładnego.

- Ten lokal ci odpowiada? - Pollock wprowadził go do lobby, a stamtąd do restauracji wielkiego hotelu, gdzie na gumowych podszewkach krzatali się kelnerzy z ciężkimi tacami, a w powietrzu unosił się gwar rozmów, które wyżsi urzędnicy prowadzili do wtóru szczękających noży i widelców. Kiedy zajęli miejsca przy stoliku, Frank napił się wody z lodem i rozejrzał po sali; ciekaw był, czy to tutaj tamtego dnia przyszedł z ojcem na lunch - luncheon - z panem Oatsem Fieldsem. Nie mógł tego wiedzieć na pewno, w okolicy było kilka hoteli tej wielkości i klasy, ale prawdopodobieństwo było na tyle duże, by zadowolić jego poczucie ironii.

„Niesamowite, nie uważasz? - zapyta wieczorem April. - Dokładnie ta sama sala. Te same palmy w doniczkach, te same miseczki z ostrygowymi krakersami. Jezus, to było jak sen. Siedziałem tam i czułem się, jakbym miał dziesięć lat".

Tak czy owak to, że usiedli, sprawiło mu ulgę. Pollock przestał górować nad nim wzrostem, stolik ukrywał fakt, że Frank szarpie skórę przy lewym kciuku. Pollock zadawał mnóstwo pytań. Czy Frank jest żonaty? Ma dzieci? Gdzie mieszka? Ha, niewątpliwie mądrze jest mieszkać na wsi, kiedy się ma dzieci, ale jak Frankowi odpowiadają dojazdy? Frankowi kojarzyło się to z pytaniami o szkole i baseballu, które przed laty zadawał mu Oat Fields.

- Wiesz, co zrobiło na mnie największe wrażenie w tej twojej broszurze? - zapytał Pollock przy martini. Wysmukły kieliszek wydawał się bardzo kruchy w jego dłoni. - Logika i przejrzystość. W każdym punkcie trafiasz w sedno i wyjaśniasz wszystko, co trzeba. Człowiek ma wrażenie, że słucha, a nie czyta.

Frank schował głowę w ramiona.

- Szczerze mówiąc, tak to było. Mówiłem do dyktafonu. Zresztą cała ta sprawa jest dość przypadkowa. Do obowiązków naszego departamentu nie należy zajmowanie się reklamą czy produkcją, rozumiesz, to robota agencji. My tylko mamy kontrolować dystrybucję ich materiałów do oddziałów w terenie.

Pollock pokiwał głową, żując nasączoną dżinem oliwkę.

- Coś ci powiem. Wezmę jeszcze jednego drinka, ty też? Dobrze. Coś ci powiem, Frank. Nie interesuje mnie reklama, produkcja ani też to, kto ma kontrolować dystrybucję czegoś tam. Mnie interesuje wyłącznie jedno: sprzedaż elektronicznego komputera amerykańskiemu biznesmenowi. Frank, w dzisiejszych czasach mnóstwo ludzi ma skłonność do lekceważenia prostej, staroświeckiej sprzedaży, ale coś ci powiem. Kiedy zaczynałem pracę, od bardzo mądrego i wspaniałego starszego człowieka usłyszałem coś, czego nigdy nie zapomnę: „Bart, wszystko jest sprzedawaniem. Na tym świecie nic się nie dzieje, nic nie powstaje, dopóki ktoś nie dokona sprzedaży.” Powiedział: „Nie wierzysz mi? W porządku, spójrz na to od tej strony: Bart, do diabła, jak myślisz, gdzie byś był, gdyby twój ojciec nie sprzedał twojej matce swojej oferty dóbr?”

„A ja piłem i myślałem: Do cholery, czego ten facet ode mnie chce? - Frank powie wieczorem żonie. - Oczywiście powtarzałem sobie, że to wszystko jest bez znaczenia, ale naprawdę zabił mi ćwieka. To prawda, co mówią o tych wielkich, nadętych typach przypominających nieoszlifowane diamenty, wiesz? Faktycznie odznaczają się osobistym magnetyzmem. On w każdym razie go ma”.

- Naturalnie dzisiaj dobra sprzedaż składa się z wielu rzeczy, jest kombinacją wielu sił, a jak wiesz, jest to szczególnie prawdziwe, kiedy masz sprzedać ideę, a nie konkretny produkt. Weźmy pracę taką jak nasza, gdzie chodzi o wprowadzenie zupełnie nowej koncepcji kontroli biznesu. Do diabła, sprawa się tak komplikuje, że z trudem dostrzegasz istotę rzeczy. Masz ludzi od badania rynku, masz ludzi od reklamy i... jak tam oni się nazywają, ludzi od public relations; musisz zebrać wszystkie te moce w jeden podstawowy, nadrzędny wysiłek mający na celu sprzedaż. Lubię myśleć o tym jak o budowie mostu. - Pollock przymrużył oczy i palcem wskazującym wolno naszkicował łuk pomiędzy popielniczką a miską z selerem i oliwkami. - Most zrozumienia, most porozumienia pomiędzy nauką elektro. - Tu czknął. - Przepraszam. Elektroniką a praktycznym, codziennym światem handlowego zarządzania. Weźmy firmę taką jak Knox. - Spojrzał z żalem w pusty kieliszek po drugim, a

niewykluczone, że trzecim martini. - Bardzo stara, bardzo powolna, bardzo konserwatywna... do diabła, sam dobrze to znasz: całe nasze działanie skierowane jest na sprzedaż maszyn do pisania, szafek na dokumenty i szczękających dziurkaczy, a połowa starych pryków z listy płac myśli, że w Białym Domu wciąż siedzi McKinley. Z drugiej strony... zaraz, chcesz zamówić teraz czy trochę poczekać? Bardzo dobrze, proszę pana, popatrzmy. Mają tu smaczne ragout, wędzonego łososa, omlet grzybowy i solę. Doskonale, proszę dwa razy. I kolejkę, skoro o tym mowa. Dobra. Wiesz, możesz powiedzieć, że firma jest jak bardzo stary, zmęczony człowiek. Z drugiej strony... - Ciężko oparł się o stół. Oczy wychodziły mu z orbit, krople potu znaczyły potężną piegowatą głowę. - Z drugiej strony pojawia się rewolucyjna koncepcja elektronicznego przetwarzania danych i Frank, spójrzmy prawdzie w oczy: to niemowlę. - Wziął wymaginowane dziecko w dłonie, a potem szybko nimi potrząsnął, jakby chciał pozbyć się z palców lepkiej cieczy. - Ono jeszcze jest mokre! No wiesz, dopiero je wyciągnęli, złapali do góry nogami, dali klapsa w pupę i na Jezusa, jeszcze mu wisi pępowina! Nadażasz za mną? Bardzo dobrze; bierzesz tego maleńkiego noworodka i dajesz staruszkowi, staruszce, powiedzmy tej starej parze i jak myślisz, co się stanie? Ha, ich czeka tylko śmierć, ot co. Położą dziecko w jakiejś szufladzie, dadzą kwaśne mleko do picia, nigdy nie będą zmieniać mu pieluch, a ty chcesz mi powiedzieć, że ono będzie rosło zdrowe i silne? Do diabła, dziecko jest bez szans. Dam ci przykład.

Podawał jeden przykład za drugim. Frank dokładał wszelkich starań, by za nim nadażać, ale po jakimś czasie dał sobie spokój; wytarł chusteczką czoło. Na jego twarzy malowała się dezorientacja.

- I na tym polega problem - mówił Pollock. - Z tym musimy się zmierzyć. - Ponuro spojrzął na resztę drinka, po czym wypił go jednym haustem i zajął się stygnącym jedzeniem, które najwyraźniej go otrzeźwiło. Nie przestał mówić, choć teraz nie podnosił głosu i zachowywał się z większą godnością, używając słów w rodzaju „niewątpliwie” i „a co za tym idzie” zamiast „pryki” i „pepek”. Oczy przestały wychodzić mu z orbit; porzucił rolę prowincjonalnego rekina i jak zwykle był zrównoważonym, spokojnym szefem. Czy Frank zastanawiał się nad niesamowitym wpływem komputerów na biznes w przyszłości? A Bart Pollock może go zapewnić, że to prawdziwa pożywka dla myśli. Mówił i mówił, skromnie przyznając się do ignorancji w kwestiach technicznych, dyskredytując własne prawo do występowania w charakterze proroka, gorliwie gubiąc się w labiryncie własnych zdań.

Frank, który patrzył na niego i usiłował słuchać, stwierdził, że wypite trzy (a może cztery?) szklaneczki martini wzmocniły gwar panujący w restauracji i zmieniły go w morze hałasu bijące w jego bębniuszki uszne, a także sprawiły, że ze wszystkich czterech stron otoczyła go ciemna mgła. W rezultacie z niezwykłą wyrazistością widział jedynie rzeczy znajdujące się dokładnie na wprost: jedzenie na talerzu, bąbelki w szklance wody, niezmordowane poruszające się usta Barta Pollocka. Wykorzystał całą moc tkwiącą w tym ograniczonym widzeniu i czujnie obserwował manieri swojego towarzysza, by się przekonać, czy zostawia białe ślady na brzegu szklanki albo macza bułkę w sosjerce. Poczł ogromną, pijaną ulgę, że może z całą pewnością stwierdzić, że Bart Pollock nic takiego nie robi. Po pewnym czasie Pollock chętnie przerzucił się na temat, który mniej miał wspólnego z abstrakcjami, a więcej z osobowościami w firmie. Wtedy też Frank poczuł, że bezpiecznie może poruszyć kwestię najbliższą jego sercu.

- Bart, pamiętasz może człowieka w Centrali nazwiskiem Otis Fields?

Pollock wydmuchał długą smużkę papierosowego dymu i patrzył, jak rozplywa się w powietrzu.

- Nie wydaje mi się... - zaczął, ale zaraz uśmiechnął się zadowolony. - Och, Oat Fields. A tak, do diabła, dawno temu.

Oat Fields był jednym z dyrektorów sprzedaży w... Boże, tyle lat... ale zaraz, poczekaj, ty nie mogłeś wtedy u nas pracować.

Frank, zaskoczony płynnością własnego głosu, pokrótce opowiedział, jak po raz ostatni brał udział w luncheonie bardzo podobnym do tego.

- Earl Wheeler. - Pollock odchylił się na oparcie i zmrużył oczy, szukając w pamięci. - Earl Wheeler. Newark, powiadasz? Czekał, czekał. Pamiętam Wheelera i wydaje mi się, że miał na imię Earl, ale pracował w Harrisburgu albo Wilmington, a poza tym był starszym człowiekiem.

- Tak, Harrisburg, ale tam pracował na końcu. Wcześniej, w trzydziestym piątym, szóstym, był w Newark. Potem na krótko przeniósł się do Filadelfii i Providence. Właściwie był w całym wschodnim regionie. Dlatego dorastałem w czternastu miastach.

- Frank drgnął, słysząc w swoim głosie nutkę żalu nad sobą.

- Nigdy nie miałem okazji poczuć się gdzieś u siebie.

- Earl Wheeler - mówił Pollock. - Do diabła, jasne, że go pamiętam. Nie skojarzyłem go z Newark, bo to było, zanim ja zacząłem pracować. Ale wyraźnie pamiętam Earla Wheelera z Harrisburga, choć wydawał mi się raczej starszym człowiekiem. Przypuszczalnie...

- Masz rację, był starszy. Już miał dwóch dorosłych synów, kiedy się urodziłem... - O mało nie dodał: - Bo rozumiesz, byłem wypadkiem przy pracy, mnie jako jedyne nie chcieli.

Wiele godzin później, gdy trzeźwiał i próbował przypomnieć sobie tę część rozmowy, nie miał pewności, czy istotnie tego nie powiedział; nie pamiętał, czy nie wybuchnął gwałtownym śmiechem, mówiąc: „Widzisz? Widzisz, Bart? Położyli mnie w szufladzie komody i dali kwaśne mleko...”, czy obaj z Bartem Pollockiem nie wstali, by poklepać się po ramionach z radości wywołanej tym żartem, i nie śmiali się, aż z oczu popłynęły im łzy i wyczerpani padli na filiżanki z kawą.

Ale tak się nie stało. Było inaczej: Bart Pollock kręcił głową ze zdziwieniem i mówił:

- Niezłe, co? I w dodatku po wszystkich tych latach pamiętasz restaurację, pamiętasz nawet nazwisko starego Oata Fieldsa.

- To akurat nie jest dziwne. Po pierwsze to był jedyny raz, kiedy ojciec zabrał mnie do Nowego Jorku, poza tym strasznie dużo zależało od tego dnia. Ojciec naprawdę wierzył, że Fields da mu pracę w Centrali. Razem z matką wszystko zaplanowali, dom w Westchester i całą resztę. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek to przeboleał.

Pollock z respektem spuścił wzrok.

- Cóż, tak bywa. - Pośpiesznie przeszedł do weselszych aspektów historii. - Nie, ale to naprawdę interesujące, Frank. Nie miałem pojęcia, że jesteś synem pracownika Knoxa. Śmieszne, że Ted o tym nie wspomniał.

- Nie sądzę, żeby Ted wiedział. Nie chwaliłem się tym, kiedy starałem się o pracę.

Teraz Bart Pollock marszczył czoło i uśmiechał się równocześnie.

- Zaraz, chcesz powiedzieć, że twój tata całe życie sprzedawał nasze produkty, a ty nigdy o tym nie wspomniałeś?

- No tak. Nie wspomniałem. Był wtedy na emeryturze, a ja... sam nie wiem. Po prostu o tym nie wspomniałem. Nie wydawało mi się to ważne.

- Coś ci powiem, Frank. Podziwiam cię za to. Nie chciałeś, żeby traktowano cię na specjalnych prawach, wolałeś wszystko sobie zawdzięczać. Mam rację?

Frank z zakłopotaniem poprawił się na krześle.

- Niezupełnie o to chodziło. Nie wiem. To było dość skomplikowane.

- Takie sprawy zawsze są skomplikowane - oznajmił z powagą Bart Pollock.
- Wiele osób nie zrozumiałoby tego, Frank, ale coś ci powiem. Podziwiam cię. Założę się, że tata też cię podziwiał. Tak? Albo nie, poczekaj. - Oparł się wygodnie, uśmiechnął i chytrze przymrużył oczy. - Poczekaj. Pozwól, że

sprawdę, czy jestem dobrym sędzią charakterów. Założę się, że wiem, jak było. To tylko przypuszczenie. - Mrugnął znacząco. - Daleko idące przypuszczenie. Założę się, że zrobiłeś tacie przyjemność i pozwoliłeś mu myśleć, że jego nazwisko pomogło ci dostać tę pracę. Mam rację?

Niepokojące było to, że Frank istotnie tak postąpił. Tamtego roku jesienią, sztywny i oficjalny w nowym garniturze z serży, Frank zabrał żonę do rodziców. Przez całą drogę do Harrisburga planował, że z niezwykłą, wyrafinowaną bezceremonialnością przekaże dwie nowiny, o dziecku i o pracy. Zamierzał powiedzieć: „Och, a przy okazji, mam też solidne zajęcie, dość głupie, zupełnie mnie to nie interesuje, ale pieniądze są niezłe”. I zdradzi staruszkowi nazwę firmy.

Ale w tamtym zagraconym salonie z unoszącym się w powietrzu zapachem choroby, lekarstw i zbliżającej się śmierci ojciec dokładał wszelkich starań, by wyglądać na łagodnego, matka dokładała wszelkich starań, by ze łzami w oczach cieszyć się wiadomością o dziecku, a April dokładała wszelkich starań, by okazywać słodką i nieśmiałą dumę - cała fałszywa czułościowość tej chwili obrabowała go z opanowania i kiedy nadeszła odpowiednia pora, wyrzucił to z siebie - praca w Centrali! - jak mały chłopiec, który wrócił do domu z dobrymi ocenami na półrocze.

- Z kim rozmawiałeś? - zapytał Earl Wheeler, wyglądając dziesięć lat młodziej niż dziesięć minut wcześniej. - Ted jaki? Bandy? Chyba go nie znam, choć oczywiście zapomniałem sporo nazwisk. Ale przypuszczam, że on mnie zna, tak?

Frank usłyszał własny głos, przedzierający się przez dziwnie ściśnięte gardło:

- O tak, oczywiście. Bardzo pochlebnie o tobie mówił, tato. Dopiero kiedy pociągami wracali do Nowego Jorku, na tyle odzyskał panowanie nad sobą, by uderzyć się pięścią w kolano i powiedzieć: „Pobił mnie! To niesamowite. Ten stary drań znowu mnie pobił”.

- Wiedziałem - mówił Bart Pollock z oczami błyszczącymi i przepelnionymi serdecznością. - Coś ci powiem, Frank: rzadko się mylę w ocenie ludzi. Masz ochotę na likier, odrobinę brandy z benedyktynką albo coś w tym rodzaju do deseru?

„Chcesz powiedzieć, że siedziałeś tam przez cały lunch - mogłaby wieczorem zapytać April - opowiedziałeś mu całe swoje życie i ani razu nie miałeś okazji wspomnieć, że jesienią odchodzisz z firmy? O co w tym chodziło?”.

Ale Bart Pollock uniemożliwił mu wtrącenie słowa. W końcu doszedł do sedna. Kto będzie opiekował się tym niemowlęciem? Kto zbuduje ten most?

- ...specjalista od public relations. Inżynier elektronik? Konsultant od zarządzania? Cóż, z całą pewnością wszyscy oni mają do odegrania ważną rolę w całym przedsięwzięciu, każdy dołoży bardzo cenną wiedzę specjalistyczną ze swojej dziedziny. Ale rzecz w tym, że żaden z nich nie ma odpowiedniego przygotowania ani kwalifikacji do tej roboty. Frank, rozmawiałem z kilkoma najlepszymi ludźmi od promocji i reklamy w biznesie. Rozmawiałem z najlepszymi elektronikami i najlepszymi menadżerami w kraju, i wszyscy doszliśmy do tego samego wniosku: to zupełnie nowy rodzaj pracy i będziemy musieli rozwinąć w sobie zupełnie nowe talenty, by ją wykonywać.

Przez ostatnie pół roku chodziłem wokół obiecujących ludzi w firmie i spoza firmy. Na razie mam na oku paru młodych ludzi z różnych dziedzin i liczę, że zbiorę jeszcze kilku. Rozumiesz, co robię? Rekrutuję zespół. A teraz pozwól, że... - uniosł grubą dłoń, by powstrzymać wtręty - .. że przejdę do konkretów. Te broszurki, które dla nas robisz, to tylko początek. Chcę, żebyś skończył serię, tak jak to ustaliliśmy w gabinecie Teda. Są dobre, ale sprawa, o której mówię, wykracza poza nie. Cały projekt dopiero nabiera kształtów, nic na razie nie zostało określone, ale to ci pokaże kierunek mojego myślenia. Mam przeczucie, że jesteś typem faceta, którego mógłbym wysłać do grup ludzi w całym kraju, na seminaria biznesowe, do pracowników naszych filii, a także do klientów obecnych i potencjalnych; musiałbyś tylko stanąć przed nimi i mówić. Mówić szczegółowo o komputerach, odpowiadać na pytania, przekazywać informacje o elektronicznym przetwarzaniu danych językiem, który zrozumie biznesmen. Frank, może jest we mnie staroświecki sprzedawca, ale zawsze miałem jedno przekonanie: kiedy próbujesz sprzedać ideę, choćby nie wiem jak skomplikowaną, nie znajdziesz efektywniejszego narzędzia perswazji niż głos żywego człowieka.

- Cóż, Bart, zanim przejdiesz dalej, jest coś, co... - Frank czuł ucisk w klatce piersiowej; brakowało mu tchu. - To znaczy nie mogłem tego powiedzieć wtedy w gabinecie Teda, bo on jeszcze o tym nie wie, ale jesienią zamierzam odejść z firmy. Chyba powinienem był powiadomić cię o tym wcześniej i czuję się trochę... to znaczy bardzo mi przykro, jeśli to klóci się z twoją...

„Chcesz powiedzieć, że go przeprosiłeś? - mogłaby zapytać April. - Jakbyś prosił go o pozwolenie na odejście?”

„Nie! - odpowie stanowczo. - Jasne, że go nie przepraszałem. Dasz mi szansę? Powiedziałem mu, to wszystko. Naturalnie sytuacja była cokolwiek

niezręczna, musiała być niezręczna po tym wszystkim, co mówił, nie rozumiesz tego?".

- Teraz jestem zły na Bandyego - mówił Pollock. - Pozwalać człowiekowi twojego kalibru marnować się przez siedem lat, a potem stracić go na rzecz innej firmy. - Pokręcił głową.

- Och, nie przechodzę do innej firmy, to nie ma nic wspólnego z maszynami dla biznesu.

- Cóż, przynajmniej to mnie cieszy. Frank, byłeś ze mną szczery i doceniam to, teraz ja będę szczery z tobą. Nie chcę być natrętny, bo to nie mój interes, ale możesz mi jedno powiedzieć? Możesz mi powiedzieć, w jakim stopniu ta druga sprawa jest zdecydowana?

- Cóż, obawiam się, że w bardzo dużym, Bart. W pewnym sensie trudno... no tak, w bardzo dużym stopniu.

- O to mi chodzi. Jeśli to kwestia pieniędzy, nie widzę powodu, żebyśmy nie doszli do satysfakcjonującego...

- Nie. Doceniam, że to mówisz, ale nie chodzi o pieniądze. To sprawa osobista.

Najwyraźniej wyjaśnienie usatysfakcjonowało Pollocka. Wolno i miarowo kiwał głową, by okazać zrozumienie dla spraw osobistych.

- Wiesz, to nie wpłynie na serię - zapewnił Frank. - Będę miał sporo czasu na skończenie jej, ale wszelkie późniejsze zobowiązania. .. no wiesz, nie wchodzi w grę.

Pollock jeszcze chwilę kiwał głową. Później powiedział:

- Frank, pozwól, że tak to ujmę. Nic nigdy nie jest na tyle zdecydowane, żeby człowiek nie mógł zmienić zdania. Proszę cię tylko o jedno: zastanów się nad naszą dzisiejszą rozmową. Prześpij się z tym, przedyskutuj z żoną, to zawsze jest najważniejsze, prawda? Dyskusja z żoną? Do diabła, gdzie byśmy bez nich byli? Chciałbym też, żebyś nie czuł oporów przed przyjściem do mnie i zaproponowaniem: „Bart, pogadajmy”. Zrobisz to? Możemy w tym punkcie sprawę na razie zostawić? Doskonale. I pamiętaj, to, o czym dzisiaj mówiłem, oznacza całkowicie nową pracę dla ciebie, pracę, która może się zmienić w pełną wyzwań i bardzo satysfakcjonującą karierę. Jestem przekonany, że w tej chwili ta druga sprawa wydaje ci się bardzo pociągająca - tu mrugnął znacząco - nie przyłapiasz mnie na dokopywaniu konkurentowi, no i oczywiście to wyłącznie twoja decyzja. Ale szczerze wierzę, Frank, że jeśli wybierzesz Knoxa, nigdy nie będziesz tego żałował. Wierzę... - Pollock zniżył głos. - Wierzę, że to będzie piękny hołd i uczczenie pamięci twojego taty.

Jak Frank mógłby powiedzieć April, że po tych obrzydliwie sentymentalnych słowach ścisnęło mu się gardło? Jak mógłby wyjaśnić, nie narażając się na jej wieczną pogardę, że przez minutę obawiał się, iż może skropić łzami roztopiające się czekoladowe lody?

Na szczęście wieczorem nie było okazji, by cokolwiek jej powiedzieć. April cały dzień poświęciła na prace, których nie znosiła i ostatnimi czasy pozwoliła sobie zaniedbać czyszczenie niewidocznych na pierwszy rzut oka części domu. Wdychając kurz i plując pajęczynami, wlokła ryczący odkurzacz po wszystkich pokojach i wpychała go pod łóżka, wyszorowała każdą płytkę i całą armaturę w łazience proszkiem, od którego rozboleła ją głowa; wsunęła się do piecyka i amoniakiem zmyła przywierającą do ścianek tłustą sadzę. Zerwała luźny fragment linoleum koło pieca, odsłaniając coś, co wyglądało na podłużną brązową plamę, dopóki nie ożyło (przez całe popołudnie czuła, jak armia mrówek wciąż pełza jej pod ubraniem), i próbowała nawet uporządkować straszliwy bałagan w piwnicy, gdzie namoknięte kartonowe pudło rozpadło się, gdy podniosła je z kałuży. Cała zapleśniała zawartość wyleciała z pluskiem, uwalniając jaszczurkę w pomarańczowe plamy, która przebiegła jej po bucie. Kiedy Frank wrócił do domu, była zbyt wyczerpana, żeby mieć ochotę na rozmowę.

Następnego dnia wieczorem także nie była w nastroju. Oboje oglądali film w telewizji, który Franka pochłonął bez reszty, zdaniem April natomiast był kompletnym chłamem.

Dopiero dzień, może dwa później - nie potrafił potem sobie przypomnieć, kiedy właściwie to było - po powrocie z pracy zastał ją krążącą po kuchni, spiętą, z wysoko uniesionymi ramionami. W ten sam sposób krążyła po scenie w drugim akcie Skamieniałego lasu. Z salonu dobiegały stłumienie dźwięki rogu i ksylofonu zmieszane z piskliwymi głosami: dzieci oglądały kreskówkę w telewizji.

- Co się stało? - Nic.

- Nie wierzę ci. Coś się dzisiaj stało?

- Nie. - Doskonały sceniczny uśmiech zmieni w Pomarszczony grymas rozpacz; oddech stał się głośny jak bulgotanie warzyw na piecu. - Nie stało się nic, o czym nie wiem od wielu dni... och, Boże, Frank, nie musisz robić takiej miny.

Naprawdę chcesz powiedzieć, że też o tym nie wiesz, że się nie domyśliłeś? Jestem w ciąży, to wszystko.

- Chryste. - Jego twarz posłusznie zbladła i przyjęła wyraz człowieka ogłuszonego wiadomością, wiedział jednak, że nie będzie w stanie długo tak

wytrzymywać: radość już walczyła o zajęcie na niej miejsca. Musiał zakryć usta, by do tego nie doszło. - Ojej - powiedział cicho przez palce. - Jesteś pewna?

- Tak. - Ciężko padła mu w ramiona, jakby przekazanie tej wiadomości odebrało jej wszystkie siły. - Frank, nie chciałam zwałać ci tego na głowę, zanim wypijesz drinka. Miałam zamiar powiedzieć ci po kolacji, ale... chodzi o to, że przez cały tydzień byłam prawie pewna, a dzisiaj wreszcie poszłam do lekarza i teraz nie mogę nawet udawać, że to nie jest prawda.

- Ojej. - Zrezygnował z prób zapanowania nad rysami twarzy, które nad jej ramieniem zastygły w szerokim, wręcz bolesnym uśmiechu. Przytulił April i gładził ją obiema rękoma, mrużąc bezmyślne słowa w jej włosy. - Och, posłuchaj, to nie znaczy, że nie możemy jechać, posłuchaj, to tylko znaczy, że musimy znaleźć inny sposób na wyjazd, to wszystko.

Napięcie minęło, życie miłosiernie wróciło do normy.

- Nie istnieje inny sposób - powiedziała April. - Przez cały tydzień tylko nad tym się zastanawiałam. Sensem naszego wyjazdu było dać ci szansę na odnalezienie siebie, a teraz wszystko zostało zmarnowane. I to moja wina! Z powodu mojej głupoty, beztroski...

- Nie, posłuchaj mnie, nic nie jest zmarnowane. Jesteś zdenerwowana. W najgorszym razie oznacza to tylko, że musimy na jakiś czas odłożyć nasze plany, dopóki nie...

- Na jakiś czas! Dwa lata? Trzy? Cztery? Kiedy twoim zdaniem będę mogła pójść do pracy na pełny etat? Kochanie, zastanów się przez chwilę. To beznadziejne.

- Nie, nieprawda. Posłuchaj mnie.

- Nie teraz, dobrze, nie zaczynamy nawet. Poczekajmy, dopóki dzieci nie zasną. - Odwróciła się do pieca, wewnętrzną stroną nadgarstka wycierając oczy gestem dziecka wstydzącego się swoich łez.

- Dobrze.

W salonie dzieci, obejmując się za kolana, wpatrywały się pustym wzrokiem w kreskówkowego buldoga, który wymachując kolczastym kijem, gonił kreskówkowego kota przez zrujnowany kreskówko wy dom.

- Cześć - powiedział Frank. Obszedł je, kierując się do łazienki, żeby umyć ręce przed kolacją. Jego myśli wpadły w rytm i melodię tego, co powie, gdy z April zostaną sami. „Posłuchaj”, zacznie. „Przypuśćmy, że to potrwa. Spójrzmy na to z tej strony...” I nakreśli przed nią obraz nowego życia. Jeśli istotnie będą musieli poczekać dwa, trzy lata, to czy okresu tego bardziej znośnym nie uczynią pieniądze za pracę u Pollocka? „Och, jasne, że to zajęcie jest bez

znaczenia, ale pieniądze! Pomyśl o pieniądzach!" Mogliby kupić większy dom - albo lepiej, jeśli życie na przedmieściach nadal będzie budzić w nich wstręt, mogliby wrócić do miasta. Och, nie do mrocznego, rojącego się od karaluchów, trzęsącego od metra miasta z przeszłości, ale energicznego, stymulującego nowego Nowego Jorku, do którego dostęp dają wyłącznie pieniądze. Któż to wie, o ile bardziej wszechstronne i interesujące może stać się ich życie? A poza tym... poza tym...

Mył ręce, wdychając przyjemny zapach mydła i aromatyczne opary proszku do czyszczenia. Zauważył, że jego twarz w lustrze od miesiący nie wyglądała tak zdrowo i dobrze - i w tej samej chwili uświadomił sobie wszystkie skutki, pełne znaczenie zwrotu „poza tym”. Poza tym: dlaczego traktować przyjęcie oferty Pollocka jako rozwiązanie kompromisowe, wymuszone robienie dobrej miny do złej gry do czasu, aż April będzie mogła utrzymać go w Paryżu? Czy oferta nie odznacza się ciężarem i solidnością planu? Tkwią w niej niemal nieograniczone możliwości - poznawanie nowych ludzi, nowych miejsc - ha, mogłaby nawet w odpowiednim czasie zawieść ich do Europy.

Przecież to całkiem prawdopodobne, że Knox poprzez Knox International będzie całkiem niedługo rozszerzał sprzedaż swoich komputerów na zagranicę? („Pan i pańska żona tak bardzo odbiegacie od standardowych wyobrażeń o amerykańskich ludziach biznesu”, mogłaby powiedzieć hrabina żywcem wyjęta z powieści Henry'ego Jamesa, gdy wdzięcznie oparł się o balustradę balkonu nad Canale Grandę w Wenecji, popijając będą słodki wermuth...)

„Dobrze, ale co z tobą?”, zapytałaby April. „Jak zdołasz kiedykolwiek odnaleźć siebie?” Zakręcając kurek z gorącą wodą, Frank wiedział, że miałby na to odpowiedź: „Ustalmy, że to moja sprawa”.

Z miłej twarzy, która spoglądała na niego z lustra, biła nowa dojrzałość i męskość.

Kiedy sięgnął po ręcznik, stwierdził, że April zapomniała zawiesić świeży, poszedł więc do szafy z pościelą. Na górnej półce zobaczył małe kwadratowe pudełko zawinięte w papier z apteki. To, że było nowe i tak bardzo odstawało od poskładanych prześcieradeł i ręczników, nadawało mu tajemniczy wygląd kojarzący się z ukrytymi prezentami na Boże Narodzenie; wrażenie owo w równej mierze z bezpodstawnym strachem skłoniło Franka, by zdjąć paczkę i otworzyć ją. W środku znajdowało się niebieskie kartonowe pudełko z pieczętką Good Housekeeping Seal of Approval zawierające ciemnoróżową gruszkę do lewatywy.

Nie dając sobie czasu do namysłu, nie zastanawiając się nawet, czy nie byłoby lepiej poczekać z tym, aż zjedzą kolację, z paczką przeszedł przez

salon, pośpiesznie minął dzieci oglądające kreskówkę (kot zawrócił i teraz gonił psa przez akry kreskówkowej wsi) i wkroczył do kuchni. Widząc, jak jej przestraszona twarz zaczęła tężeć na widok paczki, a potem April spojrzała mu w oczy, nie miał cienia wątpliwości co do jej intencji.

- Posłuchaj - powiedział. - Co ty, do diabła, masz zamiar z tym zrobić?

Cofała się przez obłok pary unoszącej się z garnka z warzywami i nie był to gest porażki, ale oporu, bo jej dłonie z napięciem przesuwały się po biodrach.

- A co ty masz zamiar zrobić? - zapytała. - Myślisz, że mnie powstrzymasz?

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział pierwszy

Nasza zdolność do odmierzania i dzielenia czasu zapewnia nam niemal nieskończone źródło pociechy. „Zsynchronizujcie zegarki na szóstą zero zero”, mówi kapitan piechoty i każdy z gromadki jego poruczników znajduje wytchnienie od strachu w akcie ustawiania dwóch miniaturowych wskazówek w precyzyjny układ, podczas gdy nad głowami huczy artyleria: prozaiczne, cywilne z natury regulowanie zegarka przywróciło, choćby na krótko, iluzję osobistej kontroli nad sytuacją. Dobrze, taka oto informacja płynie z tarczy spoczywającej na włoskach i żyłkach każdego straszliwie kruchego nadgarstka; świetnie: jak dotąd wszystko dzieje się w swoim czasie.

„Obawiam się, że do końca miesiąca nie mam wolnej chwili”, powiada szef, zmysłowo opierając słuchawkę telefonu o policzek i kciukiem przerzucając kartki terminarza; jego usta i oczy zdradzają w takiej chwili poczucie głębokiego bezpieczeństwa. Gruby plik twardych stronic, z których każda oznacza jeden dzień, jest widocznym dowodem na to, że do końca miesiąca nic nieprzewidzianego, żadna losowa katastrofa nie może mu się przydarzyć. Ruina i zaraza trzymane są na uwięzi, sama śmierć musi poczekać: on nie ma wolnej chwili.

„Och, niech się zastanowię”, powiada wiekowy starzec, w zdumionym namyśle przechylając pobrużdżoną głowę i mruganiem chroniąc oczy przed słońcem, „moja pierwsza żona odeszła wiosną...” i na moment ogarnia go przerażenie. Którą wiosną? W przeszłości? W przyszłości? Czymże jest wiosna, jeśli nie bezmyślnym nowym układem komórek w grudkach wirującej ziemi w nieskończoność okrążającej słońce? Czymże jest samo słońce, jeśli nie jedną z miliarda nieświadomych gwiazd, które wiecznie pędzą w nicość? Nieskończoność! Wkrótce jednak zawory i przełączniki jego mózgu miłosiernie wracają do swej znużonej pracy i może powiedzieć: „Wiosną tysiąc dziewięćset szóstego. Albo nie, poczekaj...” i krew znowu zastyga mu w żyłach, a galaktyki obracają się wokół swojej osi. „Poczekaj! Tysiąc dziewięćset. .. czwartego.” Teraz jest pewien swoich słów i w przyływie dobrego samopoczucia mimowolnie z satysfakcją klepie się po udzie. Może zapomniał kształt uśmiechu swej żony i brzmienie głosu, gdy płakała, lecz przypisując zestaw cyfr jej śmierci, narzucił spójność własnej egzystencji i samemu życiu. Teraz wszystkie inne lata posłusznie zajęły swoje miejsca, każde wnosząc swój wkład w całość. Tysiąc dziewięćset dziesiąty, tysiąc dziewięćset dwudziesty - Ależ

oczywiście, że pamięta! - tysiąc dziewięćset trzydziesty, tysiąc dziewięćset czterdziesty, aż do zasłużonego spokoju teraźniejszości i dalej, do łagodnej obietnicy przyszłości. Ziemia może bezpiecznie wrócić do swego dobroczynnego bezruchu - Powąchaj, jak pachnie młoda trawa! - i na niebie wisi to samo wielkie stare słońce, które uśmiechało się do niego przez wszystkie te lata. „Tak, proszę pana”, może powiedzieć z przekonaniem, „tysiąc dziewięćset czwarty”, a wieczorem ucieszy się widokiem gwiazd, gwarantów ostatecznego niebiańskiego spoczynku. Z chaosu wyprowadził porządek.

Początek lata roku 1955 równie dobrze mógłby być dla obojga Wheelerów nie do zniesienia i skończyć się zupełnie inaczej, gdyby nie kalendarz wiszący w kuchni na ścianie. Noworoczny prezent od firmy AJ. Stolper i Synowie, Naczynia i Sprzęty Domowe, ilustrowany scenami z wiejskich okolic Nowej Anglii, należał do typu-trójdzielnych: na każdej karcie oprócz miesiąca bieżącego znajdowały się też mniejsze kratki z miesiącem poprzednim i następnym, dzięki czemu cały kwartał roku można było objąć jednym rzutem oka.

Wheelerowie zdołali ustalić termin poczęcia na koniec pierwszego tygodnia maja - oboje pamiętali, jak w tydzień po urodzinach Franka on szeptał: „Wydaje się trochę luźna...”, a April odpowiadała: „Och, nie, jestem pewna, że wszystko w porządku, nie przestawaj...” (w następnym tygodniu na wszelki wypadek kupiła nową diafragmę). To plasowało pierwszy tydzień sierpnia na następnej karcie, tak więc pozostał jeszcze ponad miesiąc do owego tajemniczego momentu „tuż pod koniec pierwszego trymestru”, kiedy to, jak dawno temu powiedziała szkolna przyjaciółka, bezpiecznie można użyć gumowej gruszki.

Panika kazała April tamtego popołudnia pobiec do apteki prosto z gabinetu lekarza; panika pognęła Franka do kuchni, gdy znalazł paczkę w szafie, i panika sprawiła, że jak sparaliżowani wpatrywali się w siebie w obłoku warzywnej pary, brutalnie milcząc do wtóru muzyki z kreskówki, dobiegającej z sąsiedniego pokoju. Ale o wiele później tego samego wieczoru, kiedy oboje ukradkiem i osobno przestudiowali kalendarz, panikę stłumiło odkrycie, iż pomiędzy teraz a ostatecznym terminem rzędy logicznych, uporządkowanych dni czekają na inteligentne wykorzystanie. Było mnóstwo czasu na podjęcie właściwej decyzji, ustalenie planu.

- Kochanie, nie chciałam tak okropnie się zachować. Nie zrobiłabym tego, gdybyś tak na mnie nie napadł, zanim zdołaliśmy podyskutować o tym racjonalnie.

- Wiem, wiem. - Frank poklepał jej wstrząsane cichym szlochem ramiona. Zdawał sobie sprawę, że łyzy wcale nie oznaczają kapitulacji. W najlepszym razie są sygnałem (na co od początku miał nadzieję), że April połowicznie pragnie, by odwiódł ją od tego zamiaru, w najgorszym - że nie chce od początku wywoływać wojny, że czerpiąc pewność z kalendarza, postrzega owe cztery tygodnie jako doskonałą okazję do stopniowego przeciągnięcia go na swoją stronę. Tak czy owak, a to napełniło go poczuciem wdzięczności, gdy tulił ją i gładził, tak czy owak oznaczało to, że brała go pod uwagę, że jej na nim zależało. Na razie to było najważniejsze.

- Bo wiesz, musimy w tej sprawie trzymać się razem, prawda? - zapytała, odsuwając się nieznacznie od niego. - W przeciwnym razie wszystko jest bez sensu. Zgadzasz się?

- Oczywiście. Możemy teraz porozmawiać? Mam ci coś do powiedzenia.

- Tak. Ja też chcę porozmawiać. Ale przyrzeknijmy, że nie będziemy się kłócić, dobrze? Nie możemy sobie pozwolić na kłótnie w sprawie takiej jak ta.

- Wiem. Posłuchaj...

Tak oto oczyścili pole dla spokojnej, opanowanej, śmiertelnie poważnej dyskusji, którą wypełniali kolejne dni z kalendarza, dyskusji, która utrzymywała nerwy obojga w subtelnie napiętym i w gruncie rzeczy dość przyjemnym stanie. To bardzo przypominało zaloty.

I tak jak zaloty odbywało się w zręcznie dobranych i zróżnicowanych miejscach, Frank o to zadbał. Niezliczone setki słów padały we wnętrzach i na dworze, w czasie długich wieczornych jazd przez wzgórza, w drogich restauracjach na wsi i w Nowym Jorku. Przez dwa tygodnie częściej wychodzili z domu niż w całym ubiegłym roku; między innymi dlatego Frank na początku drugiego tygodnia zaczynał podejrzewać, że wygrywa, ponieważ April nie sprzeciwiała się szastaniu pieniędzmi, a przecież wysuwałyby obiekcje, gdyby wciąż była całkowicie zdecydowana na wyjazd do Europy jesienią.

Wtedy jednak nie potrzebował już tak mało ważnych wskazówek. Niemal od samego początku przejął inicjatywę i miał solidne powody wierzyć w zwycięstwo. W końcu idea, którą chciał sprzedać, zdecydowanie była słuszna. Była nieegoistyczna, dojrzała oraz (choć starał się unikać moralizowania) moralnie niepodważalna. Drugie wyjście, niezależnie od tego, jak bardzo April próbowała je ubrać w romantyczną szatę, napawało odrazą.

- Frank, nie widzisz, że chcę to zrobić wyłącznie dla twojego dobra? Proszę, uwierz w to, przynajmniej się postaraj.

Uśmiechał się do niej smutno z forticy swej słuszności.

- Jak może to być dla mojego dobra, skoro na samą myśl o tym żołądek mi się wywraca? - pytał. - Zastanów się nad tym przez chwilę, April, bardzo proszę.

W początkowej fazie kampanii głównym taktycznym problemem Franka było znalezienie sposobu na to, by swą pozycję uczynić atrakcyjną i pożądaną. W tym sensie wizyty w miejskich i wiejskich restauracjach okazywały się bardzo pomocne; April musiała tylko się rozejrzeć, by odkryć świat pięknych, wdzięcznych, niewątpliwie wartościowych kobiet i mężczyzn, którzy zdołali wznieść się ponad swoje otoczenie, ludzi, którzy z nudnych prac wyciągnęli zyski dla siebie, którzy wykorzystywali system, nie dając się mu obijać, którzy z całą pewnością, gdyby tylko poznali szczegóły sprawy Wheelerów, przyznaliby rację Frankowi.

- Dobrze - mówiła April, wysłuchawszy męża. - Przypuśćmy, że tak się stanie. Przypuśćmy, że za kilka lat oboje będziemy szalenie atrakcyjni, pełni pomysłów i tak dalej, otoczeni tłumem fascynujących przyjaciół, spędzający co roku długie wakacje w Europie. Naprawdę myślisz, że będziemy wtedy szczęśliwsi? Czy wciąż nie będziesz marnował swoich najlepszych męskich lat w całkowicie pustej, bezsensownej...

I tu wpadała prosto w zastawianą przez niego pułapkę:

- Przypuśćmy, że to moja sprawa. - Ile, pytał, warte byłyby jego najlepsze męskie lata, jeśli satysfakcję z nich uzależniłby od pozwolenia jej na dokonanie przestępczego samookaleczenia? - Bo właśnie to byś zrobiła, April, nie owijajmy w bawełnę. Popełniłabyś zbrodnię przeciwko własnemu ciału. I przeciwko mnie.

Czasami łagodnie oskarżała go o nadmierne dramatyzowanie całej sprawy. To jest rzecz, którą kobiety robią codziennie i nic złego się nie dzieje; koleżanka ze szkoły zrobiła to co najmniej dwukrotnie. Och, naturalnie odkładanie decyzji na początek czwartego miesiąca to zupełnie inna sprawa:

- Wiesz, w takim przypadku mielibyśmy wszelkie powody do zmartwienia. Skoro jednak jesteśmy w stanie tak precyzyjnie ustalić czas i w ogóle, sprawa jest całkowicie bezpieczna.

Ale na każdą wzmiankę o bezpieczeństwie Frank wydymał policzki i głośno wypuszczał powietrze, marszcząc czoło i kręcąc głową, jakby proszono go o przyznanie, że można znaleźć etyczne usprawiedliwienie dla ludobójstwa. Nie. On tego nie kupuje.

Wkrótce w jej głos zaczęło wkradać się nieco zakłopotane wahanie i wyraźnie odwracała wzrok, gdy mówiła o aborcji jako o „zrobieniu tego”, nawet w kontekście wygłaszanych z całego serca zapewnień, że jest to rzecz

absolutnie niezbędna, jakby obecność jego kochającej, zmartwionej twarzy umieszczala całą kwestię daleko poza granicami konwersacyjnej przyzwoitości. Wkrótce też - i to był najbardziej zachęcający symptom - coraz częściej uświadamiał sobie, że w nieoczekiwanych momentach ukradkiem go obserwowała przez mgiełkę romantycznego podziwu.

Jej reakcje nie zawsze były spontaniczne, w dużej mierze następowały po delikatnych przejawach próżności z jego strony, formie męskiego flirtu równie skutecznego jak dziewczęcy. Na przykład w restauracji, idąc ku niej lub się oddalając, Frank zawsze pamiętał, by robić to w stary, „niesamowicie seksowny” sposób, a kiedy szli razem, uciekał się do innej dawnej sztuczki: trzymał głowę nienaturalnie wyprostowaną i o kilka centymetrów podnosił ramię, do którego przywierała April, by dodać sobie wzrostu. Przy zapalaniu papierosa w mroku wpierw starannie układał rysy w prężny wyraz, dopiero potem osłaniał płomyk dłonią (wiedział, wiele lat temu przećwiczył to bowiem przed lustrem w ciemnej łazience, że efekt jest niezwykle dramatyczny), i skrupulatnie dbał o niezliczone szczegóły: mówił głosem cichym i dźwięcznym, włosy miał zawsze uczesane, ukrywał poobgryzane paznokcie, pierwszy sprężyście wyskakiwał z łóżka rano, tak by April nie miała okazji zobaczyć go obrzmiałego i bezbronnoego we śnie.

Czasami po szczególnie świadomym przedstawieniu tego rodzaju, jak wtedy, gdy rozbolały go wszystkie zęby trzonowe, bo zbyt długo zaciskał szczęki, chcąc w świetle świec wyglądać na zdeterminowanego, czuł niesmak do siebie, że musi uciekać się do takich metod - a także, co niezrozumiałe, do niej, że tak łatwo daje się oszukiwać. Cóż to za dziecinne gierki? Jednakże szybko tłumił wyrzuty sumienia: w miłości i na wojnie wszystkie chwytów dozwolone, a poza tym czy April nie prowadzi tej samej gry? Czy w zeszłym miesiącu nie użyła całego arsenału dostępnych sobie sztuczek, by uwieść go i skłonić do zgody na europejski plan? No dobrze. Może to śmieszne, może nie najzdrowsze w przypadku dorosłych ludzi zachowanie, ale tą kwestią mogą zająć się później. Stawka jest zbyt wielka, żeby teraz zaprzętać sobie głowę takimi rzeczami.

Tak więc uwolnił się od wyrzutów i skoncentrował na doskonaleniu swej roli. Przede wszystkim bardzo się pilnował, by nie wspominać o dniu w biurze ani nie przyznawać się do zmęczenia po podróży pociągiem, wypracował spokojne, niemal kontynentalne maniery w relacjach z kelnerami i pracownikami stacji benzynowej, doprawiał swoje wygłaszane po spektaklach teatralnych krytyki mglistymi literackimi odniesieniami - robił to po to, by zademonstrować, że człowiek skazany na pracę u Knoxa wciąż może być interesujący („Jesteś najbardziej interesującą osobą, jaką w życiu spotkałam”);

entuzjastycznie szalał z dziećmi, wzdorliwie kosił trawnik w rekordowym tempie, a też całą drogę powrotną o północy parodiował Eddiego Gantora śpiewającego *That's the Kind of a Baby for Me*, ponieważ to ją śmieszyło - robił to po to, aby zademonstrować, że mężczyzna stawiający czoło najbardziej ponuremu i najmniej naturalnemu z małżeńskich problemów, niechęci żony do urodzenia jego dziecka, wciąż może być miły („Kocham cię, kiedy jesteś miły”).

Mógłby swoją kampanię szybko i łatwo wygrać, gdyby zdołał wszystkie godziny tych czterech tygodni wypełnić doświadczeniami o podobnym napięciu; problem polegał na tym, że zwyczajne życie domagało się swoich ptaw.

Frank wciąż musiał zabijać większą część dnia w biurze, gdzie Jack Ordway ciągle gratulował mu sprytnego planu ucieczki, April w tym czasie pozostawała uwięziona w realiach ich domu.

Trzeba było radzić sobie z panią Givings, która ostatnio wynajdywała jeden pretekst za drugim, by dzwonić do nich i wpadać. Pozornie chodziło o interesy, co samo w sobie było nużące (przed wystawieniem domu na sprzedaż należało przedyskutować mnóstwo szczegółów i Wheelerowie musieli słuchać tego z twarzą pokerzysty), ale wciąż powracała w rozmowie do Johna i „uroczych godzin, które wtedy wspólnie spędzili”. Zanim się zorientowali, wyrazili zgodę na ostrożnie przedstawiony program kolejnych niedzielnych wizyt „kiedy będzie wam odpowiadało, w te niedziele, gdy nie jesteście zbyt zajęci, dopóki nie wyjedziecie”.

I trzeba też było radzić sobie z Campbellami. Cała jedna sobota została w ten sposób pożarta; ulegając ich namowom, wybrali się na piknik na plaży. Był to dzień hot dogów i dziecięcych łez, piasku, potu i odurzającej dezorientacji, który wieczorem doprowadził ich na skraj hysterii. To w tamten wieczór zaloty, kampania reklamowa czy czymkolwiek to było, przeniosło się nagle na drugi, nieromantyczny etap.

- Boże, co za dzień - westchnęła April, zamykając drzwi dzieciennego pokoju. Zaczęła sztywno krążyć po salonie, co zawsze zwiastowało kłopoty. Frank już na początku owych zalotów czy kampanii reklamowej nauczył się, że najtrudniej mu przekonywać April do swojego zdania właśnie w tym pokoju. Przedmioty oblane bezlitosnym światłem stuwatowych żarówek zdawały się wspierać argumenty April; nieraz w takie gorące noce jak ta ich skumulowany wpływ groził zawaleniem całej misternej struktury jego przedsięwzięcia: meble, które nigdy się nie zadomowiły i nie zadomowią, półki pełne nieczytanych, przeczytanych w połowie lub przeczytanych i zapomnianych

książek, które miały sprawić wielką różnicę i nigdy im się to nie udało, obrzydliwa żarłoczna paszcza telewizora, żaloszny stos brudnych zabawek, którym przydałaby się kąpiel w amoniaku, wszystko to posiadało moc błyskawicznego atakowania oczu i gardła przenikliwym bólem wyrzutów sumienia i pogardy do siebie („Nie sądzę, by naszym przeznaczeniem było rodzicielstwo. My zupełnie nie nadajemy się na rodziców...”).

Dzisiaj wieczorem April miała czoło, policzki i nos spalone od słońca, a ponieważ na plaży nosiła okulary przeciwsłoneczne, jej oczy nabrały białego, zdziwionego wyglądu. Włosy zwisały jej w nieporządnym pasmach (musiała ciągle wystawiać dolną wargę, by zdmuchiwać je z oczu) i całe ciało sprawiało wrażenie udręczonego. Miała na sobie wilgotną bluzkę i pomięte niebieskie szorty, które zaczynały być za ciasne w pasie. Nie cierpiała szortów, ponieważ zwracały uwagę na to, jak szerokie, miękkie i poznaczone żyłkami stały się jej uda w ciągu ostatnich kilku lat, mimo iż Frank często jej powtarzał, żeby przestała być niemądra („Są śliczne, mnie takie bardziej się podobają, wreszcie są to nogi kobiety”); teraz odnosił wrażenie, że prezentuje je jakby na złość. Jakby mówiła: bardzo dobrze, patrz, czy są dostatecznie „kobiece” dla ciebie? Tego właśnie chcesz?

W każdym razie nie mógł oderwać od nich wzroku, kiedy ociężałe się poruszyły, niosąc April wokół pokoju. Przyrządził sobie mocnego drinka i stanął blisko kuchennych drzwi, popijając i zbierając siły.

Po chwili April opadła na sofę i zaczęła ospale przeglądać stare czasopisma. Później je rzuciła i położyła się, opierając stopy w tenisówkach na stoliku.

- Jesteś o wiele bardziej moralną osobą niż ja, Frank - powiedziała. - Chyba dlatego cię podziwiam. - Ale ani w wyrazie jej twarzy, ani w tonie głosu nie było podziwu.

Próbował zlekceważyć te słowa ostrożnym wzruszeniem ramion i usiadł naprzeciwko niej.

- Nic o tym nie wiem. Nie rozumiem, co to ma wspólnego z byciem „moralnym”. Rozumiesz, w każdym razie nie w sensie konwencjonalnej moralności.

Sprawiała wrażenie, że długo się nad tym zastanawia, kołysząc nogą na zawiasie kostki.

- A jest jakiś inny? - zapytała wreszcie. - Czy „moralny” i „konwencjonalny” w gruncie rzeczy nie oznaczają tego samego?

Mógłby ją spoliczkować. Ze wszystkich wieloznacznych, zdradzieckich... Chryste! W każdym innym miesiącu małżeństwa zerwałby się na nogi i krzyknął: „Chryste, kiedy wreszcie pozbędziesz się tego przeklętego stylu

żywcem wziętego ze sztuk Noela Cowarda i lat dwudziestych, który polega na dezawuowaniu każdej choć w połowie przyzwoitej ludzkiej wartości jakimś sprytnym, powierzchownym, snobistycznym powiedzeniem? Posłuchaj!", wrzeszczały rozwścieczony. „Posłuchaj! Może twoi rodzice żyli w taki sposób, może w dzieciństwie karmiono cię takimi szykownymi, rozemocjonowanymi bredniami, ale do jasnej cholery, czas najwyższy dojść do wniosku, że to nie ma nic wspólnego z prawdziwym życiem!". Ale znajomość kalendarza zamknęła mu usta. Pozostało dwanaście dni. Nie mógł sobie teraz pozwolić na żadne ryzyko, zamiast więc wszystko wykrzyczeć, zacisnął szczęki i utkwiał wzrok w szklaneczce, którą ścisnął tak mocno, że od drżenia jego dłoni zawartość o mało nie chlupnęła na zewnątrz. Bez najmniejszego świadomego wysiłku zaprezentował najbardziej godny uwagi wyraz twarzy w swoim życiu. Kiedy spazm ustąpił, bardzo cicho powiedział:

- Dziecinko, wiem, że jesteś zmęczona. Nie powinniśmy teraz o tym rozmawiać. W gruncie rzeczy wcale tak nie myślisz. Dajmy temu spokój.

- Czemu mamy dać spokój? Jak w gruncie rzeczy wcale nie myślę?

- No wiesz, w kwestii „moralności” i „konwencji”.

- Ale ja nie znam różnicy. - Wyprostowała się energicznie, chowając stopy w tenisówkach pod sofę i nachylając się ku mężowi. napięte przedramiona oparte miała o kolana. Nie był w stanie patrzeć na jej twarz - wyrażającą niewinną konsternację. - Nie rozumiesz, Frank? Naprawdę nie widzę różnicy. Inni ludzie najwyraźniej ją dostrzegają, ty ją dostrzegasz, ja nie, to wszystko. Nie sądzę, by kiedykolwiek mi się to udało.

- Posłuchaj, po pierwsze, ty użyłaś słowa „moralny”, nie ja. Nie wydaje mi się, bym choć raz sprzeciwiał się tej sprawie z powodów moralnych, konwencjonalnych albo innych. Ja tylko powiedziałem, że w tych konkretnych okolicznościach wydaj e się dość oczywiste, iż oznaką dojrzałości będzie pogodzenie się z faktami i...

- Ale znowu wracamy do tego samego - przerwała April. - Widzisz? Ja nie wiem, co znaczy „dojrzały”, możesz tłumaczyć całą noc, a ja wciąż nie będę wiedziała. Dla mnie to tylko słowa, Frank. Patrzę, jak mówisz, i myślę: czy to nie zdumiewające? On naprawdę tak myśli, te słowa naprawdę mają dla niego znaczenie. Czasami mam wrażenie, że przez całe życie obserwuję mówiących ludzi i tak myślę... - głos jej zadrżał. - ..może to znaczy, że jest ze mną coś strasznie nie w porządku, ale to prawda. Och nie, zostań tam. Proszę, nie podchodź, nie całuj mnie, nie rób nic, w przeciwnym razie skończy się na łzach i niczego sobie nie wyjaśnimy. Proszę, siedź na swoim miejscu i spróbujmy to wszystko uporządkować, zgoda?

- Zgoda. - Pozostał na miejscu, ale spełnienie drugiej części jej prośby to była inna sprawa: mogli tylko patrzeć na siebie płonącymi oczami, wzrokiem ciężkim, a równocześnie słabym w panującym upale.

- Wiem tylko, co czuję - odezwała się wreszcie - i wiem, co czuję, że muszę zrobić.

Frank wstał i zgasił wszystkie lampy, mrużąc: - To ochłodzi trochę powietrze.

Ale ciemność nie pomogła. Znaleźli się w ślepej uliczce. Jeśli wszystko, co powiedział, to były „tylko słowa”, jaki sens ma rozmowa? Czy jakakolwiek przemowa może przeważać ciężar tak głębokiego uporu?

Szybko jednak znowu zaczął mówić; głos wydobywał się z gardła niemal niezależnie od jego woli, wprowadzał ostateczną taktykę, niebezpieczny rozpaczliwy manewr, który Frank miał nadzieję zachować na wypadek porażki. To był krok brawurowy - wciąż pozostało dwanaście dni - ale kiedy raz zaczął, nie potrafił się zatrzymać:

- Posłuchaj, to może zabrzmieć, jakbym istotnie uważał, że jest z tobą coś nie w porządku, ale ja tak nie uważam. Myślę natomiast, że kilku aspektów tej sprawy jeszcze w gruncie rzeczy nie poruszyliśmy, a moim zdaniem powinniśmy. Na przykład zastanawiam się, czy twoje prawdziwe motywy są tak proste, jak myślisz. To znaczy czy nie istnieje możliwość, że działają tu siły, z których istnienia nie w pełni zdajesz sobie sprawę? Których nie rozpoznajesz?

Nie odpowiedziała, a w mroku mógł tylko zgadywać, czy go słucha czy nie. Wziął głęboki oddech.

- Mam na myśli sprawy, które nie mają nic wspólnego z Europą ani ze mną - ciągnął. - Mam na myśli sprawy dotyczące wyłącznie ciebie, korzeniami tkwiące w twoim dzieciństwie, wychowaniu i tak dalej. Sprawy emocjonalne.

Po długim milczeniu znacząco neutralnym tonem odparła:

- Chodzi ci o to, że jestem emocjonalnie zaburzona.

- Wcale tego nie powiedziałem! - Ale przez następną godzinę, kiedy jego głos nie milkł, zdołał powiedzieć to kilka razy na kilka różnych sposobów. Przecież to możliwe, że dziewczyna, która od pierwszego dnia zaznała wyłącznie rodzicielskiego odrzucenia, wytworzyła w sobie trwałą niechęć do rodzenia dzieci.

- Wiesz, zawsze mnie zdumiewało, że byłaś w stanie przetrwać takie dzieciństwo - stwierdził w pewnym momencie - nie wspominając już o tym, że nie wyrządziło ono żadnej szkody twojemu... no wiesz, twojemu ego i w ogóle. - Przypomniał jej, że sama sugerowała obecność „neurotycznego” elementu w

jej pragnieniu przerwania pierwszej ciąży, gdy mieszkali na Bethune Street, i w porządku, w porządku, jasne, że teraz okoliczności są inne. Ale czy nie jest możliwe, że w jej nastawieniu wciąż istnieje część tamtej dezorientacji? Och, on wcale nie twierdzi, że to wyczerpuje problem - „Nie jestem uprawniony do takiego stwierdzenia” - czuje jednak, że należy starannie ten aspekt rozważyć.

- Ale ja już mam dwoje dzieci - powiedziała April. - Czy to nie świadczy na moją korzyść?

Pozwolił, by jej ostatnie słowa przez chwilę wibrowały w ciemności.

- Już to, że w taki sposób to ujęłaś, jest w pewnym sensie znaczące - rzekł cicho - nie sądzisz? Jakby urodzenie dwojga dzieci było rodzajem kary. Jakby urodzenie dwójki dzieci mogło „świadczyć na twoją korzyść” i zwolnić cię z obowiązku urodzenia trzeciego. I ton, jakim to powiedziałaś: obronny, gotowy do walki. Jezu, April, jeśli chcesz w taki sposób rozmawiać, mogę ci podać inne dane statystyczne: byłaś trzy razy w ciąży i dwie chciałaś przerwać. O czym to świadczy? Posłuchaj. - Nadał głosowi bardzo łagodne brzmienie, jakby przemawiał do Jennifer. - Posłuchaj, dziecinko. Próbuję ci tylko powiedzieć, że w całej tej sprawie nie zachowujesz się racjonalnie. Chciałbym, żebyś się nad tym zastanowiła, to wszystko.

- W porządku - odrzekła ponuro. - W porządku, przypuśćmy, że to wszystko jest prawdą. Przypuśćmy, że działałam według wzoru zachowania kompulsywnego czy jak tam to nazywają. I co z tego? Wciąż nie mogę nic poradzić na to, co czuję. Co właściwie mamy z tym zrobić? Jak mam sobie z tym poradzić? Mam Stawić Czoło Moim Problemom i od jutra rana być inną osobą czy co?

- Och, dziecinko, to takie proste. Zrozum, że skoro masz jakieś emocjonalne trudności i jest z tym problem, to możemy coś zrobić? - Franka nużył dźwięk własnego głosu; miał wrażenie, jakby mówił przez wiele lat. Obliznął wargi, które smakowały tak obco jak palec dentysty w ustach („Otworzyć szeroko!”), a potem to powiedział: - Powinniśmy pójść do psychoanalityka.

Nie widział jej, ale mógł zgadywać, że przyjęła swój twardy wyraz, ściągając lekko na bok spłaszczone usta.

- I praca u Barta Pollocka także za to zapłaci? - zapytała. Westchnął.

- Rozumiesz, co robisz, kiedy mówisz takie rzeczy? Klóć się ze mną.

- Nieprawda.

- Ależ tak. A co gorsza, klóć się ze sobą. Właśnie w ten sposób postępujemy od lat i najwyższy czas, żebyśmy dorośli i dali sobie z tym spokój. Nie wiem, czy praca u Pollocka za to zapłaci, szczerze mówiąc, guzik mnie obchodzi, jaka praca za co zapłaci. Podobno jesteśmy dwojgiem dorosłych

ludzi, a jeśli jedno z nas potrzebuje tego rodzaju pomocy, powinniśmy umieć przedyskutować to w dorosły sposób. Rzecz w tym, że skąd weźmiemy na „zapłacenie”, jest najmniej ważne. Jeśli terapia okaże się potrzebna, pieniądze się znajdą. Masz na to moje słowo.

- Jak miło. - Jedyne z niewyraźnego ruchu cieni i szelestu obicia wywnioskował, że wstała. - Możemy teraz o tym więcej nie rozmawiać? Jestem śmiertelnie zmęczona.

Słuchając jej oddalających się w holu kroków i odgłosów krótkich przygotowań do snu, po których zapadła cisza, dopił drinka z przedsmakiem klęski. Czuł, że zagrał ostatnią kartą i niemal na pewno przegrał.

Następny dzień zasiłił jednak jego pozycję świeżymi zapasami z zupełnie nieoczekiwanego źródła: to była niedziela drugiej wizyty Johna Givingsa.

- Cześć! - zawołał jeszcze z samochodu i od chwili, gdy na szeroko rozstawionych stopach niczym gołąb pokolebał się przez podjazd z rodzicami, którzy przepaszająco podrygiwali koło niego, nie ulegało wątpliwości, że to będzie zupełnie inne i trudniejsze popołudnie niż ostatnio. Dzisiaj nie można było liczyć na przyjacielski spacer ani czule wspomnianie programów radiowych, jako że John był niezwykle pobudzony. Widok i dźwięk jego głosu od początku tak działał na nerwy, że dopiero po jakimś czasie Frank zaczął dostrzegać korzystny i ostrzegawczy skutek tej wizyty. Oto April miała przed sobą udokumentowany przypadek choroby psychicznej, mogła go obserwować i zastanowić się. Czy potem wciąż będzie mówiła, że nie obchodzi jej, czy sama też jest wariatką?

- Kiedy wyjeżdżacie? - zapytał John, przerywając matce w połowie gorączkowej pochwały cudownego dnia. Siedzieli na tylnym ttawniku, gdzie April podała mrożoną herbatę - to znaczy siedzieli wszyscy prócz Johna, który krążył dokoła nich, od czasu do czasu przystając, by przez zmrużone powieki wpatrywać się gdzieś w las, daleko poza dom albo na drogę; sprawiał wrażenie, jakby w duchu roztrząsał poważne i tajemne kwestie. - We wrześniu, tak mówiliście? Nie pamiętam.

- W gruncie rzeczy termin jeszcze nie został ustalony - odparł Frank.

- Tak czy owak będziecie tu jeszcze z miesiąc, dwa, racja? Bo chodzi o to, że muszę poprosić kogoś o... - Przerwał i rozejrzał się wokół siebie zdziwiony. - Hej, a przy okazji, gdzie wy trzymacie dzieci? Staruszka Helen ciągle mi o tych dzieciach opowiada, a ja nigdzie ich nie widzę. Co niedziela chodzą na przyjęcia urodzinowe czy co?

- Dzisiaj są u przyjaciół - wyjaśniła April.

John Givings długo wpatrywał się nieruchomym wzrokiem najpierw w nią, potem we Franka. Przymknął oczy, kucnął i zaczął wyrwać źdźbła trawy.

- No tak, to ma sens - powiedział wreszcie. - Gdybym przyjmował w domu schizofrenika paranoidalnego, pewnie też bym wyprawił gdzieś dzieci. To znaczy gdybym miał dzieci. Gdybym miał dom.

- Och, cóż za wspaniała sałatka jajeczna - wtrąciła pani Givings. - Musisz mi powiedzieć, jak ją przyrządzić.

- Daj spokój, mam, dobrze? Możesz ją później o to zapytać. Posłuchaj, Wheel, sprawa jest poważna. Muszę prosić kogoś o przysługę i o ile będziecie tu jeszcze przez miesiąc, chciałbym, żebyś to był ty. To nie zabierze ci dużo czasu. Tak się zastanawiałem, czy nie mógłbyś załatwić mi prawnika.

Howard Givings odchrząknął.

- John, nie zaczynaj znowu o prawniku. Spokojnie, synu. Na twarzy Johna pojawił się wyraz człowieka, którego cierpliwość zaraz się wyczerpie.

- Tato, mógłbyś spokojnie siedzieć, jeść tę wspaniałą sałatkę jajeczną i przestać się wtrącać? Najlepiej będzie, jak wyłączysz aparat słuchowy. Chodźmy. - John zwrócił się do Franka. - Chyba lepiej będzie, jak pogadamy w cztery oczy. Och, i weź żonę. - Z miną spiskowca poprowadził ich w odległą kąt podwórza. - Właściwie nie ma powodów, żeby tego nie słyszeli, ale ciągle by nam przeszkadzali - wyjaśnił. - Rzecz w tym, że chcę się dowiedzieć, czy pensjonariusze zakładów dla psychicznie chorych mają jakieś prawa. Myślisz, że mógłbyś się tego dla mnie dowiedzieć?

- No cóż - powiedział Frank - obawiam się, że tak od ręki nie będzie to...

- Dobra, dobra, zapomnij o tym. Żeby się tego dowiedzieć, musiałbyś przypuszczalnie zapłacić. Ja proszę cię tylko o poświęcenie czasu. Zdobądź dla mnie nazwisko i adres dobrego prawnika, resztą sam się zajmę. Rozumiesz, mam sporo pytań i jestem gotów zapłacić za odpowiedzi. Myślę, że to będzie ciekawa sprawa, dotycząca praw...

Być może powodem było tylko to, że wodził wzrokiem od April do Franka, od czasu do czasu zerkając przez ramię, by sprawdzić, co na drugim końcu trawnika robią jego rodzice - być może powodem było tylko to w połączeniu z faktem, że usta miał białe i suche, a włosy sterczały mu na wszystkie strony sztywnymi kępkami (dzisiaj nie włożył czapki), ale im dłużej ciągnął swój monolog w słońcu, tym bardziej przypominał udręczonego szaleńca o dzikich oczach.

- ...Nikt nie musi mi mówić, że człowiek, który rzuca się na matkę ze stolikiem, stawia się z prawnego punktu widzenia na słabej pozycji, to oczywiste. Jeśli ją uderzy i zabije, sprawa staje się kryminalna. Jeśli łamie

stolik, przeraża ją i ona decyduje się wystąpić do sądu, sprawa jest cywilna. W porządku. W obu przypadkach facet jest na słabej pozycji, ale problem polega na czymś innym: w żadnym z tych przypadków jego prawa nie są naruszone. A teraz przypuśćmy, że miejsce ma druga z tych ewentualności. Facet nie uderzył matki, złamał stolik, przeraził ją, ale ta kobieta, matka, nie oddaje sprawy do sądu. Przypuśćmy, że zamiast tego wzywa policję. Przypuśćmy, że kiedy policja stanowa się pojawia... Tato!

Po tym pozornie bezsensownym okrzyku John zaczął się wycofywać niczym zapędzony w róg uciekinier; twarz miał wykrzywioną grymasem złości i strachu. Kiedy Frank się odwrócił, zobaczył, że przyczyną tego wybuchu jest Howard Givings, który wolno zbliżał się ku nim po trawie.

- Tato! Mówiłem, żebyś mi nie przeszkadzał, prawda? Mówiłem? I nie żartuję, tato. Nie przerywaj mi, kiedy rozmawiam!

- Spokojnie, synu - powiedział Howard Givings. - Uspokój się. Czas się zbierać.

- Nie żartuję, tato... - John oparł się o kamienny mur; rozejrzał się rozpaczliwie, jakby szukając broni, i przez sekundę Frank obawiał się, że wyrwie kamień i rzuci nim w ojca, ale Howard Givings nie przerywał swojego uspokajającego marszu. Wystarczyło, że delikatnie położył dłoń na łokciu syna, i przywrócił niejaki porządek: John wciąż krzyczał, ale bardziej teraz przypominał rozhisteryzowane dziecko niż szaleńca. - Nie przerywaj mi, to wszystko! Masz coś do powiedzenia, możesz z tym poczekać, aż ja skończę!

- W porządku, John - mruknął Howard Givings, odwracając się i prowadząc syna skrajem trawnika. - Wszystko dobrze, synu.

- Ojej - westchnęła pani Givings. - Strasznie mi przykro. To przez jego nerwy, rozumiecie. - Spoglądała na Wheelerów, śmiertelnie zakłopotana, niezdolna zdecydować, co zrobić z kanapką, którą trzymała w dłoni. - Obawiam się, że będziecie musieli... nam wybaczyć. Nie powinniśmy byli dzisiaj przychodzić.

- Boże - powiedziała April po wyjściu gości, myjąc szklanki do mrożonej herbaty. - Ciekawe, jakie on miał dzieciństwo.

- Przypuszczam, że z takimi rodzicami nie mogło być wspaniale.

Milczała, dopóki nie skończyła zmywania. Powiesiła ręcznik i dopiero wtedy rzekła:

- Ale przynajmniej miał oboje rodziców, więc w najgorszym razie musiał wyrastać w większym emocjonalnym bezpieczeństwie niż ja. Czy nie tak uważasz?

- Czyja tak uważam? Jezu, tylko spokojnie, dobrze? Ale ona już wyszła, trzaskając drzwiami z siatką na owady, by odebrać dzieci od Campbellów. Przez resztę wieczoru wydawała się spokojna i zamknięta w sobie; krzątała się, sprawnie przygotowując kolację i układając dzieci do snu. Frank pilnował się, by nie wchodzić jej w drogę. Wszystko wskazywało na to, że to będzie jeden z tych cichych wieczorów, kiedy oboje czytają gazety w różnych częściach pokoju niczym dyskretni, uprzejmi nieznajomi w hotelowym holu, ale o dziesiątej April bez ostrzeżenia złamała zawieszenie broni.

- Rodzaj wypierania kobiecości - powiedziała. - Tak to ująłeś?

- Co jak ująłem? O czym ty mówisz?

Wyglądała na zirytowaną, jakby niecierpliwiło ją, że Frank nie potrafił podążać za tokiem rozmowy.

- No wiesz. Psychologiczne motywy kryjące się za aborcją. Czy nie to wyrażają kobiety, kiedy nie chcą mieć dzieci? Że nie są prawdziwymi kobietami, nie chcą nimi być albo coś w tym rodzaju?

- Dziecinko, nie wiem - odparł spokojnie, choć serce wypełniła mu wdzięczność. - Wierz mi, w tej kwestii twoje przypuszczenia są równie dobre jak moje, choć oczywiście jest w tym pewna logika? Pamiętam, jak gdzieś czytałem (och, u Freuda, Krafft-Ebinga albo innego z tej paczki; to było jeszcze w college'u), pamiętam, że czytałem o kobiecie, która infantylną zazdrość o penisa przeniosła w dorosłe życie. To podobno dość powszechne wśród kobiet, sam nie wiem. Tak czy owak kiedy zachodziła w ciążę, starała się jej pozbyć, a ten facet wykombinował, że w gruncie rzeczy usiłowała się otworzyć, żeby... no wiesz... żeby penis mógł zwisać tam, gdzie powinien. Nie jestem pewien, czy dobrze powtarzam, czytałem to dawno temu, ale generalnie taki był sens. - W rzeczywistości nie był pewien, czy w ogóle to czytał (chociaż skąd wiedziałby o tym, gdyby nie czytał?), i nie był przekonany, czy rozsądną rzeczą jest powtarzanie tej historii akurat teraz.

April sprawiała jednak wrażenie, że przyjęła jego słowa bez szczególnego zdziwienia. Spoglądała w przestrzeń, opierając brodę na dłoniach, a łokcie na kolanach. Wyglądała na skonsternowaną, to wszystko.

- Tak czy owak - ciągnął Frank - podejrzewam, że błędem jest wyciąganie własnych wniosków z lektur. Kto wie? - Uznał, że powinien w tym miejscu się zatrzymać i pozwolić jej mówić, ale ona milczała, a ta cisza domagała się wypełnienia. Podjął więc: - Choć zdroworozsądkowo możemy założyć, że dziewczęta w większości faktycznie pragną być chłopcami, to z czasem pozbywają się tego pragnienia, obserwując i podziwiając matki; no wiesz, chcą zdobyć mężczyznę, mieć swój dom, dzieci i tak dalej. Ale ty od samego

początku pozbawiona zostałaś całej tej strony życia, całego wymiaru doświadczeń. Nie wiem, wszystko to jest dość mgliste i trudne do... trudne do zdefiniowania.

April wstała i podeszła do regału z książkami. Stała plecami do Franka, któremu przypominało to dzień, gdy po raz pierwszy zobaczył ją na drugim końcu pokoju pełnego zapomnianych rozmówców w Morningside Heights: wysoką, dumną dziewczynę, wyjątkowo pierwsza klasa.

- Jak go znajdziemy? - zapytała. - To znaczy psychiatrę. Przecież większość z nich to szarlatani, tak się powszechnie uważa, prawda? Choć przypuszczam, że to akurat nie jest problem.

Frank wstrzymał oddech.

- Zgoda - powiedziała April. Oczy błyszczały jej od łez, gdy się ku niemu odwróciła. - Chyba masz rację. Chyba niewiele pozostało do dodania.

Kiedy nocą leżał obok niej, raz po raz budząc się z drzemki, wiedział, że kampania wcale nie dobiegła końca. Pozostało jedenaście dni i April w każdej chwili mogła nagle zmienić zdanie. Przez te jedenaście dni musi w jej obecności okazywać niezwykłą czujność, na podreździu mając argumenty przygotowane do natychmiastowego użycia.

Teraz czekała go praca skonsolidowania delikatnego zwycięstwa. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli wszystkim - Campbellom, całej reszcie - natychmiast da znać o zmianie ich planów, tak by kwestię wyjazdu Wheelerów do Europy można było szybko przenieść w czas przeszły, na razie natomiast nie może pozwolić, by najmniejsza oznaka samozadowolenia podkopała jego pozycję. Dopóki niebezpieczny okres nie minie, będzie musiał stale być pod ręką jako źródło pewności i otuchy. Na początek postanowił, że nie pójdzie do pracy.

Rozdział drugi

Nie jedziemy? - zapytała Jennifer tamtego popołudnia. W strojach kąpielowych, z ręcznikami narzuconymi na ramiona niczym peleryny stali z Michaeliem w salonie. Bawili się pod spryskiwaczem na trawniku, kiedy matka zawołała ich do domu, „żeby wyschli, napili się mleka i zjedli ciasteczka”, choć okazało się, że także i po to, by wysłuchali oficjalnego komunikatu obojga rodziców, że jednak nie jadą do Francji. - Nie? Jak to się stało?

- Ponieważ tatuś i mamusia uznali, że teraz lepiej będzie, jeśli zostaniemy - odparła April. Uzgodnili tę odpowiedź kilka minut wcześniej (na razie nie miało sensu mówić im o dziecku); słowa zabrzmiały sztywno i sztucznie, spróbowała więc odebrać im to brzmienie, dodając bardzo łagodnie: - I tak to się stało.

- Och. - Neutralny wyraz twarzy obojga dzieci podkreślało jeszcze to, że oczy wciąż miały oślepione od słońca, a usta, ozdobione mlecznymi wąsami, były sine od zbyt długiego przebywania w wodzie. Jennifer uniosła gołą stopę, by podrapać się w bąbel po ukąszeniu komara na kostce drugiej nogi.

- I nic więcej nie macie do powiedzenia? - zapytał Frank z większą jowialnością, niż zamierzał. - Nawet nie krzykniecie „Hurra!” ani nic w tym rodzaju? Myśleliśmy, że się ucieszycie.

Dzieci spojrzały po sobie i uśmiechnęły się wstydliwie. Ostatnimi czasy obojgu coraz trudniej było odgadnąć, czego rodzice od nich oczekują. Jennifer wytarła ślad po mleku.

- W takim razie jedziemy do Francji później czy co?

- Cóż - odparła matka. - Może. Zobaczymy. Ale na pewno długo nie pojedziemy, więc nie musicie więcej o tym myśleć.

- Więc zostajemy tutaj - stwierdziła Jennifer z nadzieją - ale nie na zawsze.

- Tak to mniej więcej wygląda, Niffer. Dajcie teraz oboje mamusi całuska, a potem może wyjdziecie na słońce? I nie wchodźcie od razu do wody, dobrze? Usta macie sine. Jeśli chcecie, możecie wziąć więcej ciasteczek.

- Wiesz, co możemy zrobić, Niffer? - powiedział Michael, kiedy wyszli za próg. - Znasz to miejsce w lesie, gdzie zważyło się wielkie drzewo? Ma taką gałąź, na której można usiąść i urządzić pijalnię soków. Zabierzemy ciastka, ty będziesz panią, która przysłała po sok, a ja będę cię obsługiwał.

- Nie chce mi się.

- Chodź. Powiem: „Co chciałaby pani dzisiaj zjeść?” i ty odpowiesz: „Proszę o ciasteczko”, i wtedy ja...

- Mówiłam, że mi się nie chce. Jest za gorąco.

Jennifer usiadła daleko od brata na spalonej słońcem trawie. Dlaczego „teraz lepiej będzie, jak zostaniemy”? I dlaczego mama miała taką śmieszna, smutną minę, kiedy powiedziała: „Tak to mniej więcej wygląda”? I dlaczego tata nie poszedł do pracy, choć wcale nie jest chory?

Michael, skończywszy jeść, pobiegł jak szalony na szczyt schodzącego zboczem frontowego trawnika, machając ramionami.

- Patrz na mnie, Jennifer, patrz na mnie, patrz, zaraz padnę trupem! - Zatokował się i przewrócił, przetoczył kilka razy, po czym znieruchomiał w trawie. Śmiał się do siebie, przekonany, że to musiało być bardzo zabawne. Ale Jennifer na niego nie patrzyła. Podeszła do okna widokowego i zajrzała do salonu.

Rodzice wciąż siedzieli na sofie, lekko ku sobie nachyleni. Matka potakiwała, ojciec mówił. Śmiesznie było patrzeć na jego dłonie wykonujące drobne gesty w powietrzu, na poruszające się usta, z których nie dobiegał żaden dźwięk. Po chwili matka poszła do kuchni, a ojciec został sam. W końcu wstał i ruszył do piwnicy po łopatę, żeby zająć się kamienną ścieżką.

- Och, sama nie wiem, czy cieszyć się, czy smucić - powiedziała kilka dni później Milly Campbell, sadowiąc się na sofie. - To znaczy wiem, że dla was to strasznie przykre i pewnie jesteście bardzo rozczarowani, ale ja osobiście bardzo się cieszę. A ty, kochanie?

Shep, łyknąwszy dzinu z tonikiem tak energicznie, że kostki lodu odbiły mu się boleśnie od przednich zębów, potwierdził, że on też.

Prawdą jednak było to, że niczego nie był pewien. Od wielu tygodni usiłował wyrzucić April Wheeler z myśli i pocieszał się marzeniami o tym, co będzie za dziesięć lat: Wheelerowie wracają z Europy, Campbellowie czekają na nich w porcie; April schodzi po trapie, a on widzi, że przez dekadę zarabiania na życie przytyła i straciła figurę. Policzki jej obwisły, poruszała się jak mężczyzna, przemawiała tonem sarkastycznym z papierosem zwisającym jej z ust i przymrużonymi oczami. Gdy wizja bledła, zadowalał się jednostronnym katalogowaniem jej obecnych niedoskonałości (za szerokie biodra, zbyt piskliwy głos w chwilach irytacji, nuta nerwowości i sztuczności w uśmiechu), i widząc ładną dziewczynę na plaży albo na ulicy, kiedy stał na światłach w drodze do Stamford i z powrotem, wykorzystywał ową listę do umocnienia swej wiary, że świat jest pełny śliczniejszych, inteligentniejszych, bardziej eleganckich i godnych pożądania kobiet niż April Wheeler. A równocześnie okazywał Milly większe niż zwykle przywiązanie. Prawił jej dworne komplementy, podarował kosztowną bluzkę z najlepszego sklepu w Samford („Co to znaczy: z jakiej okazji? Bo jesteś moją dziewczyną, z

takiej...") i rozkoszował się wrażeniem, że przy dotyku jego dłoni żona rozkwita nowym spokojem.

Ale teraz wszystko to zdało się psu na budę. Wheelerowie nigdzie się nie wybierali. Milly plotła o ciąży i niemowlętach, w jej nowej bluzce już brakowało guzika i pod pachami miała szare plamy, a April Wheeler była opanowana i piękna jak zawsze. Shep odchrząknął.

- Więc zamierzacie zostać tu na czas nieokreślony? - zapytał. - Albo zmienicie dom na większy?

- Ach - powiedział Jack Ordway. - No tak. Plany pokrzyżowane niechcianym poczęciem. Cóż, Franklinie, nie mogę powiedzieć, że jest mi przykro. Bardzo by cię brakowało w tym starym boksie, tego możesz być pewien. Poza tym... - Odchylił się elegancko na trzeszczącym krześle obrotowym i położył stopę na kolanie. - ..poza tym wybac, ale cały ten europejski plan brzmiał cokolwiek... cokolwiek nierealistycznie. To naturalnie nie mój interes.

- Przystaw sobie krzesło, uch, Frank - powiedział Bart Pollock. - Co cię gryzie?

Był najgorętszy dzień toku, w rodzaju tych, kiedy wszyscy na Piętnastym Piętrze powtarzają, co to za skandal, żeby firma tak wielka jak Knox nie miała klimatyzacji, mimo to Frank spodziewał się, że w gabinecie Pollocka na Dwudziestym Piętrze będzie nieco chłodniej. Wyobrażał też sobie, że Pollock powita go na stojąco, może nawet podejdzie z wyciągniętą ręką, a gdy tylko uporają się z grzecznościami („Frank, to absolutna sensacja...”), zajmą się interesami przy szklaneczce toma Collinsa w jakimś klimatyzowanym barku. Tymczasem siedzieli sztywni i spoceni pod irytująco szumiącym wentylatorem. Pokój był mniejszy, niż wydawał się z zewnątrz, a Pollock, ubrany w zaskakująco tanią letnią koszulę, przez którą wyraźnie przebijał wilgotny podkoszulek, wyglądał bardziej na znużonego komiwojażera niż członka zarządu wielkiej korporacji. Na jego biurku, acz odpowiednio szerokim i wyposażonym w szklany blat, wznosiło się tyle samo nieporządných stosów papieru co na biurku Franka. Jediną ozdobą sugerującą wygody związane z funkcją była taca z korka i srebra, na której stały pękaty termos z lodem i dzbanek, przy bliższym badaniu okazało się jednak, że naczynia pokryte są grubą warstwą kurzu.

- Mhm - mruknął Pollock, kiedy Frank skończył. - To dobrze. Osobiście bardzo jestem zadowolony, że podjąłeś taką decyzję. Oczywiście, tak jak ci mówiłem... - Zamknął wytrzeszczone oczy i delikatnie potał powieki. To nie oznaczało, że cokolwiek zapomniał, Frank widział to wyraźnie. Wszystko było

w porządku. Chodziło tylko o to, że nikt nie mógłby tryskać radością w pokoju takim jak ten, w dzień taki jak dzisiejszy, a poza tym w końcu rozmawiali o interesach. - Tak jak wspomniałem wtedy na lunchu, projekt wciąż znajduje się na etapie przygotowawczym. Jak sprawa zacznie nabierać konkretnych kształtów, będę cię wzywał na konferencje; na razie proponuję, żebyś pracował nad tymi... no wiesz, broszurami promocyjnymi. Zadzwońię do Teda i powiem mu, że wykonujesz dla mnie robotę. Na razie nic więcej nie musi wiedzieć. Zgoda?

- Co zmieniliście? - zapytała pani Givings, ze strachem wpatrując się w czarną perforację telefonu. Była na skraju wyczerpania po ponurym i bardzo męczącym dniu, przy czym całe popołudnie spędziła w Greenacres, najpierw na rozmaitych ławkach w wypastowanych i zdezynfekowanych korytarzach niezdolnie długo wyczekiwała na spotkanie z lekarzem Johna, później z wymuszoną uprzejmością siedziała przed jego biurkiem i słuchała, że zachowanie Johna w ciągu ostatnich kilku tygodni „nie było zbyt obiecujące, obawiam się” oraz „myślę, iż lepiej wstrzymamy się z tymi wyjazdami na jakieś pięć, sześć tygodni”.

- Ale on z nami zachowuje się bardzo dobrze - skłamała. - Właśnie to chciałam panu powiedzieć. Och, tak jak mówiłam, ostatnim razem sprawy trochę wymknęły się spod kontroli, ale generalnie rzecz biorąc, John wydaje się bardzo zrelaksowany. Bardzo radosny.

- Tak. Niestety możemy postępować wyłącznie na podstawie naszych własnych obserwacji czynionych tutaj, na oddziale. Proszę mi powiedzieć, jaką John prezentuje postawę na zakończenie tych wizyt? Co czuje na myśl o powrocie do szpitala?

- Nie mógłby zachowywać się lepiej. Naprawdę, doktorze, okazuje gotowość do współpracy i jest łagodny jak baranek.

- Tak. - Lekarz przesunął palcami po swojej obrzydliwej spince do krawata. - No cóż, prawdę mówiąc, przypuszczalnie zdrowszym objawem byłaby niechęć. Powiedzmy... - Ze zmarszczonym czołem spojrział na kalendarz. - Powiedzmy, że poczekamy do pierwszej niedzieli września. Wtedy możemy znowu spróbować.

Równie dobrze mógłby powiedzieć „nigdy”. W pierwszą niedzielę września wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Wheelerowie będą w drodze na drugi koniec świata. Śmiertelnie zmęczona, zadzwoniła do Wheelerów, żeby odwołać następną wizytę (na następne niedziele będzie musiała znaleźć jakiś pretekst), a April Wheeler, która głos miała zduszony i odległy, próbowała powiedzieć jej, że coś się zmieniło. Dlaczego wszystko się zmienia, skoro człowiek wyłącznie

pragnie i tylko o to pokornie prosi Boga, kimkolwiek On jest, żeby pewne rzeczy pozostały niezmienione?

- Co zmieniliście?... - I nagle pani Givings znowu poczuła, jak krew rażąco krąży jej w żyłach. - ... Och, zmieniliście plany. W takim razie nie będziecie sprzedawać... - Zaczęła rysować pięcioramienne gwiazdy w notatniku z taką siłą, że ich radosne kształty odbiły się na wszystkich stronach. - Och, tak się cieszę, że to słyszę, April. Naprawdę, to najlepsza wiadomość od nie wiadomo jak długiego czasu. Więc zostaniecie z nami... - Bała się, że wybuchnie płaczem, ale na szczęście April przepraszała ją za „trud, jaki sobie zadałaś z wystawianiem domu na sprzedaż”, co pozwoliło jej przybrać zbroję opanowanej, tolerancyjnej kobiety interesu. - Och, nawet o tym nie wspominaj. To nie był żaden kłopot, naprawdę... W takim razie w porządku... Bardzo dobrze, April... Dobrze. Będziemy w kontakcie.

Kiedy odłożyła słuchawkę, czuła się tak, jakby odkładała rzadki i wspaniały klejnot do wyłożonej aksamitem szkatułki.

Koszmarne sen albo przeraźliwy głos ptaka, a może jedno i drugie obudziło go zbyt wcześnie i napełniło lękiem, poczuciem, że następny oddech, następne mrugnięcie powiekami przywróci wiedzę o żalu, o złych wieściach z dnia wczorajszego, które sen tylko chwilowo złagodził. Musiała minąć co najmniej minuta, nim sobie przypomniał, że wieść jest dobra, nie zła: wczoraj skończył się pierwszy tydzień sierpnia. Termin ostateczny minął. Dyskusja dobiegła końca, on zwyciężył.

Podparł się na łokciu, by spojrzeć na nią w niebieskawym świetle - leżała plecami do niego z twarzą ukrytą pod zmierzwionymi włosami - po czym umościł się koło niej, przytulając ją do siebie. Przywołał na twarz zadowolony uśmiech, ułożył ciało w pozycji całkowitego spokoju, ale na próżno. Pół godziny później wciąż nie spał, marzył o papierosie i patrzył, jak niebo rozjaśniają pierwsze promienie słońca.

Dziwne, ale przez ostatni tydzień nawet o tym nie wspomnieli. Codziennie wracał do domu, gotów zbijać podniesione przez nią w ostatniej chwili argumenty (ograniczył nawet picie, żeby mieć jasny umysł), ale co wieczór rozmawiali o innych sprawach albo wcale nie rozmawiali. Wczoraj wieczorem April rozłożyła deskę do prasowania przed telewizorem i co kilka sekund unosiła wzrok znad parującego pod rozgrzanym żelazkiem prania, ze zmarszczonym czołem zerkając na cętkowane obrazy brykające po ekranie.

„Po co chcesz rozmawiać?”, zdawał się mówić jej profil w odpowiedzi na jego niespokojne spojrzenia rzucane z drugiej strony pokoju. O czym jeszcze mielibyśmy rozmawiać? Czy nie dość się nagadaliśmy?

Kiedy wreszcie wyłączyła telewizor i złożyła deskę, Frank podszedł do niej i dotknął jej ramienia.

- Wiesz, co mamy?

- Co mamy? O czym mówisz?

- Dzisiaj jest ostatni dzień... no wiesz. Gdybyś się zdecydowała, dzisiaj byłby ostatni dzień na zrobienie tego.

- Och. No tak.

Poklepał ją, czując się niezręcznie.

- Nie żałujesz?

- Cóż, chyba lepiej, żebym nie żałowała, zgadzasz się? Teraz trochę na to za późno. - Podniosła deskę i niezgrabnie, z objającą się jedną nogą, poniosła w stronę kuchni. Była już prawie w drzwiach, kiedy wpadło mu do głowy, że powinien jej pomóc. Zerwał się z miejsca.

- Daj mi to.

- O, dziękuję.

W łóżku kochali się rozsądnie, umiarkowanie, dojrzałe. Zanim zasnął, powiedział: - Posłuchaj, wszystko będzie dobrze.

- Mam nadzieję - szepnęła. - Bardzo na to liczę. Później zasnął, a teraz się obudził.

Wstał i cicho ruszył po pokojach. Był piękny poranek i kuchnia płonęła wszystkimi kolorami wschodzącego słońca, a kalendarz utracił swoją moc. Wisiał dzięki uprzejmości A. J. Stolpera i Synów, dokument użyteczny wyłącznie przy płaceniu rachunków i ustalaniu wizyt u dentysty. Teraz dni i tygodnie mogą mijać, i nikt nie będzie na to zwracał uwagi; miesiąc odejdzie, nim komuś wpadnie do głowy, żeby zerwać kartę.

Franklin H. Wheeler nalał sobie do szklanki lodowatego soku pomarańczowego barwy słońca i sącył go wolno przy kuchennym stole, w obawie, że zrobi mu się niedobrze, gdyby wypił go jednym haustem. Wygrał, choć wcale nie czuł się jak zwycięzca. Udało mu się wyprostować kurs życia, ale sam czuł się bardziej niż zwykle ofiarą obojętności świata. To nie było sprawiedliwe.

Siedząc przy stole, z wolna porządkował i rozpoznawał myśl dręczącą go po obudzeniu, przez którą dławił go sok, która przeszkadzała mu cieszyć się. wspaniałą trawą, drzewami i niebem za oknem.

Miało mu się urodzić następne dziecko, a on wcale nie był pewien, czy chce następnego dziecka.

- „Wiedząc, przecinek, czym dysponujesz, przecinek” - powiedział ludzki głos z taśmy w dyktafonie - „wiedząc, przecinek, czym dysponujesz, przecinek,

wiedząc przecinek, bez czego możesz się obejść, myślnik. Na tym polega kontrola zapasów, kropka. Od nowego akapitu..."

Nieoczekiwanie minął środek sierpnia, dwa tygodnie upłynęły od jego ostatniej rozmowy z Pollockiem; czas znowu zaczął przeciekać mu przez palce teraz, gdy przewyciężył potrzebę dzielenia go i odmierzania. „Chcesz powiedzieć, że już jest piątek?”, pytał w dzień, który wydawał mu się wtorkiem albo środą, i dopiero dzisiaj, w porze lunchu przechodząc obok okna wystawowego ozdobionego jesiennymi liśćmi i napisem „WITAJ SZKOŁO”, uświadomił sobie, że lato się skończyło. Wkrótce ludzie zaczną wkładać płaszcze, a potem nadejdzie Boże Narodzenie.

- Najważniejszą rzeczą, którą teraz muszę zrobić - wyjaśnił niedawno żonie - jest skończenie serii „Skoro mowa o”. No wiesz, nie mogę rozmawiać z nim o pieniądzach, dopóki się z tym nie uporam, zgadzasz się?

- Nie, chyba nie. Ty wiesz najlepiej.

- Cóż, nie mogę. Oboje nie możemy oczekiwać cudów z dnia na dzień, tego rodzaju spraw nie da się przyspieszyć.

- Czyja cię poganiam? Naprawdę, Frank, na ile sposobów mam to powtórzyć? To zależy wyłącznie od ciebie.

- Wiem, wiem, jasne. Tak czy owak chcę skończyć tę przekłętą serię jak najszybciej. W tym tygodniu pewnie kilka raz) zostanę dłużej w pracy.

Od tamtego dnia zostawał dłużej w pracy niemal codziennie. Samotne kolacje w mieście i wieczorne spacerowanie na dworzec sprawiały mu przyjemność, dawały miłe poczucie niezależności, wolności od rutyny dojeżdżającego, a poza tym były stosownym ćwiczeniem do nowego, dojrzałego, niesentymentalnego rodzaju małżeństwa, które niewątpliwie od tej chwili stało się ich udziałem.

Jedyny problem polegał na tym, że druga broszura z serii „Skoro mowa o” okazała się o wiele trudniejsza od pierwszej. Przygotował już dwie wersje i za każdym razem odkrywał potężne błędy w logice lub rozłożeniu akcentów, które domagały się przeredagowania całości.

Zegar wskazywał za piętnaście szósta, kiedy słuchał trzeciej i ostatecznej redakcji. Cisza za drzwiami boksu dowodziła, że nawet najbardziej skrupulatni pracownicy z Piętnastego Piętra poszli już do domu, a wkrótce zjawia się plutony sprzątaczek z mopami i wiadrami. Gdy taśma dobiegła końca, Frank poczuł miłe uniesienie. Materiał nie był rewelacyjny, ale też nie najgorszy. Teraz może ruszyć do śródmieścia i przed kolacją wypić kilka drinków.

Wstał i nachylił się, by wyłączyć dyktafon, gdy w alejce rozległ się delikatny stukot kobiecych obcasów. Od razu wiedział, że to Maureen Grube, która

specjalnie została, żeby być z nim sam na sam, wiedział też, że zabierze ją na kolację. Wydało mu się, że niezwykle ważne jest, by nie patrzeć otwarcie na alejkę, gdy Maureen przechodziła obok, dlatego pozostał schylony nad dyktafonem, zerkając ukradkiem na drzwi. To istotnie była Maureen, wystarczył rzut oka, by go w tym utwierdzić. Zdażył jeszcze dostrzec rąbek halki przy każdym kroku ładnie prześwitujący przez rozcięcie w spódnicy oraz to, że twarz miała równie dyskretnie odwróconą jak on, nie ośmielając się wprost spojrzeć na niego.

Jej kroki oddaliły się; Frank spokojnie czekał na ich powrót, naciskając klawisz „start” i sadowiąc się wygodnie na krześle. W ten sposób mógł patrzeć na alejkę, pograżony bez reszty w pracy, kiedy Maureen znowu nadeszła.

- Kopia do przepisania - rozległo się z dyktafonu. - „Tytuł: A skoro mowa o kontroli zapasów nawias okrągły wersja trzecia. Nowy akapit. Wiedząc, przecinek, czym dysponujesz, przecinek, wiedząc, przecinek, czego ci potrzeba, przecinek, wiedząc, przecinek, bez czego możesz się obejść, myślnik, oto...”

- Och. - Stała na linii jego wzroku; starannie przybrany wyraz zaskoczenia został poniekąd unieważniony głębokim, sprawiającym wrażenie permanentnego rumieńcem, który oblał jej twarz i szyję. - Witaj, Frank. Pracujesz do późna?

Wyłączył dyktafon i wolno wstał, po czym ruszył ku niej swobodnym, niemal sennym krokiem człowieka, który dobrze wie, co robi.

- Witaj - powiedział.

W każdy piątek i sobotę kwartet Steve'a Kovicka grał „Taneczne kawałki” w Vito's Log Cabin przy dwunastce i w te dwa wieczory knajpa naprawdę skakała (jak Steve sam lubił powtarzać, mrugając znacząco ponad krawędzią szklanki z whisky i piwem imbirowym).

Rozdział trzeci

Pianista, basista, saksofonista tenorowy i perkusista byli dumni ze swych umiejętności. Mogli zagrać wszystko w każdym dowolnym stylu, a sądząc po zachwycie malującym się w ich oczach, nie znali sensu wyrażenia „marni grajkowie”. W przypadku trzech członków kwartetu taką nieznajomość rzeczy dało się wytłumaczyć argumentami o braku doświadczenia, amatorstwie albo jednym i drugim, aczkolwiek trudniej było ją zrozumieć w przypadku lidera, który grał na perkusji. Przysadzisty, tępy, z siną szczęką, dobiegający czterdziestki, był zawodowym muzykiem od dwudziestu lat, choć nigdy nie nauczył się dobrze swojego rzemiosła. Artystycznego przebudzenia doznał przy wczesnych nagraniach i filmach Gene'a Krupy, nimi też się karmił i najszcześniejsze godziny swej młodości spędził w transie pełnego uwielbienia naśladownictwa, najpierw bijąc w książki telefoniczne i odwrócone garnki, później siedząc przy prawdziwej perkusji pośród zapachów potu i maści unoszących się w sali gimnastycznej liceum, do którego chodził. Pewnego czerwcowego wieczoru w ostatniej klasie, kiedy reszta zespołu przestała grać i setki par znieruchomiały na parkiecie, Steve Kovick odczuł ciężar ich entuzjazmu na swej rozkołysanej, poruszającej szczękami głowie, bijąc w bębny przez całe trzy minuty. Ale wspaniały trzask talerzy, którymi zakończył ten występ, znaczył szczyt i upadek jego talentu. Nigdy więcej nie zagrał tak dobrze, nigdy więcej nie zdołał wzbudzić takiego podziwu, nigdy też nie stracił żarliwego przekonania, że jest wybitny i ciągle doskonali swoje umiejętności. Nawet teraz, choć występował w takiej podłej knajpie serwującej pizzę i piwo jak Vito's Log Cabin, był rodzaj nonszalanckiego majestatu w sposobie, w jaki zajmował miejsce, poprawiał układ pałeczek, pędzelków i talerzy, a potem ze zmarszczonymi brwiami spoglądał na salę i pytał, czy światła nie można by przesunąć o cal; i była wyrafinowana protekcyjność w jego grze, gdy wybijał rytm w otwierających wieczór fokstrotach albo potrzasał tykwami w latynoskich interludiach; każdy widział, że zabija tylko czas w oczekiwaniu na chwilę, gdy będzie mógł powiedzieć chłopakom, że zaczynają jeden ze staroświeckich skocznych numerów Benny'ego Goodmana.

I tylko wtedy, raz albo dwa na godzinę, oddawał się bez reszty swojej pracy. Machając pałeczkami, jakby chciał trafić w uszy wszystkich obecnych na sali, szalał na werblu i bębnie w triumfalnym poczuciu fałszywej wirtuozerii, aż włosy miał mokre od potu. Kończył bez sił, szczęśliwy jak dziecko.

Na wieczory taneczne w Log Cabin przychodzili głównie uczniowie ostatniej klasy liceum (to był najgorszy zespół na świecie, ale jedyna muzyka

na żywo w promieniu wielu mil, poza tym w knajpie przymykali oko na przepisy, sprzedawali piwo, nie pytając o wiek, i mieli przyjemny, mroczny parking) oraz sklepikarze i budowlańcy, którzy obejmując żony, ciągle się śmiali i powtarzali, że na widok bawiącej się młodzieży sami czują się młodzi. Czasami trafiał się też trudny element, chłopcy w czarnych skórzanych kurtkach i wysokich butach, którzy z kciukami wetkniętymi w dżinsy tłoczyli się w śmierdzącym uryną kacie koło męskiej toalety, obserwując dziewczęta przez złośliwie przymrużone oczy i regularnie odwiedzając łazienkę, by przeczesać włosy; na swoich miejscach siedzieli stali bywalcy, samotni, w średnim wieku i wyraźnie bezdomni, bez partnerów albo tkwiący w niedobrych małżeństwach, którzy niezależnie od tego, czy grał zespół czy nie, przychodzili do Log Cabin co wieczór, by pić i rozczulać się pod upstrzonym muchami, przekrzywionym lustrem za barem w stylu wiejskim.

W ciągu ostatnich dwóch lat wśród tanecznego tłumu kilka razy pojawiło się czworo rozbawionych młodych ludzi, których nie można było przypisać do żadnej konkretnej grupy: byli to Campbellowie i Wheelerowie. Frank odkrył lokal niedługo po przeprowadzce na wieś; trafił tu po kłótni z żoną, szukając miejsca, gdzie można się upić, i szybko przyprowadził ją na tańce, gdy stosunki między nimi uległy poprawie.

- Byliście kiedyś w Log Cabin? - zapytał Campbellów na początku znajomości.

- O nie, kochanie, na pewno by im się nie spodobało. Tam jest okropnie - odparła wtedy April.

Campbellowie spoglądali na nich z niepewnymi uśmiechami, gotowi okazać niechęć, sympatię lub jakiegokolwiek inne nastawienie, które najbardziej zadowoli Wheelerów.

- A ja uważam, że wręcz przeciwnie - upierał się Frank.

- Idę o zakład, że by im się spodobało. Rzecz w tym, że ten lokal wymaga specyficznego gustu. Rozumiecie - wyjaśnił wreszcie - w Log Cabin jest tak okropnie, że aż przyjemnie.

Na początku, wiosną i latem roku 1953, wpadali do Log Cabin co jakiś czas, traktując to jako odpoczynek od ambitniejszych form rozrywki, ale następnego lata wizyty w barze stały się rodzajem taniego, brzydkiego nałogu i właśnie świadomość owej szczególnej degeneracji na równi z innymi powodami sprawiła, że zimą pomysł Laurel Players wydał się im niezwykle pociągający. Kiedy rozpoczęły się próby do Skamieniałego lasu, drastycznie ograniczyli wizyty w Log Cabin (były inne, spokojniejsze miejsca, w których zatrzymywali się na drinka w drodze ze szkoły do domu), a podczas długiego, niespokojnego

okresu po porażce spektaklu wcale tu nie przychodzili - niemal tak, jakby przekroczenie progu oznaczało przyznanie się do moralnej klęski.

Tego wieczoru jednak, kiedy wszystkie próby nawiązania rozmowy w salonie Campbellów rwały się i zamierały, Frank powiedział:

- A, do diabła, czemu nie jedziemy do Log Cabin?

Tak więc byli tu, czworo spokojnych ludzi, którzy zamawiali kolejkę za kolejką, raz po raz wychodzili na parkiet, a po powrocie do stolika w milczeniu słuchali głośnej muzyki. Mimo całej niezręczności wieczór dziwnie wolny był od napięcia, tak w każdym razie wydawało się Frankowi. April, zamknięta w sobie i enigmatyczna, odseparowała się od reszty towarzystwa jak w najgorszych czasach, różnica wszakże polegała na tym, że teraz nie zamierzał się tym przejmować. Dawniej pewnie usta by mu się nie zamykały i szczęki bolały od śmiechu, tak bardzo by mu zależało na pełnym uczucia spojrzeniu żony, albo próbowałby swoim ożywieniem wynagrodzić Campbellom jej arogancję (bo do tego się to sprowadzało, gdy pośród gawiedzi siedziała niczym królowa z długą szyją i przymkniętymi powiekami - do czystej cholernej arogancji), dzisiaj natomiast był zrelaksowany, jedną ręką lekko stukał w rytm uderzeń Steve'a Kovicka i okazywał niezbędne minimum zaangażowania w rozmowę, snując własne myśli.

Jego żona jest nieszczęśliwa? Fatalnie, ale to w końcu jej problem. On też ma kilka problemów. Ten rzeczowy tok myśli, niezmacony wyrzutami sumienia czy dezorientacją, był nowy i równie wygodny jak lekki jesienny garnitur (z wełnianej gabardyny w miłym odcieniu brązu, młodsza i bardziej elegancka wersja garnituru Barta Pollocka). Podjęcie na nowo sprawy z Maureen przywróciło mu szacunek do siebie, tak że twarz, którą ostatnio widywał w mijanych lustrach, spoglądała na niego spokojnie i bez zakłopotania. Trudno by ją uznać za twarz bohatera, ale nie należała też do użalającego się nad sobą chłopca czy udręczonego troskami męża; była to opanowana twarz mężczyzny, który na głowie ma kilka ważnych spraw, i przypadła Frankowi do gustu. Romans z Maureen należy elegancko zakończyć (spełnił swój cel), na razie jednak czuł, że ma prawo go smakować. I robił to teraz, erotyczny rytm palców Steve'a Kovicka przypominał mu o jej biodrach; wpatrując się obojętnie w wirujące na parkiecie pary, pogrążył się we wspomnieniach.

W czasie trzech ostatnich spotkań nie mogli pójść do jej mieszkania, ponieważ współlokatorka była w domu, ale Maureen z zaskakującym zapałem godziła się, by zabrał ją do hotelu. Anonimowi i bezpieczni za zamkniętymi solidnie drzwiami w klimatyzowanym wieżowcu, jedli zamówione do pokoju

kotlety jagnięce i pili wino przy wtórze szumu, który dobiegał z ulicy położonej dwadzieścia pięter niżej; baraszkowali na szerokim łożu i pławili się w parującej wytwornej łazience wyposażonej w metry bieżące ręczników. Za każdym razem, kiedy Frank zęgnął się z Maureen i wsadzał ją taksówki, a sam szedł na Grand Central, miał ochotę śmiać się głośno na myśl, że tak idealnie zrealizował standardowe marzenie żonatego mężczyzny. Bez zamętu, bez komplikacji, wszystko zostaje w pokoju wynajętym na cudze nazwisko, a w dodatku jeszcze jest czas, by złapać pociąg o dziesiątej siedemnaście. To było za dobre, żeby było prawdziwe, jak niewiarygodne historyjki starszych, bardziej doświadczonych żołnierzy, którzy opowiadali o trzydniowych przepustkach z dziewczętami z Czerwonego Krzyża. Oczywiście to nie może zbyt długo trwać - i nie będzie. Na razie...

Na razie z uprzejmości tańczył z Milly Campbell. Przebrzmiała długa, powolna melodia, zaczęła się następna. Milly była niczym wilgotny, niechlujny pakunek w jego objęciach i przez cały czas mówiła („Ojej, Frank, wiesz co? Chyba od lat tyle nie wypiałam...”), ale Frank obawiał się, że gdyby poprosił April, powiedziałyby tylko: „Tu jest strasznie, proszę, wracajmy do domu”, a on nie miał na to ochoty, chociaż nie miałby nic przeciwko samotnemu powrotowi do domu, gdyby było to możliwe (miał przyjemną wizję, jak po kawalersku przygotowuje się do łóżka z książką i szklaneczką na nocnym stoliku); w tej sytuacji całkiem odpowiadała mu ta zatłoczona, pełna życia knajpa, gdzie alkohol był tani, zespół grał głośno, a on czuł wewnętrzny spokój, który brał się ze świadomości, że ma na sobie nowe, doskonale dopasowane ubranie.

- Ojej. Jasny gwint, Frank, obawiam się, że nie jestem... przepraszam na moment. - Milly żałośnie rzuciła się w stronę damskiej toalety dając Frankowi okazję do wypicia z godnością samotnego drinka przy barze. Kiedy po długiej chwili wróciła, w błękitnym świetle wyglądała na wyczerpaną i poszarzałą.

- O rety - powiedziała z wysiłonym uśmiechem, roztaczając słaby odór wymiocin. - Chyba będzie lepiej, jak z Shepem pójdziemy już do domu, Frank. Nie czuję się najlepiej. Psuję zabawę, wiem, musisz myśleć, że jestem...

- Nie bądź niemądra. Poczekaj chwilkę, pójde po Shepa.

- Frank utkwiał mętny wzrok w rozkołysanym tłumie, aż wreszcie wypatrzył czerwony kark Campbella i małą głowę April poruszające się pod ścianą naprzeciwko. Przywołał ich nagłym gestem i wkrótce wszyscy czworo chodzili po wysypanym żwirze parkingu, zagubieni w mrocznym morzu samochodów.

- Którędy...?

- Tędy... Tu...
- Dobrze się czujesz, kochanie?
- Tu jest tak ciemno...

Proste, sięgające im do brody dachy samochodów tworzyły falowaną powierzchnię, która ciągnęła się we wszystkich kierunkach, poniżej stały nieskończonym szeregiem błotniki i kratownice, wypukłe zderzaki i maski, ożywione niezliczonymi punkcikami odbitego neonu. Raz, kiedy Frank pochylił się, by przyświecić sobie zapałką, kilka cali od jego twarzy poruszyły się gwałtownie splecione ciała (spłoszył kochanków w jednym z samochodów); natychmiast pośpieszył w następną alejkę.

- Do diabła, gdzie zostawiliśmy te cholerne auta? Czy ktoś pamięta?

- Tutaj! - zawołał Shep. - W ostatnim rzędzie. O Jezus, popatrzcie, mój jest zablokowany. - Wiele godzin temu zaparkował swojego wielkiego pontiaca pod drzewem, teraz dwa inne samochody stały tuż przed nim i z żadnej strony nie pozostawiły miejsca na manewr.

- Boże, co za bajzel...

- Ludzie są tacy bezmyślni..

- Przeklęte drzewo...

- Hej, posłuchajcie - powiedział Frank - jeden samochód mamy, możemy odwieźć Milly do domu i wrócić tu z Shepem, może wtedy jego auto...

- Ale to może potrwać wiele godzin - powiedziała Milly słabo - a w tym czasie opłata za parking będzie kosztowała fortunę. Ojej.

- Nie, poczekajcie - odezwał się Shep. - Możemy wszyscy pojechać do domu waszym samochodem, potem ja go od was pożyczę i wrócę... albo nie, zaraz...

- Słuchajcie. - W głosie April zabrzmiał trzeźwy autorytet, który pozostałym zamknął usta. - To bardzo proste. Frank, ty odwieziesz Milly i sam też wrócisz do domu, w ten sposób nie stracimy na opłacie, a Shep i ja poczekamy, aż pontiac zostanie odblokowany. To jedyny logiczny sposób.

- Zgoda - powiedział Frank, już trzymając w dłoni kluczyki. - Więc mamy wszystko ustalone?

Nim Shep Campbell się zorientował, tylne światła samochodu Wheelerów oddalały się dwunastką, a on wracał do Log Cabin (która pulsowała teraz powolnym sentymentalnym walcem) ze szczupłym łokciem April w dłoni. W żadnej ze swoich przepojonych poczuciem winy fantazjach nie zdołałby uknuć lepszego sposobu na pozostanie z nią sam na sam, a zabawne było to, że nie musiał nawet kiwnąć palcem: stało się tak, ponieważ było to jedyne logiczne wyjście - chociaż nie, zaraz. Gdy wchodzili po schodach oświetlonych czerwonymi i niebieskimi lampami, wysiłał umysł, próbując to sobie

uporządkować. Zaraz, przecież mogła odwiedzić Milly do domu i zostawić Franka? To też byłoby logiczne, prawda?

Kiedy ten wniosek mu się nasunął, byli z powrotem na parkiecie. April poważnie odwróciła się ku niemu ze wzrokiem utkwionym w jego klapie i nie pozostało mu nic innego, jak objąć ją lekko w talii i tańczyć. Nie mógł jej zapytać, czy to zaplanowała, bo wyszedłby na głupca, i nie mógł zakładać, że istotnie zaplanowała, nie okazując się jeszcze większym kretynem. Poruszając się w rytm muzyki, nieśmiało rozpostarł palce na pupie April i oparł rozgrzany policzek o jej włosy; czuł pokorną wdzięczność, że tak się stało, nieważne, w jaki sposób.

Było jak w zeszłym roku latem, ale o wiele, wiele lepiej. Po pierwsze wtedy April była pijana i Shep zdawał sobie sprawę, że chociaż żałośnie przyciska ją i obmacuje, rzecz dzieje się poza jej świadomością: alkohol tak ją zamroczył, że nie wiedziała, jak wiele mu daje, a dowodem było to, że przez cały czas wyginała kark i plotła głupstwa, jakby siedzieli przy stoliku do brydża albo coś w tym rodzaju, zamiast przywierać do niego niczym kochanka. Tym razem była trzeźwa, prawie wcale się nie odzywała i wydawała się równie wrażliwa jak on na każdy subtelny szczegół, każdy ostrożny poszukujący gest, drobną satysfakcję, nieśmiały odwrót i podjęcie działania na nowo; jego wstydlive serce niemal nie było w stanie tego znieść.

- Masz ochotę na drinka?

- Tak.

Ale kiedy stali przy barze, z zakłopotaniem popijając i wydmuchując papierosowy dym w tłumie stałych bywalców, Shep miał w głowie pustkę i nie wiedział, co powiedzieć. Czuł się jak chłopiec na pierwszej randce, sparaliżowany sekretnym, nieświadomym pożądaniem dziewictwa; oblewał się potem.

- Wiesz co, pójdę sprawdzić auto - rzekł wreszcie niemal szorstko. Przyrzekł sobie, że jeśli April rzuci najbardziej nawet zawołaną aluzję, jeśli uśmiechnie się i powie na przykład: „Po co ten pośpiech. Shep?”, on zapomni o wszystkim: o żonie, strachu, po prostu o wszystkim, i pójdzie na całość.

W jej szarych oczach nic nie sugerowało ukrytych zamiarów: to były oczy sympatycznej, zmęczonej młodej matki z przedmieścia, którą okoliczności zmusiły do pozostawiania na nogach później niż zwykle, i tyle.

- Dobrze - odparła.

Schodząc chwiejnie po drewnianych schodach, gwałtownie miażdżąc obcasami żwir na podjeździe, czuł, jak wszystkie siły przewidywalności, prawdopodobieństwa i zwyczajności krępują go niczym sznury. Nic się nie

wydarzy, niech ją diabli wezmą. Dlaczego April nie jest w swoim domu? Dlaczego nie może wyjechać do Europy, zniknąć, umrzeć? Do diabła z tą bolesną, bezsensowną, dziecinną, niedopieczoną iluzją, że się w niej „zakochał”. Do diabła z samą „miłością” i z każdą fałszywą, pożerającą czas, niewydarzoną emocją w świecie. Kiedy jednak dotarł do ostatniego rzędu, kolana się pod nim uginały i drżał, odmawiając w duchu modlitwę: Boże, niech samochód dalej będzie zablokowany.

I był. Tamte auta wciąż więziły go przy drzewie. Okręcił się na pięcie, twarzą ku budynkowi. Od świateł zakręciło mu się w głowie i o mało nie padł na kolana. Był pijany. Ostatnia szklaneczka musiała... ho ho. Płuca jakby mu się skurczyły i wiedział, że jeśli czegoś nie zrobi, żeby powstrzymać światła, od kołysania się na wszystkie strony, będzie mu niedobrze.

Zaczął biec w miejscu, bijąc pięściami i unosząc wysoko kolana; jego buty z energicznym trzaskiem odbijały się od żwiru. Brał głębokie oddechy i kiedy doliczył do stu, światła znieruchomiały. Ożywiony, z krwią dudniącą w żyłach wrócił do Log Cabin, gdzie kwartet grał własną marną wersję staroświeckiego numeru typowego dla big-bandów, One O’Clock Jump, String of Pearls albo coś w tym rodzaju; taka muzyka zawsze kojarzyła mu się z wojskowym obozem szkoleniowym.

April opuściła bar i zajęła miejsce w jednym z mrocznych, wykładanych sztuczną skórą boksów. Siedziała wyprostowana jak struna na głębokiej ławie, lekko odwrócona, by wypatrywać go poprzez dym. Powitała go nieśmiałym, zapraszającym uśmiechem.

- Niestety, wciąż zablokowany - powiedział.

- Och, trudno. Usiądź. Właściwie wcale mi to nie przeszkadza, a tobie?

Mógłby przeczołgać się po siedzeniu i ukryć głowę na jej kolanach. Wsunął się jednak tylko za stół i usiadł tak blisko niej, na ile starczyło mu śmiałości, po czym zaczął drzeć kartonową zapałkę nad popielniczką, paznokciem kciuka rozdzielając na końcu i wpatrując się we własne dzieło z takim skupieniem, z jakim zegarmistrz wykonuje swoją pracę.

April utkwiała spojrzenie w tancerzach zapełniających parkiet. Poruszała lekko głową w rytm melodii.

- To muzyka, która ludzi z naszego pokolenia powinna wprawiać w nostalgię - powiedziała. - Ciebie wprawia?

- Sam nie wiem. Chyba raczej nie.

- Mnie też nie, choć wolałabym, żeby było inaczej. W założeniu ma ci przypominać o wszystkich beztroskich szaleństwach młodości, a problem w tym, że ja takich wspomnień nie mam. Na prawdziwe randki zaczęłam chodzić

dopiero po wojnie i wtedy nikt już nie grał tego rodzaju muzyki, a gdyby nawet, za bardzo byłam zajęta odgrywaniem zblazowanej, żeby zauważyć. Przegapiłam cały ten okres swingujących big-bandów.

Jitterburg. Trucking. Chociaż nie, to było wcześniej, prawda? Wydaje mi się, że trucking był modny, kiedy chodziłam mniej więcej do szóstej klasy w szkole Rye Country Day. W każdym razie pamiętam, jak wypisywałam „Artie Shaw” i „Benny Goodman” na okładkach podręczników, nie do końca wiedząc, kim są, ale starsze dziewczęta miały te nazwiska na swoich książkach i wtedy wydawało się to strasznie wyrefinowane, jak nakładanie odrobiny lakieru do paznokci na kostki, żeby skarpetki nie opadały. Boże, jak miałam dwanaście lat, strasznie chciałam mieć siedemnaście. Patrzyłam, jak po lekcjach siedemnastolatki wsiadają do samochodów i odjeżdżają z chłopcami, i byłam przekonana, że na wszystko znają odpowiedź.

Shep z bliska obserwował ją z takim zajęciem, że wszystko inne zniknęło z jego świadomości. Nie miały znaczenia jej słowa ani to, że w równej mierze mówiła do siebie, jak do niego.

- A kiedy skończyłam siedemnaście lat, siedziałam zamknięta w ponurej szkole z internatem i jitterburga tańczyłam tylko z inną dziewczyną w szatni. Puszczaliśmy Glenna Millera na starej przenośnej victoroli i ćwiczyliśmy w nieskończoność. I to wszystko, z czym kojarzy mi się ten rodzaj muzyki: ze skakaniem po zapoconej szatni w okropnym stroju gimnastycznym i przekonaniu, że życie mnie ominęło.

- Trudno w to uwierzyć.

- W co?

- Ze nie chodziłaś na randki.

- Dlaczego?

Miał ochotę powiedzieć: „O Boże, April, przecież wiesz dlaczego. Bo jesteś śliczna, bo wszyscy zawsze musieli się w tobie kochać”, ale zabrakło mu odwagi. Zamiast tego powiedział:

- No cóż, nigdy nie spędzałaś wesoło czasu na wakacjach?

- Wakacje - powtórzyła. - Nie, nigdy nie spędzałam wesoło wakacji. Trafiłeś w sedno, Shep. Nie mogę całej winy zrzucić na szkołę z internatem, prawda? Nie, w czasie wakacji tylko czytałam, chodziłam sama do kina i kłóciłam się z tą ciotką, kuzynką albo przyjaciółką matki, która akurat skazana była na mnie tamtego lata czy w tamto Boże Narodzenie. Wszystko to sugeruje poważne nieprzystosowanie, zgodzisz się chyba? Więc to nie była wina szkoły z internatem ani niczyja inna, to był mój własny Problem Emocjonalny, Udzielę

ci praktycznej rady, Shep: jeśli ktoś się martwi, że omija go życie, niemal na sto procent chodzi o jego własny Problem Emocjonalny.

- Nic takiego nie miałem na myśli - rzekł Shep zakłopotany. Nie podobały mu się sardoniczne zmarszczki, które pojawiły się w kącikach wygiętych w dół ust April, jej pozbawiony wyrazu głos ani sposób, w jaki wyciągnęła papierosa z paczki i wetknęła w zęby: za bardzo przypominało to jego okrutną wizję spotkania po dziesięciu latach. - Chodziło mi tylko o to, że nigdy bym nie przypuszczał, że byłaś aż tak samotna.

- To dobrze - odparła. - Niech cię Bóg błogosławi, Shep. Zawsze miałam nadzieję, że ludziom nie wydaję się samotna. To była największa zaleta mieszkania w Nowym Jorku po wojnie. Rozumiesz, ludzie nic nie podejrzewali.

Teraz, gdy wspomniała o swoim życiu w Nowym Jorku, zapragnął zadać jej pytanie, które dręczyło go przez cały czas ich znajomości: czy była dziewczyną, kiedy poznała Franka? Odpowiedź przecząca umniejszałaby jego zazdrość, ale gdyby April potwierdziła, gdyby musiał myśleć o Franku Wheelerze nie tylko jako o jej mężu, ale i pierwszym kochanku, zawiść pewnie by go zżarła. Nigdy dotąd nie miał lepszej okazji, by się dowiedzieć, jeśli wszakże istniały słowa, w które to pytanie można by ubrać, w żadnym razie nie potrafił ich znaleźć. Nigdy się nie dowie.

- ...och, przypuszczam, że tamten okres był zabawny - mówiła April. - Zawsze myślę o nim jako o szczęśliwym i stymulującym, przypuszczam, że taki faktycznie był, ale mimo to... - W jej głosie nie brzmiała już obojętność. - Mimo to czułam. .. sama nie wiem.

- Wciąż czułaś, że życie cię omija?

- Coś w tym sensie. Wciąż mi się wydawało, że gdzieś tam jest świat cudownych, wspaniałych ludzi, od którego dzieli mnie taki dystans jak od ostatniej klasy, gdy sama byłam w szóstej; ludzi, którzy wszystko wiedzieli intuicyjnie, którym życie układało się tak, jak tego chcieli, choć nawet się nie starali, którzy nigdy nie musieli robić dobrej miny do złej gry, bo nie przyszło im na myśl, że coś może być nie tak. Świat herosów, nadludzi, pięknych, inteligentnych, spokojnych i dobrych. Zawsze wyobrażałam sobie, że kiedy trafię do ich świata, nagle będę wiedziała, że jestem jedną z nich, że od początku miałam być jedną z nich, a wszystko, co zdarzyło się wcześniej, było błędem, i że oni też będą to wiedzieli. Ze byłam jak brzydkie kaczątko pomiędzy łabędziami.

Shep nie odrywał wzroku od jej profilu w nadziei, że milcząca siła jego miłości skłoni ją do odwrócenia głowy ku niemu.

- Wydaje mi się, że znam to uczucie - powiedział.

- Wątpię. - Nie patrzyła na niego i wokół jej ust znowu pojawiły się drobne zmarszczki. - W każdym razie dla twojego dobra mam nadzieję, że go nie znasz. Nikomu bym tego nie życzyła. To najgłupszy, najbardziej destruktywny rodzaj oszukiwania siebie, przez który tylko wpadasz w kłopoty.

Wypuścił powietrze z płuc i przysunął się ku oparciu. W gruncie rzeczy April nie chciała rozmawiać, w każdym razie nie z nim. Pragnęła tylko mówić, poprawić sobie samopoczucie odgrywaniem smutnej i zblazowanej, i jego wybrała na słuchacza. Nie oczekiwała od niego, że weźmie udział w dyskusji, z pewnością nie przewidziała miejsca na jego poglądy; miał tylko być wielkim, głupim, spokojnym starym Shepem do czasu, aż samochód zostanie odblokowany albo April uzna, że własny głos nie sprawia jej dłużej satysfakcji. W drodze do domu wygłosi jeszcze kilka światowych zdań; niewykluczone, że się nachyli i po siostrzanemu cmoknie Shepa w policzek, zanim wyśliźnie się z auta i zniknie w domu, gdzie pójdzie do łóżka z Frankiem

Wheelerem. Do diabła, a czego się spodziewał? Cholera, czy kiedykolwiek dorośnie?

- Shep? - April z figlarnym uśmiechem złapała jego rękę leżącą na stole w obie szczupłe, chłodne dłonie. - Och, Shep, zróbmy to.

Myślał, że zemdleje. - Co?

- Zatańczmy jitterburga. Chodź.

Steve Kovick zbliżał się do kulminacji wieczoru. Niedługo zamykano lokal, większość gości poszła do domu, szef liczył pieniądze, a Steve, wielkością nie ustępujący bohaterom wszystkich filmów, które w Hollywood nakręcono o jazzie, wiedział, że nadchodzi jego najlepsza chwila.

Shep nigdy właściwie nie nauczył się tańczyć, nie wspominając już o zapamiętaniu się w takim rodzaju tańca, ale żadna siła na ziemi nie mogłaby go teraz powstrzymać. Obracając się, niezgrabnie podskakując i szurając stopami w zaczarowanym kącie pijanej sali, pozwalał, by hałas, dym i światła wirowały wokół niego, ponieważ teraz był całkowicie jej pewien. Do końca życia nie zobaczy nic równie pięknego jak April, która tanecznie odbiegała tak daleko, jak pozwalały na to ich złączone dłonie, kręcąc biodrami wykonywała lekki ukłon i wracała. Och, popatrz na nią!, śpiewało jego serce, popatrz na nią! Popatrz na nią! Wiedział, że kiedy muzyka ucichnie, April ze śmiechem padnie mu w ramiona, i nie pomylił się. Prowadząc ją czule do baru, wiedział, że zgodzi się na bliskość jego ramienia, gdy będą pili następną kolejkę, i w tej sprawie też miał rację. Rozmawiali sugestywnie cichymi głosami, ale Shep nie dbał o to, co mówi - jakie to miało znaczenie? Do czego sprowadzają się

słowa? - ponieważ snuł oszalamiające plany. Przed oczyma wyrósł mu motel: zobaczył siebie wpisującego się do rejestru w oślepiającym świetle recepcji („Dziękuję panu, proszę pana. To będzie sześć pięćdziesiąt, numer dwanaście...”), podczas gdy ona czekała w samochodzie; wyobraził sobie nagłą, szokująco całkowitą intymność domku z klonowymi meblami i gapiącym się na nich podwójnym łóżkiem - i w tym momencie ogarnął go przelotny niepokój: czy naprawdę może zabrać do motelu dziewczynę taką jak April Wheeler? Ale właściwie dlaczego nie? Poza tym motel nie jest jedyną możliwością. We wszystkich kierunkach ciągnęło się na wiele mil pustkowie, noc była ciepła, a on miał w samochodzie starą wojskową pelerynę; mogliby wspiać się na jakieś pastwisko położone wysoko, z dala od ludzkich oczu i uszu, i umościć sobie posłanie pod gwiazdami.

Zaczął się na parkingu, w ciemności, mniej niż dziesięć jardów od oświetlonych na czerwono i niebiesko schodów. Shep zatrzymał się, poczekał, aż April odwróci się w jego ramionach. Gdy przycisnął ją do maski zaparkowanego samochodu, rozchyliła usta pod naporem jego warg, splotła ręce na jego karku. Odsunęli się od siebie i zaraz do siebie przywarli, później poprowadził ją chwiejnie przez parking, teraz niemal pusty, do miejsca, gdzie chrom na jego samotnym pontiacu odbijał światło gwiazd pod szepczącymi czarnymi drzewami. Po omacku odnalazł drzwi od strony pasażera i pomógł jej wsiąść, potem stosownym, niespiesznym krokiem obszedł maskę. Zatrzasnął drzwiczki i znowu miał jej ramiona i usta, znowu czuł jej dotyk i smak, jego palce cudownie szybko odpięły guziki sukienki i pod dłońią miał krągłe piersi.

- Och, April. O mój Boże, ja... April...

Własny oddech zagłuszył im wszelkie inne odgłosy: donośny śpiew owadów w pobliżu samochodu, szum silników z dwunastki i cichsze dźwięki z Log Cabin, gdzie piskliwy śmiech kobiety stapał się z trąbką, fortepianem i perkusją.

- Skarbie, poczekaj, pojedźmy gdzieś, musimy stąd...

- Nie, proszę - szepnęła. - Tutaj. Teraz. Na tylnym siedzeniu.

I na tylnym siedzeniu to się stało. Zgięty niewygodnie, z wysiłkiem dążący do celu w ciemności, otoczony zapachem benzyny, dziecięcych kaloszy i tapicerki pontiaka, do wtóru końcowego solo na bębnach Steve'a Kovicka, które niosło się z powiewem wiatru, Shep Campbell odnalazł spełnienie swej miłości.

- Och, April - powiedział, kiedy było po wszystkim, kiedy z czułością się od niej oderwał, kiedy pomógł jej ułożyć się wygodnie na tylnym siedzeniu ze zwiniętym płaszczem w charakterze poduszki, a sam niezgrabnie przykucnął na

podłódze, trzymając obie jej dłonie. - Och, April, to nie jest tylko coś, co przypadkiem się stało. Posłuchaj, ja zawsze... ja cię kocham.

- Nie mów tak.

- Ale to prawda. Zawsze cię kochałem. Nie jestem tylko... posłuchaj.

- Proszę, Shep, bądźmy cicho przez minutę, a potem odwieź mnie do domu.

Ze wstrząsem pomyślał o tym, co zdecydowanie odsuwał od siebie przez cały wieczór, co przypominało mu się przelotnie i wcale nie zmniejszyło jego pożądanía, a co dopiero teraz zaczęło nabierać opresyjnego moralnego ciężaru: April jest w ciąży.

- Dobra - powiedział - o niczym nie zapomniałem. - Uwolnił jedną dłoń, by energicznie potrząść oczy i usta, po czym westchnął. - Chyba myślisz, że jestem idiotą.

- Shep, nie o to chodzi.

Do samochodu wpadało dość światła, by mógł dostrzec zarysy jej twarzy, za mało jednak, by zobaczyć, jaki maluje się na niej wyraz, nie potrafił nawet stwierdzić, czy cokolwiek wyraża.

- Nie chodzi o to, mówię szczerze. Po prostu nie wiem, kim jesteś.

Zapadło milczenie.

- Nie mów zagadkami - szepnął.

- Nie mówię. Ja naprawdę nie wiem, kim jesteś.

Nie potrafił zobaczyć jej twarzy, ale mógł dotknąć. Uczynił to z delikatnością ślepego, przesuwał opuszkami palców od jej skroni ku zagłębieniu policzków.

- I obawiam się, że nawet gdybym wiedziała, niczego by to nie zmieniło, bo widzisz, nie wiem też, kim sama jestem.

Rozdział czwarty

Trzy, może cztery dni później Frank Wheeler oddalał się od szumu i syku autobusu na Szóstej Alei, z zawadiacką rezygnacją idąc na ulicę, przy której mieszkała Maureen Grube. Nie miał specjalnej ochoty dzisiaj się z nią zobaczyć i wiedział, że tak właśnie powinno być. Celem wizyty było zerwanie, a nawet cień radości z jej widoku rozproszyłby go i zdenerwował. Zawsze czuł przyjemne zaskoczenie, gdy jego nastrój zbiegał się z naturą sprawy, którą miał do załatwienia, a ostatnimi czasy ten rzadki stan niemal wszedł mu w nawyk. Dla przykładu zdołał uporać się z całą serią „A skoro mowa o”, poświęcając na każdą broszurę niewiele ponad dzień. „A skoro mowa o analizie sprzedaży”, „A skoro mowa o kalkulacji kosztów”, „A skoro mowa o liście płac” - wszystkie leżały bezpiecznie razem z „Produkcją” i „Kontrolą zapasów” w solidnej kartonowej teczce na biurku Barta Pollocka.

- Cóż, Frank, są niezłe - oznajmił wczoraj Pollock, kciukiem przesuwając po kartkach. - Szczęśliwym zbiegiem okoliczności mam dla ciebie dobre wieści.

Dobre wieści, które Frank mógł przyjąć z idealnym opanowaniem, brzmiały następująco: projekt Pollocka doczekał się „finalizacji”. Na następny poniedziałek przewidziano „pierwszą nieoficjalną konferencję”, na której Frank wspólnie z nowymi kolegami pomoże „usunąć kilka przeszkód” i od której przestanie być członkiem zespołu Bandy'ego. Na razie nadeszła „pora, żebyśmy omówili kwestię wynagrodzenia”. Podczas omawiania tej kwestii koszuli Franka Wheelera nie zmoczyły plamy nerwowego potu, nie towarzyszył im też absurdalny duch Earla Wheelera. Wzrok Franka ani razu nie błądził ponuro i ascetycznie po wyposażeniu gabinetu Pollocka, nie dręczyły go myśli, co April może na to powiedzieć. Rzeczą dotyczyła wyłącznie interesów. Po uściśnięciu grubej dłoni Pollocka Frank był bogatszy o trzy tysiące dolarów rocznie, solidną, satysfakcjonującą kwotę, która między innymi stanowiła bezpieczny fundusz, pozwalający pokryć koszty ginekologa i psychoanalityka.

- Dobrze - skwitowała April tę wiadomość. - Tyle mniej więcej się spodziewałaś, prawda?

- Mniej więcej. Tak czy owak przyjemnie, że mam to w kieszeni.

- Wyobrażam sobie.

Teraz więc, skoro sprawy zawodowe zostały zręcznie załatwione, mógł całą uwagę poświęcić sprawom osobistym, aktualnie wymagającym dość solidnego uporządkowania. Od dwóch, trzech dni jego małżeństwo wkroczyło na tory, które w przeszłości napełniłyby go niepokojem: April znowu spała w salonie. Ale dzięki Bogu to nie była przeszłość. Przede wszystkim April podjęła tę

decyzję nie w następstwie kłótni i nie towarzyszyły temu żadne wyraźne pretensje z jej strony.

- Nie sypiam dobrze - oznajmiła pierwszego wieczoru. - Myślę, że samej będzie mi wygodniej.

- Dobra. - Frank założył, że to układ na tę jedną noc, i zirytował się, kiedy następnego dnia wieczorem znowu przyszła do salonu z naręczem pościeli.

- Co jest? - zapytał łagodnie, opierając się ze szklaneczką w dłoni o kuchenne drzwi, podczas gdy April trzepała i rozścielała prześcieradło. - Jesteś na mnie zła?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Zamierzasz ciągnąć to w nieskończoność czy jak?

- Nie wiem. Przykro mi, jeśli to cię denerwuje.

Frank nie śpieszył się z odpowiedzią. Wpierw zamieszał kostki lodu palcem wskazującym, później go oblizał, wreszcie oderwał się od framugi, z przesadnym znużeniem wzruszając ramionami.

- Nie - odparł. - To mnie nie denerwuje. Przykro mi, że nie sypiasz dobrze.

A to naturalnie była kolejna, naprawdę znacząca różnica: rzeczywiście wcale go to nie denerwowało. Trochę irytowało, ale nie denerwowało. Bo niby dlaczego? To był jej problem. Cóż za nieograniczone zasoby zdrowia, coś za bogactwo spokoju kryło się w tej nowo odkrytej zdolności do porządkowania i identyfikowania faktów dotyczących jego i jej: to jest mój problem, to jest twój problem. Napięcia kilku ostatnich miesięcy na oboje sprowadziły coś w rodzaju kryzysu, Frank teraz to dostrzegał. Obecnie weszli w okres rekonwalescencji, kiedy pewien dystans wobec zmartwień drugiej osoby jest bez wątpienia rzeczą naturalną, a przypuszczalnie też dobrą oznaką. Wiedział, a w tej wiedzy było współczucie, że w jej przypadku dostosowanie musi być szczególnie trudne i nic dziwnego, jeśli proces ten powoduje u niej zmiany nastrojów i bezsenność. Tak czy owak nadeszła pora, by udzielić jej pomocy w jedyny prawdziwie dojrzały sposób. Może już w przyszłym tygodniu, w każdym razie najszybciej, jak się da, Frank poszuka dla niej cieszącego się dobrą opinią psychoanalityka; już przewidywał przebieg pierwszych rozmów z tym człowiekiem, który w jego wyobrażeniach przypominał sowę, wolno cedził słowa i być może z pochodzenia był wiedeńczykiem („Myślę, że pańska ocena problemów jest zasadniczo słuszna, panie Wheeler. Na razie trudno stwierdzić, do jakiego stopnia intensywna terapia będzie potrzebna, ale o jednym mogę pana zapewnić: przy pańskiej stałej współpracy i zrozumieniu mamy wszelkie powody żywić nadzieję na szybkie...”)

Na razie najważniejsze było zerwanie z Maureen. Wolałby zrobić to w jakimś barze albo kawiarni w śródmieściu, o tym myślał rano, kiedy sprowadził ją do niszy w archiwum centralnym, by nad rozłożonymi teczkami, które wykorzystywali jako kamuflaż, umówić się na popołudnie, ale ona w odpowiedzi szepnęła:

- Nie, przyjdź do mnie. Norma wychodzi wcześniej, przygotuję dla nas kolację.

- Nie, wolałbym nie. Rzecz w tym... - Miał zamiar dodać: „Rzecz w tym, że chcę z tobą porozmawiać”, ale przestraszył go wyraz jej oczu. A jeśli wybuchnie płaczem tutaj, w biurze? Zamiast tego powiedział: - Nie chcę sprawiać ci kłopotu.

To także była prawda, ale w końcu się zgodził.

Przypuszczalnie nie miało znaczenia miejsce, w którym tę rozmowę przeprowadzą; najważniejsza była sama rozmowa, a najważniejszą cechą samej rozmowy było nadanie jej charakteru ostatecznego i nieodwołalnego. Frank po raz serny przekonywał się w duchu, że nie ma powodów do przeproszania. Przygnębiała go myśl, jak wiele energii przez wszystkie te lata zmarnował na pełną wyrzeczeń postawę przeproszającą. Od tej chwili, niezależnie od tego, co życie mu przyniesie, nie będzie więcej przeproszał.

- Halo! - zawołała jakaś kobieta. - Pan jest Frank Wheeler, prawda? - Szła ku niemu przez chodnik z małą walizką w dłoni; widząc jej drapieżny uśmiech, Frank momentalnie domyślił się, kogo ma przed sobą. Złapała go ze stopą na pierwszym różowym stopniu kamiennych schodów prowadzących do kamienicy Maureen. - Jestem Norma Townsend, współlokatorka Maureen. Czy mogłabym zamienić z panem słowo?

- Jasne. - Frank ani drgnął. - Czym mogę pani służyć?

- Błagam. - Przekrzywiła nieznacznie głowę, jakby udzielała nagany obrażonemu dziecku. - Nie tutaj. - Przeszła obok niego, kierując się do pretensjonalnego baru w sąsiedniej kamienicy. Nie pozostało mu nic innego, jak podążyć za nią, ale odpłacił za potulność, krytycznym wzrokiem mierząc jej napięte, poruszające się pośladki. Była solidna, chodziła kołyszącym kaczym krokiem, miała na sobie modną prostą suknię, tak zwany futerał, mimo iż podkreślał jej szerokie ramiona i krępa budowę, i pozostawiała za sobą zapach perfum, które z całą pewnością reklamowano jako „Mroczne i ekscytujące” na stoisku u Lorda i Taylora.

- Nie zatrzymam pana długo - zapewniła, kiedy siedział już przy małym stoliku z marmurowym blatem, kiedy ustawiła walizkę u stóp, zamówiła słodki wermut i przy akompaniamencie trzasków i szczykania wykonała serię gestów,

niezbędnych do wyjęcia paczki papierosów z torebki opatrzonej skomplikowanym zamkiem. - Mam chwilę akurat na aperitif, później muszę lecieć. Wyjeżdżam na Cape na dwa tygodnie. Maureen miała jechać ze mną, ale zmieniła plany. Teraz zamierza spędzić cały urlop tutaj, jak zapewne dobrze pan wie. Ja dowiedziałam się dopiero wczoraj wieczorem i obawiam się, że stawia mnie to w dość niezręcznej sytuacji wobec znajomych, których miałyśmy odwiedzić. Na pewno niczego się pan nie napije?

- Nie, dziękuję. - Obserwując ją, musiał przyznać, że jest niebrzydka. Gdyby tylko rozpuściła włosy, zamiast ulizywać je gładko na głowie, gdyby zdołała odchudzić nieco policzki... po chwili jednak uznał, że musiałyby zrobić o wiele więcej. Musiałyby nauczyć się nie poruszać tak bardzo brwiami przy mówieniu i z całą pewnością nie wygłaszać zdań w rodzaju: „Mam czas akurat na aperitif” i „Wyjeżdżam na Cape”.

- Tak się składa, że jestem bardzo zła na Maureen - mówiła. - Ten urlopowy bałagan to ostatnie z długiej serii głupstw, ale to bez znaczenia. Chodzi o to - tu uważnie na niego spojrzała - że bardzo się o nią martwię. Znam ją o wiele dłużej i jak mi się wydaje, o wiele lepiej niż pan, panie Wheeler. Jest bardzo młodą, bardzo niepewną siebie, bardzo słodką dziewczyną i ma za sobą prawdziwe piekło. Obecnie potrzebuje wskazówek i potrzebuje przyjaźni. Biorąc to wszystko pod uwagę - mam nadzieję, że wybaczy pan, iż mówię prosto z mostu - biorąc ro wszystko pod uwagę, jedyną rzeczą, jakiej z całą pewnością nie potrzebuje, jest bezsensowny romans z żonatym mężczyzną. Proszę zważyć, ja nie... proszę mi nie przerywać. Nie zamierzam moralizować, wydaje mi się natomiast, że pan i ja możemy przedyskutować tę sprawę jak ludzie cywilizowani. Obawiam się jednak, że muszę zacząć od niewygodnego pytania. Maureen najwyraźniej jest przekonana, że pan ją kocha. Czy to prawda?

Odpowiedź była tak klasycznie prosta, że wygłoszenie jej sprawiło mu wielką przyjemność.

- Przykro mi, ale uważam, że to nie pani sprawa. Odchyliła się i posłała mu przebiegły, pełen namysłu uśmiech, wypuszczając drobne obłoczki dymu nozdrzami. Lakierowanymi paznokciami małego palca i kciuka zdjęła kawałek bibułki z dolnej wargi. Frankowi przypomniał się Bart Pollock mówiący przy lunchu: „Niech sprawdzę, jak dobrym sędzią charakterów jestem”; miał ochotę wyciągnąć ręce nad stołem i udusić ją.

- Chyba mi się podobasz, Frank - powiedziała wreszcie. - Mogę tak się do ciebie zwracać? Podoba mi się nawet, że się gniewasz, to świadczy o silnym charakterze. - Pochyliła się ku niemu, kokieteryjnie upiła wina, po czym oparła

łokiec o stolik. - Posłuchaj, Frank, spróbujmy wzajemnie się zrozumieć. Myślę, że jesteś dobrym, poważnym chłopcem z miłą żoną i sympatycznymi dziećmi w domu w Connecticut, a cała ta sprawa wynika z faktu, że zaplątałeś się w bardzo ludzką, bardzo zrozumiałą sytuację. Czy to się zgadza?

- Nie - odparł. - Nawet w wielkim przybliżeniu. Teraz ja spróbuję, dobrze?

- Zgoda.

- W porządku. Myślę, że jesteś kobietą wścibską, męczącą, przypuszczalnie kryptolesbijką... - Frank położył jednodolarowy banknot na stole. - .. i z całą pewnością strasznie upierdliwą. Udanych wakacji.

Czterema wielkimi krokami, z których jeden o mało o nie wyrzucił zniewieściałego kelnera z tacą filiżanek, opuścił bar. Wchodząc po różowych kamiennych stopniach, nie potrafił powstrzymać potężnego śmiechu czającego się w jego piersi - Popatrz tylko na jej minę! - ale w holu, gdzie oparł się o rząd skrzynek pocztowych z wypolerowanego brązu, by dać upust wesołości, przekonał się, że zamiast hałaśliwego wybuchu zdolny jest tylko do duszącego, jękliwego chichotu, który opuszczał usta w niekontrolowanych spazmach i wykorzystywał tylko szczyty płuc, przez co bolała go krtąń. Nie mógł oddychać.

Kiedy atak minął, podkradł się do frontowych drzwi, odsunął zakurzoną kotarę z szybek i wyjrzał. Zdążył jeszcze zobaczyć plecy Normy, która stała na chodniku i machając torebką, wzywała taksówkę. Mięśnie miała spięte z gniewu, a w wyglądzie jej walizki, na oko nowej i kosztownej, było coś niezwykle żalospnego. Pewnie wybierała ją przez wiele dni, tygodniami chodziła po sklepach, szukając rzeczy, które dzisiaj wypełniały obite jedwabiem wnętrza: nowe stroje kąpielowe, spodnie, krem do opalania, nowy aparat fotograficzny - całe to wybredne, starannie dobrane instrumentarium dziewczęcej dobrej zabawy. Z chichotem wciąż bulgoczącym w klatce piersiowej poczuł, jak ogarnia go osobliwie sentymentalne pragnienie, by pójść do niej, gdy wsiadała do taksówki.

Było mu przykro, ale musiał się z tego otrząsnąć; pora załatwić sprawę z Maureen. Wziął kilka głębokich oddechów i nacisnął dzwonek, a kiedy drzwi zostały odblokowane, pilnował się, by zbyt szybko nie pobiec po schodach. Nie chciał zjawiać się u niej zdyszany, wszystko zależało od jego opanowania.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Zapukał raz czy dwa, w odpowiedzi rozległ się jej głos, dochodzący najwyraźniej z sypialni:

- Frank, to ty? Wejdz, zaraz do ciebie dołączę. Mieszkanie było skrupulatnie wysprzątane, jakby w oczekiwaniu na przyjęcie, z kuchni dobiegał słaby aromat duszonego mięsa. Dopiero teraz, krążąc wolno po dywanie, Frank

zauważył, że z fonografu płynie muzyka, której obecność mgliście uświadamiał sobie, gdy szedł na górę: gładki wiedeński walc grany na wiele skrzypiec, rodzaj znany jako muzyka koktajlowa.

- Na stoliku są drinki i przekąski - zawołała Maureen. - Poczęstuj się.

Frank z uczuciem ulgi nalał sobie drinka bez lodu i usiłował się odprężyć, siadając wygodnie na miękkiej sofie.

- Zamknąłeś drzwi? - zapytała Maureen. - Przekręciłeś klucz?

- Tak mi się wydaje. O co tu..

- I na pewno jesteś sam?

- Jasne, że na pewno. Co to za tajemnice?

Drzwi sypialni otworzyły się i w progu na palcach stanęła naga Maureen. Zaczęła tańczyć dokoła pokoju w rytm walca, machała i potrząsała nadgarstkami jak balerina amatorka, rumieniła się i z wysiłkiem powstrzymywała chichot. Ledwo zdążył odstawić drinka, część wychlapując, gdy ciężko padła mu w ramiona. Nie mógł oddychać. Maureen oblana była tymi samymi perfumami co Norma, a kiedy pocałowała go na powitanie, z niepokojąco bliskiej odległości zobaczył, że ma silniejszy niż zwykle makijaż. Każda jej rzęsa, gruba i postrzępiona, wyglądała na tle policzka niczym odnóże pająka. Uwolniwszy się wreszcie od jej ust, spróbował przyjąć bardziej pionową pozycję, zsunąć jej ciężar z brzucha, ale to nie było łatwe, ponieważ ręce wciąż miała splecione na jego szyi, a w dodatku marynarka i koszula naciągnęły mu się boleśnie na plecach i piersi. W końcu zdołał oswobodzić jedną dłoń, by rozpiąć duszący go kołnierzyk, i usiłował się uśmiechnąć.

- Witaj - mruknęła zmysłowo. Znowu go pocałowała, wsuwając mu język w usta.

Tym razem w jego wysiłkach zmierzających do wyprostowania się była desperacja tonącego. Maureen odchyliła się i spojrzała na niego z niepokojem, jej piersi kołysały się niczym małe, przestraszone twarze. Przez minutę, dopóki nie odzyskał oddechu, nie potrafił wykrztusić słowa. Zamiast patrzeć na nią, spuścił wzrok na własne dłonie, zaciśnięte na jej ciężkich udach rozplaszczonych na jego kolanach. Zwolnił uścisk, rozpostarł palce i lekko postukał ją po nodze, jakby to była krawędź stołu konferencyjnego.

- Posłuchaj, Maureen. Myślę, że powinniśmy porozmawiać. To, co zdarzyło się później, nawet kiedy trwało, mniej przypominało rzeczywistość, bardziej sen. Frank brał w tym udział tylko częścią swej świadomości, cała reszta była niczym obojętny widz, zakłopotany i bezsilny, acz relatywnie pewny, że wkrótce się obudzi. Jej przesłaniająca się chmurą twarz, kiedy zaczął mówić, sposób, w jaki zerwała się z jego kolan i pobiegła po szlafrok, dłoń ściskająca

poły na szyi tak ściśle, jakby to był płaszcz przeciwdeszczowy w czasie ulewy, nerwowe krążenie po dywanie - „Cóż, w takim razie nic więcej nie zostało do powiedzenia, prawda? W gruncie rzeczy twoje przyjście dzisiaj nie miało żadnego sensu, zgodzisz się chyba?” - wszystko to było jak bolesne wspomnienia, zanim jeszcze się zdarzyło. Tak samo odbierał swój wzrok śledzący każdy jej krok oraz żalosne wykręcanie dłoni, kiedy bez końca przeproszał.

- Maureen, posłuchaj, postaraj się podejść do sprawy rozsądnie. Jeśli kiedykolwiek dałem ci powody do wiary, że ja... że my... że moje małżeństwo nie jest szczęśliwe albo coś w tym rodzaju, to bardzo przepraszam. Przykro mi.

- A co ze mną? Jak ja mam się czuć? Pomyślałeś, w jakiej sytuacji mnie to stawia?

- Przykro mi. Ja...

To było zwieńczenie wieczoru: Maureen zgarbiona w czarnej chmurze dymu nad przypalonymi eskalopkami cielecymi.

- Nie wyglądają najgorzej, Maureen. Możemy je zjeść, jeśli chcesz.

- Nie, są do niczego. Wszystko jest do niczego. Lepiej sobie idź.

- Posłuchaj, nie ma najmniejszego powodu, żebyśmy nie mogli...

- Powiedziałam: idź, proszę.

Żadna ilość alkoholu w barach Grand Central nie była w stanie zmącić tych obrazów; przez całą drogę do domu, gdy głodny i pijany siedział w pociągu, w jego okrągłych oczach malowało się błaganie, a usta się poruszały od argumentów, które miały ją przekonać.

Nazajutrz tak bardzo obawiał się spotkania z nią w biurze, że dopiero wychodząc z windy, przypomniał sobie, że przecież jej tu nie będzie. Jest na urlopie. Pojechała za Normą na Cape? Nie, bardziej prawdopodobne, że wykorzysta te dwa tygodnie na poszukiwania innej pracy - tak czy owak mógł z niejaką pewnością założyć, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Ulga, z jaką to sobie uświadomił, wkrótce perwersyjnie zmieniła się w niepokój i troskę. Jeśli nigdy więcej jej nie zobaczy, jak kiedykolwiek będzie miał szansę na... cóż, na wytłumaczenie się? Na wygłoszenie spokojnym, wyzbytym przeprosin głosem spokojnych, wyzbytich przeprosin rzeczy, które miał jej do powiedzenia?

Niespokojne myśli o Maureen (Powinien do niej zadzwonić? Powinien do niej napisać?) wciąż zajmowały go w sobotę, kiedy w oszałamiającym upale harował przy budowie kamiennej ścieżki albo wymyślał drobne sprawy, dzięki którym mógł wyjechać z domu i krążyć bez celu bocznymi drogami, mamrocząc pod nosem. Dopiero wczesnym niedzielnym popołudniem, kiedy

wsiadł do samochodu, by kupić gazety, a skończyło się na tym, że przemierzył wiele mil, słowa „Zapomnij o tym” pojawiły się na jego ustach.

Dzień był piękny. Frank jechał słonecznym grzbietem długiego wzgórza, wzdłuż gęstego zagajnika wiązów, których liście dopiero co zaczęły zmieniać barwę, i nagle zaczął się śmiać, bijąc pięścią w stary popękany plastik kierownicy. Zapomnij o tym! Do diabła, jaki sens ciągle rozważać tę sprawę? Teraz mógł cały epizod odrzucić jako coś odrębnego od głównego narracyjnego nurtu jego życia, przelotnego, nieistotnego i nieodparcie komicznego. Norma wlokąca walizkę na chodnik, naga Maureen zeskakująca z jego kolan, on sam człapiący za nią przez dym spalonego mięsa: wszystko to wydawało się teraz tak głupie jak zniekształcone postaci w kreskówce w chwili, gdy szalona muzyka przybiera na sile, a wielki krąg zaczyna się zmniejszać, gwałtownie zamykając akcję w coraz bardziej miniaturowym kółku, który wszystko połyka, aż wreszcie zostaje tylko mrugający punkcik i na ekranie pojawia się radosny napis: „Thats Ali, Folks!”

Zatrzymał samochód na poboczu, żeby spokojnie się wyśmiać, później, czując się o wiele lepiej, zawrócił w stronę domu. Zapomnij o tym! W drodze na Revolutionary Road myślał wyłącznie o dobrych rzeczach: urodzie dnia, ukończonej pracy na biurku Pollocka, trzech tysiącach rocznie, nawet o „nieoficjalnej konferencji”, którą wyznaczono na jutro rano. To w sumie nie było takie złe lato. Jadąc do domu, mógł z przyjemnością wyobrazić sobie odświeżający prysznic, po którym przebrany w czyste rzeczy będzie sący sherry (usta wydęły mu się rozkosznie na samą myśl o tym), przez resztę popołudnia drzemiąc nad „Timesem”. A jeśli wszystko pójdzie dobrze, wieczór okaże się idealną porą na racjonalną, rozsądną dyskusję z April o tej irytującej sprawie z sofą. Cokolwiek dręczy April, da się naprawić; gdyby zadał sobie trud i porozmawiał z nią, pewnie dałoby się naprawić wiele dni temu.

- Posłuchaj - zacznij. - To było zwariowane lato i wiem, że oboje żyjemy w stresie. Wiem, że teraz czujesz się samotna i zagubiona, wiem, że sytuacja wygląda niewesoło, i uwierz mi, że ja...

Wyłaniający się spomiędzy żółtych i zielonych liści dom wyglądał bardzo schludnie i biało; to jednak nie był aż taki zły dom. Jak kiedyś powiedział John Givings, sprawiał wrażenie miejsca, gdzie ludzie żyją, gdzie trudne, skomplikowane procesy czasami prowadzą do niewiarygodnej harmonii szczęścia

lub bliskiego tragedii chaosu, a także mniej istotnych dziwacznych interludiów („Thats Ali, Folks!”); w takim miejscu możliwe było przez całe lato żyć na skraju szaleństwa, pod wieloma względami czuć się samotnym i

zagubionym, widzieć świat w czarnych barwach, ale w ostatecznym rozrachunku wszystko kończyło się dobrze.

April pracowała w kuchni przy wtórze muzyki z radia.

- Ho, ho - powiedział, kładąc ciężkie niedzielne gazety na stole. - Co za piękny dzień.

- Tak, ślicznie dzisiaj.

Frank wziął długi, bardzo ciepły prysznic, po czym długo szczotkował włosy. W sypialni obejrzał trzy koszule, zanim zdecydował, że włoży obcisłą i czystą khaki, z drogiej bawełnianej flaneli, w zielono-czarne plamy, i wypróbował kilka sposobów noszenia jej, by wreszcie pozostać przy dwukrotnie podwiniętych rękawach, odsuniętym do tyłu kołnierzyku guzikach rozpiętych do połowy klatki piersiowej. Zgarbiony przed toaletką April, z ręcznym lusterkiem w dłoni sprawdził, jak ze wszystkich stron prezentuje się kołnierzyk oraz jak z profilu wygląda zaciśnięty mięsień szczęki.

Po powrocie do kuchni przeglądał gazety, stzelając palcami w rytm jazzu płynącego z radia. Musiał dwa razy spojrzeć na April, by pojąć, na czym polega różnica w jej wyglądzie: miała na sobie jedną ze starych ciężowych sukienek.

- Ładna - powiedział.

- Dziękuję.

- Jest sherry?

- Nie sądzę. Chyba całe wypiliśmy.

- Cholera. Piwa też nie ma, jak przypuszczam. - Przeszło mu przez myśl, by napić się whisky, ale pora była za wczesna.

- Zrobiłam mrożoną herbatę, jeśli masz ochotę. Jest w chłodziarce.

- Dobra. - Nalał sobie szklanekę, choć wcale nie miał ochoty na herbatę. - A gdzie są dzieci?

- U Campbellów.

- Szkoda, myślałem, że poczytam im historyjki.

Przez kilka minut kartkował gazety, podczas gdy April pracowała przy zlewie. Potem, jako że nie miał nic do roboty, podszedł do niej i ujął ją za ramię. Ten gest sprawił, że zeszywniała.

- Posłuchaj - zaczął. - To było dość zwariowane lato i wiem, że ty... że oboje żyliśmy w stresie. To znaczy wiem, że ty...

- Wiesz, że nie śpiam z tobą, i chcesz wiedzieć dlaczego - powiedziała, odsuwając się od jego dłoni. - Cóż, przykro mi, Frank, ale nie mam ochoty o tym rozmawiać.

Po chwili wahania z szacunkiem pocałował ją w czubek głowy; pragnął, by nastrój się poprawił i łatwiej im było się porozumieć.

- Dobrze - powiedział. - A o czym masz ochotę rozmawiać? Skończyła zmywać naczynia i wypuściła wodę ze zlewu, po czym zaczęła płukać ściereczkę. Dopiero kiedy wykręciła ją i powiesiła na haczyku, odwróciła się ku niemu po raz pierwszy. Sprawiała wrażenie przerażonej.

- A moglibyśmy o niczym nie rozmawiać? - zapytała. - No wiesz, czy nie moglibyśmy przyjmować każdego dnia takim, jaki jest, robić, co do nas należy, i nie czuć przy tym, że musimy ciągle o wszystkim rozmawiać?

Uśmiechnął się do niej jak cierpliwy psychiatra.

- Nie wydaje mi się, żebym chciał „ciągle o wszystkim rozmawiać”. Z całą pewnością nie to miałem na myśli. Chodziło mi tylko o...

- Dobrze - przerwała, oddalając się od niego o następny krok. - Powodem jest to, że cię nie kocham. I co ty na to?

Na szczęście uprzejmy uśmiech psychiatry wciąż malował się na jego twarzy, co uratowało go przed potraktowaniem poważnie jej słów.

- To żadna odpowiedź - odparł łagodnie. - Ciekaw jestem, co naprawdę czujesz. Ciekaw jestem, czy w gruncie rzeczy nie próbujesz ignorować całej tej sytuacji, dopóki... cóż, dopóki nie pójdziesz do lekarza. Jakbyś próbowała odrzucać odpowiedzialność osobistą do czasu, gdy zaczniesz terapię. Jak myślisz, to możliwe?

- Nie. - Stała plecami do niego. - Och, sama nie wiem, tak. Jak chcesz. Ujmij to w sposób, który jest dla ciebie najwygodniejszy.

- Cóż - powiedział Frank - to nie ma nic wspólnego z moją wygodą. Mówię tylko, że niezależnie od terapii życie musi toczyć się dalej. Do diabła, wiem, że przeżywasz ciężki okres, to było trudne lato. Rzecz w tym, że oboje jesteśmy w stresie i powinniśmy w miarę możliwości wzajemnie sobie pomagać. Bóg wie, że sam ostatnio dziwnie się zachowywałem, szczerze mówiąc, zastanawiałem się nawet, czy też nie powinienem pójść do psychiatry. Bo wiesz... - Podszedł do okna, zaciskając szczękę. - Wiesz, miałem nadzieję, że się dogadamy, ponieważ jest coś, o czym chciałbym ci powiedzieć, a co zdarzyło się kilka tygodni temu i było... no cóż, neurotyczne i irracjonalne.

Niemal zanim się zorientował (a właściwie zanim się zorientował), opowiadał o Maureen Grube. Robił to z automatycznym sprytem, Maureen scharakteryzował jako „dziewczynę z Nowego Jorku, którą ledwo znałem”, nie wspomniał, że jest maszynistką w jego biurze, starannie podkreślił brak emocjonalnego zaangażowania ze swej strony, a równocześnie zdołał zasugerować, że ona pożądała go bezgranicznie. Jego głos, łagodny i silny, chwilami załamujący się lub wahający, jedynie wzmacniał rytm opowieści, łączył moc wyznania z narracyjnym wdziękiem romantycznej historii.

- Myślę, że przede wszystkim chodziło to, iż odnosiłem wrażenie... cóż, że moja męskość została jakoś zagrożona tą sprawą aborcji; chciałem coś udowodnić, sam nie wiem. W każdym razie zerwałem z nią w zeszłym tygodniu. Cała ta głupia sprawa już jest nieodwołalnie skończona. Gdybym nie był tego pewien, nigdy bym ci o tym nie powiedział.

Przez pół minuty jedynym odgłosem w pokoju była muzyka z radia.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Pokręcił głową, wciąż wyglądając przez okno.

- Dziecinko, nie wiem. Usiłowałem ci to wyjaśnić, wciąż usiłuję wyjaśnić to sobie. To miałem na myśli, nazywając swoje zachowanie neurotycznym i irracjonalnym. Ja...

- Nie - przerwała April. - Nie pytałam, dlaczego miałeś romans z tą dziewczyną, tylko dlaczego mi o tym opowiedziałeś? Po co? Chciałeś wzbudzić we mnie zazdrość? Miałam się w tobie zakochać, wrócić do wspólnego łóżka czy co? Jak właściwie mam zareagować?

Spojrzał na nią czując, jak policzki zalewa mu rumieniec, a rysy wykrzywia grymas zakłopotania, który bez skutku usiłował przekształcić w uśmiech psychiatry.

- Dlaczego nie powiesz, co czujesz?

Sprawiała wrażenie, że krótko się nad tym zastanawia, później wzruszyła ramionami.

- Powiedziałam. Nic nie czuję.

- Innymi słowy nie obchodzi cię, co robię albo z kim sypiam, tak?

- Tak, masz rację, to mnie nie obchodzi.

- Ale ja chcę, żeby cię obchodziło!

- Wiem. Przypuszczam, że obchodziłoby mnie, gdybym cię kochała, ale widzisz, ja cię nie kocham. Nie kocham i w gruncie rzeczy nigdy nie kochałam. Dotarło to do mnie dopiero w tym tygodniu i dlatego wolałabym na razie o niczym nie rozmawiać. Rozumiesz? - Wzięła ściereczkę i poszła do salonu, zmęczona, kompetentna pani domu, która ma obowiązki do wykonania.

- Posłuchajcie - odezwał się rozkazujący głos w radiu. - Podczas wielkiej wyprzedaży przekonacie się, że cały zapas męskich szortów i dżinsów u Roberta Halla ulegnie drastycznej redukcji!

Frank, który stał wyprostowany, ze wzrokiem utkwionym w nietkniętą szklankę mrożonej herbaty na stole, czuł, jak głowę wypełnia mu zamęt, przez który przedrzeć się mogła wyłącznie jedna myśl: nagle przypomniał sobie, jaka to niedziela, co tłumaczyło też, dlaczego dzieci są u Campbellów, a zarazem oznaczało, że nie pozostało im wiele czasu na rozmowę.

- Och, posłuchaj - powiedział, idąc za nią do salonu długimi stanowczymi krokami. - Odłóż na moment tę przeklętą ścierkę i posłuchaj. Słuchaj mnie. Do diabła, po pierwsze, wiesz dobrze, że mnie kochasz.

Rozdział piąty

Och, cóż to za luksus jechać sobie w samochodzie zamiast prowadzić - westchnęła pani Givings, nie wypuszczając z dłoni klamki od strony pasażera. Mąż zawsze prowadził w czasie wypraw do szpitala, a ona nieodmiennie wygłaszała uwagę

O tym, jaka to miła odmiana. Podkreślała, że dla człowieka spędzającego za kierownicą całe dni od rana do wieczora, nie ma cudowniejszego wytchnienia niż sytuacja, w której ktoś go zastępuje. Ale siła nawyku była potężna: obserwowała drogę z taką uwagą, jakby to ona kierowała, i prawą stopą naciskała gumową wykładzinę przy każdym zakręcie albo znaku stopu. Czasami przyłapywała się na tych gestach i wówczas zmuszała oczy do obserwacji mijanego krajobrazu, a mięśnie pleców do rozluźnienia i oparcia się o fotel. W finalnym pokazie samokontroli mogła nawet oderwać dłoń od klamki i położyć ją na kolanach.

- Ojej, cóż za przepiękny dzień, prawda? - powiedziała. - I popatrz na te cudowne liście, dopiero zaczynają zmieniać kolor. Czy jest coś miłszego niż początek jesieni? Wszystkie te wspaniałe barwy i rzeźkość w powietrzu. Zawsze wtedy wracam myślami do ojej UWAŻAJ!

Jej but uderzył o podłogę, całe ciało wygięło się gorączkowo w pozycji jak do gwałtownego hamowania, by uniknąć kolizji: z bocznej drogi wyjeżdżała na nich czerwona ciężarówka.

- Widzę, moja droga - powiedział Howard Givings, gładko naciskając hamulce, dzięki czemu ciężarówka miała dość miejsca na przejazd. Przyśpieszył ponownie. - Odpręż się, a prowadzenie zostaw mnie.

- Och, już nie będę, przepraszam. Wiem, że zachowuję się niemądrze. - Wzięła kilka głębokich oddechów i splotła dłonie na udach, gdzie spoczywały płochliwie niczym przerażone ptaki. - Tylko że zawsze strasznie się denerwuję w dni wizyt, zwłaszcza kiedy minęło tyle czasu.

- Nazwisko pacjenta? - zapytała boleśnie chuda dziewczyna w recepcji.

- John Givings - odparła pani Givings, uprzejmie pochylając głowę. Obserwowała, jak obgryziony ołówek dziewczyny zsuwa się w dół listy, by wreszcie się zatrzymać przy pozycji: Givings John.

- Pokrewieństwo?

- Rodzice.

- Proszę tutaj podpisać i zabrać kwit. Oddział Dwa A, po schodach i na prawo. Proszę, żeby pacjent wrócił do piątej.

Nacisnąwszy guzik, nad którym widniała tabliczka: „Dzwonek do pielęgniarki”, nieśmiało dołączyli do innych gości oglądających wystawę prac plastycznych pacjentów w zewnętrznej poczekalni Oddziału Dwa A. Wśród obrazków znajdowała się wykonana kredkami wierna podobizna Kaczora Donalda oraz rozbudowana fioletowo-brązowa scena ukrzyżowania, na której słońce, a może księżyc, miało ten sam szkarłatny kolor, co krople krwi spadające w precyzyjnie odmierzonych odległościach z rany w boku Zbawiciela.

Po minucie za zamkniętymi drzwiami usłyszeli głuchy tupot gumowych podeszew oraz dzwonienie kluczy; w progu stanął potężny młody mężczyzna w okularach i białym fartuchu.

- Mogę prosić o kwity? - powiedział, po czym zaczął parami wpuszczać odwiedzających do poczekalni wewnętrznej. Był to wielki, słabo oświetlony pokój, wyposażony w krzesła i stoliki z jaskrawymi plastikowymi blatami przeznaczone dla gości tych pacjentów, którzy nie znaleźli się na liście uprzywilejowanych. Stoły w większości były zajęte, choć w sali z rzadka rozlegały się głosy. Tuż koło drzwi siedziała młoda murzyńska para, trzymając się za ręce; niełatwo było w mężczyźnie rozpoznać pacjenta, jeśli się nie dostrzegło, że jego druga dłoń zaciśnięta jest desperacko na chromowej nodze, jakby to była lina ratunkowa. Nieco dalej stara kobieta czesała splątane włosy syna, który równie dobrze mógł mieć dwadzieścia pięć, jak czterdzieści lat; kiwał posłusznie głową w rytm pociągnięć grzebienia, jedząc obranego ze skórki banana.

Sanitariusz umocował pęk kluczy na klamercie przy kieszeni spodni i donośnie wywołując nazwiska z zebranych od gości kwitów, ruszył korytarzem wypełnionym głosami odbiorników radiowych nastawionych na rozmaite stacje; kiedy odprowadzałeś go wzrokiem, widziałeś wyłącznie długi pas wypastowanego linoleum i rogi metalowych łóżek szpitalnych.

Po jakimś czasie wrócił, prowadząc niewielki, mizerny pochód. Zamykał go John Givings, wysoki, stąpający szeroko; jedną dłonią zapinał sweter, w drugiej niósł swoją robotniczą czapkę.

- Ho, ho - powitał rodziców. - Wypuszczają dzisiaj więźniów na słońce? Wielka sprawa. - Starannie umieścił czapkę na środku głowy, kompletując tym samym swój publiczny strój. - Chodźmy.

Wszyscy troje milczeli, gdy samochód mijał długie ceglane oddziały, budynek administracyjny i boisko do softballu, gdy okrążał dobrze utrzymany okrągły trawnik, przy którym stały bliźniacze białe słupy, jeden z flagą amerykańską, drugi ze stanową, i skręcał na czarną drogę prowadzącą do

autostrady. Pani Givings z tylnego siedzenia (zwykle czuła się swobodniej, kiedy John siedział z przodu) usiłowała odgadnąć nastrój syna, studiując jego kark.

- John? - powiedziała. - He?

- Mamy dobre wieści. Pamiętasz Wheelerów? Przypadli ci do gustu. A przy okazji, bardzo uprzejmie prosili, żebyśmy do nich wpadli, jeśli masz ochotę, to jedna z tych wieści. Ważniejsza jest taka, że postanowili zostać. Jednak nie wyjeżdżają do Europy. Cudownie, prawda? - Z niespokojnym uśmiechem patrzyła, jak John wolno się odwraca, by spojrzeć na nią ponad oparciem.

- Co się stało? - zapytał.

- Cóż, nie... ale co rozumiesz przez to pytanie, mój drogi? Nie przypuszczam, że koniecznie coś musiało się „stać”, wyobrażam sobie, że po prostu przedyskutowali sprawę i zmienili zdanie.

- To znaczy, że nawet nie zapytałaś? Ludzie podejmują zamiar tak poważny, potem z niego rezygnują, a ty nie pytasz, o co chodzi? Dlaczego?

- No cóż, Johnie, po prostu uważałam, że to nie moja sprawa. O takie rzeczy się nie dopytuje, mój drogi, chyba że druga osoba z własnej woli ci mówi. - Usiłując stłumić coraz wyraźniejszą ostrzegawczą nutę w swoim głosie, która niemal na pewno rozgniewałaby Johna, pani Givings zmusiła mięśnie twarzy do ułożenia się w dobroduszny uśmiech. - Nie możemy się cieszyć, że zostają, bez wnikania w powody? Och, popatrz na ten uroczy stary czerwony silos. Nigdy przedtem go nie zauważyłam, a wy? To musi być najwyższy silos w promieniu wielu mil.

- To uroczy stary silos, mamó - powiedział John. - Wiadomości o Wheelerach są urocze i ty jesteś uroczą osobą. Prawda, tato? Urocza z niej osoba, zgadzasz się?

- Wszystko w porządku, John - powiedział Howard Givings. - Spokojnie, synu.

Pani Givings, której palce rozdarły pudełko zapalek na wilgotne strzępy, zamknęła oczy i usiłowała zebrać siły na najbliższe godziny, niemal na pewno nieprzyjemne.

Jej niepokój wzrósł niepomierne przy kuchennych drzwiach Wheelerów. Byli w domu (na podjeździe stały oba samochody), ale sam budynek miał dziwnie nieprzyjazny wygląd, jakby gospodarze nie spodziewali się gości. Nikt nie odpowiedział, gdy lekko zapukała w szybkę w drzwiach, w której wyraźnie odbijały się drzewa i niebo, jej własna twarz oraz twarze stojących za nią Howarda i Johna. Zapukała ponownie, tym razem przyciskając dłoń do szybki, by zajrzeć do środka. Kuchnia była pusta (na stole dostrzegła szklankę z

mrożoną herbatą), ale akurat wtedy z salonu wypadł Frank Wheeler. Wyglądał okropnie, jakby za chwilę miał zacząć wrzeszczeć, płakać albo zrobić coś gwałtownego. Pani Givings od razu się zorientowała, że nie słyszał pukania i nie wie o ich obecności: nie idzie otworzyć drzwi, ale desperacko ucieka z salonu, a może i domu. Nim zdążyła się cofnąć, zobaczył ją, przyłapał, jak zgarbiona patrzy wprost w jego oczy. Drgnął, przystanął i przywołał na twarz uśmiech, będący lustrzanym odbiciem jej uśmiechu.

- Witajcie - powiedział, otwierając drzwi. - Proszę do środka.

Weszli wszyscy do salonu, gdzie była April; ona też wyglądała okropnie: blada i wymizerowana, wykręcała palce.

- Miło was widzieć - powiedziała słabo. - Usiądźcie, proszę. Obawiam się, że w domu jest straszny bałagan.

- Przyszliśmy za wcześnie? - zapytała pani Givings. - Wcześnie? Nie, nie, my tylko... ma ktoś ochotę na drinka? Albo mrożoną herbatę?

- Och, nie, dziękujemy. Możemy zostać tylko chwilkę, właściwie wpadliśmy, żeby się przywitać.

Nastąpił dziwny, niezręczny podział: troje Givingsów siedziało rzędem, Wheelerowie stali oparci o półki z książkami, niespokojnie zbliżając się do siebie i oddalając w czasie rozmowy. Dopiero teraz, obserwując ich z bliska, pani Givings mogła zaryzykować domysł w kwestii źródeł panującego między gospodarzami napięcia: z całą pewnością się kłócili.

- Słuchajcie - odezwał się John, gdy rozmowa się urwała. - O co tu chodzi? Słyszałem, że zmieniliście zdanie. Jak to się stało?

- No cóż. - Frank z zakłopotaniem się roześmiał. - Cóż, to niezupełnie tak. Można powiedzieć, że zdanie zostało zmienione za nas.

- Jak to?

Frank przysunął się ku żonie.

- Hmm, sądziłbym, że teraz jest to już dość oczywiste. Wzrok pani Givings po raz pierwszy spoczął na stroju April.

Miała na sobie ciężową sukienkę!

- Och, April! - wykrzyknęła. - To cudownie! - Zastanawiała się, co właściwie należy zrobić w takiej sytuacji: powinna wstać i... pocałować ją albo coś w tym rodzaju? April jednak nie wyglądała jak dziewczyna, która chce, by ją całowano.

- Och, to takie podniecające - ciągnęła pani Givings - i nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę. - Nie zapomniała też dodać: - Spodziewam się, że teraz będzie wam potrzebny większy dom, prawda? - I przez cały ten czas pomimo wszystko miała nadzieję, że John zachowa milczenie. Niestety.

- Poczekaj, mamó - przerwał jej, podnosząc się z miejsca.

- Poczekaj. Ja tego nie łapię. - Utkwił we Franku wzrok prokuratora. - Co w tym takiego oczywistego? No wiecie, dobra, ona jest w ciąży, i co z tego? W Europie ludzie nie mają dzieci?

- Och, Johnie - powiedziała pani Givings - sądzę, że nie powinniśmy...

- Mamó, nie wtrącaj się, dobrze? Zadałem mu pytanie. Jak nie będzie chciał odpowiedzieć, to chyba ma dość rozsądku, żeby mi o tym powiedzieć.

- Oczywiście - odparł Frank, uśmiechając się do swoich butów. - Ograniczmy się może do stwierdzenia, że wszędzie na świecie ludzie raczej nie powinni mieć dzieci, jeśli nie mogą sobie na nie pozwolić. Tak się składa, że my możemy sobie pozwolić, o ile zostaniemy tutaj. To kwestia pieniędzy, rozumiesz.

- Dobra. - John pokiwał głową wyraźnie usatysfakcjonowany, wodząc spojrzeniem od jednego Wheelera do drugiego.

- Zgoda, to dobry powód.

Na twarzach gospodarzy odmalowała się ulga, ale pani Givings poczuła, jak tężeją jej wszystkie mięśnie, z wieloletniego doświadczenia wiedziała bowiem, że kroi się coś okropnego.

- Pieniądze są zawsze dobrym powodem - powiedział John. Z dłońmi w kieszeniach ruszył wokół dywanu. - Ale rzadko bywają prawdziwym powodem. Jaki jest prawdziwy powód? Żona odwiodła cię od tego zamiaru czy co? - Obdarzył swym oszłamiającym uśmiechem April, która szła przez pokój, by zgasić papierosa w popielniczce. Przelotnie na niego spojrzała, po czym spuściła wzrok. - He? - nalegał. - Kobiętka uznała, że nie jest gotowa do rezygnacji z zabawy w dom? Nie, nie, to nie to. Widzę, że nie. Jest za twarda. Twarda, kobieca i sprawna jak diabli. Dobra, więc to musisz być ty. - Okręcił się na pięcie w stronę Franka. - Co się stało?

- John, proszę - powiedziała pani Givings. - Zachowujesz się bardzo...

Ale teraz nie można już było go powstrzymać.

- Co się stało? Strach cię obleciał? Doszedłeś do wniosku, że jednak ci się tutaj podoba? Wykombinowałeś, że pomimo wszystko wygodniej ci w tej starej Beznadziejnej Pustce albo... fiu fiu, ale numer! Popatrzcie na niego! Co jest, Wheeli? Trafiłem w sedno, co?

- John, jesteś niewiarygodnie niegrzeczny. Howardzie, proszę...

- W porządku, synu. - Howard Givings wstał. - Chyba już będziemy...

- O rany! - John wybuchnął swym hałaśliwym śmiechem.

- O rany! Wiesz co? Wcale bym się nie zdziwił, gdybyś specjalnie zrobił jej dziecko, żeby do końca życia móc się ukrywać za tą ciążową sukienką.

- Posłuchaj - powiedział Frank Wheeler; ku zdziwieniu wstrząśniętej pani Givings dłonie miał zaciśnięte w pięści i cały się trząsał. - Myślę, że to wystarczy. Do diabła, myślisz, że kim jesteś? Przychodzisz tutaj i wygadujesz każdą zwariowaną bzdurę, jaka ci wpadnie do głowy, a ja uważam, że czas najwyższy, żeby ktoś ci powiedział, żebyś trzymał swoje przekłete...

- On nie czuje się dobrze, Frank - zdołała wykrztusić pani Givings, po czym skonsternowana przygryzła wargę.

- Akurat, cholera. Przykro mi, pani Givings, ale guzik mnie obchodzi, czy on czuje się dobrze, żyje czy umarł. Chciałbym tylko, żeby trzymał swoje przekłete opinie w tym przekętym wariatkowie, gdzie ich miejsce.

W bolesnym milczeniu, które zapadło, stali wszyscy na środku pokoju: pani Givings wciąż gryzła wargę, Howard starannie przekładał lekki płaszcz przeciwdeszczowy przez ramię, zarumieniona April wpatrywała się w podłogę, Frank nadal się trząsał i głośno oddychał, a w jego wzroku malowała się straszna kombinacja brawury i upokorzenia. John, który teraz uśmiechał się łagodnie, jako jedyny sprawiał wrażenie spokojnego.

- Ważny facet załatwił cię na szaro, April. - Puścił do niej oko, wkładając czapkę na głowę. - Poważny ojciec rodziny, solidny obywatel. Współczuję ci. Ale może na siebie zasługujecie. Szczerze mówiąc, jak teraz na ciebie patrzę, jemu też zaczynam współczuć. Bo jak się tak zastanowić, musiałaś nieźle dać mu popalić, skoro robienie dzieci jest dla niego jedynym sposobem na udowodnienie, że ma jaja.

- W porządku, John - mtuczał Howard. - Chodźmy do samochodu.

- April - szepnęła pani Givings. - Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro...

- Jasne - powiedział John, idąc za ojcem. - Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Dobrze, mam? Powiedziałem

„przepraszam” tyle razy, ile trzeba? Bo naprawdę jest mi przykro. Cholera, założę się, że jestem najżałośniejszym draniem, jakiego znam. Jasne, jak się zastanowić, piekielnie mało mam powodów do zadowolenia, no nie?

Pani Givings pomyślała, że jeśli już nic nie da się uratować z tego straszego dnia, to przynajmniej John pozwala Howardowi spokojnie się prowadzić. Musi tylko iść za nimi, znaleźć sposób na zrobienie tych kilku kroków do drzwi, i będzie po wszystkim.

John jednak jeszcze nie skończył.

- Hej, ale z jednego jestem zadowolony - powiedział, zatrzymując się blisko wyjścia, odwracając i wybuchając od nowa śmiechem. Pani Givings pomyślała, że zaraz umrze, gdy wyciągnął długi, pokryty żółtymi plamami palec

wskazujący w kierunku niewielkiego wzgórka pod sukienką April. - Wiecie, z czego jestem zadowolony? Cieszę się, że nie będę tym dzieckiem.

Rozdział szósty

Pierwszą rzeczą, którą zrobił Frank, kiedy Givingsowie opuścili dom, było nalanie do szklaneczki burbona na trzy palce i opróżnienie jej jednym haustem.

- Dobra - rzekł, odwracając się do żony. - Dobra, nic nie mów. - Kula whisky w żołądku sprawiła, że konwulsyjnie zakaszał. - Nic nie mów, sam zgadnę. Zrobiłem z siebie odrażający spektakl. Mam rację? Och, i jeszcze jedno. - Szedł tuż za nią przez kuchnię do salonu, ze wstydem, gniewem i żalnym błaganiem spoglądając na gładko uczesane włosy żony. - I jeszcze jedno: wszystko, co ten człowiek powiedział, było prawdą. Racja? Nie to chcesz mi powiedzieć?

- Najwyraźniej nie muszę. Ty mówisz to za mnie.

- Och, April, czy nie widzisz, że to nieprawda? Nie widzisz, jak strasznie, cholernie się mylisz, jeśli naprawdę tak uważasz?

Odwróciła się do niego.

- Nie. Dlaczego się mylę?

- Bo ten człowiek jest chory psychicznie. - Odstawił drinka na parapet, by oswobodzić dłonie, i zaczął z pasją gestykulować, rozcapierzone palce odsuwając od piersi i zaciskając w pięści, którymi potrząsał pod brodą. - Ten człowiek jest chory psychicznie - powtórzył. - Znasz definicję choroby psychicznej?

- Nie. A ty?

- Tak. To niezdolność do nawiązania relacji z drugim człowiekiem. Niezdolność do miłości.

April zaczęła się śmiać. Odrzuciła głowę do tyłu, odsłaniając dwa idealne rzędy zębów, i zmrużyła błyszczące oczy, podczas gdy w pokoju dzwonił jej perlisty śmiech.

- Nie - powiedziała - nie, niezdol... niezdolność do... Wpadła w histerię. Chwiejnie, potykając się i chwytając mebli, doszła do ściany i zawróciła. Frank zastanawiał się, co powinien zrobić. Kiedy w filmach kobiety wpadały w histerię, mężczyźni policzkowaniem pomagali im odzyskać równowagę; tylko że mężczyźni w filmach zawsze byli spokojni i wyraźnie dawali do zrozumienia, po co je biją. On nie był spokojny. Prawdę mówiąc, mógł tylko stać i patrzeć, głupio otwierając i zamykając usta.

Wreszcie April padła na fotel. Wciąż się śmiała; przypuszczał, że teraz nastąpi przejście od śmiechu do płaczu - tak zwykle zdarzało się w filmach - ale ona dziwnie normalnie się uspokajała; bardziej przypominało to dochodzenie do siebie po bardzo zabawnym żarcie niż po ataku histerii.

- Och - westchnęła. - Och, Frank, potrafisz cudownie mówić. Gdyby można było zamienić czarne w białe samym mówieniem, ty byłbyś właściwym człowiekiem do tej roboty. Więc teraz jestem wariatką, bo cię nie Kocham, tak? Taki jest sens?

- Nie, pomyłka. Nie jesteś wariatką i Kochasz mnie, w tym rzecz.

Wstała i odsunęła się od niego, obrzucając go płonącym wzrokiem.

- Ale ja cię nie Kocham - powiedziała. - Wręcz przeciwnie, nie mogę na ciebie patrzeć. Jeśli się do mnie zbliżysz, jeśli mnie dotkniesz, chyba zacznę krzyczeć.

Dotknął jej, mówiąc:

- Och, dziecinko, posłuj... A ona zaczęła krzyczeć.

Nie ulegało wątpliwości, że udawała, bo przez cały czas zimno patrzyła mu w oczy, ale krzyczała wysoko, przeraźliwie i dostatecznie głośno by wstrząsnąć ścianami. Kiedy umilkła, Frank powiedział:

- Do diabła z tobą. Do diabła z tobą, ty zarozumiała, godna pogardy mała... Chodź tutaj, do cholery...

Wyminęła go zręcznie, po czym krzesłem zagroziła mu przejście. Frank złapał je i rzucił o ścianę. Jedna z nóg odłamała się z trzaskiem.

- I co teraz zrobisz? - zapytała prowokująco. - Uderzysz mnie? Żeby mi pokazać, jak bardzo mnie Kochasz?

- Nie. - W jednej chwili poczuł się niezwykle silny. - O nie. Nie musisz się obawiać. Nie mam zamiaru się fatygować. Nie jesteś warta kurzu, który by się wzbił, gdybym cię walnął. Jesteś pustą... - Słyszał własny głos, świadom luksusowej swobody, ponieważ dzieci nie było w domu. Nikogo nie było i nikogo się nie spodziewali; mieli cały ten wibrujący dom dla siebie. - Jesteś pustą, próżną pieprzoną skorupą kobiety... - To była pierwsza okazja do otwartej, wszechstronnej kłótni od wielu miesięcy i Frank skorzystał z niej, krążąc po pokoju, trzęsąc się i głośno chwytając oddech. - Do diabła, dlaczego mieszkasz w moim domu, jeśli tak bardzo mnie nienawidzisz? Po co nosisz moje dziecko? - Jak John Givings wskazał jej brzuch. - Cholera, czemu się go nie pozbyłaś, skoro miałaś szansę? Bo posłuchaj, mam dla ciebie wiadomość. - Potężne napięcie zaczęło ustępować, gdy wolno i spokojnie wygłosił następne słowa, nadając im ton bliższy prawdy niż wszystkie pozostałe, które kiedykolwiek powiedział: - Boże, żałuję, że tego nie zrobiłaś.

To była doskonała kwestia końcowa. Wyminął April i wyszedł z pokoju na rozkołysany korytarz. Przekroczywszy próg sypialni, kopnięciem zamknął za sobą drzwi, usiadł z rozmachem na łóżku i prawą dłonią zaciśniętą w pięść uderzył w lewą.

Że tak jej powiedział! Ale czy to była prawda? Pragnął, żeby to zrobiła?

- Tak - szepnął. - Tak, tak, tak.

Oddychał szybko i głośno przez usta, serce waliło mu młotem; po chwili zamknął wyschnięte usta i przełknął ślinę, tak że ciszę mącił tylko szorstki szelest powietrza wchodzącego i wychodzącego przez nos. Wszystko to stopniowo ustępowało, krew wolniej płynęła mu w żyłach i zaczynał dostrzegać swoje i otoczenie: okno z szybami i zasłonami płonącymi od zachodzącego słońca, jasne i pachnące słoiki na toaletce April, jej biały szlafrok wiszący po wewnętrznej stronie otwartych drzwi szafy i buty ustawione w schludny szereg na dnie: szpilki na wysokich obcasach, baletki, przybrudzone pantofle.

Panował całkowity spokój; Frank zaczynał żałować, że się tu zamknął. Przede wszystkim miał ochotę na następnego drinka. Na trzask zamykanych kuchennych drzwi wezbrała w nim dawna panika: April go opuszcza.

Zerwał się i bezszelestnie pobiegł przez dom, zamierzając złapać ją i coś powiedzieć - cokolwiek - zanim uruchomi samochód, ale nie było jej w samochodzie ani w jego pobliżu. Nigdzie jej nie było. Zniknęła. Okrążył biegiem dom, czując, jak policzki mu się trzęsą; zaczął bezmyślnie drugie okążenie, kiedy zobaczył ją w zagajniku. Chwiejnie wspinała się na zbocze, sprawiając wrażenie bardzo małej pośród drzew i skał. Ruszył pędem przez trawnik, przeskoczył niski kamienny murek i zaczął przedzierać się przez krzewy, zastanawiając się, czy tym razem naprawdę nie postradała zmysłów. Do diabła, po co się tam włóczy? Czy kiedy ją dogoni, chwyci za ramię i odwróci ku sobie, będzie miała na twarzy pustą, uśmiechniętą maskę szaleństwa?

- Nie podchodź ani kroku bliżej! - zawołała.

- April, posłuchaj, ja...

- Ani kroku. Czy nawet w lesie nie mogę się ciebie pozbyć?

Ciężko dysząc, przystanął dziesięć jardów poniżej. Przynajmniej nic jej nie było, twarz miała jasną i czystą. Nie mogli jednak klócić się tutaj - znajdowali się w zasięgu słuchu i wzroku mieszkańców wszystkich domów przy drodze.

- April, posłuchaj, nie myślałem tak. Mówię szczerze, nie żałuję, że tego nie zrobiłaś.

- Wciąż mówisz? Czy w żaden sposób nie można cię uciszyć? - Spoglądała na niego, oparta o pień drzewa.

- Zejdź, proszę. Co ty tam robisz...

- Chcesz, żebym znowu zaczęła wrzeszczeć, Frank? Bo zacznę, jeśli powiesz jeszcze słowo.

A gdyby wrzasnęła tu, na wzgórzu, usłyszeliby ją w każdym domu przy Revolutionary Road. Usłyszeliby także na szczycie Revolutionary Hill i u Campbellów. Nie pozostało mu nic innego, jak samotnie wrócić, z zagajnika wejść na trawnik, a stamtąd do domu.

W kuchni całą uwagę poświęcił na ponurą obserwację poczyńań April przez okno. Wpierw stał czy raczej kuczał, w końcu usiadł na krześle, schowany w cieniu, tak by nie mogła go zauważyć.

Najwyraźniej nic tam nie robiła: stała oparta o drzewo w gęstniejącym zmierzchu i z trudem odróżniał ją od tła. Raz, gdy zapaliła papierosa, zapłonął na żółto ogień, później więc obserwował żarzący się na czerwono i zataczający powolne łuki koniuszek. Kiedy skończyła, w lesie panowała całkowita ciemność.

Uparcie wpatrywał się w to samo miejsce pomiędzy drzewami do chwili, gdy jej blada sylwetka zaskoczyła go o wiele bliżej: wracała do domu przez trawnik. Ledwo zdążył umknąć z kuchni. Ukryty w salonie, słuchał, jak April podnosi słuchawkę i wykręca numer.

Głos miała normalny i spokojny.

- Halo, Milly? Cześć... O tak, wyszli jakiś czas temu. Ale posłuchaj, czy mogę prosić cię o przysługę? Nie czuję się najlepiej, może złapałam grypę albo coś w tym rodzaju, a Frank jest wykończony. Bardzo by ci przeszkadzało, gdyby dzieci zostały na noc?... Och, to cudownie, Milly, wielkie dzięki... Nie, nie przejmuj się tym, oboje wczoraj się kąpali... No tak, wiem, że też się ucieszą. Zawsze cudownie spędzają u was czas... W takim razie w porządku. Zadzwoń do ciebie rano.

Po skończonej rozmowie weszła do salonu i zapaliła lampy. Od nagłego blasku oboje zaczęli mrugać. Frank nade wszystko czuł zakłopotanie, April także sprawiała wrażenie zażenowanej, zaraz jednak położyła się na sofie, chowając przed nim twarz.

W przeszłości w takich chwilach jak ta wychodził z domu, wsiadał do samochodu i jeździł przez wiele mil, zatrzymując się w oświetlonych na niebiesko i czerwono barach, gdzie wysypywał monety na wilgotne kontuary, ponuro przysłuchiwał się długim, głupim rozmowom kelnerek i budowlańców, puszczał hałaśliwe płyty w szafach grających, a potem pędził dalej w noc, aż zmęczenie pozwalało mu zasnąć.

Jednakże dzisiaj wieczorem to nie wchodziło w grę. Problem polegał na tym, że nigdy w przeszłości nie było sytuacji dokładnie takiej jak ta. Czuł się fizycznie niezdolny do wyjścia i uruchomienia silnika, nie wspominając już o prowadzeniu. W kolanach miał galarete, w głowie mu dzwoniło i był potulnie

wdzięczny za ochronną skorupę domu; mógł tylko przejść do sypialni i zamknąć się w niej, chociaż tym razem mimo całej rozpaczki nie zapomniał zabrać butelki whisky.

W ubraniu leżał spocony na łóżku przez tę noc pełną przerażających i wyrazistych snów. Czasami, gdy się budził albo śnił, że nie śpi, wydawało mu się, że April chodzi po domu; raz, nad ranem, przysięgłby, że otworzył oczy i zobaczył ją siedzącą tuż koło niego na skraju łóżka. To był sen czy jawa?

- Och, dziecinko - szepnął popękanymi, spuchniętymi wargami. - Och, moja dziecinko, nie odchodź. - Ujął ją za rękę. - Błagam, zostań.

- Sz-sz. Wszystko w porządku - odparła, ściskając jego palce. - Wszystko w porządku, Frank. Spij.

Dźwięk jej głosu i chłodny dotyk dłoni napełniły go cudownym spokojem, dlatego nie obchodziło go, czy to jawa czy nie; dzięki temu zapadł znowu w sen, który tym razem litościwie pozbawiony był rojeń.

Później nadszedł jaskrawożółty ból samotnego przebudzenia; ledwo zdążył zdecydować, że - nie pójdzie do pracy, kiedy sobie przypomniał, że musi. Na dzisiaj wyznaczono pierwszą konferencję zespołu Pollocka. Drżąc na całym ciele, z wysiłkiem wstał i powłókł się do łazienki, gdzie ostrożnie poddał się katuszom prysznicowa i golenia.

Kiedy się ubierał, serce biło mu szybciej od nielogicznej, nierozsądnej nadziei. A jeśli to jednak nie był sen? Jeśli rzeczywiście przyszła, usiadła na łóżku i tak do niego mówiła? Kiedy wszedł do kuchni, wszystko wskazywało na to, że ta nadzieja znalazła potwierdzenie w rzeczywistości. Widok był zdumiewający.

Stół starannie nakryto na dwie osoby. Kuchnię wypełniały promienie słoneczne oraz aromaty kawy i bekonu. April stała przy piecu, ubrana w czystą sukienkę ciężową. Powitała go nieśmiałym uśmiechem.

- Dzień dobry - powiedziała.

Zapragnął paść na kolana i objąć jej uda, ale się powstrzymał. Coś - niewykluczone, że nieśmiałość w jej uśmiechu - powiedziało mu, że lepiej nie próbować tego rodzaju gestów, tylko przyłączyć się do niej w tej grze, tym dziwnym, skomplikowanym udawaniu, że wczoraj nic się nie zdarzyło.

- Dzień dobry - odparł, unikając o milimetr jej oczu. Usiadł i rozwinął serwetkę. Niewiarygodne. Nigdy poranek po kłótni nie przebiegał tak gładko, choć z drugiej strony, myślał, popijając niespokojnie sok pomarańczowy, żadna kłótnia nie była tak poważna jak ta. Czy to możliwe, że wczoraj wreszcie rozstrzygnęli spór? Może tak się dzieje, kiedy nie pozostaje nic więcej do

powiedzenia, ani po stronie gniewu, ani wybaczenia. Przecież życie musi toczyć się dalej.

- Ładny poranek mamy dzisiaj, prawda? - powiedział.

- O tak. Wolisz jajecznicę czy sadzone?

- Och, to w gruncie rzeczy bez zna... tak, jajecznicę, chyba jest tak samo prosta.

- Dobrze. Ja też zjem jajecznicę.

Wkrótce zasiedli naprzeciwko siebie przy jasnym stole, szeptem wymieniając grzeczności nad posmarowaną masłem grzanką. Na początku Frankowi nieśmiałość nie pozwalała jeść. Czuł się jak wtedy, gdy jako siedemnastolatek po raz pierwszy zaprosił dziewczynę na kolację; sama myśl, że na jej oczach będzie napychał usta jedzeniem i przeżuwał, wydawała się niewybaczalnie grubiańskim postępkiem. Teraz uratowało go to samo co przy tamtej okazji: zaskakujące odkrycie, że jest głodny jak wilk.

Pomiędzy kolejnymi kęsami powiedział:

- Miło jest dla odmiany zjeść śniadanie bez dzieci.

- Tak. - April nie tknęła swojej porcji, a kiedy sięgnęła po filiżankę z kawą, zobaczył, że palce jej drżą; poza tym wydawała się całkowicie spokojna i opanowana. - Pomyślałam, że będziesz chciał solidne śniadanie. Masz przed sobą ważny dzień, prawda? Na dzisiaj wyznaczono konferencję z Pollockiem?

- Tak. - Nawet o tym pamiętała! Ukrył jednak swoją radość pod lekceważącym, krzywym uśmiechem, z którym od wielu lat opowiadał jej o Knoksie, i dodał: - Wielka sprawa.

- No cóż, wyobrażam sobie, że to jednak jest ważna sprawa, w każdym razie dla nich. A co właściwie będziesz robił? To znaczy dopóki nie zaczną cię wysyłać w teren. Niewiele o tym mówiłeś.

Żartuje sobie czy co?

- Nie mówiłem? - powtórzył. - No wiesz, w gruncie rzeczy sam nie bardzo się orientuję, w tym sęk. Przypuszczam, że w zasadzie będziemy „usuwać przeszkody”, jak określił to Pollock, czyli siedzieć i słuchać go. Zachowywać się, jakbyśmy mieli jakieś pojęcie o komputerach. Choć mnie się wydaje, że głównym powodem jest to, iż Knox dojrzał do tych naprawdę wielkich komputerów, większych niż pięćsetki. Opowiadałem ci o tym?

- Nie.

Najistotniejsze było to, że April sprawiała wrażenie, jakby naprawdę miała ochotę posłuchać.

- No wiesz, to jedno z tych monstrualnych urządzeń w rodzaju univaca, które są wykorzystywane przy prognozowaniu pogody, przewidywaniu wyniku

wyborów i tak dalej. Kosztują kilka milionów dolarów sztuka, rozumiesz, i gdyby Knox zajął się ich produkcją, trzeba by stworzyć całkiem nowy program promocyjny. Sądzę, że o to w tym chodzi.

Ogarnęło go dziwne uczucie, że płuca mu się powiększają albo w powietrzu jest więcej tlenu. Ramiona, dotąd wyprostowane i napięte, teraz stopniowo zaczęły się rozluźniać, by w końcu spocząć na oparciu krzesła. Czy tak czują się inni mężczyźni, kiedy żonom opowiadają o pracy?

- ...Generalnie rzecz biorąc, jest to strasznie wielka, strasznie szybko licząca maszyna - mówił w odpowiedzi na jej pytanie, jak właściwie działają komputery. - Tylko że zamiast części mechanicznych ma w środku tysiące maleńkich pojedynczych próżniowych tubek... - W minutę narysował na papierowej serwetce diagram przedstawiający wędrówkę dwójkowych impulsów przez system.

- Och, rozumiem - powiedziała April. - Tak mi się przynajmniej wydaje. To naprawdę... interesujące, prawda?

- Sam nie wiem, to... tak, chyba jest na swój sposób interesujące. Oczywiście niewiele o tym wiem poza ogólną ideą działania.

- Zawsze tak mówisz. Założę się, że w gruncie rzeczy wiesz o wiele więcej, niż sądzisz. Tak czy owak potrafisz dobrze to wytłumaczyć.

- Tak? - Poczuł, jak jego uśmiechnięte policzki zalewa ciepło, gdy ze spuszczonego wzrokiem chował ołówek w wewnętrznej kieszeni gabardynowej marynarki. - Dziękuję. - Dopił drugą filiżankę kawy i wstał. - Chyba muszę się zbierać.

April też wstała, wyglądając spodnicę.

- Ale posłuchaj, April, to było bardzo miłe. - Gardło mu się ścisnęło. Jeszcze chwila, a zacząłby płakać, ale zdołał się powstrzymać. - Śniadanie było doskonałe - powiedział, mocno mrugając. - Naprawdę, nie wiem, czy kiedykolwiek siedziałem przy... miłszym śniadaniu.

- Dziękuję - odparła April. - Cieszę się, mnie też sprawiło przyjemność.

Jak mógł teraz wyjść? Nic nie mówiąc? Spoglądając na nią, gdy oboje szli ku drzwiom, zastanawiał się, czy nie powinien powiedzieć: „Nie potrafię wyrazić, jak okropnie się czuję z powodu wczorajszego dnia”, „Kocham cię” albo coś w tym rodzaju; a może lepiej nie ryzykować, nie zaczynać od nowa? Zawahał się; odwrócił się ku niej i poczuł, jak usta układają mu się w niezgrabny grymas.

- Więc w gruncie rzeczy ty wcale... - zaczął. - Ty wcale mnie nie nienawidzisz ani nic takiego?

Oczy miała głębokie i poważne; wydawała się zadowolona, że zadał jej to pytanie, jakby należało do kilku nielicznych pytań, na które może odpowiedzieć stanowczo i jednoznacznie. Pokręciła głową.

- Nie, oczywiście, że nie. - Otworzyła przed nim drzwi. - Miłego dnia.

- I wzajemnie. - Teraz łatwo było podjąć decyzję, co ma dalej zrobić: nie dotykając jej, wolno jak aktor w filmie, pochylił się ku jej ustom.

Twarz April, widziana z bliska, zdradziła przelotne zaskoczenie, może wahanie, ale zaraz złagodniała; przymknęła oczy i wyraźnie dała do zrozumienia, że pocałunek, choć krótki, będzie z obu stron pożądany i łagodny. Dopiero oderwawszy usta, Frank położył jej dłoń na ramieniu. Jednak była z niej cholernie ładna dziewczyna.

- Dobrze - powiedział ochryple. - Do zobaczenia.

Rozdział siódmy

April Johnson Wheeler patrzyła, jak twarz męża odsuwa się od niej, poczuła lekki uścisk jego dłoni na swoim ramieniu, usłyszała jego słowa i uśmiechnęła się. - Do zobaczenia - odpowiedziała.

Wyszła za nim i stanęła na kuchennych schodach, obejmując się w ochronie przed porannym chłodem, podczas gdy Frank wsiadł do samochodu, przekręcił kluczyk i z warkotem wyjechał na zalany słońcem podjazd. Jego odwrócony do tyłu zarumieniony profil nie ujawniał nic poza trzeźwą dumą człowieka potrafiącego sprawnie wycofać wóz. April zeszła do wiaty, by odprowadzać wzrokiem malejącą w oddali przysadzistą bryłę starego forda. Kiedy Frank na końcu podjazdu znowu wrzucił wsteczny, by skrócić na drogę, słońce padło na przednią szybę i oświetliło jego twarz. Uniosła dłoń i pomachała, na wypadek gdyby patrzył. I nie pomyliła się, bo po sekundzie znowu go zobaczyła: pochylony uśmiechał się do niej, schludny i zadowolony w gabardynowym garniturze, oślepiająco białej koszuli i ciemnym krawacie; odpowiedział krótkim machnięciem ręki, potem zniknął jej z oczu.

April nie przestawała się uśmiechać, dopóki nie wróciła do kuchni, gdzie zebrała naczynia po śniadaniu i włożyła do zlewu wypełnionego parującą wodą i płynem; ściślej rzecz biorąc, wciąż się uśmiechała, gdy zobaczyła papierową serwetkę ze schematem komputera, i nawet wtedy jej uśmiech nie zniknął, ale poszerzył się, zadrżał i znieruchomiał w sztywnym grymasie, choć gardło raz po raz ścisnęły jej bolesne spazmy, a po policzkach popłynęły łzy, które bezskutecznie próbowała wycierać.

Poszukała muzyki w radiu, żeby uspokoić nerwy, i zanim skończyła z naczyniami, znowu wszystko było w porządku. Działa bolały ją po zbyt wielu papierosach wypalonych w nocy, dłonie miały skłonność do drżenia i bardziej niż zwykle świadoma była bicia swego serca, poza tym jednak czuła się dobrze. Mimo to przeżyła szok, gdy spiker w radiu powiedział: „Ósma czterdzieści pięć”, bo sądziła, że jest już południe albo wczesne popołudnie. Umyła twarz zimną wodą i kilka razy głęboko odetchnęła, by serce przestało jej tak walić. Zapaliła papierosa i postarała się opanować, podnosząc słuchawkę.

- Halo, Milly?... Cześć. Wszystko w porządku?... Mój głos jak brzmi?... Och, nie, prawdę mówiąc, wcale lepiej się nie czuję i dlatego dzwonię... Na pewno nie będzie ci to przeszkadzać? Bo wiesz, tym razem może nie zostaną na noc, niewykluczone, że Frank po powrocie z pracy będzie chciał je przywieźć do domu, ale wszystko zależy od tego, jak ułożą się sprawy, dlatego będzie lepiej, jak zostawimy sprawę otwartą, tak na wszelki wypadek... Milly, jesteś

cudowna, naprawdę... Och nie, jestem pewna, że to nic poważnego, tylko... no wiesz, jak to bywa... W takim razie dobrze. Ucałuj je ode mnie i powiedz, że jedno z nas przyjedzie po nie dzisiaj albo jutro wieczorem... Co?... No cóż... nie, jeśli bawią się na dworze. Nie wołaj ich. - Papieros złamał się i rozpadł na strzępy w jej palcach; wypuściła go do popielniczki i obiema rękami ścisnęła słuchawkę. - Powiedz im, no wiesz, ucałuj je ode mnie, powiedz, że je kocham i... przecież sama wiesz... Dobrze, Milly. Dziękuję.

Ledwo zdążyła odłożyć słuchawkę na widełki i znowu wybuchnęła płaczem. Aby odzyskać panowanie nad sobą, zapaliła następnego papierosa, ale zrobiło jej się niedobrze i musiała pójść do łazienki, gdzie długo stała, wstrząsana torsjami, nawet gdy już pozbyła się tej odrobiny śniadania, którą zdołała zjeść. Później ponownie umyła twarz i wyszczotkowała zęby. Teraz nadeszła pora, by zająć się różnymi sprawami.

- Przemyślałaś to dokładnie, April? - powtarzała ciotka Claire, wyciągając gruby, wykręcony artretyzmem palec wskazujący. - Nigdy nie podejmuj działania, dopóki dobrze go nie przemyślisz, a potem dołóż wszelkich starań.

Pierwszą rzeczą do zrobienia było wysprzątanie domu, a zwłaszcza biurka, na którym pozostał bałagan po wielu spędzonych przy nim godzinach, gdy usiłowała sprawę przemyśleć: wypełniona po brzegi popielniczka, otwarta buteleczka atramentu otoczona kręgiem rozsypanego popiołu, filiżanka po kawie z wyschniętym brązowym kółkiem. Wystarczyło, by April usiadła i zapaliła lampkę, a powrócił ostry, samotny smak wczesnoporannych godzin.

W koszu na śmieci leżały pogniecione, zwinięte w kulkę nieudane wersje listu, który próbowała napisać. Podniosła jedną i rozprostowała na blacie, ale na początku nie była w stanie czytać, mogła się tylko dziwić, jak stłoczone, czarne i rozgniewane jest jej pismo, przypomina rzędy precyzyjnie rozgniecionych komarów. Po chwili zaczęła rozróżniać linijki w dolnej części:

... Twoje tchórzliwe kłamstwo o „miłości”, chociaż wiesz tak samo dobrze jak ja, że pomiędzy nami nigdy nie było nic z wyjątkiem pogardy, nieufności i straszliwie chorej zależności od słabych stron drugiej osoby - oto dlaczego. Dlatego dzisiaj nie potrafiłam powstrzymać śmiechu, kiedy mówiłeś o Niezdolności do Miłości, i dlatego nie mogę znieść Twojego dotyku, i dlatego nigdy więcej nie uwierzę w to, co myślisz, a tym bardziej mówisz...

Nie chciała czytać dalej, bo wiedziała, że nie warto tego czytać. Zdania były słabe z nienawiści, podobnie jak w innych niedokończonych listach na wszystkich pozostałych zgniecionych kartkach; trzeba je spalić.

Dopiero o piątej rano (czy to naprawdę było zaledwie cztery godziny temu?) wreszcie zrezygnowała z prób napisania listu. Zmusiła się, by wstać od biurka;

obolała ze zmęczenia, poszła do łazienki i wzięła ciepłą kąpiel, leżąc nieruchomo w nieruchomej wodzie przez długi czas, niczym pacjentka na terapii. Po kąpieli, która oczyściła jej umysł i napełniła wielkim spokojem, przeszła do sypialni, żeby się ubrać. I tam był on, rozciągnięty na plecach, wykręcony, w pomiętym niedzielnym sportowym ubraniu.

Widząc go w niebieskawym świetle wczesnego poranka, przeżyła taki szok, jakby zastała w łóżku nieznanego. Kiedy usiadła i z odorem whisky w nozdrzach pochyliła się, by przyjrzeć się jego zaczerwienionej, śpiącej twarzy, zaczęła pojmować prawdziwy powód swojego szoku: to było coś więcej niż uświadomienie sobie, że go nie kocha. Chodziło o to, że nie czuła, nie była w stanie czuć do niego nienawiści. Jak ktokolwiek mógłby go nienawidzić? On był... cóż, był Frankiem.

Jęknął chrapliwie, złapał ją za rękę i zaczął poruszać ustami.

- Och, dziecinko, och moja dziecinko, nie odchodź...

- Sz-sz. Wszystko w porządku. Wszystko w porządku, Frank. Śpij.

I właśnie wtedy dokładnie przemyślała sprawę.

Więc dzisiaj rano nie zachowała się źle ani nieuczciwie, zaprzeczając, gdy ją zapytał, czy go nienawidzi, nie zachowała się źle ani nieuczciwie, podając mu wymyślne śniadanie, okazując wielkie zainteresowanie jego pracą i całując na pożegnanie. Skoro o tym mowa, pocałunek był dokładnie taki, jaki powinien być: idealnie uczciwy, przyjacielski pocałunek chłopca, którego dopiero co poznałaś na przyjęciu, chłopca, z którym tańczyłaś, który cię rozśmieszał i odprowadził do domu, przez całą drogę opowiadając o sobie.

Jedyną prawdziwą pomyłką, jedyną rzeczą złą i nieuczciwą było to, że dostrzegła w nim coś więcej. Och, przez moment albo dwa, dla rozrywki, może byłoby w porządku zagrać w tę grę z chłopcem: ale przez ryle lat! A jedynym powodem było to, że w sentymentalnie samotnym okresie dawno temu stwierdziła, że łąwo i w zgodzie ze sobą potrafi uwierzyć w każde słowo wypowiedane przez tego szczególnego chłopca i rewanżować mu się za tę przyjemność wygłaszaniem własnych miłych, sympatycznych kłamstw, aż wreszcie oboje mówili to, co druga strona najbardziej chciała usłyszeć - aż on powiedział „Kocham cię”, a ona powiedziała „Naprawdę, mówię poważnie, jesteś najbardziej interesującą osobą, jaką w życiu spotkałam”.

Cóż to za subtelna, zdradziecka rzecz pozwolić sobie wkroczyć na tę drogę! Bo skoro raz zaczęłaś, strasznie trudno było się zatrzymać; wkrótce mówiłaś „Przepraszam, oczywiście ty masz rację”, „Cokolwiek zdecydujesz, będzie najlepsze” i „Jesteś najcudowniejszą i najcenniejszą rzeczą w świecie”, i zanim się zorientowałaś, cała uczciwość, cała prawda połyskiwały gdzieś w oddali,

tak beznadziejnie poza twoim zasięgiem jak świat złotych ludzi. Przekonałaś się, że idziesz przez życie w taki sam sposób, w jaki Laurel Players grali w Skamieniałym lesie albo Steve Kovick na perkusji: gorliwie, byle jak, z pretensjami i zupełnie źle; odkryłaś, że mówisz „tak”, kiedy myślisz „nie”, oraz „W tej sprawie musimy działać razem”, choć uważasz wręcz przeciwnie; wdychałaś opary benzyny, jakby to był aromat kwiatów, i zatracałaś się w delirycznej miłości pod ciężarem niezgrabnego, dyszącego, zaczerwienionego mężczyzny, którego nawet nie lubisz - Shepa Campbella! - a wreszcie w całkowitej ciemności stanęłaś twarzą w twarz ze świadomością, że nie wiesz, kim jesteś.

I jak można winą za to obarczać kogoś innego?

Uporządkowawszy biurko i zmieniwszy pościel na łóżku Franka, wyniosła kosz ze śmieciami na tylne podwórko. Był jesienny dzień, ciepły, ale z ostrym wietrzykiem, który podrywał opadłe liście z trawnika i przypomniawszy jej o wszystkich odważnych początkach dzieciństwa, o jabłkach, ołówkach i nowych wełnianych ubraniach w ostatnie dni przed szkołą.

Poszła z koszem przez trawnik do metalowego pojemnika, wrzuciła do środka papiery i przystawiła do nich zapaloną zapalniczkę. Usiadła na skraju ogrzanego słońcem kamiennego murku, by poczekać, aż spłoną. Przyglądała się, jak niewidzialny płomień wolno się skrada, ogarnia coraz większe połacie papieru i wysyła w powietrze drobne fale żaru, które wprawiają w drżenie krajobraz. Śpiew ptaków i szelest gałęzi na wietrze zmieszany był z odległymi okrzykami bawiących się dzieci; April nasłuchiwała uważnie, ale nie potrafiła rozpoznać, które głosy należą do Jennifer i Michaela, a które do chłopców Campbellów - nie potrafiła nawet stwierdzić na pewno, czy dochodzą z tej części Hill, gdzie mieszkają Campbellowie.

Na odległość wszystkie dziecięce głosy brzmią tak samo.

- I posłuchaj! Posłuchaj! Wiesz, co jeszcze mi przywiozła, Margie? Słuchaj! Próbuję ci coś powiedzieć!

- Co?

Margie Rothenberg i jej młodszy braciszek George, Mary Jane Crawford i Edna Slater też tam byli, zbijali bąki koło żywopłotu, gdzie trawa była całkiem wydeptana, w miejscu z małą jaskinią i płaskim głazem, gdzie przechowywali kolekcję wieczek z kubeczków Dixie.

- Pytałam, czy wiesz, co jeszcze mi przywiozła mama? Piękny kaszmirowy sweter i skarpetki do kompletu do szkoły, i cudowną buteleczkę perfum w sprayu. Wiesz, do naciskania. W środku są prawdziwe perfumy. Och, i

pojechaliśmy do White Plains z panem Mintonem, to przyjaciel mamy, poszliśmy do kina i na lody, i położyłam się dopiero dziesięć po jedenastej.

- Jak to się stało, że była tu tylko dwa dni? - zapytała Margie Rothenberg. - Mówiłaś, że zostanie przez tydzień. George, natychmiast przestań!

- Nie mówiłam tak, powiedziałam, że może zostanie przez tydzień. Następnym razem chyba zostanie albo ja pojedę do niej na tydzień, i wtedy...

- George! Jak jeszcze raz będziesz dłużej w nosie i jadł kozy, o wszystkim powiem! Nie żartuję!

- ...i wtedy wiesz co? Nie będę musiała chodzić do szkoły przez cały tydzień, ha, ha. Hej, Margie? Chcesz wejść do domu i zobaczyć mój sweter i inne rzeczy?

- Nie mogę. Muszę zdążyć na "Dona Winslowa".

- U mnie też możemy posłuchać „Dona”. Chodź.

- Nie mogę, muszę wrócić do domu. Idziemy, George.

- Hej, Edna? Hej, Mary Jane? Wiecie, co mama mi przywiozła? Piękny... Hej, posłuchaj, Edna. Posłuchaj... - Rozległ się grzechot okna otwieranego na piętrze i April wiedziała, że jeśli się odwróci, zobaczy niewyraźną sylwetkę ciotki Claire wyglądającej przez miedzianą zasłonę.

- April!

- Przywiozła mi piękny niebieski sweter z kaszmiru, i cudowną. ..

- April!!!

- Co? Tu jestem.

- Więc czemu się nie odzywasz? Chodź natychmiast do domu, umyj się i przebierz. Dzwonił twój tata. Będzie tu za piętnaście minut.

Pobiegła do domu tak szybko, że tenisówkami ledwo muskała ziemię. Nigdy dotąd nic takiego się nie zdarzyło: całe dwa dni z mamą, a teraz, zaraz następnego dnia...

Biorąc po dwa stopnie na raz, pofrunęła do swojej sypialni i zaczęła się rozbierać z takim pośpiechem, że oderwała guzik przy bluzce.

- Kiedy dzwonił? Co mówił? Jak długo zostanie?

- Nie wiem, moja droga; powiedział, że jedzie do Bostonu. Nie musisz drzeć ubrań, mamy mnóstwo czasu.

Wystrojona w najlepszą sukienkę, siedziała na ganku i wypatrywała na drodze pierwszego błysku długiego i pięknego wozu sportowego na wysokich kołach. Kiedy się pojawił dwie przecznice dalej, zmusiła się, by nie pobiec mu naprzeciwko; czekała, aż zahamuje przed domem, dzięki czemu mogła patrzeć, jak ojciec wysiada.

Och, jakże był wysoki, jak cudownie szczupły i wyprostowany! Słońce złociło jego włosy i roześmianą twarz.

- Tatusiu!

Dopiero teraz popędziła i rzuciła się mu w ramiona.

- Jak się miewa moje serduszko? - Pachniał świeżą koszulą, whisky i tytoniem; krótkie włoski na jego karku drapały ją w rękę, szczeka w dotyku była niczym ciepły pumeks. Ale najlepszy był jego głos: głęboki i dźwięczny, niczym powietrze uchodzące z glinianego dzbanka. - Wiesz, że wyrosłaś prawie na trzy stopy? Nie wiem, czy poradzę sobie z taką dużą dziewczynką. Na pewno nie dam rady cię nieść. Wejźmy i przywitajmy się z ciotką Claire. Co u ciebie? Jak się miewają twoi wielbiciele?

Kiedy w salonie rozmawiał z ciotką Claire, był cudowny. Szczupłe kostki pod mankietami nogawek uniesionych na właściwą wysokość okryte były czarnymi prążkowanymi skarpetkami, stopy w zgrabnych ciemnobrązowych butach wdzięcznie spoczywały na dywanie, jedna lekko wysunięta do przodu, i April czuła, że powinna przyglądać się im przez długi czas, by wryć je sobie w pamięć jako wzór. Ale jej wzrok ciągle wędrował ku arystokratycznym kolanom, dopasowanej kamizelce ze zwisającym z kieszonki łańcuszkiem zegarka, pozie ciała siedzącego na krześle, białym mankietom na przegubach, dłoniom, z których jedna trzymała szklaneczkę z koktajlem, druga zaś kreśliła wolne łuki w powietrzu, i jaśniejącej twarzy. Nie można było objąć go całego jednym rzutem oka, takie bogactwo krył w sobie.

Ojciec kończył żart:

- ...więc Eleanor cofnęła się i oznajmiła: „Młody człowieku, jesteś pijany”. Gość spojrzał na nią i odparł: „To prawda, pani Roosevelt. Ale jest jedna różnica: ze mną rano wszystko będzie w porządku”.

Pulchny tors ciotki Claire zgiął się w pół, więc April także udała, że to było niesamowicie śmieszne, chociaż nie słyszała pierwszej części, a poza tym nie była pewna, czy i tak zrozumiałaby dowcip. Ledwo śmiech ucichł, ojciec zaczął się zbierać do wyjścia.

- To znaczy, że już... że nawet nie zostaniesz na kolacji, tatusiu?

- Skarbie, bardzo bym chciał, ale ci ludzie czekają na mnie w Bostonie i bardzo, bardzo się rozgniewają, jeśli twój tatuś się nie pośpieszy. Dasz mi buziaka?

Nienawidząc się za to, April zaczęła zachowywać się jak małe dziecko.

- Ale byłeś tu niecałą godzinę. I nawet... nawet nie przywiozłeś mi prezentu i...

- Och, April - wtrąciła ciotka Claire. - Dlaczego psujesz taką miłą wizytę?

Ale osiągnęła przynajmniej tyle, że ojciec już nie stał, tylko kucał, trzymając ją w objęciach.

- Skarbie, niestety masz rację w sprawie prezentu i czuję się z tego powodu jak pies. Posłuchaj, coś ci powiem. Pójdziemy do samochodu i przejrzymy moje rzeczy, może uda nam się coś znaleźć. Co ty na to?

Zapadał zmierzch, kiedy zostawili ciotkę Claire i razem poszli ścieżką. Milczące wnętrze samochodu wypełniało ekscytujące wrażenie uśpionej mocy i prędkości. Ojciec włączył lampki na desce rozdzielczej i to było tak, jakby przebywali w uporządkowanym, skórzanym domu. Było tam wszystko, czego potrzebowali do wspólnego życia: wygodne miejsca do siedzenia, środek transportu, zapalniczka dla niego, mała półeczka, na której April mogłaby rozkładać serwetkę pod kanapki i mleko, stanowiące ich posiłki w drodze, a przednie i tylne siedzenia były dość wielkie, by na nich spać.

- Schowek na rękawiczki? - mówił ojciec. - Nie, nic tu nie ma poza starymi mapami i podobnymi rzeczami. Sprawdźmy walizkę. - Określił się w stronę tylnego siedzenia i otworzył walizkę marki Gladstone. - Popatrzmy. Skarpety, koszule, nic z tego. O rety, mamy problem. Wiesz co? Mężczyzna nie powinien wyprawiać się w drogę bez zapasu świeżej bielizny, bo nigdy nie wiadomo, czy nie trafi na śliczną dziewczynę. Poczekaj chwilę, tu coś jest. Drobiazg, ale przynajmniej coś. - Wyjął długą brązową butelkę z obrazkiem konia i słowami „White Horse” na etykiecie. Jakiś mały przedmiot przywiązany był do szyjki wstążeczką, ale ojciec ukrył go przed jej wzrokiem. Otworzył scyzoryk i odciął, po czym trzymając za wstążeczkę, położył delikatnie na dłoni córki: to był miniaturowy, idealnie biały konik. - Proszę, kochanie - powiedział. - Możesz zatrzymać go na zawsze.

Ogień zgasł. Rozgarnęła poczerniałe płaty papieru patykiem, by się upewnić, że cały spłonął. W pojemniku zostały tylko popioły.

Ciche dziecięce głosy podążały za nią, gdy niosła kosz na śmieci przez trawnik, dopiero zamknawszy za sobą drzwi, przestała je słyszeć. Wyłączyła radio i w domu zapanowała niezwykła cisza.

Odstawiła kosz na miejsce i znowu usiadła przy biurku ze świeżą kartką papieru. Tym razem napisanie listu trwało sekundę. Miała tylko jedną wielką i ważną rzecz do powiedzenia, którą najlepiej było ująć w kilku słowach, niezbędnych i nielicznych, nie zostawiających miejsca na żadne ewentualne rozwinięcia czy nieporozumienia.

Drogi Franku,

Cokolwiek się zdarzy, proszę, nie wiń za to siebie. Stary, podstępny nawyk o mało nie kazał jej dodać „Kocham Cię”, ale w porę się powstrzymała i złożyła

prosty podpis: April. Włożyła kartkę do koperty, napisała na niej Frank, po czym ułożyła ją dokładnie na środku biurka.

W kuchni zdjęła z półki największy garnek, napełniła go wodą i postawiła na piecu, żeby się zagrzała. Z piwnicy przyniosła pozostałe niezbędne sprzęty: szczypce, niegdyś używane do sterylizacji butelek na mleko, oraz niebieskie pudełko z apteki zawierające dwie części gruszki, gumowy zbiorniczek i plastikową dyszę. Wrzuciła je do garnka, w którym woda zaczynała się gotować.

Kiedy zaniósła świeże ręczniki do łazienki i kartkę z numerem do szpitala ustawiła przy telefonie, woda już bulgotała. Podnosiła pokrywkę garnka i obracała gruszką, która z grzechotem obijała się o ścianki.

Było wpół do dziesiątej. Za dziesięć minut wyłączy palnik, potem woda będzie musiała ostygnąć. Do tego czasu nie miała nic do roboty poza czekaniem.

„Przemyślałaś to dokładnie, April? Nigdy nie podejmuj działania, dopóki...”

Jednakże April nie potrzebowała już żadnych rad ani instrukcji. Była spokojna i opanowana, wiedząc coś, co zawsze wiedziała, a czego ani rodzice, ani ciotka Claire, ani Frank, ani nikt inny nie musiał jej uczyć: że jeśli chcesz zrobić coś całkowicie szczerego i prawdziwego, w ostatecznym rozrachunku okazuje się, że musisz zrobić to sama.

Rozdział ósmy

O drugiej po południu Milly Campbell skończyła prace domowe. Odpoczywała przed telewizorem, przesiąknięta zapachem kurzu i pasty do podłóg, otoczona krzykami dzieci szalejących na podwórzu (opieka nad sześciorgiem to za dużo dla jednej osoby, nawet przez kilka dni); później zawsze powtarzała, że miała „bardzo wyraźne przeczucie nieszczęścia” co najmniej minutę wcześniej, nim rozległ się odgłos, który je potwierdził.

To była syrena karetki - straży pożarnej, policji - głębokie, szokująco głośne mruczenie, które słyhać, kiedy kierowca dopiero ruszył i zaraz musiał zwolnić, żeby zrobić zakręt, po czym znowu dodał gazu. Milly w ułamku sekundy znalazła się przy oknie i ponad koronami drzew poniżej trawnika zobaczyła długi kształt ambulansu wyjeżdżającego z Revolutionary Road; odbijał słońce jaskrawym refleksem, gdy oddalał się dwunastką przy wtórce syreny wznoszącej się coraz głośniej w przedłużającym się, nieznośnym pisku, który wisiał w powietrzu długo po tym, jak sam ambulans dawno zniknął. Milly zaniepokojona przygryzła wargi.

- Wiedziałam oczywiście, że przy tej drodze mieszka mnóstwo ludzi - mówiła potem. - To mógł być ktokolwiek, ale ja miałam przeczucie, że chodzi o April. Zaczęłam wykręcać jej numer, ale przestałam, bo wiedziałam, że to wyda się głupie, poza tym pomyślałam, że może śpi.

Siedziała więc zatroskana przy telefonie, kiedy nagle ciszę rozdarł jego dzwonek. To była pani Givings. Od jej głosu słuchawka wibrowała nieprzyjemnie przy uchu Milly.

- Nie wiesz, co się stało u Wheelerów? Bo właśnie mijałam ich dom i z podjazdu wyjeżdżał ambulans. Jestem strasznie zaniepokojona. A teraz próbowałam do nich dzwonić, ale nikt nie odbiera...

- O mało nie umarłam - mówiła później Milly. - Odłożyłam słuchawkę, siedziałam i było mi niedobrze, a potem zrobiłam to, co zawsze robię, kiedy dzieje się coś przerażającego. Zadzwoiłam do Shepa.

Shep Campbell stał przy oknie Allied Precision Laboratories, Inc. i wolno masował kark, pogrążony w mętnych rozważaniach. Przez cały tydzień od tamtej niewiarygodnej nocy w Log Cabin niewielki był z niego pożytek dla Allied Precision, Milly, a nawet dla niego samego. Pierwszego dnia, jak chory z miłości smarkacz, zadzwonił do niej z budki i zapytał:

- April, kiedy mogę się z tobą zobaczyć?

Nie szczędząc słów, nie pozostawiła wątpliwości, że nigdy nie będzie mógł się z nią zobaczyć, że powinien wykazać się większym rozsądkiem i wcale o to

nie pytać. Wspomnienie tej rozmowy dręczyło go całą noc i następny dzień - Boże, za jakiego nieokrzesanego, prostackiego palanta musi go uważać! - i sprawiło, że spędził wiele godzin na szeptanych próbach spokojnych, dojrzałych, pełnych zrozumienia słów, które powie, gdy znowu do niej zadzwoni. Ale kiedy znowu zadzwonił, wszystko schrzanił. Starannie dopracowane kwestie zabrzmiały źle, głos mu drżał jak u głupca i znowu zaczął powtarzać, że ją kocha. Rzecz skończyła się na tym, że April uprzejmie, ale stanowczo oznajmiła:

- Posłuchaj, Shep, naprawdę nie chcę odkładać słuchawki bez uprzedzenia, ale obawiam się, że będę musiała, jeśli ty nie rozłączysz się pierwszy.

Widział ją tylko raz. Wczoraj, kiedy przywiozła dzieci do ich domu, ukrył się w sypialni i drżąc na całym ciele, przez zasłony zerkał, jak wysiada z samochodu, zmęczona, ciężarna kobieta, ale nie widział jej dokładnie, bo tak waliło mu serce.

- Telefon, panie Campbell! - zawołała jedna z dziewcząt. Podeszedł do biurka, by odebrać, wbrew logice zastanawiając się, czy to nie dzwoni April. Ale to nie była ona.

- Cześć, dziecinko... co? Posłuchaj, uspokój się. Kto jest w szpitalu? Kiedy? O Jezu.

Najbardziej niezwykle było to, że po raz pierwszy od tygodnia ogarnęło go poczucie kompetencji. Jego pośladki opadły lekko na filcowe siedzenie krzesła, nogi zgięły się pod biurkiem. Jedną dłonią przyciskał słuchawkę do policzka, w drugiej trzymał mechaniczny ołówek: napięty, opanowany wojak gotowy do akcji.

- Uspokój się - powiedział. - Dzwoniłaś do szpitala? Słoneczko, od tego musimy zacząć, zanim powiadomimy Franka. .. Dobrze, dobrze, wiem, że jesteś roztrzęsiona. Ja to zrobię, dowiem się wszystkiego i potem zadzwonię do niego. A teraz posłuchaj, nie denerwuj się, słyszysz mnie? - Ołówek zdecydowanie kreślił linie równoległe na notatniku. - W porządku. I na litość boską, nie zdradź się przed dziećmi, że coś jest nie tak, ani przed naszymi, ani ich... Dobrze... Dobrze, jasne. Zadzwonię do ciebie.

Połączył się ze szpitalem i sprawnie przedzierał się przez chaos centralki, odrzucając głosy, które nie mogły mu pomóc, i przyjmując władczy, pytający ton wobec tych, które coś wiedziały.

- ...przechodzi operację z jakiego powodu?... No tak, ale ja pytam, co jest powodem tego zabiegu?... Och, poroniła. Może

mi pani powiedzieć, jak teraz się czuje?... Rozumiem. Wie pani, jak długo to potrwa?... Doktor jaki? - Ołówek podskakiwał i kołysał się, gdy Shep notował

nazwisko. - Dobrze. Jeszcze jedno: czy ktoś powiadomił jej męża?... Dobrze. Dziękuję.

Garbiąc się nad telefonem, zadzwonił do Knox Business Machines w Nowym Jorku.

- Proszę z panem Frankiem Wheelerem... Gdzie jest?... Więc niech go pani wywoła z konferencji. To sprawa niecierpiąca zwłoki. - I dopiero teraz poczuł, jak wnętrzności ścisną mu się z niepokoju.

A potem w słuchawce bezcielesny, zszokowany głos Franka powiedział:

- O mój Boże.

- Nie, Frank, poczekaj, nie denerwuj się, stary. Z tego, co wiem, wszystko z nią w porządku. Nic więcej mi nie powiedzieli. A teraz posłuchaj. Wsiadaj do pierwszego pociągu do Stamford, odbiorę cię ze stacji i w pięć minut będziemy w szpitalu... Racja. Już wychodzę. Dobrze, Frank.

Kiedy Shep schylony biegł parkingiem do swojego samochodu i wciągał powiewającą od pędu kurtkę, czuł, jak ze świeżym powietrzem pogwizdującym mu w uszach wraca do niego uniesienie. To było uczucie, które towarzyszyło mu w walce, przekonanie, że szybko i dobrze robi rzecz słuszną, kiedy wszystkie pozostałe elementy sytuacji wymknęły się spod kontroli.

Czekając na stacji na pociąg, wykorzystał czas, by ponownie zadzwonić do Milly (już się uspokoiła) oraz do szpitala (nie było nowych wiadomości); później chodził w popołudniowym słońcu peronem, bawiąc się monetami w kieszeni i powtarzając cicho:

- Przyjeżdżaj, no, już.

Ta osobliwie spokojna przerwa także przypominała wojnę: najpierw pośpiech, potem czekanie. Nagle pociąg był tuż przed nim, wstrząsając peronem, w drzwiach pojawił się rozdygotany Frank, potykając się i o mało nie upadając na twarz, a potem pędząc w kierunku Shepa z dzikim wzrokiem i rozwianym krawatem.

- Dobrze, Frank... - Ramię w ramię biegli na parking, zanim jeszcze pociąg na dobre się zatrzymał. - Samochód jest tu.

- Czy ona... czy dalej... ?

- Nic się nie zmieniło od mojego telefonu do ciebie.

Nie rozmawiali w czasie krótkiej, wolnej jazdy przez zatłoczone ulice do szpitala, zresztą Shep nie był pewien, czy przy próbie użycia głos by go nie zawiódł. Wyraz malujący się w oczach Franka, dreszcze wstrząsające jego zgarbionym ciałem napełniały go przerażeniem. Wiedział, że wkrótce skończy się możliwość jakiegokolwiek działania; kiedy skręci na ostatnie zbocze, na którego szczycie wznosił się ten brzydki brunatny budynek, będzie bezsilny.

Wpadli przez otwierające się z szumem drzwi z napisem ODWIEDZAJĄCY, przystanęli przy recepcji, by jaskając się zasięgnąć informacji, po czym ruszyli korytarzem, pośpiesznie stawiając stopy od pięty do palców jak zawodnicy w wyścigu. Umysł Shepa miłosiernie wyłączył się tak, jak w pewnym momencie robił to na polu walki: cichy, opiekuńczy głos wewnętrzny powiedział „To się nie dzieje naprawdę, nie wierz w to”.

- Jaka pani? Pani Wheeler? - zapytała pulchna piegowata pielęgniarka na końcu korytarza, mrugając ponad brzegiem sterylnej maski. - Nagła operacja? Cóż, od ręki nie odpowiem. Obawiam się, że nie mogę... - Zerknęła niespokojnie na zamknięte drzwi, nad którymi świeciła się czerwona lampka, i Frank rzucił się ku nim. Zagroziła mu drogę, jakby chciała zatrzymać intruza siłą, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale Shep złapał go za ramię i odciągnął.

- Nie może tam wejść? Jest jej mężem.

- Wykluczone - odparła, otwierając szeroko oczy, przepełniona poczuciem obowiązku. W końcu jednak z ociąganiem zgodziła się pójść tam sama i porozmawiać z lekarzem. Minutę później pojawił się w drzwiach, drobny zakłopotany mężczyzna w pomiętym chirurgicznym fartuchu.

- Który z panów jest panem Wheelerem? - zapytał, po czym ujął Franka pod ramię i odprowadził na bok, żeby porozmawiać z nim w cztery oczy.

Shep, z szacunkiem zachowując dystans, pozwolił, by wewnętrzny głos go upewnił, że ona w żadnym razie nie może umrzeć. Ludzie nie umierają w taki sposób, na końcu sennego korytarza w środku popołudnia. Do diabła, przecież gdyby umierała, sprzątacze nie przesuwaliby z takim spokojem mopem po linoleum i z całą pewnością nie nuciłyby pod nosem, nie zgodziłyby się też, żeby kilka drzwi dalej radio tak głośno grało. Gdyby April Wheeler umierała, to nie powiesiliby tej tablicy ogłoszeń z plakatem zapowiadającym potańcówkę dla personelu („Zabawa! Poczestunek!”) i nie ustawiliby tak ładnie tych wiklinowych krzeseł wokół stołu, na którym starannie rozłożono czasopisma. Do diabła, co według nich człowiek ma robić? Usiąść, założyć nogę na nogę i przeglądać numer „Life’u”, podczas gdy ktoś umiera? Oczywiście, że nie. To jest miejsce, gdzie rodzą się dzieci, gdzie w ułamku sekundy rozprawiają się ze skutkami prostych, zwykłych poronień; to jest miejsce, gdzie czekasz i niepokoisz się, aż masz pewność, że wszystko jest w porządku, a wtedy idziesz na drinka i wracasz do domu.

Na próbę usiadł na wiklinowym krześle. Wśród czasopism był też „U. S. Camera” i przez chwilę zastanawiał się, czy nie ulec pokusie i nie poszukać fotografii nagich kobiet, zamiast tego jednak zerwał się na nogi i zaczął krążyć, kilka kroków w jedną, kilka w drugą stronę.

Musiał iść do toalety. Ból pęcherza pojawił się nagle i Shep rozważał, ile czasu by mu zajęło odszukanie toalety i powrót.

Ale w tej samej chwili lekarz zniknął za drzwiami i Frank stał samotnie, pocierając skroń wnętrzem dłoni.

- Jezu, Shep, nie byłem w stanie zrozumieć połowy z tego, co mi mówił. Powiedział, że kiedy przyjechali, płód był już na zewnątrz. Musieli operować, żeby usunąć jak to się nazywa, łożysko, tylko że ona wciąż krwawi. Powiedział, że straciła mnóstwo krwi, zanim przyjechała karetka, a teraz próbują powstrzymać krwotok, i powiedział mnóstwo innych rzeczy, których nie rozumiałem, o naczyniach włosowatych, i powiedział, że jest nieprzytomna. Chryste.

- Może usiądziesz, Frank?

- On to samo mi powiedział. Do diabła, po co miałbym siadać?

Tak więc stali, słuchając nucenia sprzątacza, rytmicznego dudnienia jego mopa o ścianę, odgłosu obuwia na gumowych podszewkach i szelestu fartucha przechodzącej od czasu do czasu pielęgniarki. Raz w oczach Franka pojawiło się skupienie na dostatecznie długą chwilę, by przyjął papierosa, którego Shep mu zaproponował w drobnym geście przyjaźni i uprzejmości.

- Papierosa, stary? Jasne. Proszę, mam zapalki... - A potem, zachęcony wesołym tonem we własnym głosie, dodał: - Wiesz co, Frank? Pójdę po kawę.

- Nie.

- Nie, wszystko w porządku. Zaraz wracam. - Uciekł korytarzem, z którego skręcił w drugi, a potem w następny, aż znalazł męską toaletę, gdzie stał drżąc i niemal jęcząc, kiedy nacisk na pęcherz z wolna zaczynał ustępować. Wyszedłszy na korytarz, pytał o drogę do kantyny, która znajdowała się setki jardów dalej na drugim końcu budynku i nosiła nazwę Gościnny Sklep. Pośpiesznie minął zabawki, ciasteczka i czasopisma, by zamówić kawę, a później, ostrożnie trzymając dwa gorące papierowe kubki i starając się uchronić palce przed oparzeniem, zawrócił w kierunku izby przyjęć. Tylko że się zgubił. Wszystkie korytarze wyglądały identycznie, doszedł na sam koniec jednego, zanim się zorientował, że idzie w złym kierunku. Odnalezienie drogi zajęło mu wiele czasu i zawsze będzie pamiętał, że to właśnie wtedy robił - biegał po korytarzach z dwoma kubkami kawy w dłoniach i głupim, pytającym uśmiechem na twarzy - to właśnie robił, gdy umarła April Wheeler.

Wiedział, że to się stało, gdy tylko wyszedł z za rogu na długi korytarz, na końcu którego były drzwi z czerwoną lampką.

Frank zniknął, cała ta część korytarza była pusta. Od celu wciąż dzieliło go pięćdziesiąt jardów, kiedy dostrzegł otwarte drzwi, z których wybiegła grupa

pielęgniarek i pośpiesznie rozproszyła się na wszystkie strony, za nimi wolno wyszedł nie jeden, a kilku lekarzy. Dwaj podtrzymywali Franka jak uprzejmi, usłudzy kelnerzy wyprowadzający pijaka z lokalu.

Shep rozejrzał się, gorączkowo szukając miejsca, gdzie mógłby odstawić kawę; wreszcie przykucnął i umieścił kubki pod ścianą, po czym ruszył biegiem, by zaraz znaleźć się w tłumie medyków, którzy byli dla niego tylko masą białych fartuchów, kiwających różowych twarzy i gwarem głosów: .oczywiście to straszliwy szok... .krwotok był zbyt silny, żeby... .tutaj, niech pan usiądzie... .naczynia włosowate... .prawdę mówiąc, doskonale sobie radziła... .nie, proszę usiąść i... .takie rzeczy się zdarzają, to naprawdę... Usiłowali skłonić Franka, by usiadł na wiklinowym krześle, które zatrzeszczało i przesunęło się po podłodze, ale on z uporem stał, milczący, z twarzą bez wyrazu, z głową kołyszącą się przy każdym szybkim oddechu, wpatrzony w nicość.

Kolejność wydarzeń, które potem nastąpiły, na zawsze pozostanie niepewna w pamięci Shepa. Musiało minąć wiele godzin, ponieważ zapadł wieczór, zanim wrócili do domu, i musieli przebyć wiele mil, ponieważ przez cały czas on prowadził, choć nie miał pojęcia, którądy jeździli. W jakimś miasteczku przystanął przed sklepem i kupił butelkę burbona. Otworzył ją do wtóru silnika chodzącego na luźnym biegu przy krawężniku i podał Frankowi. - Masz, stary.

Potem patrzył, jak Frank niczym niemowlę ssie z butelki. W innym miejscu - a może w tym samym? - z przydrożnej budki telefonicznej zadzwonił do Milly. Kiedy wykrzyknęła: „O Boże! Nie!", kazał jej się zamknąć, na litość boską, żeby dzieci nie usłyszały. Czekał ze słuchawką w dłoni, aż Milly się pozbiera, i przez cały czas nie odrywał wzroku od nieruchomej głowy Franka w samochodzie.

- Teraz mnie posłuchaj - powiedział. - Nie mogę wrócić z nim do domu, dopóki dzieci nie zasną, więc musisz położyć je do łóżek tak szybko, jak się da, i na miłość Boga, spróbuj zachowywać się naturalnie. Przywiozę go do nas na noc. Bo wiesz, w żadnym razie nie mogę mu pozwolić, żeby poszedł do siebie...

Przez resztę czasu jeździli bez celu. Shep pamiętał podróż wyłącznie jako następujące po sobie światła uliczne, druty wysokiego napięcia i drzewa, domy, centra handlowe i ciągnące się w nieskończoność pod bladym niebem wzgórza. Frank albo milczał, albo cicho jęczał, albo raz po raz mamrotał to samo zdanie.

- ...rano była cholernie miła. Straszne, prawda? Rano była tak cholernie miła...

Raz, a Shep nie potrafił sobie przypomnieć, czy to było na początku, czy pod koniec jazdy, Frank powiedział:

- Sama to sobie zrobiła, Shep. Zabiła się.

Umysł Shepa wykonał sztuczkę poddania się ciosowi: zastanowi się nad tym później.

- Frank, spokojnie - powiedział. - Nie wygaduj bzdur. Takie rzeczy się zdarzają, to wszystko.

- Ale nie w tym przypadku. Tym razem się nie zdarzyło. Chciała to zrobić w zeszłym miesiącu i wtedy byłoby bezpieczne. Wtedy byłoby bezpieczne, ale ja ją przekonałem, żeby zmieniła zdanie. Przekonałem, żeby zmieniła zdanie, a wczoraj się pokłóciliśmy i teraz ona... o Jezu, o Jezu. I rano była tak cholernie miła.

Shep wpatrywał się w drogę, wdzięczny, że tak wiele rzeczy zajmuje czujną, frontową część jego Umysłu. Bo w jaki sposób kiedykolwiek zdoła się upewnić, ile było w tym prawdy? Skąd będzie wiedział, do jakiego stopnia miało to związek z nim?

O wiele później Milly siedziała samotnie w mrocznym salonie, gryząc chusteczkę i czując się jak straszny tchórz. Do pewnego momentu radziła sobie całkiem nieźle: udało jej się bez większych problemów położyć dzieci do łóżek godzinę wcześniej niż zwykle, na długo przed przyjazdem Shepa; przygotowała kanapki i zostawiła je w kuchni, na wypadek gdyby ktoś zgłodniał („Zycie toczy się dalej”, mawiała jej matka, robiąc kanapki w dzień czyjejś śmierci); znalazła nawet czas, by zadzwonić do pani Givings, która na wiadomość zareagowała, bez końca powtarzając „Och, och, och”, i dołożyła wszelkich starań, by przygotować się na trudne spotkanie z Frankiem. Myślała, że będzie siedziała z nim całą noc i - no cóż, czytać mu Biblię, obejmować go i pozwalać, by szlochał w jej piersi; cokolwiek.

Nic wszakże nie przygotowało jej na straszną pustkę w oczach Franka, gdy Shep wprowadził go po kuchennych schodach.

- Och, Frank - powiedziała, wybuchnęła płaczem i z chusteczką w ustach uciekła do salonu. Od tamtej pory nie było z niej żadnego pożytku.

Nie robiła nic, tylko siedziała i nasłuchiwała stłumionych hałasów z kuchni (trzask przesuwanego krzesła, dzwonienie butelki o szklanekę, głos Shepa: „Masz, stary, wypij to...”), próbując zebrać się na odwagę, by do nich wrócić. W pewnym momencie do salonu na palcach wszedł Shep. Pachniał whisky.

- Och, słoneczko, przepraszam - szepnęła z twarzą wtuloną w jego koszulę. - Wiem, że na nic się nie zdałam, ale nie mogę znieść, nie mogę znieść jego wzroku.

- W porządku. Wszystko w porządku, kochanie, nie denerwuj się tak, ja się nim zaopiekuję. On jest w szoku, i tyle. Jezu, co za sprawa. - Z głosu Shepa wynikało, że jest wstawiony. - Jezu, co za okropna sprawa. Ty wiesz, co mi powiedział w samochodzie? Powiedział, że sama to sobie zrobiła. Wierzysz w to?

- Co zrobiła?

- Sama dokonała aborcji albo przynajmniej próbowała.

- Och - szepnęła Milly, drżąc na całym ciele. - To straszne. Myślisz, że naprawdę to zrobiła? Ale dlaczego?

- A skąd, do diabła, mam wiedzieć? Jestem wszechwiedzący czy co? Na litość boską, powtarzam ci tylko, co on mi powiedział. - Potarł głowę obiema rękami. - Cholera, przepraszam, skarbie.

- Wszystko w porządku. Lepiej do niego wracaj. Za jakiś czas przyjdę, żeby z nim posiedzieć, a ty odpoczniesz. Będziemy się zmieniać.

- Dobrze.

Minęły jednak ponad dwie godziny, a Milly wciąż nie znalazła w sobie siły na dotrzymanie słowa. Mogła tylko siedzieć i z przerażeniem o tym myśleć. Od długiego czasu w kuchni panowała cisza. Co oni tam robią? Siedzą czy co?

W końcu więc ciekawość w równym stopniu co odwaga pomogły jej wstać i przejść korytarzem do jasno oświetlonej kuchni. Zawahała się, wzięła głęboki oddech, zmrużyła powieki w obronie przed nagłą luną i weszła.

Shep spał smacznie, cichutko pochrapując, z głową opartą na rękach o cal od talerza z nietkniętymi kanapkami. Franka w kuchni nie było.

W osiedlu na Revolutionary Hill nie było miejsca na tragedię. Nawet nocą nie czaiły się tu cienie, nie straszyły wychudłe olbrzymy. Była to nieodparcie wesola, zabawkowa kraina białych i pastelowych domków, których jasne, niezastłonięte okna mrugały mdło przez gęstwinę zielonych i żółtych liści. Dumne smugi światła padały na niektóre trawniki, schludne frontowe drzwi i krągłe kształty samochodów w kolorach lodów.

Ogarnięty rozpaczą i żalem człowiek biegnący tymi ulicami był nieprzyzwoicie nie na miejscu. Panowała niezwykła cisza, w której poza szelestem podeszew na asfalcie i własnym przyśpieszonym oddechem Frank słyszał głosy z telewizorów w drzemiących pokojach za zasłoną liści: stłumiony krzyk komika, następujące po nich fale śmiechu i braw, pierwsze głośnie takty muzyki. Nawet kiedy z chodnika skręcił w czyjeś tylne podwórko, z którego wypadł na schodzący zboczem zagajnik, szaleńczo zdecydowany skrótem dostać się na Revolutionary Road, nawet wtedy nie było dla niego ucieczki: światła domu płonęły i radośnie potykały się razem z nim, gałązki

biły go w twarz. Raz stracił równowagę i stoczył się po kamieniach na dno wozu. Kiedy wstał, w dłoni trzymał dziecięce plażowe wiaderko z emaliowanego metalu.

Gramoląc się na asfalt u podstawy Hill, pozwolił, by jego oszołomiony, rozbiegany umysł pograżył się w okrutnym złudzeniu: to tylko koszmar senny, kiedy okrąży następny zakręt, zobaczy płonące światła własnego domu, wbiegnie do środka i znajdzie ją przy desce do prasowania albo zwiniętą z magazynem na sofie („Co się dzieje, Frank? Spodnie masz całkiem zabłocone! Oczywiście, że mam rację...”)

Później jednak zobaczył dom - naprawdę go zobaczył - długi i mlecznobiały w księżycowej poświacie, z czarnymi oknami, jedyny mroczny dom przy całej ulicy.

Była bardzo ostrożna. Poza równym śladem kropli prowadzącym do telefonu i z powrotem, cała krew znajdowała się w łazience, a nawet tam w większości została spłukana. Dwa ciężkie ręczniki, nasączone szkarłatem, leżały zwinięte w wannie, blisko odpływu. Usłyszał jej głos: „Pomyślałam, że mógłbyś zawiązać ręczniki w gazetę i wyrzucić do śmietnika, a potem wannę porządnie wypłukać. Dobrze?” Na dnie szafy z pościelą znalazł gruszkę w garnku zimnej wody; przypuszczalnie ukryła ją tu przed załogą karetki. „Pomyślałam, że lepiej usunąć ją z widoku, chciałam uniknąć konieczności odpowiadania na głupie pytania”.

Zabrał się do pracy z jej głosem dźwięczącym mu w głowie. „Proszę, zrobione”, powiedział głos, kiedy wcisnął gazetowe pakunki głęboko do pojemnika na śmieci koło kuchennych drzwi; głos wciąż mu towarzyszył, kiedy na kolanach szorował ślady krwi. „Spróbuj mokrą gąbką i proszkiem, kochanie, jest w szafce pod zlewem. To powinno wystarczyć. Proszę, widzisz? Dobrze. Nie poplamiałam dywanu, prawda? Och, świetnie”.

Jak mogła być martwa, skoro cały dom żył jej głosem i obecnością? Nawet kiedy Frank skończył sprzątać, kiedy nie pozostało mu nic innego do zrobienia, jak obejść wszystkie pomieszczenia, by zapalić, a potem zgasić światła, nawet wtedy wyczuwał ją przy sobie, i było to doznanie równie realne jak zapach jej sukien w szafie w sypialni. Długo siedział w tej szafie, przytulając jej suknie, później poszedł do salonu i znalazł list, który zostawiła mu na biurku. Ledwo miał czas go przeczytać i zgasić światło, gdy zobaczył pontiaca Campbellów zwalnającego przed skretem na podjazd. Wrócił szybko do sypialni i zamknął się w szafie pośród ubrań. Tam usłyszał, jak samochód hamuje, później drzwi kuchni otworzyły się i rozległo się kilka chwiejnych kroków.

- Frank? - zawołał Shep chrapliwie. - Frank? Jesteś tu?

Słyszał, jak Shep chodzi po pokojach, potykając się i przeklinając, gdy po omacku szukał na ścianie kontaktów; później trzasnęły drzwi. Dopiero kiedy warkot silnika ucichł w oddali, Frank opuścił kryjówkę, w dłoni ściskając list, i w ciemności usiadł przy oknie widokowym.

Ale po tej przerwie głos April na dobre umilkł. Przez wiele godzin próbował na nowo go usłyszeć, szeptem podpowiadał mu słowa, raz po raz wracał do szafy, zaglądał do szuflad jej toaletki i do kuchni, bo myślał, że pośród półek spiżarni, pośród ustawionych na suszarce talerzy i filiżanek z pewnością odnajdzie jej ducha, ale on zniknął.

Rozdział dziewiąty

Według Milly Campbell, która opowiadała tę historię wiele, wiele razy w następnych miesiącach, wszystko ułożyło się tak dobrze, jak można było oczekiwać.

- To znaczy - dodawała zawsze i zawsze też w tym momencie lekko drżała. - To znaczy zważywszy, że była to najbardziej przerażająca rzecz, z jaką w życiu mieliśmy do czynienia. Prawda, kochanie?

A Shep zgadzał się, że istotnie tak było. Jego rola podczas tych monologów polegała na siedzeniu i ponurym wpatrywaniu się w dywan; od czasu do czasu kręcił głową i rozluźniał szczękę, i czekał na jej sygnał do potwierdzenia. Cieszył się, że Milly mówienie bierze na siebie - czy raczej cieszył się z tego na początku, przez całą jesień i zimę. Na wiosnę zaczął pragnąć, by znalazła sobie inne tematy.

Jego irytacja sięgnęła szczytu w pewien piątkowy wieczór w maju, kiedy Milly znowu wróciła do sprawy podczas wizyty nowych znajomych, małżeństwa nazwiskiem Brace; to była para, która niedawno wprowadziła się do domu Wheelerów. Problem częściowo właśnie na tym polegał: zdradą i świętokradztwem wydawało się opowiadanie tej historii ludziom, którzy później będą o niej dyskutować w domu, gdzie się zdarzyła, częściowo zaś chodziło o to, że Brace'owie byli nudną widownią, uprzejmie potakując i kręcąc głowami jak przy brydżu, okazywali współczucie dla osób, których nigdy nie spotkali. Przede wszystkim jednak drażniło go, że w głosie Milly brzmiała nazbyt wyraźna przyjemność. Ona się tym cieszy, pomyślał, obserwując ponad krawędzią szklanki do koktajlu żonę, która opowiadała, jak straszny był następny dzień. Na Boga, to jej naprawdę sprawia przyjemność.

- ...rano Shep i ja traciliśmy już zmysły z niepokoju - mówiła. - Nie mieliśmy pojęcia, gdzie może być Frank, ciągle dzwoniliśmy do szpitala, żeby sprawdzić, czy się tam pojawił, no i musieliśmy udawać przed dziećmi, że wszystko jest w porządku, a to było straszne. Mimo to zorientowały się, że coś jest nie tak; wiecie, jakie są dzieci. Potrafią wyczuć takie rzeczy przez skórę. Kiedy podawałam im śniadanie, Jennifer spojrzała na mnie i zapytała: „Milly, mama przyjedzie dzisiaj po nas?”. I uśmiechała się przy tym, jakby wiedziała, że pytanie jest głupie, ale obiecała bratu, że je zada, rozumiecie? O mało nie padłam trupem. Odpowiedziałam: „No cóż, kochanie, właściwie nie znam planów twojej mamy”. Okropne, prawda? Ale nie miałam pojęcia, co jej powiedzieć.

Mniej więcej o drugiej znowu zadzwoniliśmy do szpitala i usłyszeliśmy, że Frank właśnie wyszedł: przyjechał podpisać papiery, sama nie wiem, załatwić wszystkie formalności, które się załatwia, kiedy ktoś umiera. Jak tylko wszedł, powiedziałam: „Frank, czy możemy ci pomóc? Bo jeśli coś moglibyśmy zrobić, po prostu daj nam znać”.

Odparł, że nie, że wszystkim już się zajął. Powiedział, że zadzwonił do brata w Pittsfield (ma o wiele starszego brata, rozumiecie, prawdę mówiąc, ma dwóch, ale nigdy o nich nie wspominał, zapomniałam, że w ogóle ma jakąś rodzinę) i że brat z żoną przyjadą nazajutrz, żeby zaopiekować się dziećmi, pomóc przy pogrzebie i w ogóle. Odpowiedziałam mu tak: „W porządku, ale proszę, zostań u nas na noc. Nie możesz teraz zabrać dzieci do domu”. Zgodził się, ale najpierw chciał zabrać je na przejażdżkę i przekazać im wiadomość. I tak zrobił. Wszedł na podwórko, dzieci go zobaczyły i pobiegły do niego. Przywitał się z nimi, wsadził je do auta i odjechał. Wicie, to była najsmutniejsza rzecz, jaką widziałam w całym moim życiu. Nigdy nie zapomnę, co powiedziała Jennifer, kiedy wieczorem wrócili. Było późno, dzieciom chciało się spać, i pomagałam Jennifer się położyć. Powiedziała mi tak: „Milly, wiesz co? Moja mama jest w niebie i jedliśmy kolację w restauracji”.

- Boże! - westchnęła Nancy Brace. - Ale jak to się skończyło? - Nancy nosiła okulary i miała ostre rysy; zanim wyszła za męża, pracowała jako zaopatrzeniowiec w jednym z najlepszych nowojorskich sklepów. Lubiła, kiedy opowieści toczyły się gładko i kończyły puentą, i najwyraźniej odnosiła wrażenie, że w tej pozostało zbyt wiele niewyjaśnionych wątków. - Jego krewni zostali tu na jakiś czas? A potem co?

- Och, nie - wyjaśniła Milly. - Zaraz po pogrzebie zabrali ze sobą dzieci do Pittsfield. Frank pojechał z nimi, żeby pomóc im się przystosować, potem przeprowadził się do miasta i zaczął jeździć tam na weekendy, i tak teraz to wygląda. Przypuszczam, że to mniej lub bardziej stały układ. Brat i jego żona to bardzo mili, cudowni ludzie, naprawdę, świetnie radzą sobie z dziećmi; oczywiście są o wiele starsi i w ogóle.

Jak przypuszczam, nie widzieliśmy się z Frankiem aż do marca, bo chyba wtedy przyjechał sfinalizować sprzedaż domu. I oczywiście wtedy go poznaliście. Spędził u nas kilka dni i odbyliśmy długą rozmowę. To wtedy powiedział nam o liście, który mu zostawiła. Powiedział też, że gdyby nie ten list, pewnie tamtej nocy by się zabił.

Warren Brace oczyścił gardło z flegmy i przełknął. Łysiejący, z niestosownie miękkimi dziecięcymi ustami, w których ścisnął fajkę, wolno

cedził słowa. Pracował w mieście w firmie konsultingowej i wykonywał pracę, jak sam mówił, doskonale odpowiadającą umysłom o skłonnościach analitycznych.

- Wiecie co? - odezwał się. - Taka sprawa naprawdę... - Urwał, badawczo wpatrzony w smugę dymu, która uniosła się z wilgotnego cybucha. - Naprawdę każe człowiekowi zastanowić się chwilę.

- No dobrze, ale jaki wtedy się wydał? - pytała Nancy Brace. - Czy sprawiał wrażenie, że zdołał się... dostosować?

Milly westchnęła, obciągając spódnicę i podwijając stopy na fotelu jednym szybkim niezręcznym ruchem.

- No cóż, stracił sporo na wadze - odparła - ale poza tym wyglądał dobrze. Mówił, że psychoanaliza bardzo mu pomaga, i trochę nam o tym opowiadał. I opowiadał o pracy, bo dostał chyba nową? To znaczy wciąż w pewnym sensie pracuje dla Knoxa, ale w nowym układzie? Nie złapałam tego do końca. Jak się ta jego nowa firma nazywa, kochanie?

- Bart Pollock Associates.

- A tak - powiedział Warren Brace. - Mieszczą się na rogu Pięćdziesiątej Dziewiątej i Madison. Szczerze mówiąc, szalenie interesująca nowa firma. Zajmują się public relations w elektronice, tak chyba można to określić. Zaczęli od pracy dla Knoxa, a teraz mają kilka innych przedsiębiorstw. Za parę lat będzie o nich głośno, zobaczycie.

- No cóż - ciągnęła Milly - tak czy owak wyglądał na zajętego. I wydawał się... och, przypuszczam, że „wesoły” to nie jest właściwe słowo, ale coś w tym rodzaju. Naprawdę uważałam, że jego postawa była... no cóż, odważna. Bardzo odważna.

Pod wymamrotanym pretekstem napełnienia na nowo szklaneczek Shep poszedł do kuchni, gdzie szczekał i grzechotał pojemnikiem na lód w zlewie, żeby zagłuszyć jej głos. Do diabła, dlaczego ze wszystkiego musi robić taką przekłętą operę mydlaną? Jeśli nie potrafi opowiedzieć tego tak, jak naprawdę było, ludziom, którzy naprawdę chcą posłuchać, po co w ogóle o tym mówić? Odważny! Ze wszystkich bezsensownych, idiotycznych...

Zapominając o gościach czy raczej podejmując gwałtownie decyzję, że sami mogą sobie wziąć przekłętą drinka, nalał do jednej szklanki i wyszedł z nią na pociemniałe tylne podwórko. Drzwi zatrzasnęły się za nim z lekkim hukiem.

Odważny! Cóż to za brednie? jak człowiek może być odważny, skoro nawet nie żyje? Bo tak było, tak wyglądał Frank, kiedy przyszedł do nich w tamto marcowe popołudnie: jak chodzący, mówiący, uśmiechający się, pozbawiony życia człowiek.

Kiedy wysiadł z samochodu, na pierwszy rzut oka wydawał się niezmienny poza tym tylko, że marynarka wisiała na nim luźno, dlatego nabrał zwyczaju zapinania jej na górny i środkowy guzik, by przytrzymać spodnie. Ale gdy usłyszał jego głos - „Cześć, Milly, miło cię widzieć, Shep” i poczuł lekki, suchy uścisk jego dłoni, zaczynał dostrzegać, że życie całkiem z niego uszło.

Był cholernie nijaki! Siedział, poprawiając kanty spodni, strzepując drobinki popiołu z kolan i trzymając szklaneczkę z małym palcem dla bezpieczeństwa wsuniętym pod jej dno. I śmiech miał inny: łagodny, jękliwy chichot. Trudno było wyobrazić go sobie, jak śmieje się szczerze, szczerze płacze, poci się, je, upija się, wpada w podniecenie - czy nawet broni własnego zdania. Na zmiłowanie boskie, wyglądał jak ktoś, do kogo możesz podejść, zdzielić pięścią i powalić na ziemię, a on będzie tylko leżał i przeproszał, że wszedł ci w drogę. Tak więc kiedy na końcu zaczął opowiadać o tym, jak znalazł list od niej - „Naprawdę myślę, że gdyby nie to, zabiłbym się” - mogłeś tylko gryźć się w język, by nie rzucić mu w twarz: Co za brednie! Kłamiesz, Wheeler, ty draniu, nie starczyłoby ci odwagi.

I było coś jeszcze gorszego: zrobił się z niego straszny nudziarz. Chyba z godzinę bredził o tej swojej idiotycznej pracy, a Bóg tylko wie, jak długo gadał na swój ulubiony temat: „mój psychoanalityk to”, „mój psychoanalityk tamto” - zmienił się w jedną z tych osób, które zawsze chcą opowiadać o swoim przeklętym psychoanalityku. „Wiecie, myślę, że udało nam się dotrzeć do kwestii podstawowych, którym nigdy w gruncie rzeczy nie stawiałem czoła, a dotyczących moich relacji z ojcem. Chryste! I taki właśnie stał się Frank, to wystarczy, jeśli ktoś chce wiedzieć, jak naprawdę ułożyły się sprawy.

Shep łyknął whisky, dostrzegając zamazaną smugę gwiazd i księżycy przez wilgotną kopułę szklanki. Ruszył w stronę domu, ale nie dotarł do drzwi; musiał się ponownie odwrócić i wrócić na koniec trawnika, gdzie chodził w kółko. Płakał.

Sprawił to zapach wiosny w powietrzu - zapach ziemi i kwiatów - ponieważ minął niemal rok od spektaklu Laurel Players, a wspomnienie Laurel Players było wspomnieniem April Wheeler na scenie, jej uśmiechu i głosu („Nie chciałbyś, żebym cię pokochała?”); przez to wszystko Shep Campbell po prostu musiał krążyć po mokrej trawie i płakać, wielkie, żalodne dziecko z pięścią w ustach i ciepłymi łzami spływającymi po policzku.

Płacz był łatwy i przyjemny, dlatego przez chwilę nie próbował się powstrzymać, dopóki nie uświadomił sobie, że trochę przymusza się do łkań, przesadnie podkreśla ich głębię niepotrzebnymi dreszczami. Zawstydzony

sobą, pochylił się i ostrożnie odstawił szklanę na trawę, wyjął chusteczkę i wytarł nos.

Cały sens płaczu polega na tym, by przestać, nim popadnie się w cikliwość. Cały sens żałoby polega na tym, by ją zakończyć, kiedy wciąż jest szczerą, kiedy wciąż coś znaczy. Bo tak łatwo ją zepsuć: przestajesz się pilnować i zaczynasz podkolorowywać własne łkania albo ze smutnym, sentymentalnym uśmiechem opowiadasz o Wheelerach i mówisz, że Frank jest odważny, a wtedy, do diabła, co ci zostaje?

Kiedy wrócił do salonu z nowymi drinkami, Milly nadal mówiła, nadal koloryzowała. Dotarła do podsumowania i pochylała się żarliwie z łokciami opartymi o lekko rozstawione pomarszczone kolana.

- Naprawdę uważam, że całe to doświadczenie bardziej nas zbliżyło - mówiła. - To znaczy Shepa i mnie. A ty jak sądzisz, skarbie?

Brace'owie spojrzeli na niego, milcząco powtarzając jej pytanie. Sądzi tak? A może nie?

Mógł naturalnie udzielić tylko jednej odpowiedzi: - Tak, to prawda.

Nagle uświadomił sobie, że najśmieszniejsze w tym jest to, że istotnie tak myśli. Spoglądając na nią w świetle lampy, na tę drobną, rozczochraną, niemądrą kobietę, nie miał cienia wątpliwości, że powiedział prawdę. Bo na Boga, ona żyła, tak czy nie? Gdyby teraz podszedł do niej i położył jej dłoń na karku, zamknęłaby oczy i uśmiechnęła się, tak czy nie? Do diabła, jasne, że tak. A kiedy Brace'owie pójdą do domu - z Boską pomocą wkrótce zaczną się żegnać - kiedy Brace'owie sobie pójdą, Milly zacznie niezgrabnie krzątać się po kuchni, zmywając naczynia i terkocząc z szybkością karabinu maszynowego („Och, tak bardzo ich lubię, a ty?"). Potem położy się spać, a rano wstanie i zgarbiona znowu pójdzie na dół w swoim podartym szlafroku pachnącym snem, sokiem pomarańczowym, syropem na kaszel i zwietrzałym dezodorantem, i zajmie się życiem.

Dla pani Givings okres po śmierci April także wypełniły następujące po sobie szok, ból i wolne dochodzenie do siebie.

Na początku była w stanie myśleć o tym wyłącznie w terminach przytłaczającej winy, dlatego nie mogła rozmawiać na ten temat z nikim, nawet z Howardem. Wiedziała, że Howard i wszyscy inni będą powtarzać, że to był wypadek i nikogo nie można obwiniać, a ona najmniej pragnęła, by ją pocieszano. Wspomnienie karetki wyjeżdżającej z podjazdu Wheelerów w tej samej chwili, kiedy przybyła tam wygłosić starannie przećwiczone przeprosiny („April, co do wczoraj: oboje byliście cudowni, ale już nigdy nie poproszę was, żebyście znowu musieli przez to przechodzić. Howard i ja uzgodniliśmy, że

problemy Johna wykraczają poza nasze..."), i głosu małej pani Campbell, która po południu zatelefonowała z wiadomością, wypełniły ją poczuciem winy tak czystym i głębokim, że niemal przyjemnym. Przez tydzień była fizycznie chora.

Taki więc jest skutek dobrych intencji. Próbujesz kochać własne dziecko, a w rezultacie pomagasz sprowadzić śmierć na matkę innych dzieci.

- Wiem, że to przypuszczalnie nie miało związku - wyjaśniła psychiatrze Johna - ale szczerze mówiąc, panie doktorze, nie pytam o pańską opinię. Ja tylko stwierdzam, że w tej sytuacji nie wchodzi w grę, byśmy znowu brali pod uwagę kontaktowanie go z ludźmi z zewnątrz. To wykluczone.

- Hmm - mruknął lekarz. - Tak. Naturalnie decyzja w tego rodzaju sprawach należy wyłącznie do pani i pana... aha, Givingsa.

- Wiem, że John jest chory - ciągnęła pani Givings; musiała w tym momencie stłumić rodzący się w gardle płacz. - Wiem, że jest chory i trzeba mu współczuć, ale jest także bardzo destrukcyjny. Nieprawdopodobnie destrukcyjny.

- Hmm. Tak...

Później ograniczyli cotygodniowe wizyty do wewnętrznej poczekalni na oddziale Johna. Wydawało się, że jemu to nie przeszkadza. Czasami pytał o Wheelerów, ale naturalnie nic mu nie powiedzieli. Nim nadeszło Boże Narodzenie, pomiędzy wizytami pozwalali sobie na dwu-, trzytygodniowe przerwy, później ograniczyli je do jednej w miesiącu.

Ważne były jednak drobiazgi. W pewien styczniowy dzień, gdy padał deszcz ze śniegiem, jej wzrok w witrynie sklepu zoologicznego w centrum handlowym przyciągnął mały, brązowy szczeniak, mieszaniec spaniela. Czując się głupio - nigdy w życiu nie postąpiła tak niemądrze i impulsywnie - weszła, kupiła psiaka i przywiozła do domu.

Ileż dał jej przyjemności! Och, sprawiał też kłopoty, nauka czystości, robaki i tak dalej; wychowanie grzecznego psa wymagało wiele ciężkiej pracy, ale warto było.

- Przewróć się! - mawiała, w ciepłych skarpetkach siedząc po turecku na dywanie. - Przewróć się! - Przesuwała palcami po pokrytych puchem żebrach i brzuszku, a on wyginał się, machając w powietrzu łapkami i w radosnej ekstazie odsuwając czarne wargi z zębów.

- Och, jesteś bardzo grzecznym pieskiem! Bardzo grzecznym, słodkim pieskiem z mokrym noskiem, prawda? Tak! O tak!

I to właśnie szczeniak bardziej niż cokolwiek innego pomógł jej przetrwać zimę.

Ruch w interesie zaczął się znowu z nadejściem wiosny, która nieodmiennie napełniała ją poczuciem, że życie zaczyna się od nowa, choć z jedną udręką musiała się uporać: ze sprzedażą domu Wheelerów. Tak bardzo obawiała się nieuniknionego spotkania z Frankiem w kancelarii adwokackiej późnym popołudniem, że poprzedniej nocy prawie nie spała. Spotkanie jednak okazało się łatwiejsze, niż przypuszczała. Frank zachowywał się serdecznie i z godnością - „Miło panią znowu widzieć, pani Givings” - rozmawiali wyłącznie o interesach i wyszedł natychmiast po podpisaniu dokumentów. Później było tak, jakby na zawsze zamknęła drzwi za tym doświadczeniem.

Przez następne dwa miesiące była wyczerpująco, delirycznie zajęta: coraz więcej ślicznych starych domów pojawiało się na rynku, coraz więcej budowano przyzwoitych nowych, coraz więcej odpowiednich ludzi przeprowadzało się z miasta, ludzi, którzy chcieli i zasługiwali na coś naprawdę ładnego i którzy nie próbowali się targować. Wkrótce ta wiosna stała się najlepszą wiosną w całej jej karierze i czerpała z tego faktu dumę rzemieślnika. Dni były długie i często trudne, ale dzięki temu lepiej wypoczywała w coraz krótsze wieczory.

Pomiędzy zabawą ze szczeniakiem a pogawędkami z Howardem wynajdywała sobie proste, konstruktywne zajęcia w domu.

- Przytulnie tutaj, prawda? - zapytała pewnego pogodnego majowego wieczora, kucając na rozłożonych gazetach i lakierując krzesło. Howard, znudzony lekturą „World-Telegram”, siedział z założonymi rękami i patrzył przez okno. Zwinięty w kłębek szczeniak spał uszczęśliwiony na swoim posłaniu. - Cudownie jest odreagować po ciężkim dniu. Chciałbyś jeszcze kawy albo ciasta, kochanie?

- Nie, dziękuję. Może później napiję się mleka.

Odwróciła ostrożnie krzesło i usiadła na podłodze, by pomalować je od środka. Machając pędzlem tam i z powrotem, nie przestawała mówić.

- ... nie potrafię wprost wyrazić, jaka jestem rada z powodu tego domku przy Revolutionary Road, Howardzie. Pamiętasz, jak ponuro wyglądał w zimie? Opuszczony, mroczny i... no cóż, przerażający. Na jego widok człowiek dostawał gęsiej skórki. Ale jak teraz koło niego przejeżdżam, nastrój mi się poprawia, taki jest wesoły i lśniący czystością, ze światłem w oknach. Och, ci Brace'owie to zachwycający młodzi ludzie. Ona jest słodka i miło się z nią rozmawia, on traktuje ludzi raczej z rezerwą, i myślę, że w mieście robi świetną karierę. Powiedział mi: „Pani Givings, nie wiem, jak pani dziękować. To jest dokładnie taki dom, jakiego zawsze pragnęliśmy”. Urocze, prawda? I wiesz, tak sobie myślałam, że Kocham ten domek od wielu lat, a oni są pierwszymi

naprawdę odpowiednimi ludźmi, jakich udało mi się znaleźć. Naprawdę mili, sympatyczni ludzie.

Jej mąż poruszył się i zmienił pozycję stóp w butach ortopedycznych.

- No cóż - powiedział - to znaczy oprócz Wheelerów.

- Mam na myśli naprawdę sympatycznych ludzi - odparła. - Ludzie naszego rodzaju. Och, byłam bardzo przywiązana do Wheelerów, ale zawsze byli odrobinę... odrobinę dziwni, jak na mój gust. Neurotyczni. Może o tym nie wspominałam, ale pod wieloma względami często byli bardzo męczący w kontaktach. Szczerze mówiąc, dom trudno było sprzedać głównie dlatego, że strasznie go zapuścili. Wypaczone framugi okienne, mokry sufit, ślady kredek na ścianach, brudne smugi przy klamkach i kontaktach: to wszystko są dowody kompletnej beztroski, która w rezultacie prowadzi do ruiny. I ta okropna kamienna ścieżka dochodząca do połowy trawnika i kończąca się w kałuży. Możesz sobie wyobrazić, że ktoś tak zeszpecił nieruchomość? Pan Brace będzie musiał wydać fortunę, żeby usunąć kamienie i na nowo obsiać trawnik. Ale chodzi o coś więcej. Mam na myśli sprawy, które sięgają o wiele głębiej.

Przerwała, by odcisnąć nadmiar farby z pędzla o ściankę puszki; z marsem na czole poruszała ustami, usiłując znaleźć słowa na określenie spraw, które miała na myśli.

- Rzecz w tym, że byli dość dziwną młodą parą. Nieodpowiedzialną. Ta rezerwa, z jaką na człowieka patrzyli, sposób, w jaki się odzywali, to wszystko było w pewnym sensie niezdrowe. Och, i jeszcze jedno. Wiesz, na co natrafiłam w piwnicy? Całkiem wyschnięte i martwe? Trafiłam na wielką skrzynię rozchodnika, którego zbierałam dla nich chyba przez cały dzień zeszłej wiosny. Pamiętam, jak starannie dobierałam pędy i sadziłam w odpowiedniej ziemi. I takie sprawy mam na myśli. Nie sądzisz, że kiedy ktoś zadaje sobie trud, by podarować ci doskonałą roślinę, żyjącą i rozwijającą się, to powinieneś w najgorszym razie...

Ale od tej chwili Howard Givings słyszał tylko przyjazne, burzliwe morze ciszy. Wyłączył swój aparat słuchowy.